



Annie SOLOMON

Zaślepienie

Tytuł oryginalu Blind Curve



Rozdział 1

Noc była cholernie zimna. Wysoki mężczyzna stojący na ulicy głębiej naciągnął wełnianą czapkę na oczy i szczelniej otulił się zieloną wojskową kurtką. Przytupywał, żeby się rozgrzać. Spod czapki wymykały się długie, przetłuszczone kosmyki, a na twarzy widniał dwudniowy zarost. Na ulicach Sokanan na nieznajomego wołano Turą - skrót od turkus, bo takiego koloru były jego głęboko osadzone oczy.

Ledwie pół przecznicy dzieliło go od dzielnicy budynków socjalnych. Stał pod wypaloną latarnią, niedaleko opuszczonego sklepiku na rogu. Chciał kupić broń.

Sprzedawca się spóźniał i Turą zaklął pod nosem. Szyja dawała mu się we znaki. Dwa dni wcześniej dostał w głowę podczas aresztowania w Dutchman. Zimno potęgowało ból.

Poczuł, jak komórka wibruje mu na udzie.

- Siema - rzucił niskim głosem.

- Jak tam, wujek? - Dzwonił jeden z aniołów stróżów. Chłopcy byli nieco dalej. Rozstawieni wzdłuż ulicy, śledzili każdy jego krok.

- Chłopak mi się spóźnia. - W tej samej chwili usłyszał kroki. -Cześć! - Rozłączył się czym prędzej.

Zza rogu wyszedł sprzedawca. Najwyżej piętnaście lat, chudy, ubrany jak hip-hopowiec w dres zwisający z drobnej sylwetki, obwieszony łańcuchami i złotem. Śmiałym krokiem szedł w jego stronę. Turą jęknął w duchu. Dzieciaki są najgorsze, nigdy nie wiadomo, co wywiną.

Nie marnował czasu.

- Masz?

Chłopak przyglądał mu się podejrzliwie.

- A masz prezydentów?

- Dwie stowy gotówką tak jak się umawialiśmy.

- Taa... Ale ja cię nie znam, człowieku. A z nieznanymi nie robię interesów.

Jezu! Turą potarł podbródek. Chłopak najpierw się spóźnia, a potem stawia. Z wysiłkiem zachował spokój. Wyciągnął rękę.

- Jestem Turq. O cholera, nie. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Danny. - Pomiął nazwisko Sinofsky w nadziei, że imię wystarczy. - Tylko nikomu nie mów.

Sprzedawca powoli wyciągnął rękę.

- Danny, co? Bielszego imienia nie znam.

- Teraz w porzo?

Chłopak wzruszył ramionami. W mdłym świetle księżycy jego skóra była gładka, jedwabista, bez cienia zarostu. Danny posmutniał. Dzieci zabijają dzieci.

- No dobra, Danny - mruknął sprzedawca.

- Gdzie to masz?

- Nie tutaj. Schowałem.

Cholera. Zmiana miejsca to kiepski pomysł. Chłopcy będą musieli śledzić samochód. Jeśli im się uda. Bo czasem...

A jeśli to pułapka? Chłopak zgarnie forszę i zwieje. A Turą miał przy sobie sporo kasy.

Tyle że lewa broń to też broń, już niemal czuł ją w dłoni.

- Przynieś tutaj, bracie. Taka była umowa. Chłopak cofnął się o krok.

- Mam to gdzieś. Wszędzie aż się roi od glin.

- Albo tu, albo nici z umowy.

- Nici, stary. - Dzieciak odwrócił się na pięcie. Cholera.

- Czekaj!

Zmiana miejsca to ryzykowna sprawa. Ale nie może przecież zostawić na ulicy spluwy. Cenę zapłacą niewinni cywile. Ostatnio zginęła trzyletnia dziewczynka.

- Dokąd jedziemy?

- Zabiorę cię tam.

- Najpierw muszę wiedzieć dokąd. - W ten sposób zawiadomi czujki. Słuchali go, miał na sobie ukryty mikrofon. Dzięki temu może uda im się ich śledzić.

Ale tej nocy nic nie szło po jego myśli.

- To takie małe sekretne miejsce. Samochód czeka. Dzieciak jest chyba za młody, żeby prowadzić. Cholera.

- Dobra. Muszę mieć tego gnata.

- Tak? - Sprzedawca zaprowadził go za róg, do chevroleta camaro z 1972 roku. Kiedyś złoty, teraz był tylko brudny. - Planujesz robotę?

Danny spojrzał na niego z ukosa.

- Nie twoja sprawa. Mam kasę. To najważniejsze.

Dzieciak skinął głową. Piętnastolatek, a zachowywał się, jakby całe życie miał już za sobą.

- Racja.

Danny wszedł do samochodu. Mrowiło go w palcach, a adrenalina krążyła w żyłach. Wyobrażał sobie, że Parnell dostanie ataku apopleksji, kiedy się dowie. Niemal się uśmiechnął, gdy sobie wyobraził twarz porucznika.

Samochód mknął Market Street. Jechali w stronę torów kolejowych nad rzeką. Sto lat temu było to handlowe serce Sokanan. Z Manhattanu przyływały tu barki i zostawiały ładunek w magazynach przy nabrzeżu - napełniały je towarami i żywnością z farm w dolinie. Ze wschodu na zachód przez miasto ciągnęły pociągi towarowe.

Teraz okolica straszyla pustką. Ale ożywienie w interesach, jakie spowodowała umowa z Renaissance Oil, przyniosło nowe nadzieje i plotki, jakoby miało tu powstać centrum handlowe, takie jak Faneuil Hall w Bostonie.

Na razie to tylko plany. Teraz miejsce było puste i brudne.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Danny, chcąc przekazać jak najwięcej danych obserwatorom. - Przy magazynach?

- Chyba masz oczy?

Sprzedawca zjechał z głównej drogi w boczną, prowadzącą nad Hudson. Samochód podskakiwał na starych kocich łbach, żeby po chwili zatrzymać się przed opuszczonym magazynem. Światło księżyca odbijało się w rzece i tworzyło dziwne cienie. Na budynku widniały spłowiałe żółte litery. Danny rozpoznał tylko M i C.

- McClanahan - mruknął.

- Co ty gadasz? Danny wskazał magazyn.

- Budynek. Widzisz litery? M i C. Idę o zakład, że to magazyn McClanahana.

- A kogo to obchodzi? Turq nie odpowiedział.

Wysiadł i się rozejrzał. Ponuro i pusto. Wsparcie nie dotrze tu niezauważone, nie ma mowy.

Dłonie mu się pociły, ale szedł za chłopakiem. Nie chciał wchodzić do tego posepnego budynku.

- Gdzie to masz? - zapytał.

- W środku. Cholera.

- To sam biegaj. To miejsce przyprawia mnie o...

Magazyn się zachybotał. Przez moment Turqa spowiła nieprzenikniona ciemność. Potknął się, mało brakowało, a upadłby. Co, do...

Ciszę przeciął strzał. Kula świsnęła mu nad uchem, tam, gdzie jeszcze przed sekundą była jego głowa. Ktoś chrząknął. Nagle znowu widział. Izobaczył, jak chłopak osuwa się na ziemię.

Danny rzucił się za pojemnik na śmieci, gdy padał kolejny strzał.

- Jestem pod ostrzałem! - krzyknął do ukrytego mikrofonu. - Siedzę za pojemnikiem na śmieci, koło starego magazynu McClanahanów.

Jego komórka zawibrowała. Chwycił aparat.

- Macie położenie?

- Mamy cię, stary.

Danny się rozejrzał. Minie trochę czasu, zanim chłopcy tu dotrą, a umrzeć mógł w każdej chwili. Strzały padły z dachu magazynu. Doskonałe miejsce. Strzelec ma w zasięgu wzroku całą okolicę. Danny siedział za kontenerem jak w pułapce. Bez kamizelki kuloodpornej, bez broni, jedynie z garścią gotówki.

Tkwiał po uszy w gównie. Zdenerwowany, uderzył głową w pojemnik. Padł strzał. Instynktownie się schylił.

Chłopak, który go tu przywiózł, leżał nieruchomo twarzą do ziemi. Podeszwy butów patrzyły w ciemne niebo. Czy mały miał broń? Nie zdziwiłby się. W każdym razie nie może go tak zastawić, na widoku, na pastwę strzelającego.

Podkrał się do skrajnie niebieskiego kontenera i wyciągnął rękę. Padł strzał. Cholera!

Cofnął dłoń, odetchnął głęboko, spróbował jeszcze raz. Udało mu się złapać chłopaka za nogę. Pociągnął go. Ciało drgnęło, gdy utkwiała w nim kolejna kula.

Ledwie chłopak znalazł się za kontenerem, Danny przewrócił go na plecy. Dzieciak miał szeroko otwarte oczy i niedużą czarną dziurę pośrodku czoła.

O w mordę!

Kto się tam czai, do cholery?

Nie ma czasu do namysłu. Obmacał zwłoki i znalazł naładowaną spluwę pod bluzą. Nie na wiele się zda w starciu z karabinem snajperskim strzelca, ale lepsze to niż nic.

Wyjrzał zza rogu i nagle znowu niczego nie widział. Zamrugał. Dokoła rozległ się pisk opon i wycie syren. Słyszał trzaskanie drzwi, huk wystrzałów, głos Baylissa spotęgowany megafonem:

- Tu policja! Poddaj się! Rzuć broń! I inny głos:

- Sin! Gdzie jesteś? Sin! Ktoś nim potrząsnął.

- Jezu, co się stało? - To Mike Finelli, jeden z partnerów. - Danny? Sin?

Wszystko w porządku?

- Jasne, wszystko w porządku. Tylko że, kurwa, nic nie widzę.

- To ślepotą pourazową. - Neurolog mówiła tak spokojnie i rzeczowo, że miał ochotę ją uderzyć. Nie wiedział, od jak dawna znajduje się szpitalu, ale wydawało mu się, że minęły całe lata. Odsyłano go od lekarza do lekarza, głosy techników zlewały się w jeden szum. Teraz posadzili go w fotelu; czuł pod palcami miękką tkaninę obicia. Cisza dokoła sugerowała, że to gabinet. A lekarzka... Jezu, nie pamięta nawet, jak się nazywa, mówi mu, że...

- To jakiś żart. W jednej chwili wszystko ze mną w porządku, a w następnej jestem ślepy jak cholerny kret?!

- Miał pan wylew.

- Mam trzydzieści dwa lata i jestem zdrowy jak koń. Tacy faceci nie miewają wylewów.

- Z pana karty wynika, że dwa dni temu doznał pan urazu głowy.

- W mojej pracy często obrywam. Co to ma wspólnego ze ślepotą?

- Odniósł pan obrażenia karku - tłumaczyła miękko. - Doszło do uszkodzenia arterii koło kręgosłupa. Przez uszkodzoną ściankę wypływała krew. Powstał zakrzep, który dotarł do arterii w czaszce.

- No dobra. Ale dlaczego nie widzę?

- Bo impulsy z oczu nie docierają do ośrodka w mózgu, w którym powinny być analizowane.

Słowa obmywały go jak woda. Serce waliło jak oszalałe, miał sucho w ustach. Przyszło mu na myśl, że może pod magazynem jednak oberwał i to wszystko to tylko sen. Że w końcu się obudzi.

- Detektywie Sinofsky?

- Tak.
- Ma pan jeszcze jakieś pytania? Zawahał się. Był zagubiony, zdezorientowany.
- Czy ja... - odchrząknął. - To sen? Chwila ciszy.
- Nie. - Powiedziała to cicho, ze współczuciem i całkowitą pewnością. Skinął głową. Ogarnęło go przerażenie.
- Jest szansa, że to ustąpi? Kolejna chwila ciszy.
- To możliwe. Medycyna zna przypadki, gdy takie schorzenie samo ustępowało.
- Ale...
- Ale doszło do poważnych uszkodzeń. Na pana miejscu nie liczyłabym na to. Bardzo mi przykro. - Słyszał, jak wstaje; szelest ubrań, skrzypnięcie krzesła.
- Skontaktuję pana z pracownikiem opieki społecznej. Zapewni panu rehabilitację. Potrzebny panu instruktor.

Słuchał jej, ale słowa do niego nie docierały. Poczul rękę na ramieniu. Wzdrygnął się.

- W jaki sposób dotrze pan do domu? Nie miał pojęcia.
 - Jest pan żonaty? Pokręcił głową.
 - Dziewczyna? Rodzice? Krewni?
- Matka nie żyła. Nie chciał obciążać siostry, Beth.
- Zadzwonię... po przyjaciela.

Rozbierał się i ubierał z dziesięć razy, gdy go kłuli i badali. Teraz znowu miał na sobie uliczne przebranie - podarte džinsy i wiekową woj skową kurtkę, ubranie Turka. Poszperał w przepastnych kieszeniach i znalazł telefon pod wełnianą czapką. Palce szukały odpowiednich przycisków, ale dłoni za bardzo drżała.

Delikatnie wyjęła mu aparat z dłoni.

- Numer? - zapytała miękko, kimkolwiek była.

Przełknął z trudem. Przez chwilę miał zupełną pustkę w głowie. Musiał się skupić, ale w końcu sobie przypomniał. Po chwili oddała mu aparat.

W słuchawce rozległo się „Halo?” Mike'a Finellego. Oaza normalności.

- To ja. - Danny za wszelką cenę starał się opanować drżenie głosu.

- Sin! Gdzie jesteś? Byłem w szpitalu, mówili, że ciągle cię badają. Co jest? Wszystko w porządku?

Nie do końca. Ale jeszcze nie umiał tego przyznać.

- Zawieziesz mnie do domu?

- Beth tu jest. Pewnie wołałaby sama po ciebie przyjechać.

W gabinecie zadzwonił telefon. Słyszał, jak lekarka podnosi słuchawkę i mówi coś cicho.

- A dzieciaki? - zapytał.

- Nie wiem.

- No dobra. Zadzwonię do niej na komórkę. Powiem, gdzie ma na mnie czekać.

- Jest tutaj... - Znowu poczuł dłoń na ramieniu. - Chwileczkę - rzucił do Mike'a.

- Panie Sinofsky? - Pogodny, radosny głos. - Nazywam się Pat Embry. Zawiozę pana do świetlicy i poczekamy na instruktorkę.

- Gdzieś mnie zabierają - uprzedził Mike'a. - Poproszę, żeby zadzwonili do Beth, kiedy to się w końcu skończy.

- Proszę się zatrzymać. - Znow ten radosny głos. Wyobraził sobie pulchną, biuściastą kobietę z kręconymi włosami, podobną do ciotki Bei. Ale dłoń, która go dotykała, była koścista i pachniała płynem do dezynfekcji.

- Jeszcze tylko kilka kroków - mówiła radośnie, jak do trzylatka. -O! I mamy wózek.

Poczuł skórzane oparcie wózka inwalidzkiego pod palcami i coś ścisnęło go za serce.

- Tak. Bardzo pięknie. Wygodniutko? Zacisnął pięści.

- No dobrze, jedziemy.

Ostrzegali ją. Wszyscy, poczynając od pracownicy socjalnej po sanitariusza, posyłali jej znaczące, ostrzegawcze spojrzenia.

Ale nie potrzebowała ostrzeżeń. Do tej pory go nie zapomniała.

Ktoś przywiózł go na wózku do świetlicy. Wstał z fotela. Oparty o ścianę, stał twarzą do okna, jakby chłonał noc.

Miał nieprzyzwoicie podarte dzinsy, sprane i postrzępione. Po czternastu latach i Bóg wie jakich tarapatach myślała, że przynajmniej jego ubranie będzie w lepszym stanie. Na szczęście czarna koszulka nie wyglądała tak strasznie. Rękawy opinały potężne muskuły. Był wysoki, miał szerokie ramiona, które przechodziły stopniowo w wąskie biodra. Tygrys - silny i zdrowy. Młody.

Patrząc na niego, nawet teraz, z oddali, czuła się jego przeciwieństwem. Weszła do świetlicy. Zesztywniał. Usłyszał ją.

- Detektyw Sinofsky?

Odwrócił się w jej stronę. Mało brakowało, a jęknęłaby głośno, choć przecież wiedziała, co zobaczy. Mijające lata zostawiły na jego twarzy bruzdy, wydorosłał. Ale nadal był mroczny i piękny, jak bohater z dziewczęcych fantazji. Z niebezpiecznych snów.

Gdzieś na dnie jej duszy coś drgnęło. Cień, cichy i słaby, więc bez trudu udawała, że nic się nie stało.

Miał głęboko osadzone oczy o odcieniu intensywnego turkus. Były czyste i przejrzyste, jak wody Karaibów. Bez skazy. Na powiekach nie było żadnych blizn. Nic nie zdradzało, że nie widzi.

- Danny Sinofsky?

- A kto pyta?

Przełknęła ślinę, zadowolona, że nie widzi szoku i litości, których nie zdołała jeszcze ukryć. Ciekawe, czyby ją rozpoznał? Tyle w niej było nadziei i strachu. Próbowała mówić rzeczowo i spokojnie:

- Martha Crowe. - Odczekała ułamek sekundy, żeby sprawdzić, czyjej nazwisko wywoła jakieś wspomnienia. Ale nadal patrzył na nią pustym wzrokiem. Szybko zdusiła w sobie rozczarowanie. - Jestem instruktorką i rehabilitantką niewidomych. Moja specjalizacja to orientacja i mobilność. Chciałabym przedstawić panu możliwości.

- Możliwości?

- Pierwsza to praca z laską. Są także inne warianty: pies, sprzęt elektroniczny...

Jego twarz, piękna, mroczna, z cieniem zarostu, nagle pociemniała.

- Znikaj stąd. - Dziwne wyrażenie, bo sugerowało, jakby mógł ją zobaczyć.
- Nic mi nie jest.

Nie wierzyła w fałszywe pocieszenia. Zawsze wybierała szczerość, żeby pokonać gniew pacjenta.

- Nieprawda. Jest pan ślepy. Spiał się. Sprężył, gotów do skoku.

- To przejściowe.

Przejrzała jego dokumentację. Ślepotą powypadkową spowodowaną uszkodzeniem naczyń karku. Rzadka przypadłość. Doznał poważnych obrażeń i szanse na to, żeby odzyskał wzrok, są nikłe.

- Proszę posłuchać...

- Nadal tu jesteś?

Przypomniała sobie twardego chłopaka. Jego uśmiech łamał dziewczęce serca. Mężczyzna, na którego wyrósł, gniewnie marszczył brwi.

- Zdaję sobie sprawę, że to dla pana szok, ale...

- Mówiłem, że masz stąd wyjść! Nic mi nie jest! Za kilka dni wszystko wróci do normy.

- Mam taką nadzieję, ale...

Zrobił krok w jej stronę. Choć był niewidomy, odruchowo cofnęła się do drzwi.

- Ogłuchłaś, czy co? Wynoś się!

Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze z płuc. Czasami terapia szokowa to jedyne rozwiązanie.

- Mam wyjść? Więc proszę mnie wyrzucić.

Na jego twarzy mignęła panika, ale zaraz zastąpił ją gniew.

- Jestem tutaj - mówiła, żeby mógł się kierować jej głosem. - No dalej, niech mnie pan wyrzuci.

Rzucił się jak tygrys, ale więziły go nie pręty klatki, tylko mrok. Wpadł na krzesła. Były przymocowane do podłogi i nawet nie drgnęły. Odskokzył do tyłu, wpadł na stolik i zrzucił na podłogę stertę czasopism. Zaklął, cofnął się i uderzył głową w półkę. Miotając się, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i gdyby teraz ruszył, szedłby w odwrotnym kierunku. Podbiegła do niego i położyła mu dłoń na jego ręce, tuż powyżej łokcia.

Był silny i bardzo męski. Dotyk jego skóry przyprawiał ją o dreszcz, ale to on się wzdrygnął. Z gniewu.

- Nawet jeśli za kilka dni odzyska pan wzrok, warto się nauczyć, jak się poruszać, nie zabijając się po pierwszym kroku - powiedziała cicho.

- Pieprzę cię.

- Mało prawdopodobne. Ale jeśli chciałby pan spróbować, mój numer telefonu to cztery i sześć dwójek. Bardzo prosty. Czwórka na początku i same dwójki.

Odepchnął ją. Do świetlicy ktoś wszedł.

- Sin?

Danny odwrócił się w stronę szczupłego siwowłosego mężczyzny.

- Bob Parnell. - Z jego miny nie dało się wiele wyczytać, ale napięcie wokół ust i wzrok, który utkwiał w Dannym, zdradzały prawdziwe uczucia: niepokój, niepewność, strach. Mimo to głos przybysza brzmiał pogodnie. - Jak się masz?

- Świetnie - odburknął Danny.

- Słuchaj... Możemy gdzieś usiąść i pogadać? Na twarzy Danny'ego znowu malowała się panika.

- Na lewo - powiedziała cicho Martha. - Na dziewiątej. Trzy kroki. Zaciśnął usta w wąską kreskę, ale posłuchał i bez problemów znalazł krzesło.

Mężczyzna wodził wzrokiem od niej do Danny'ego i z powrotem.

- Przeszkodziłem w czymś? Wyciągnęła rękę.

- Martha Crowe. Zajmuję się rehabilitacją.

- Bob Parnell, gliniarz. Szef Danny'ego. I przyjaciel.

- Dobrze. - Ucisnęła mu rękę. - Teraz przyjaciele będą mu potrzebni. My już skończyliśmy. - Spojrzała na Danny'ego. Siedział z kamienną miną. - Cztery i same dwójki, detektywie.

Wyszła. Z jednej strony miała nadzieję, że zadzwoni, z drugiej wołałaby, żeby tego nie robił.

Danny słyszał, jak jej kroki cichną w oddali. Poszła już? Oby! Wiele by dał, żeby nigdy więcej nie słyszeć jej radosnego głosu. Zaczniemy od laski.

Wzdrygnął się na samą myśl. Jej słowa cały czas rozbrzmiewały mu w uszach. Laska. Będzie nią stukał do końca życia.

- Danny! Danny! Słyszysz mnie?

- Szefie, jestem ślepy, nie głuchy. Chwila ciszy po tej uwadze.

- Przepraszam - mruknął w końcu szef policji w Sokanan. - Mówiłem, a ty...

- Zamyśliłem się.

- No tak, rozumiem.

Kolejna cisza. Danny przypomniał sobie poważną, łagodną twarz starszego mężczyzny. Spokojna, pewna. Niczym oaza spokoju w środku burzy. Kiedy Danny był przestraszonym, gniewnym, zagubionym nastolatkiem na najlepszej drodze na dno, Parnell zgarnął go na posterunek, skuł, śmiertelnie wystraszył i wypuścił. A potem co jakiś czas wpadał do domu. Zabierał go na mecze.

Upewniał się, że w szafce jest do jedzenia coś więcej niż płatki czekoladowe. Był opoką, która powstrzymała Danny'ego przed upadkiem. A kiedy chłopak wrócił z wojska, znowu pospieszył mu z pomocą wciągnął do służby. Jeśli jest na tym świecie ktoś, na kim Danny'emu naprawdę zależy, jest to Bob Parnell.

- Co powiedzieli lekarze?

- Jestem ślepy.

- Coś więcej?

Danny wykrztusił to, co zapamiętał, zacinając się na medycznej terminologii.

- Więc to nie wynik strzelaniny?

- Nie. To dlatego, że oberwałem w łeb w tamtej spelunie kilka dni temu. Niezłe, co? Kule mi niestraszne, ale nie wolno mnie bić.

- To nieodwracalne? Danny wzruszył ramionami.

- Nie, jeśli pytasz o moje zdanie.

Parnell dotknął jego ramienia. Danny podskoczył.

- Posłuchaj, nie masz pojęcia, jak mi przykro. Jak nam wszystkim przykro. Cały wydział się martwi. Wszyscy są w szoku.

Danny'emu zrobiło się niedobrze. Na myśl, że wszyscy się nad nim litują, chciało mu się rzygać.

- Nie potrzebuję współczucia. Nic mi nie będzie.

- Danny...

- Mówię poważnie. - Zrzucił rękę Parnella z ramienia.

- Ej, Sin, jak się trzymasz?

Danny zmusił się, żeby przybrać normalny wyraz twarzy, ledwie usłyszał nowy głos. Posterunek policji w Sokanan był na tyle mały, że nie było sensu dzielić się na wydziały i wszyscy zajmowali się wszystkim po trochu. Mimo to Hank Bonner był ich lokalnym specjalistą od zabójstw. Skoro przyszedł, może mającoś nowego. Zresztą każda zmiana tematu jest dobra.

- Zajmujesz się strzelaniną?

- Owszem. Ale muszę ci powiedzieć, że na razie niewiele mam, choć badam każdy trop.

Danny wyobraził sobie Hanka. Nieco od niego wyższy, potężny facet; zawsze opalony, bo długie godziny spędzał, pracując w rodzinnym sadzie. Dobry gliniarz. Doświadczył niejednej burzy, ale jego tragedia skończyła się nową żoną i małym dzieckiem. Taki happy end w tej chwili wydawał się absolutnie poza zasięgiem Danny'ego. Życie osobiste to ostatnia rzecz, o której chciał myśleć.

- Zidentyfikowaliście dzieciaka?

- Rufus Teeter, znany jako T-Bone. Coś ci to mówi?

Danny przecząco pokręcił głową, wdzięczny za policyjną rutynę, która zajęła myśli.

- Związki z handlarzami w Weston? - Weston to osiedla na zachodzie miasta, gdzie Danny umówił się z T-Bone'em. Niedawno doszło tam do serii włamań i strzelaniny, dlatego właśnie bywał w okolicy:

na ulicach znajdowało się zbyt wiele broni. Danny był jednym z pięciu policjantów, których zadaniem było ściągać nielegalne pistolety z ulic miasta, przy okazji zamykając narkomanów, prostytutki i ich klientów.

- Jeszcze nie.

- A Ricky Roda? - zapytał o największego w Sokanan handlarza narkotyków.

- Nie rozumiem, dlaczego Roda miałby załatwiać swoich ludzi - zauważył Parnell.

- Kto wie. Interesują ich tylko szmal i narkotyki. Przyjrzymy mu się bliżej i zobaczymy, co z tego wyniknie - zaproponował Danny.

- Nie wiem, czy warto - mruknął Hank. - Dzieciak był jego krewnym, przyjechał z Missisipi. Właśnie rozmawiałem z rodziną, szlochają na pół ulicy.

O Boże. To zazwyczaj było zadanie Danny'ego. Poczul nagłą zazdrość.

- Może ktoś chciał się zemścić na Rodzie. Może to wiadomość. A jeśli chłopaki z Bronksu próbują wejść na jego teren? Może to początek wojny?

- Sprawdzamy to - odparł Hank.

- Ale na razie niczego nie wiemy na pewno - ciągnął Parnell. Obaj policjanci umilkli, jakby analizowali ostatnie słowa.

- A broń? - Danny bał się przeciągającej się ciszy. Rodziła zbyt wiele myśli, których starał się unikać. - Dzieciak mówił, że była w magazynie. Macie ją?

- Nie - odparł Parnell.

- Co to znaczy?

- Może dzieciak gdzieś ją ukrył i w końcu wypłynie.

- A może nigdy nie było żadnej broni.

Kolejna cisza. O czym myślą? Danny oddałby wszystko, byle ich zobaczyć.

- Pułapka - zapytał Hank.

- Dlaczego nie?

- Tylko po co najpierw sprzątnęli dzieciaka? - Parnell myślał na głos.

Danny znowu był przed magazynem. Bał się, że pakuje się w pułapkę... A potem ta dziwna chwila mroku. Moment, gdy się potknął... Czyżby strzelec celował w niego, a dzieciaka trafił przypadkiem?

- Jeśli chodziło mu o ciebie, dlaczego tak? - ciągnął Parnell. - Dlaczego nie poczekał, aż wszedłeś do środka? Wtedy miałby cię na widelcu.

Nikt nie odpowiedział. Pewnie dlatego, że nie znali odpowiedzi. Jeszcze nie.

Dziwna rozmowa. Czuł się jak w wojsku podczas szkolenia, gdy gadali po zgaszeniu światła. Słowa i ciemność.

- Nie widziałeś, kto strzelał? - bardziej stwierdził, niż zapytał Hank.

Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Nie zidentyfikuje zabójcy. Nie teraz.

I nigdy później, szepnął głos w głowie.

Kolejna fala paniki. To się nie dzieje naprawdę. Nie z nim.

- No... - Pameli westchnął. - Będę cię informował na bieżąco. Jeśli coś ci się jeszcze przypomni...

- Zaraz do ciebie zadzwonię.

Szelest ubrań zdradzał, że mężczyźni wstali. Danny także się podniósł. Miał nadzieję, że właściwie ocenił odległość oraz kierunek i stoi do nich twarzą.

- Zobaczymy się jutro - powiedział Hank. To do Parnella, domyślał się Danny. - Trzymaj się, Sin. - Poklepał go po plecach i wyszedł.

Parnell przerwał ciszę:

- Jakie masz plany?

- Plany? Odzyskać cholerny wzrok, takie mam plany. Silna dłoń zacisnęła się na jego barku.

- Dobrze. Wszyscy trzymamy za ciebie kciuki. A teraz idziesz na zwolnienie.

- A teraz idzie ze mną. - To chyba Beth. - Cześć, Bob.

- Jak się masz, Beth.

- Będzie lepiej, jeśli zabiorę go do siebie.

Danny odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał głos siostry.

- Wracam do siebie. "Nic mi nie będzie. Westchnęła.

- Nie pozwolę ci zostać samemu. U ciebie jest za mało miejsca dla mnie i dzieci, więc jedziemy do mnie. Koniec dyskusji.

Mówiła z trudem. Powstrzymywała się od płaczu. Bolało go to, bo wiedział, że to przez niego. A przecież to zwykle on się o wszystko troszczył. Parnell pochylił się do niego. Jego głos był bliżej.

- Jedź z nią. Pozwól, niech się tobą zaopiekuje. Kobiety to lubią. Uszczęśliwisz ją, a ciebie to nie zabije.

Panika narastała. Chciał być sam, gdzieś, gdzie będzie mógł schować się przed wszystkimi. Ale nie miał siły walczyć z przyjacielem i z siostrą jednocześnie.

Skinął głową i wstał. Przygotował się na zderzenie z krzesłami czy stołem. Parnell bez słowa wziął go pod rękę. Danny się wyrwał.

- Jezu, Danny, uspokój się! Potrzebujesz pomocy, a ja jestem obok. Sin zacisnął usta. Naprawdę potrzebuje pomocy. I to nie dawało mu spokoju. Krótco skinął głową, wołał się nie odzywać.

Parnell znowu wziął go pod rękę i poprowadził przez mrok.

Ponieważ nie miał pojęcia, dokąd idzie, każdy krok był nie lada wyzwaniem. Za każdym razem gdy stawiał stopę, walczył ze strachem. Choć Parnell starał się mu pomagać, Danny i tak uderzył się w palec u nogi, wpadł na krzesło i potracił kogoś po drodze.

Załatwienie formalności zajęło prawie godzinę. Wcisnęli mu mnóstwo numerów telefonów i ulotek, których przecież nie przeczyta. Ciągłe mówili o rehabilitacji i tej całej Marcie. Beth umówiła go na kolejną wizytę u pani neurolog, zarezerwowała następny rezonans i wreszcie byli wolni.

Tylko że on nigdy już nie będzie wolny, chyba że odzyska wzrok. Inaczej będzie bezradny. Zdany na innych.

Beth wzięła go pod rękę. Jej dotyk tylko potęgował poczucie bezsilności.

- Która godzina?

- Wpół do szóstej.

- Rano?

- Popołudniu.

Spędził w szpitalu całą dobę. Nic dziwnego, że jest spięty i wyczerpany.

- Kto się zajmuje dziećmi?

- Zostawiłam je u sąsiadki.

Dopadły go wyrzuty sumienia. Odkąd pamiętał, to on się opiekował młodszą siostrą. Fakt, że teraz ona zajmuje się nim, przewracał jego świat do góry nogami.

- Słuchaj, wezwę taksówkę. Jedź do domu i zajmij się dziećmi.

- Zamknij się, dobrze? Rany. Nie zostawię cię, pogódź się z tym. Nic na to nie poradzisz. Idiota! - To ostatnie mruknęła pod nosem, ale i tak usłyszał. - Dobra, dochodzimy do drzwi. Dwa kroki. O tak. - Mówiła cały czas, gdy jego twarz omiotło lodowate zimowe powietrze. Zacerpnął go w płuca: śnieg i spaliny. Byli na zewnątrz.

- Poczekaj tu - poprosiła. - Pójdę po samochód.

Już chciał zaprotestować, powiedzieć, że nie musi po niego podjeżdżać jak po cholernego kalekę, ale ugryzł się w język. Będzie łatwiej i szybciej, jeśli sama pójdzie po samochód.

Tkwiał tam, niezdarnie, bojąc się ruszyć. Ktoś go minął.

- Ej, kolego - mruknął przechodzień. - Nie stój na środku. Wyobraził sobie siebie, jak sterczy w ciemności, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, by w ten sposób powstrzymać się od krzyku.

Zatrzymał się samochód. Trzasnęły drzwiczki i po chwili Beth była u jego boku. Prowadziła go jak dziecko. Po omacku znalazł drzwiczki i fotel. Beth zatrasnęła za nim drzwi, usiadła za kierownicą. Samochód ruszył, nabierał prędkości. Wydawało mu się dziwne i niepokojące, pędzić przez próżnię, bez pojęcia o kierunku. Był zawieszony w przestrzeni, niknął z prędkością światła.

Zapadła cisza. Nie wiedział, co powiedzieć. Beth zapewne też głowiła się nad jakimś delikatnym wstępem. To wszystko nie mieściło mu się w głowie.

- Kobieta w szpitalu obiecała, że skontaktuje cię z rehabilitantką - odezwała się w końcu. - I co?

- Tak, była.

- No i?

- I co?

- I jak się z nią umówiłeś?

Zawahał się. Wiedział, że zanosi się na awanturę, a nie miał na nią siły.

- Nie umówiłem się.

- Jak to?

- Nie potrzebuję żadnej cholernej rehabilitacji. To stan przejściowy. Nic mi nie będzie.

Beth nie odpowiedziała. I było to bardzo znaczące. Dziesięć minut później samochód wspinał się na wzgórze i się zatrzymał. Zaskrzypiały drzwi do garażu.

- Wjadę do garażu - powiedziała. - Poczekaj, zaraz po ciebie przyjdę.

Miał dosyć tego, że prowadzi się go za rączkę. Ledwie zgasła silnik, wysiadł.

- Danny, poczekaj...

Ale już szedł, po omacku, z dłonią przy ścianie. Wpadł na coś i ciszę prze-rwał metaliczny brzęk.

- O Boże - szepnęła Beth. - Nic ci nie jest? - Znalazła się u jego boku. - Tu stoją grabie i łopaty. - Poczekaj, zrobię przejście.

Wzięła go za rękę i powoli zaprowadziła do domu. Oczami wyobraźni widział wąski hol, z pralką i suszarką po lewej stronie. Jeśli nic się

nie zmieniło, gdzieś tu na podłodze stoi kosz z brudną bielizną. Zahaczył o niego stopą. Beth pociągnęła go w prawo, żeby ominął przeszkodę.

- Stopień - powiedziała. Otoczył go zapach smażonej cebuli i kawy. Byli w kuchni. Jeszcze dwa kroki i po omacku szukał krzesła. Osunął się na nie ciężko. Ociekał potem.

- Zadzwoń do Debbie. Poproszę, żeby przyprowadziła dzieci.

- Słuchaj, nie musisz mnie pilnować bez przerwy.

- Przepraszam, ja po prostu... Nie wiem, jak się zachować. Co powiedzieć, co robić.

Słyszał łzy w jej głosie. Aż ścisnęło mu się serce.

- Ja też nie wiem, skarbie - odparł miękko.

Czy na niego patrzy? Odwrócił głowę, ale go objęła.

- Kocham cię, Danny. Odwzajemnił uścisk. Westchnął ciężko.

- Idź po dzieci - powiedział z trudem, zdławionym głosem. Usłyszał je, ledwie przekroczyły próg. Dziewięcioletni Josh i pięcioletnia Katie. Burza głosów, kroków, energii.

- Jest już? - dopytywał się Josh.

- Bola go oczka? - martwiła się Katie.

- Cicho, już o tym rozmawialiśmy - powiedziała Beth cicho. - Macie być grzeczni.

- Aleja chcę zobaczyć - upierała się Katie. Przygotował się na atak.

- Tu jestem! - Głośny tupot i dzieci wpadły do kuchni.

- Josh, Katie! - zawołała Beth.

- Wujek Danny!

Nie zdążył się odezwać, a Katie już wdrapała mu się na kolana. Nie wiedział, gdzie jest Josh.

- Katie, zejź natychmiast - skarciła ją Beth.

Katie nie zwracała na nią uwagi. Pozwolił, żeby mała usadowiła się wygodnie. Poczł na twarzy drobne rączki.

- Nadal są ładne. - Katie dotykała jego brwi.

- Naprawdę nie widzisz? - To Josh. Jego głos dobiegał z bliska, jakby zatrzymał się tuż przy krześle Danny'ego.

- Boże, Danny, przepraszam - mruknęła Beth.

- Nie szkodzi - rzucił do niej. - Z oczami wszystko w porządku, chory jest mój mózg - wyjaśnił dzieciom.

- O rany! - stwierdził Josh poważnie. Katie uderzyła go w głowę.

- Więc teraz będziesz głuptasem?

- Katie!- zawołała Beth.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Danny. - Po prostu ta część mózgu, która widzi, się zatkała.

- Powinieneś zażyć lekarstwo - poradziła dziewczynka.

A naprawi się? Odetka? - W głosie Josha wyczuwał niepokój. - Obiecałeś, że w lecie nauczysz mnie, jak rzucać podkręcone piłki. Coś go ukuło w serce.

- Do lata kawał czasu, Josh. Zobaczymy.

- Ty nie. - Dziewczynka zachichotała.

- Dość tego! - Beth zdjęła małą z kolan brata. - Idź umyć ręczki, Katie. Kolacja za dziesięć minut. Ty też, Josh.

Posiłek okazał się katastrofą. Danny przewrócił karton z mlekiem, rozlał kawę, słyszał, jak Josh piszczy z bólu. Odruchowo wstał, żeby pomóc i przewrócił przy tym krzesło. Potknął się o nie i runął jak długi.

Katie chichotała, ale Josh się rozplakał. Beth pobiegła za synkiem, a Danny, bezradny i wściekły, siedział na podłodze.

- Zabawny jesteś, wujku. - Poczul, jak siostrzenica łąduje mu się na kolana.

- Tak, Katie, jestem bardzo zabawny. - Jeden wielki ślepy żart. Beth wróciła kilka minut później.

- Masz mleko i kawę na spodniach. Rozbieraj się, wypiorę je.

- Co z Joshem?

- W porządku, naprawdę. Jest u siebie. On... Trudno mu się w tym wszystkim odnaleźć. Ciągle pamięta, że Frank od nas odszedł. A teraz fakt, że straciłeś wzrok, jakoś mu to przypomniał. Potrzebuje trochę czasu.

Danny skinął głową.

- Jasne.

- Katie, zaprowadź wujka do pokoju - poprosiła Beth sztucznie pogodnym głosem.

- Dobra. - Mała wzięła go za rękę. - Chodź, wujku.

Razem dotarli do pokoju, w którym zazwyczaj nocował, co zdarzało się kilka razy w tygodniu. Często sprawdzał, czy z Beth i dziećmiakami wszystko w porządku.

Wyjął portfel i dowód z kieszeni, odczepił komórkę od paska, ściągnął mokre spodnie i po omacku szukał w szafie zapasowej pary. W końcu poczuł pod palcami dzinsy. Obrysował kształt dłońmi - dwie nogawki, pasek... Włożył je niepewnie. Pasowały.

Ale i tak zajrzała do Craftsman's. W posepnym barze unosił się ten sam co zawsze zapach - piwa i papierosów. Szafa grająca zawodziła, jak jej się wydawało, tę samą piosenkę Johnny'ego Casha, co podczas jej ostatniej wizyty. Stała w progu i nagle powróciły wszystkie złe wspomnienia. To, jak musiała wzywać taksówkę, bo była zbyt młoda, żeby samodzielnie usiąść za kierownicą. Jak się wstydziła, bo wszyscy kierowcy wiedzieli, kim jest i dokąd ją zawieźć. Upokorzenie, jakie czuła, namawiając ojca, żeby się przeniósł z baru do taksówki. To, że jego wózek inwalidzki zawsze stanowił problem. Ojciec od lat już nie pił nałogowo, ale żyła w wiecznym strachu, że pewnego dnia znowu stanie nad przepaścią.

Omiotła bar wzrokiem. Nie było go.

- Cześć, Martho - rzucił Cal, potężny barman o wielkim karku, z kozią bródką, która nie maskowała drugiego podbródka.

Usiadła na wysokim barowym stołku. Ktoś zadał sobie trud i na ladzie stało kilka wyciętych dyń, a pod sufitem zwisał tekturowy czarny kot. Po drugiej stronie wisiał plakat wyborczy z napisem „Głosuj”.

- Był ojciec?

- Przed chwilą wyszedł.

Zrobiło jej się słabo, ale zaraz wzięła się w garść. Zmierz się z faktami.

Nie poddawaj się.

- Jak się zachowywał?

- Jak zwykle. - Cal się uśmiechnął. - Charlie Crowe to dżentelmen w każdym calu.

Zachnęła się. Akurat tego słowa nie użyłaby, mówiąc o ojcu.

- W porządku. Wypił tylko kilka piw. Zadzwońbym, gdybym uważał, że zanosz się na kłopoty.

Rozluźniła się.

- Dzięki.

- Ale miał dziwny humor.

- Humor?

Cal wzruszył ramionami.

- Milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Znowu się uśmiechnął. - Zapytał mnie, czy uważam, że jesteś szczęśliwa.

Zamrugła szybko. Do tej pory ojca nie obchodziło, czy jest szczęśliwa, czy nie.

- Ja?

- Mówiłem, że był trochę dziwny. Napijesz się czegoś? Odetchnęła głośno.

Co takiego planuje Charlie Crowe?

- Nie, muszę lecieć.

- Ciężki dzień?

Skinęła głową i pomyślała ze smutkiem, że pewnie ma to wypisane na twarzy. A potem zobaczyła swoje odbicie w lustrze za barem i już wiedziała, dlaczego pytał. Włosy wysunęły jej się spod spinek i otaczały twarz ciemną masą. Czarne jak smoła, sztywne jak siano, często wymykały się z upięcia. I zawsze ją to zaskakiwało.

Cał zajął się innym klientem, a Martha szybko okiełznała niesforne kosmyki.

Ukradkiem obserwowała grupę grającą w rzutki. Przystojni mężczyźni w dżinsach, uśmiechnięci i umięśnieni; obok dziewczyny - drobne i słodkie w krótkich spódniczkach i butach na obcasie.

Na chwilę cofnęła się czasie. Przypomniała sobie, co to znaczy mieć osiemnaście lat. I być tak wysoką, że żaden chłopak nie chciał się z nią umówić.

Wzdrygnęła się, zadowolona, że ten rozdział życia jest już za nią. Poma-chała Calowi na pożegnanie. Teraz sama sobie radzi. Niech piekło pochłonie wszystkich, którzy uważają inaczej.

Nie doszła jeszcze do drzwi, gdy zadzwoniła jej komórka.

- Martha Crowe - rzuciła.

- Tu Danny Sinofsky. Mówiłaś, żebym zadzwonił.

Jego głos docierał do niej, niski, głęboki. Przeszył ją dreszcz. Ze-sztywniała.

- Jestem wolna jutro rano - oznajmiła sucho.

Chwila ciszy, jakby się zastanawiał, czy naprawdę tego chce. Czekala. Pewnie nie chce.

- O dziewiątej. - Podał jej adres i rozłączył się, nie mówiąc nic więcej.

Martha gapiała się na telefon, ale aparat nie przeprosił za niegrzecznego rozmówcę.

Wyszła z baru. Zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Danny jej tego nie ułatwi. Ani jej, ani sobie.

Ojca nadal nie było, gdy dotarła do domu, ale zostawił jej wiadomość - poszedł na karty i wróci późno. Przynajmniej nie wpakował się w żadne tarapaty.

Podgrzała sobie chili w mikrofalówce i jadła, oglądając powtórkę programu *Chcę być piękna*.

Akurat leciał jeden z jej ulubionych odcinków. Bohaterką była policjantka, która twierdziła, że jest brzydsza niż trupy, które widuje w pracy. Oto wielka tajemnica Marthy Crowe. Grzeszna przyjemność. Nie mogła

się oprzeć czarowi transformacji z bestii w piękność, choć umarłaby ze wstydu, gdyby ktoś się dowiedział, że ogląda takie tandetne programy. Wpatrywała się zachłannie w ekran. Jej serce było jak szalone, gdy w finale odcinka szorstka, niezgrabna kobieta przemieniła się w gwiazdę.

Po programie poszła na górę i myła się, mając przed oczami piękną blondynkę po metamorfozie. Wyszorowała zęby, włożyła piżamę i uciekła do łóżka. Wyjęła z siatki akta pacjentów na kolejny dzień. Ponieważ Danny był pierwszy, zostawiła go sobie na koniec. Notatki, które wcześniej zrobiła, znikły, zastąpiła je jego wroga, przerażona twarz. Zasnęła. Śniły jej się oczy pełne oceanu.

Rano wzięła prysznic i założyła pierwsze lepsze rzeczy z szafy - brązowe spodnie i tunikę. Ubrania miękko opływały jej wysoką, chudą postać. Wsunęła stopy w rozmiarze czterdzieści cztery w wąskie brązowe mokasyny i sięgnęła po szczotkę.

Dopiero za trzecim razem udało jej się okiełznać sztywną szopę czarnych włosów i zapleść warkocz. Stała przed lustrem, wpatrzona w twarz - zwyczajną, przeciętną, w której wszystko było za duże. Już dawno dała sobie spokój z makijażem, rzucała światu wyzwanie, by widział ją taką, jaka jest - wielkie oczy, szerokie usta, silny nos, wąski podbródek. Czarownica, przezywali ją w szkole. Albo straszydło.

Sapnęła gniewnie, gdy włosy wyniknęły się z warkocza. Zrezygnowana, pokonała je niebieską opaską.

Zeszła na dół. Ojciec już siedział za stołem nad kubkiem kawy. Wyczuła zapach papierosów i ogarnęła ją irytacja. Charlie Crowe ma ponad pięćdziesiąt lat, a ciągle zachowuje się jak nastolatek.

- Dzień dobry, tato. - Zastanawiała się, gdzie ukrywa papierosy i czy naprawdę sądzi, że uda mu się ją oszukać.

- Witaj, Martho.

- Jadłeś już?

- Nie.

Wzięła pudełko płatków kukurydzianych, miskę, łyżkę i karton mleka z lodówki i postawiła to wszystko przed nim. Robiła to automatycznie, jak co dzień, od dwunastego roku życia.

- Jedz.

Mruknął coś pod nosem, napił się kawy i nie zwracał na nią uwagi. Włosy, dawniej równie czarne jak jej, przyprószyła siwizna. Splatał je w długi warkocz. Miała po nim także wydatny nos i szerokie usta.

- Ale jesteś nadęta - zauważył. - Dokąd to pani generalnie się dzisiaj wybiera?

Zignorowała zaczepkę, usiadła i nasypała sobie płatków.

- Mam nowego pacjenta. - Oczyma wyobraźni zobaczyła Danny'ego Sinfoskiego i przeszył ją dreszcz niepokoju.

- Hm... Czas zakopać topór wojenny - stwierdził ojciec. Jak zwykle miał na sobie koszulkę bez rękawów. Potężne ramiona, pokryte tatuażami: trupie czaszki piszczele pojawiły się, gdy miał osiemnaście lat, jej imię -rok później, stanowiły kontrast dla bezużytecznych, zwiędłych nóg.

- Nie zaczynaj, tato.

Podniósł ręce na znak, że się poddaje. Koniuszki palców prawej ręki pożółkły od nikotyny.

- Nic nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

- Ale skoro o tym mowa, widziałem się wczoraj z Arniem Gouldem i mówił, że może wpadłby do nas na kolację. - Arnie Gould był nowym pracownikiem w warsztacie. Ojciec od trzydziestu lat, nie licząc trudnego okresu tuż po wypadku, żył motocyklami. Naprawiał je, przerabiał, później też projektował. Kiedy stracił władzę w nogach, warsztat uratował mu życie.

- Zostało jeszcze trochę chili. Charlie sączył kawę.

- Miałem nadzieję, że poczęstujemy go czymś lepszym niż stare chili.

Spojrzała na niego zdumiona. Unikał jej wzroku. Odłożyła łyżkę.

- Zajrzałam wczoraj do baru. Cal mówił, że pytałeś o mnie. Co się dzieje? Wzruszył ramionami.

- Nic. Pomyślałem tylko, że zaproszę...

- No, dobrze. W zamrażalniku jest chili...

- Mogłabyś zrobić to coś z kurczaka. I może włożysz sukienkę? Sukienkę.

- Rozumiem. - Ale to nieprawda, nie do końca wiedziała, o co chodzi. Do tej pory ojciec nigdy nie interesował się jej życiem towarzyskim. I jeszcze nigdy, ani razu, nie bawił się w swatkę.

Poruszył się na wózku.

- To miły facet. Polubisz go. Ma dobrą pracę. I nigdy nie był żonaty.

- Tato...

- To tylko kolacja.

Jej żołądek fiknął salto. To nigdy nie jest tylko kolacja. To aukcja, konkurs, wyścig!

- Mam plany na wieczór.

- Nigdy nie masz planów na wieczór.

- Uwierz mi, dziś mam. - Wstała, wyrzuciła resztki płatków i oplukała miseczkę.

Nalała sobie kawy do kubka termicznego i wyszła z kuchni. Ojciec podjechał do drzwi. Jego głos, przeżarty nikotyną, towarzyszył jej, gdy szykowała się do pracy.

- Pewnego dnia mnie zabraknie i nikt już nie będzie dotrzymywał ci towarzystwa.

- W takim razie mam nadzieję, że potrafimy docenić ten czas, który nam został - odparła. Włożyła płaszcz i wyszła.

Charlie Crowe odprowadził ją wzrokiem. Była wysoka i nieładna. Może życie okazałoby się dla niej łaskawsze, gdyby była drobna i jasna, jak jej matka. Ale czy życie w ogóle bywa łatwe? Szła przez świat jak taran, musiał jej to przyznać. W życiu nie widział równie wyprostowanych pleców, równie ciekawych oczu i serca za tak wysokim murem.

Nie żeby miał o to do niej pretensję. On także otoczył się murem.

Żałował, że ich życie się tak potoczyło. Żałował, że był takim egoistą. Że poddał się rozpacz.

Wyjął z kieszeni pognieciony arkusik i rozprostował na kolanie. Całą kartkę pokrywało dziecięce pismo. Znalazł to tydzień temu, gdy skończyły mu się papierosy i zaglądał do wszystkich kryjówek. List leżał na dnie szuflady, zgubiony, zapomniany. Spojrzał na datę - 3 czerwca 1987 roku. Dwa lata po jego wypadku i osiemnaście miesięcy po odejściu Ginny.

„Kochana Mamusiu!

Rok szkolny dobiega końca, jeszcze tylko trzy tygodnie. Cały czas świeci słońce. Tatusiowi się to podoba. Siedzi na ganku w słońcu i pali. Nie pozwalam mu palić w domu, bo wiem, że tego nie lubisz. Teraz w domu zawsze ładnie pachnie.

Co wieczór wybieram ubranie na następny dzień i kładę na krześle. Jestem bardzo grzeczna. Robię tatusiowi śniadanie i szykuję sobie kanapki do szkoły.

Wiem, że niedługo wrócisz do domu. Bardzo za Tobą tęsknię. Tatuś też. Już nie pije tak dużo.

Cieszę się, że mieszkam w domu, a nie z ciocią Nancy. Mówi, że mam za duże stopy.

Ale teraz jestem w domu z tatusiem i dbam o wszystko, żebyś zaraz do nas wróciła. Tęsknimy za Tobą.

Kocham cię Mamusiu

Martha"

Złożył list. Serce pękało mu na myśl, jak zachowywała się jego nadęta szwagierka. Ale Martha musiała gdzieś mieszkać. Ginny odeszła, a on ciągle łądował w szpitalu. Siostra Ginny wydawała się najrozsądniejszym wyborem, choć nigdy się nie dogadywały. Ale żeby dokuczać małej? Na samą myśl wpadał w szal.

Oczywiście, sam nie był bez winy. Do tego stopnia pochłaniało go uzależnienie się nad sobą, że nie zwracał uwagi na córkę. Jak długo czepiała się nadziei, że matka wróci? Dorosła mu pod nosem, a on prawie tego nie zauważył.

Oby teraz nie było za późno. Schował list do kieszeni. Jest jej dłużnikiem. Żeby tylko udało mu się jej to wynagrodzić.

Martha czekała, aż silnik się rozgrzeje, i na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdziła adres. Przedmieście. Nie takiego adresu spodziewałaby się po mężczyźnie, którego spotkała po latach. Wydawał się istotą z miasta, nocnym łowcą, przywykłym do życia wśród betonu i asfaltu. Ale adres prowadził do dzielnicy pełnej domków z lat siedemdziesiątych.

Droga zajmie jej kwadrans, może nieco dłużej, jeśli utkwi w korku. Odkąd firma Renaissance Oil urządziła swoją główną siedzibę w starej fabryce GE, okolica zamieniła się w jeden wielki plac budowy, a dźwigi i objazdy komplikowały najprostszą przejażdżkę.

Kierownica była lodowato zimna. Zastanawiała się, czy nie wrócić do domu po rękawiczki, ale to oznaczało kolejne spotkanie z ojcem, a dzisiaj miała przed sobą dość stresów, żeby zaczynać kolejną kłótnię na temat jej życia towarzyskiego.

Odpaliła silnik i włączyła radio, żeby zagłuszyć gonitwę myśli. Usłyszała, że w kraju podniesiono stopień zagrożenia, choć nikt nie wiedział dlaczego. Gubernator ostro walczył o głosy wyborców, choć i tak powszechnie uważano, że przegra wybory, które odbędą się za kilka tygodni. Po południu miał padać śnieg. Skrzywiła się. Jest połowa października, za wcześnie na zimę. Po południu ma spotkanie zespołu rehabilitacyjnego i dwie wizyty domowe. Śnieg skomplikuje jej plany.

Przeczekała wiadomości i w nagrodę usłyszała koncert Haydna. Umila! jej drogę do domu Danny'ego Sinofsky'ego. Odczekała chwilę, wzięła się w garść i wysiadła.

Boże drogi, można by pomyśleć, że ma stanąć oko w oko z diabłem, a nie ze zwyczajnym facetem. Którego na dodatek znała.

Zostawiła torbę na tylnym siedzeniu, wyjęła laskę z bagażnika i podeszła do drzwi. Po jednej stronie przycupnęła wielka wydrążona dynia, na drzwiach wisiał tekturowy szkielet. Nacisnęła dzwonek.

- Kto tam? - Niski głos wprawił jej serce w drzenie.

- Martha Crowe. - Przygotowała się. Drzwi stanęły otworem. Zaparło jej dech w piersiach. Nieważne, ile się przygotowywała, jego widok nadal zwał ją z nóg. Turkusowe oczy błyszczały w opalonej twarzy. Była niemal pewna, że ją widzi. Silny podbródek nie miał śladu zarostu. Czy ktoś pomagał mu przy gołębieniu? Miał dzisiaj na sobie inne dżinsy, czystsze niż te wczoraj, obcisłe, opadające nisko na biodra. Biała koszulka opinała silne mięśnie.

- Pani Crowe. - Mówił sztywno, patrzył w nicość nad jej głową. Otrząsnęła się z głupiego osłupienia i zwróciła się do niego chłodno, profesjonalnie:

- Mieliśmy się spotkać o dziewiątej. - Błyskawicznie odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał jej głos. Niewidomi od urodzenia tego nie robili, ale ci, którzy stracili wzrok po latach widzenia, odruchowo zwracali się w stronę rozmówcy.

- Jestem nieco wcześniej.

- Owszem. Całe życie. - Mówił szorstko, gniewnie. Jak wczoraj.

- Słucham?

- Zmieniłem zdanie.

Zamrugła szybko, schowała zmarznięte dłonie do kieszeni i starała się zachować cierpliwość.

- Jest zimno. Mogę wejść?

Zawahał się i niechętnie cofnął na tyle, że przecisnęła się koło niego. Wiedziała, że to dlatego, że nie jest pewny otoczenia, ale przez to musiała przejść tuż obok, odetchnąć tym samym powietrzem.

O ile oczywiście można było o niej powiedzieć, że jest w stanie oddychać.

Rozejrzała się po wnętrzu domu. Na podłodze poniewierały się samochodziki i lalka Barbie. Przy drzwiach czekały dziecięce buciki. Na krześle leżało pudełko kredek. To wszystko musi się zmienić.

I wtedy do niej dotarło! Zrozumiała, co oznaczają dekoracje na Halloween i bałagan.

Jest żonaty. Ma dzieci.

Ta myśl niosła ulgę. Od razu poczuła się bezpieczna. Żona i dzieci to potężna bariera.

- Ile ma pan dzieci? - W myślach liczyła już, ile czasu zajmie jej przeszkolenie rodziny.

- Żadnego. - Rzucił to szybko, zdecydowanie. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Nie rozumiem... Zabawki, dekoracje...

- To dom mojej siostry. Ma dwoje dzieci. Nocowałem u niej. Nagle znowu się spięła.

- Czy... Czy zatrzyma się pan tu na stałe?

- Nie, jeśli tylko uda mi się temu zapobiec. Mam mały domek w centrum, niedaleko posterunku. Niedawno go kupiłem. - Nuta goryczy w głosie. - Właśnie chciałem zadzwonić po taksówkę i wracać do siebie. Nie ma sensu zadawać się tutaj, skoro mam własny kąt.

- Zawiozę pana.

- To miło, ale sam sobie poradzę.

- Niestety, nie. Spochmurniał.

- Nie owija pani w bawełnę.

- A chciałby pan, żebym to robiła?

Nie odpowiedział. Powinna się wycofać? Ale porażka nie jest w jej stylu, zwłaszcza że wiedziała, że on potrzebuje pomocy, a ona może mu jej udzielić.

- Musi się pan pogodzić z moim towarzystwem. Mam samochód. Bez sensu płacić za taksówkę, skoro i tak płaci pan mnie. - On albo jego firma ubezpieczeniowa.

- Już niedługo.

- Cóż, dzisiaj na pewno. Westchnął. Przesunął dłonią po czole.

- Boli pana głowa?

Od razu przestał masować skronie, jakby uważał to za kolejną oznakę słabości.

- Kolejna pamiątka po... po wylewie. Lekarka mówi, że wkrótce ustąpi.

- Czy pana siostra ma w domu aspirynę?

- Pewnie tak, ale nie potrzebuję... Nie czekała, aż dokończy.

- Proszę poczekać. Zaraz przyniosę.

Znalazła buteleczkę aspiryny w szafce nad zlewem, nalała wody do szklanki.

- Proszę. - Wzięła go za rękę, odwróciła ją dłonią do góry i wysypała tabletki na dłoń. - Aspiryna i woda. - Bezceremonialnie wcisnęła mu szklankę w drugą rękę. - Szklanka pełna do połowy.

Zacisnął usta.

- Lubi się pani rządzić, co?

- Proszę połknąć, detektywie. To pana nie zabije, gwarantuję. Przez chwilę stał nieruchomo, zaciskając usta w wąską kreskę, a potem połknął tabletki. Nie wiedział, co zrobić z pustą szklanką.

- Stolik po pana lewej stronie, jakieś pięć kroków. Koło kanapy. Posłuchał, po omacku odnalazł stolik, ostrożnie odstawił szklankę.

Stał do niej tyłem, sztywny, nieruchomy. Czyżby się bał, że coś prze-
wróci?

Już otwierała usta, żeby wydać kolejne instrukcje, ale to on się odezwał:

- Wczoraj mało brakowało, a poparzyłbym siostrzeńca kawą. Odezwał się niby bez związku, ale zrozumiała.

- Owszem. Może pan zrobić krzywdę sobie albo innym. Wyprostował ramiona, jakby szykował się na pojedynek, lekko skinął głową i odwrócił się w jej stronę.

- Dobrze.

Zaczerpnęła głęboko tchu, uzbroiła się w cierpliwość.

- Gdzie jest pański płaszcz? Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mam pojęcia. Beth coś z nim wczoraj zrobiła.

- Jest tu gdzieś szafa? Zimno dzisiaj.

- W holu.

Znalazła szafę, zajrzała, przejrzała zawartość, ale znalazła tylko dziecinne wdzianka.

- Nie ma - poinformowała go. - Gdzieś jeszcze? Zmarszczył brwi, zniecierpliwiony.

- Możemy już iść? Chcę do domu. Wyczuwała napięcie. Wołała go nie potęgować.

- Dobrze. - Stała obok niego. Odsunął się odruchowo.

- Co pani wyprawia?

- Proszę wziąć mnie pod rękę. Powyżej łokcia. Palce od wewnątrz, kciuk na zewnątrz.

- Dlaczego?

- Proszę posłuchać, możemy walczyć o najmniejszy szczegół albo...

- Mam wykonywać pani polecenia?

Uniosła podbródek, choć przecież jej nie widział.

- Tym sposobem szybciej się pan nauczy.

- Owszem, ale sporo czasu upłynęło, odkąd wyszedłem z wojska. Stłumiła westchnienie.

- To postawa przewodnika. Niewidomy trzyma, idzie o pół kroku z tyłu, a przewodnik prowadzi. Tym sposobem nie potknie się pan o nic ani na nic nie wpadnie.

- Mam się trzymać. Jak małe dziecko.

- Jak osoba ociemniała.

- Proszę tak nie mówić.

- Proszę temu nie zaprzeczać. Kolejny impas.

- Jeśli pan woli, zaczniemy od laski - powiedziała. - To da panu niemal całkowitą niezależność.

Poblądł.

- Powyżej łokcia. - Uśmiechnęła się pod nosem, gdy wziął ją pod rękę.

Miał silny uścisk i ciepłą dłoń. Czują go przy sobie - potężne, mocne ciało.

- Pani drży.

Poczerwieniała. Dobrze, że tego nie widział.

- Nieprawda.

- I kto tu mówił coś o zaprzeczaniu?

Patrzył na nią, w kącikach jego ust błądził uśmiezek. Musiała sobie powtórzyć, że jej nie widzi.

- Ile ma pani lat? - zapytał. Przełknęła z trudem.

- W lutym skończę pięćdziesiąt osiem - skłamała. Powiedziała to najbardziej naturalnym głosem, na jaki było ją stać.

Jego uśmiezek ustąpił miejsca zdumieniu.

- Nie jest pani trochę za stara na taką pracę?

- Nadaję się doskonale. Idziemy?

Znaleźli się w samochodzie. Instruował ją, jak dojechać od jego domu. Kolejny mały cud, choć na razie pewnie tego nie doceni. Niewidomi nie prowadzą samochodu, więc rzadko kiedy potrafią się samodzielnie poruszać. Człowiek w jego sytuacji, który widział przez większość życia, ma o wiele lepsze wyczucie świata fizycznego i radzi sobie lepiej niż ociemniali od urodzenia.

Z drugiej strony, w ich życiu nic się nie zmieniło, a on...

Ale pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy, a on właśnie go wykonał.

Wraz z silnikiem ożyło radio. Kolejny serwis informacyjny *i* znowu wieści o kampanii gubernatora.

Chcąc, by myślał o czymkolwiek innym niż własna ślepotą, zagadnęła:

- Myśli pan, że Henley zostanie ponownie wybrany? Wzruszył ramionami.
- Nie wygląda na to.
- To dobrze czy źle?
- Nie wiem. I nie sędzę, żebym miał w tej sprawie dużo do powiedzenia.
- Dlaczego? Nie głośuje pan?
- Kiedyś, owszem.
- Detektywie, stracił pan wzrok, nie rozum.

Nie odpowiedział. Miał twarz zwróconą prosto przed siebie.

Ogarnęła ją kolejna fala współczucia, a wraz z nią przysłyły stare wspomnienia. Danny, oparty o szafki przed salą do angielskiego, w wianuszku przyjaciół. Mijała ich z pochyloną głową, z bijącym sercem, wbrew rozsądkowi licząc, że jej nie zauważą. A jeśli nawet, to nie zwrócą na nią uwagi. Ale nie, to by było zbyt piękne. Jeden z nich zagwizdał, nisko, drwiąco. Inny zawołał za nią że jest strachem na wróble. Straszdyło - stary żart z jej nazwiska i wyglądu.

Danny żartobliwie szturchnął go w bok.

„Daj jej spokój”, powiedział i tym samym zdobył jej serce.

Te słowa dla niej znaczyły wszystko, dla niego nic. Ot, chwila słabości.

Boże drogi! Myślała, że pozbyła się tych wspomnień, że spaliła je i rozsypała prochy na cztery wiatry.

Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Przede wszystkim ona sama. Nie patrzyła już na świat przez różowe okulary, przestała marzyć. Świat to poważne miejsce. I ona jest poważna. Są ludzie, którym jest potrzebna i których nie obchodzi, jak wygląda.

A jednak nie mogła sobie odmówić bolesnej rozkoszy jazdy z nim samochodem. Tego, że mogła na niego patrzeć, ilekroć tego zapragnie.

A on nie ma o tym pojęcia.

Ogarnęło ją poczucie winy. Szpieguje go. Łypie na niewidomego bez jego wiedzy.

Chcąc to przerwać, odezwała się:

- Przeczytałam w karcie, że wylew zaczął się od uderzenia w kark. Jak do tego doszło?

Danny siedział nieruchomo. Nie chciał o tym rozmawiać, choć ta scena na nowo stała mu przed oczami. Dutchman, zakazana, podupadła knajpa, której dobre czasy odeszły wraz z przenosinami wielu firm do innej części miasta. Grupa ludzi w środku - handlarze skuleni w kącie, wymieniający prochy na gotówkę; prostytutki przy stole bilardowym; zagubione dusze przy stolikach i pijący szukający ukojenia w butelce, przy barze. Murray Potts za kontuarem, pokurczony i chudy, zarośnięty, obleśny czarnoksiężnik w swoim królestwie.

- Byłem na akcji i sytuacja wymknęła się spod kontroli - odparł w końcu. - Kilku pijaków chciało odegrać ostatnią potyczkę generała Custer. Zaczęła się bójka i oberwałem. Nie wiem nawet od kogo.

W tym miejscu miał lukę w pamięci. Zaczęło się spokojnie, wszystko było pod kontrolą. Ktoś zakradł się od tyłu, od strony łazienki. Nie wiedział, kto, ale zobaczył ruch kątem oka i to odwróciło jego uwagę. Wtedy rozpętało się piekło.

- To się często zdarza?

- Co? - Czyżby chodziło jej o to, że się na moment zamyślił? Od razu się najeżył. To był jego pierwszy błąd. I choć nie wiadomo ile razy powtarzał sobie, że to nie jego wina, wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju.

Ale co innego wściekać się na siebie, a co innego słuchać uwag z ust kobiety, która nigdy nie była pod ostrzałem, nigdy nie nurzała się w rynsztoku i pachniała wiosną nawet w środku zimy.

- No, że pan... obrywa.

Nakręcił się. A jej odpowiedź pozbawiła go energii. Pokręcił głową.

- Właściwie nie. To był pierwszy raz. Szczęściarz ze mnie. Milczała przez chwilę.

- Od dawna jest pan policjantem?

Powoli zaczynał się czuć jak na przesłuchaniu. Jej głos płynął z ciemności, bezcielesny, pozbawiony formy. Samochód szumiał cicho, koła pochłaniały kilometry. Nie miał pojęcia, dokąd jadą.

- Dlaczego pani pyta?

- Pomyślałam, że skoro mamy razem pracować, nie zaszkodzi, jeśli trochę lepiej się poznamy.

- Od jak dawna pomaga pani ślepcom? Zaniepokoił ją ale brnęła dalej:

- Od ośmiu lat.

- Późno pani zaczęła.

- Słucham?

- Ma pani pięćdziesiąt osiem lat. Pracuje od ośmiu. Późno pani zaczęła.

- Tak, ja... Ma pan rację. - Odchrząknęła, zbita z tropu, i dała mu spokój.

Skoro nie chce opowiadać, dlaczego zaczęła tak późno, on z pewnością nie będzie o to pytał. Nic go to w końcu nie obchodzi.

Nieprawda. Fascynował go luksus wolnego czasu. Nigdy tego nie doświadczył. Zaczął wcześniej, odkąd sięgał pamięcią, był dorosły i miał mnóstwo obowiązków. A teraz co? Niby jak ma się teraz wszystkim zająć?

- Pracuję w policji od siedmiu lat. Wcześniej byłem w wojsku. Wróciłem i od razu wstąpiłem do policji.

Krótko i zwięźle. Całe życie w kilku słowach. Pomyślał o Beth. O długich latach, gdy się nią opiekował, kiedy matka się zabijała, pracując na trzech posadach, żeby mieli gdzie spać i co jeść. Pomyślał o trudnych chwilach po jej śmierci, gdy Beth znalazła się tylko pod jego opieką. Dzięki Parnellowi udało mu się zatrzymać siostrę przy sobie, póki nie skończył szkoły. Znalazł wtedy nudną, ale stała pracę w fabryce przyczep samochodowych - sklejał ścianki z dykty. Pracował dla niej, żeby nadal się uczyła. I robił to chętnie, bez namysłu. To w końcu jego siostra, jedyna osoba, która mu została.

Ale kiedy wyszła za Franka, nie zastanawiał się długo. Od razu się zaciągnął. Miał cztery lata wolności, póki Frank nie odszedł, zostawiając Beth samą z dwójką dzieci. Wrócił do domu. A teraz... Boże, nie wyobrażał sobie, co będzie, jeśli nie odzyska wzroku.

- Skręcam w pana ulicę. - Głos Marthy Crowe przeciął gorączkowe myśli.

Wyobraził sobie uliczkę. Wiekowe domki z gankami i wieżyczkami, zbudowane w czasach, gdy sąsiedzi jeszcze się znali, spacerowali i zatrzymywali na pogaduszki. Niektóre odnowione, inne bardzo zniszczone.

- Wykonał pan kawał dobrej roboty przy remoncie.

Wyobraził sobie ganek, lekko się zapadający, i świeżą farbę - niebieski, żółty i biały, jak lukier na torcie. Serce bolało go na myśl, że już nigdy tego nie zobaczy.

- Nie ja. Kupiłem dom od innego policjanta, Hanka Bonera. Ożenił się i go sprzedał. Po okazyjnej cenie, ale to on wszystko odnowił. Ja się do tego nie nadaję.

- Bardzo ładny... Chciałabym zobaczyć wewnątrz. Siedział w milczeniu, udawał, że nie zauważa przynęty.

Choć jej to chyba nie robiło różnicy. Najwyraźniej nie potrzebowała zaproszenia. Otworzyła drzwiczki po swojej stronie.

- Chwileczkę. - Spięty, uderzył dłonią w deskę rozdzielczą, aż zabołały go kłykcie. - Możemy... Możemy sobie darować ten spacer pod rękę?

- Tak jest najbezpieczniej. - Słyszał w jej głosie reprimendę nauczycielki.

- Ja... - Jezu, gardło odmawia mu posłuszeństwa.

- Tak?

- Ja nie...

- Co „nie”?

Walnął jeszcze raz w deskę rozdzielczą.

- Nie chcę, żeby ktoś to widział! Po jego wybuchu zapadła cisza.

- To nie powód do wstydu - zauważyła w końcu cicho.

- Może dla pani.

Martha zastygła w bezruchu. Wreszcie zrozumiała. Wiedziała, co to za uczucie być dziwolągiem. Minęło dużo czasu, ale nie zapomniała.

- Dobrze. Obejdę samochód i...

Ale już otworzył drzwiczki i wysiadł. Kiedy do niego podeszła, opierał się o samochód, skulony z zimna w cienkiej koszulce. Wiatr rozwiewał mu ciemne włosy.

Wzięła go pod rękę, zamiast na odwrót, i cicho mówiła, gdzie ma iść.

- Stopień. Jeszcze jeden. Trzy kroki do drzwi.

Szukał kluczy w kieszeni. Patrzyła, jak bada je palcami. Zaklął pod nosem - często klnie, zauważyła. I zapamiętała, żeby pomóc mu oznaczyć klucze. Nie prosił o pomoc. Nie spieszyła się. Dobrze, że chce coś zrobić sam. To dowodzi odwagi i determinacji.

W końcu podniósł jeden z kluczy.

- Złoty?

- Tak. Mały i szeroki.

Po omacku odnalazł klamkę, wsunął kluczyk do dziurki. Przekręcił go i się uśmiechnął.

Nie do wiary, co uśmiech wyczynia z jego twarzą. Białe zęby lśniły w opalonej twarzy, oczy rozbliły. Taka mała rzecz, a przynosi tyle słońca.

Odwróciła wzrok i weszła za nim do domu.

Rozdział 3

Danny oddał się w ręce Marthy na tak długo, jak zdołał wytrzymać, choć nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło. Nie widział słońca, nieba ani wskazówek zegarka. Nagle czas stracił znaczenie. Jego świat ograniczał się do głosu Marthy, miękkiego, spokojnego, melodyjnego... Pewnie spodobałby mu się w innych okolicznościach. Teraz go osaczał, poganiał, instruował: „Ręka nisko, wnętrzem dłoni dotykaj ścian, oszacujesz rozmiar pomieszczenia”. „Palce do środka. Niech kłykcie wykonują całą pracę”. „Wyobrażaj to sobie”. Chciało mu się wyć.

A ona była cierpliwa. I ładnie pachniała. Za ładnie jak na osobę w wieku jego matki. Czysty, świeży zapach, jakby trawy, w połączeniu z jej wonią, sugerował osobę o wiele młodszą niż kobieta po pięćdziesiątce.

Z drugiej strony, nie ma pojęcia, jak szacować wiek kobiety tylko na podstawie jej głosu czy zapachu perfum. Kolejna umiejętność, którą musi opanować. A tymczasem w kółko chodził po domu i uczył się go w głowie, aż w końcu mógł dotrzeć wszędzie, prawie się nie potykając.

- To nie lada osiągnięcie - powiedziała głosem ochrypłym z wrażenia. - Świetnie pan sobie radzi. - Słyszał jej uśmiech i nienawidził jej za to.

- Rzeczywiście, świetnie. Umiem się poruszać po własnym domu.

- Z laską byłoby łatwiej.

- Nie. Chwila ciszy.

- Zostawię ją na stoliku koło drzwi wejściowych, na wypadek gdyby jednak zmienił pan zdanie.

- Nie zmienię.

- Dobrze.

Szukał w jej głosie dezaprobaty, ale słyszał tylko spokój. Miał ochotę wrzeszczeć: „Jestem ślepy, do cholery! Rozumiesz?! Jestem ślepy!”

Dotknął skraju kanapy. Aksamit był miękki jak zamsz, upewnił się, że ha siedzeniu nic nie leży.

- Jestem zmęczony. - Usiadł. - Mam już dosyć. Idź sobie.

- Powinnam...

- Wynoś się.

- Ślepotą nie daje panu prawa do bycia skurczybykiem. - Ostre słowa, zimny ton.

Nic go to nie obchodziło.

- Nie? A ja myślę, że owszem.

Szelest jej ubrań i znowu ten dziwny, kuszący zapach. Czyżby pochyliła się do przodu, żeby splunąć mu w twarz?

- Zajrzę do pana po południu - powiedziała tylko.

Słyszał jej kroki na drewnianej podłodze; po chwili umilkły - weszła na dywan. Drzwi się otworzyły i zniknęły. Cisza otoczyła go ciasnym kokonem.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, przeczesał włosy palcami. Kiedy rano się obudził i otworzył oczy, liczył, że ciemność zniknie i wszystko będzie jak dawniej.

Co teraz robi?

Łzy i panika nie pozwalały oddychać. Ślepy policjant? Wolne żarty.

Ale przecież poświęcił wszystko dla pracy w policji. I był w tym dobry. A oprócz wymachiwania pędzlem z klejem to jedyne, co umiał robić.

Myśl, że będzie tu siedział beczynnym, dzień za dniem, i porastał mchem, jak niektórzy koledzy, sprawiła, że zbierało mu się na mdłości.

Uderzył w oparcie kanapy. I jeszcze raz. I jeszcze. Aż wściekłość wybuchła w nim głośnym jękiem. Wrzeszczał, wściekły na tego, kto go uderzył, na świat. Krzyczał, dygotał i szlochał.

Nagle wstał. Pokonał trzydzieści kroków do sypialni na chwiejnych nogach. Spocony, zdyszany, sunął dłonią po ścianie, znalazł szafę, schylił się i dotknął podłogi. Wyobrażał sobie to, czego dotykał - adidas, rękawice do bejsbola, pudełka po butach. Przewracał wszystko, wściekły, gdy trafiał na obuwie, ale w końcu znalazł pistolet.

Wyobraził go sobie - mała, groźna trzydziestkaósemka, czarna, z solidną rękojeścią. Zaniósł broń do kuchni, usiadł na stołku i musnął palcami bębnek. Otworzył, sprawdził. Sześć nabojów.

Zesztywniał. Co za ulga. Zaraz to skończy. Tu i teraz. Wystarczy jeden strzał i będzie wolny. Wrócił myślami do wydarzeń przed magazynem. A gdyby na chwilę nie stracił wzroku, gdyby się nie potknął... Czy już byłoby po nim?

Zamknął magazynek. Trzask oznajmił, że broń jest gotowa do użycia.

I nagle usłyszał inny dźwięk. Metaliczny zgrzyt. Gdyby widział, pewnie nie zwróciłby na niego uwagi, ale teraz wyostrzyły się pozostałe zmysły.

Ktoś stał przy drzwiach wejściowych.

Jęknął. Nie wytrzyma kolejnej sesji z mateczką Crowe.

Ale skoro to Martha, dlaczego nie puka? Nie dzwoni?

Schował trzydziestkęósemkę za paskiem dżinsów i podszedł do drzwi. Położył dłoń na klamce. Przekręcała się. Ktoś chciał wejść do środka.

Znieruchomiał. Był bezradny i ślepy. Ucieczka to jego jedyna szansa. Ale na to już za późno. Drzwi się otworzyły.

Rzucił się w kąt, licząc, że zdoła się ukryć za drzwiami. Krok ciężki, ostrożny. I kolejny.

To nie Martha, ona chodzi lżej. Intruz to mężczyzna. Pachniał chłodem i czymś jeszcze. Otaczał go medyczny, miętowy zapach.

Danny wyjął broń zza paska i czekał na kolejny krok nieznajomego. Mężczyzna zaraz znajdzie się w środku. Danny wstrzymał oddech, położył dłoń na drzwiach i wyszedł z kąta.

- Ręce do góry - powiedział.

Mężczyzna się poruszył, Danny zlokalizował go, słysząc szelest ubrań.

- Nie ruszaj się! - Wysunął broń do przodu i trafił na twardą płaszczyznę. Plecy, nie brzuch. Dzięki ci, Boże. Jeśli uda mu się utrzymać mężczyznę w tej pozycji, może nie zdradzi się ze ślepotą.

Z bijącym sercem przeszukał intruza - sweter, pusta kabura pod pachą.

- Rzuć broń. - Chwila ciszy. - Danny szturchnął go lufą w plecy. -I to już! Rzuć broń! - Metaliczny stukot po jego lewej stronie. Jak daleko? Poza zasięgiem? Cholera, nie ma pojęcia. - Ręce na głowę. - Danny położył dłonie na barkach intruza i pchnął go mocno. - Na kolana.

Mężczyzna ze stęknieniem osunął się na ziemię. Danny złapał go za włosy, odciągnął głowę do tyłu, przyłożył lufę do szyi.

- Kim jesteś?

Nieznajomy dyszał ciężko. Danny czuł jego pot i strach.

- Kim jesteś, do cholery?

Kroki na zewnątrz. Mężczyzna zesztyniał. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Sinofsky?

Jezu Chryste. Martha.

- Widziałam, jak ktoś wchodzi i zastanawiałam się, czy sobie radzisz...

- Nie...

Za późno. Mężczyzna się wyrwał. Danny skoczył w pustkę i zaatakował powietrze. Martha krzyknęła. Głuchy odgłos.

Upadającego ciała? Czyjego? Serce Danny'ego waliło jak oszalałe. Kroki na ganku.

Pistolet palił go w rękę, ale nie wiedział, gdzie strzelać. Co się stało? Co robić? Kto leży? Jęk.

- Martho? Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Do cholery, gdzie...

- Tu. Ja...

- Jezus, nie ruszaj się. Leż. - Szukał jej po omacku, aż znalazł jej stopy. Leżała na ziemi.

- Ja...

- Leż! - Owiało go zimne powietrze; drzwi nadal stoją otworem. Zasłonił ją sobą objął. Miał nadzieję, że jego plecy oddzielają ją od drzwi.

Warkot silnika i pisk opon. Cisza.

- Myślę, że... już uciekł - wykrztusiła cicho.

Dopiero wtedy poczuł jej kobiece kształty, drobne piersi i biodra. Były w dotyku zupełnie inne niż, jak sobie wyobrażał, ciało kobiety koło sześćdziesiątki.

Puścił ją szybko.

- Nic ci nie jest?

- Chyba nie.-Ale jej głos drżał.-On... on mnie uderzył, ale...

- Uderzył cię? Drań - mruknął. - Pokaż, zaraz... - Chciał powiedzieć „zobaczę”, ale słowo utknęło mu w gardle. Muskał dłońmi jej twarz.

- Nie - szepnęła słabo.

- Siedź cicho.

Miała miękką gładką skórę, żadnych zmarszczek czy obwisłych policzków. Nie tego się spodziewał po kobiecie w jej wieku. Jak wyglądała? Usiłował ją sobie wyobrazić, ale nie mógł.

Jej ramiona falowały, jakby brakowało jej tchu. Strach czy co innego? Skrzywiła się, kiedy dotykał jej lewego policzka.

- Przepraszam. Gdzieś jeszcze?

- Nie. Naprawdę... nic mi nie jest. Pozwól mi wstać, dobrze?

Drżała. Miał ochotę wrzasnąć, coś rozwalić. Przyszła, żeby mu pomóc, a zamiast tego sama oberwała. Ile osób jeszcze ucierpi przez jego ślepotę?

Powoli opadł na pięty. Martha wstała. Drzwi wejściowe się zamknęły. Jego żołądek fiknął salto. Nie może nawet obronić staruszki we własnym domu.

- Powinnaś przyłożyć sobie lód, inaczej będziesz miała siniaka. Odchrząknęła, jakby usiłowała się opanować.

- A ty? Wszystko w porządku?

- Och... Oczywiście, wszystko cacy. - Ale nie mógł się nie roześmiać na myśl o takiej ironii losu. Kilka minut temu chciał strzelić sobie w łeb, ale ledwie spróbował tego kto inny, walczył jak lew.

A więc jednak nie bardzo ma ochotę umrzeć. Schował trzydziestkęósemkę za paskiem.

- Czy na podłodze leży broń?

- Po twojej prawej stronie. Na trzeciej godzinie.

- W szufladzie koło zlewu są torebki foliowe. Przyniesiesz? Odeszła.

- Kto... kto to był?- Nadal słyszał strach w jej głosie.

- Ty mi powiedz. To ty masz oczy.

- Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej go nie widziałam. - Słyszał trzask otwieranych i zamykanych szuflad, zanim wróciła. - Po co przyszedł?

- Masz torebki?

- Tak.

- Przez jedną podnieś broń i wsadź do drugiej. Szelest folii.

- Już.

Podawała mu plastikową paczkę. Zamknął torebkę; wyczuwał pod palcami kształt broni. Czy to był snajper z dachu? Fakt, że ktoś się tu włamał, zdawał się potwierdzać teorię, że to on był celem, nie T-Bone. Ale dlaczego?

- Możesz go opisać? - zapytał.

Zawahała się. Wyobraził sobie, że się zastanawia.

- Tak, dam radę. Wysoki...

- Mojego wzrostu?

- Tak, ale cięższy.

- Dobrze. A więc metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jakieś sto kilo wagi.

Czarny czy biały?

- Biały.

- Włosy?

- Szatyn.

- Oczy?

- Nie jestem pewna. Chyba ciemne. Nie szafuje detalami.

- Blizny? Tatuże? Znaki szczególne?

- Niczego nie zauważyłam.

Czyli to mógł być każdy. Z drugiej strony, może ktoś, kto widzi, rozpozna napastnika na zdjęciu.

- Jedziemy na posterunek.

- Och, nie uważam, żeby...

- Jeśli go zidentyfikujesz, zdołamy go aresztować.

Był pełen energii, nabuzowany. Martha wyczytała to z jego napiętych rysów.

Znalazł kurtkę, wepchnął torebkę z bronią do kieszeni i wyszedł przed dom. Z laską byłoby mu o wiele łatwiej, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Nie był jeszcze gotów. Nie ma sensu go zmuszać.

Wsiadł do samochodu. Ruszyli. Cały czas drżała na wspomnienie tego, co się stało. Zaznała w życiu okrucieństwa, ale to był ból bezmyślnych słów i ludzkiej obojętności. Nikt nigdy nie podniósł na nią ręki. Odebrała to jako gwałt, jej świat zachwiało się w posadach.

Ale koło niej siedział mężczyzna, który stanął między nią a niebezpieczeństwem. Zasłonił ją własnym ciałem. Był spięty, czujny, sprężony do skoku. Dosłownie emanował podnieceniem. Po raz pierwszy, odkąd zobaczyła go w szpitalu, rozpacz ustąpiła czemuś innemu - podnieceniu i poczuciu celu.

Znowu robił to, na czym się znał.

Promieniał. Był przez to zabójczo przystojny - oczy lśniły zapalem. Aż niemal sama uwierzyła w cuda i w to, że odzyska wzrok.

Wszystko się zmieniło, gdy dotarli na posterunek.

Nie dotarłby do budynku sam, bez jej pomocy. Kiedy to sobie uświadomił, ekscytacja przeszła w rozpacz. Zwiesił ramiona, światło w oczach zgasło.

Powiedział, jak dojechać na parking dla pracowników za budynkiem. Tu na pewno sobie poradzi.

- Wizualizacja - przypomniała cicho.

- Cały czas to, kurwa, robię.
- Weź mnie pod rękę.
- Nie, do cholery!
- Wiesz co, mam dosyć twoich przekleństw.
- Pieprz się.
- Kupię ci słownik.
- Nie przeczytam ani słowa.
- Na płycie.

Usiłował iść sam, ale mało brakowało, a wpadłby pod samochód. Martha krzyknęła. Rozległ się pisk hamulców, gniewny klakson i krzyk kierowcy:

- Co ty? Ślepy jesteś!
- Owszem, bracie, jestem ślepy. - Zacisnął dłonie w pięści. - Masz z tym problem?

Kierowca poczerwieniał ze wstydu i od razu się wycofał.

- Nie. Przepraszam. Nic się nie stało. - Odjechał.

Serce Marthy biło jak oszalałe. Było jej szkoda Danny'ego. Zaciskał dłonie, jakby miał ochotę w coś walnąć. Siłą otworzyła jego pięść.

- Proszę. - Wzięła go za rękę. - Przez ciebie dostanę zawału. W moim wieku...

Nie odpowiedział, ale też nie zabrał ręki. Doszli do drzwi. Podał jej portfel.

- Tam jest identyfikator. Bez niego nie przejdziemy. Otworzyła portfel.

Dowód i odznaka. Przejechała identyfikatorem po czytniku. Drzwi się otworzyły i znaleźli się w środku. Zatrzymał się nagle.

- Co się stało?

Stał nieruchomo, poblądł nagle.

- Może to nie był taki dobry pomysł.

- Dlaczego nie?

- Ja... - Zakrył usta dłonią, jakby chciał cofnąć słowa.

- Prędzej czy później będziesz musiał stawić im czoło - powiedziała cicho.

- Jasne. - Roześmiał się gorzko. - Dobrze przynajmniej, że nie zobaczą li-
tości w ich oczach.

- Widzisz? Wszystko ma swoje zalety. Uśmiechnął się pod nosem.

- Żartujesz sobie?

Stłumiła uśmiech.

- Lepszy śmiech niż łzy.

- Łatwo ci mówić - burknął.

Ale wyglądało na to, że odzyskał, przynajmniej częściowo, wiarę we własne siły. Wykorzystała to.

- Którędy?

- Na lewo.

Prowadziła go długim korytarzem, aż doszli do ogromnego pomieszczenia podzielonego szklanymi przepierzeniami. Drzwi prowadziły do gabinetu w rogu.

Posterunek wyglądał jak tysiące innych budynków rządowych w kraju - beżowe ściany, linoleum na podłodze, odświeżacz powietrza. Na jednej ze ścian wisiała tablica zapisana nazwiskami - pewnie sprawy, które prowadzono. Część wykreślono, część przyciągała wzrok. Z szafek i biurków wysypywały się sterty papierów. Ze ścian łypali przestępcy poszukiwani listem gończym. Powietrze przesycił zapach środka dezynfekującego, potu i przypalonej kawy.

Wszędzie uwijali się ludzie z kaburami pod pachą. Ktoś podniósł wzrok, trącił sąsiada. Stopniowo wszyscy umilkli. Wszedł Danny.

Znieruchomiał. Ucisnęła jego dłoń.

I wtedy, równie szybko, jak zapadła cisza, wybuchł ogłuszający hałas.

- Jezu Chryste, Danny!

- Jak się czujesz?

- Sin, bracie!

Zbrali się dokoła niego, klepali go po plecach, dotykali, przekrzykiwali się. Danny ścisnął dłonie - Tima, którego dziecinna twarz i długie proste włosy sprawiały, że wyglądał na ucznia szkoły średniej; Anity, czarnoskórej, posągowej policjantki o łagodnym spojrzeniu; Hank, potężnego mężczyzny o zielonych oczach. Hank. Czy przypadkiem Danny nie kupił domu od policjanta o imieniu Hank, który się ożenił?

Przychodzili kolejni, których imion nie zdołała zapamiętać. Na większości twarzy malowała się ulga. Danny nie wyglądał jak potwór.

Nie. Wydawał się zupełnie normalny. Jakby nadal mógł ich zobaczyć.

Choć to oczywiście nieprawda. Wyczuwała jego napięcie.

- Czy mogłabym usiąść? - powiedziała głośno.

- No jasne, cały Sin, trzyma kobietę na nogach - stwierdziła Anita i puściła oko do Marthy. Miała niski, aksamitny głos. Była bardzo wyso

ka, wyższa od Marthy, i nosiła się z dumą i gracją. Martha obserwowała ją zafascynowana.

- Bradley, chyba nie myślisz o sobie. Ty się nie liczysz - zażartował Danny.

- No, no! - mruknęła Anita. - Uważaj na słowa. Nie zadzieraj ze mną! Danny zabawnie rozłożył ręce.

- Nie śmiałbym, moja droga. - Wszyscy się roześmieli. Żarty znosili lepiej niż powagę.

- Cicho! - polecił Danny. - Przedstawiam wam Marthę Crowe. Chciałaby usiąść.

Gwar rozmów, gdy robili jej miejsce. Nagle Danny oznajmił:

- Moje biurko jest drugie po prawej. - Najdyskretniej, jak to było możliwe, zaprowadziła go tam. Usiadła na krześle. Danny przysiadł na biurku.

- Co jest, Sin? - Szczupły mężczyzna z roześmianymi orzechowymi oczami, o krótkich, jasnych włosach poklepał Danny'ego po ramieniu i oparł się o biurko.

- Cześć, Mike. Martha, to Mike Finelli. Mike, poznaj Marthę Crowe. - Za-uważyla, że nie tłumaczy, kim dla niego jest.

- Świetnie wyglądasz, Sin - stwierdził Mike. Wszyscy zebrani zgodzili się z nim entuzjastycznie. Trochę sztucznie.

Sala rozbrzmiała zapewnieniami, jak dobrze wygląda.

- Ktoś go napadł - oznajmiła nagle Martha.

Cisza. Anita i Tim wymienili spojrzenia. Hank zmrużył oczy.

- Gdzie? - zapytał.

- U mnie w domu - odparł Danny. Anita wydeła usta.

- W biały dzień?

- Najwyraźniej gość uznał, że pora nie ma znaczenia - odciął się Danny.

Zebrani poruszyli się niespokojnie, przestępowali z nogi na nogę. Nie wiedziała, czy Danny to wyczuł. Wyjął broń, którą zabezpieczyli w jego domu.

- Odebrałem mu spluwę. Co to jest?

Mike przyjrzał się jej uważnie i gwizdnął cicho.

- Nie jestem pewien.

- Jak to? Przecież jesteś specem od broni. Koledzy otoczyli go wianuszkami.

- To nie glock - orzekła Anita. Martha czegoś nie rozumiała.

- Nie ma nazwy?
- Nie widzę jej - odparł Mike.
- Co to znaczy? - dopytywała się. Danny wzruszył ramionami.
- Pewnie nic. Drań zdrapał markę, chcąc utrudnić identyfikację.
- Ale i tak wam się to uda, prawda?
- Mike pośle tego gnata do znajomego w wydziale broni. Oni trafią do właściciela.

Z gabinetu wyszedł mężczyzna, którego widziała w szpitalu.

- Cześć, Danny. Miło cię widzieć. - Mocno uściśnęła dłoń Sinofsky'ego. - Jak się trzymasz?

- W porządku. - Widziała łączącą ich więź. Szacunek, przyjaźń, coś więcej niż koleżeństwo.

- Szeffie, ktoś go zaatakował. - Mike Finelli podniósł torebkę z bronią. - Tym.

Parnell wziął pistolet i z niepokojem spojrzął na Danny'ego.

- Ten sam, co w magazynie? Danny wzruszył ramionami.

- Powiem ci jedno. Facet dzisiaj śmierdział. Czymś medycznym, lekarskim. I talkiem?

- Talkiem... - Parnell wydał usta i rozejrzał się po kolegach. - Kto stosuje talk?

- Ludzie na siłowni - podsunął Hank.

- Bokserzy - dodała Anita. - I ci od sztuk walki.

- Siłacze.

- Sprawdzę miejscowe siłownie - zdecydował Mike. Danny podniósł ręce.

- Może nie będziesz musiał. Mam świadka. Martho? Wszystkie oczy spochyły na niej.

- Była tam. Może go zidentyfikować - oznajmił Danny. - Pokażecie jej zdjęcia?

Zanim się obejrzała, posadzili ją w ciasnym pomieszczeniu i położyli na stoliku stertę albumów. Danny zniknął. Odszedł w towarzystwie dwóch innych policjantów. Skrzywiła się, gdy wpadł na krzesło.

- Pomogę - zaproponował Parnell.

- Dam sobie radę - uciał Danny. Trzy słowa ociekały złością i upokorzeniem.

Przypomniała sobie, jak poszła do kina ze Stephanie, kuzynką. To było jakiś rok po wypadku. Ojciec większość czasu spędzał w szpitalu,

matka zniknęła z ich życia. Martha była zdana na łaskę ciotki Nancy i jej córki Stephanie. Stephanie o kasztanowych włosach i jasnozielonych oczach, Stephanie o prostych zębach, Stephanie w modnych ciuchach. Stephanie, która pod naciskiem matki zgodziła się zabrać Marthę do kina, ale odbiegła ze śmiechem do koleżanek. Martha sama kupiła sobie bilet. Idąc do roześmianej grupki, potknęła się o coś. Stephanie zachichotała i rzuciła: „Patrz pod nogi, Wielka Stopo”. Wszyscy się roześmieli.

Teraz nikt się nie śmiał z Danny'ego. Ale założyłyby się o każdą sumę, że czuł się tak samo jak ona przed laty.

Dość rozczulania się. Trzeba się zabrać do roboty. Przeglądała albumy, które przyniesiono. Policzek pulsował bólem. Najchętniej zapomniałaby o napaści, pozbyłaby się z pamięci wizji pięści wymierzonej w jej twarz. Ale strony wypełnione fotografiami kryminalistów nie ułatwiały jej tego.

Pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi.

- Możemy prosić na chwilę? - W progu stał Mike Finelli.

- Oczywiście. - Wstała, poszła za nim. - Mike, tak? Skinął głową i puścił ją przodem długim korytarzem.

- Od dawna znasz Danny'ego?

- Od początku pracy w policji. Jeździliśmy jednym wozem patrolowym, zanim dostaliśmy odznaki.

- Jaki jest?

- Twardy. Ale zawsze pilnował mojego tyłka. Wyczuła lojalność. W obu.

- Był żonaty? Uśmiechnął się.

- Sin? Nie, po co? Kobiety za bardzo go lubią. Doskonale to sobie wyobrażała.

- A dziewczyna? Ktoś na stałe?

Mike posłał jej znaczące spojrzenie. Zarumieniła się.

- Ja... Powinnam porozmawiać z każdym, z kim spotyka się na co dzień.

Uniósł brew, jakby nie do końca jej wierzył.

- No to skreśl dziewczynę. Twierdzi, że jest zbyt zajęty, żeby się z kimś wiązać. Dziewczyny, owszem, przyjaciółki, ale nigdy nic poważnego. Jediną kobietą trwale obecną w jego życiu jest siostra.

Przypomniała sobie dom, w którym się poznali. Zabawki i dziecięcy bałagan.

- Jak to?

- Opiekuje się nią i dziećmi, jakby był ich matką ojcem i dziadkiem w jednej osobie.

- Mówisz, jakby ci się to nie podobało.

- Nie, moim zdaniem to w porządku. - Ale coś w jego głosie kazało jej wątpić w prawdziwość tych słów. Zatrzymał się przy drzwiach i obniżył głos. - Oczywiście, teraz wszystko się zmieni. - Pokręcił głową. - Jak on sobie radzi? Są szanse, że odzyska wzrok?

- Nie wiem, nie jestem lekarzem. A jeśli chodzi o to, jak sobie radzi, sam go zapytaj.

Mike spojrzał na nią ironicznie.

- To nie doktor Phil ani inny telewizyjny psycholog. Nie opowiada o sobie. Dlatego pytam ciebie.

- Jest ślepy. Musi się przystosować do nowej sytuacji. Potrzebuje czasu, cierpliwości i przyjaciół.

Trawił jej słowa. Otworzył drzwi i znowu się znaleźli w przestronnym pomieszczeniu. Mike wskazał drzwi do gabinetu w rogu. Danny stał przy oknie, z rękami gniewnie skrzyżowanymi na piersi, wyraźnie zły. Coś jest nie tak. Zerknęła na trzeciego mężczyznę w gabinecie, tego samego starszego policjanta, którego wczoraj widziała w szpitalu.

- Porucznik Parnell - przedstawił się, wyciągając rękę. - Poznaliśmy się wczoraj.

- Pamiętam. - Ucisnęła mu dłoń i rozejrzała się dokoła. - Jakiś problem?

- No cóż, powiedzmy. - Parnell podrapał się w kark. Gest zdawał się łagodzić znaczenie tego, co zaraz powie. - Najwyraźniej ktoś usiłuje zabić detektywa Sinofsky'ego.

Brutalne słowa uderzyły ją obuchem.

- Ten... włamywacz?

- Uważamy, że ten sam mężczyzna wczoraj wieczorem zastrzelił nastolatka.

- Co? Jakiego nastolatka? - Spojrzała na Danny'ego. Nadal stał tyłem.

- Strzelanina przy magazynie - wyjaśnił Parnell. - Detektyw Sinofsky miał dokonać kontrolowanego zakupu broni. Snajper zabił sprzedawcę.

- Niewykluczone, że celował w Sina - dodał Mike.

Marcie zakręciło się w głowie. Nic dziwnego, że Danny wczoraj nie wyglądał jak policjant, ale jak uliczny drapieżnik. Broń, praca w terenie, śmierć na ulicy - to tematy z telewizji, nie z życia. W każdym razie nie

z jej życia. Odruchowo podniosła dłoń do policzka. W każdym razie do tej pory nie było w jej życiu miejsca na coś takiego.

- Dlaczego ktoś chciałby zamordować detektywa Sinofsky'ego?

- Tego jeszcze nie wiemy - przyznał Parnell. - Ale każdy policjant ma wrogów, to nieuniknione. Traktujemy wszystkie pogróżki bardzo poważnie. A ponieważ Danny nie widzi...

- I nie jestem w stanie się bronić - odpowiedział Danny.

- Nieważne. - Zmęczenie w głosie Mike'a sugerowało, że już to przerabiali.

- A ponieważ detektyw Sinofsky nie widzi... - podjął przerwany wątek Parnell - chcemy go ukryć w bezpiecznym miejscu, póki się nie dowiemy, kto chce jego śmierci. A pani pojedzie z nim.

- Ja? - Zdumiona, uniosła brwi.

- Tylko pani może zidentyfikować napastnika.

- Ale właśnie nie mogę. Na żadnym ze zdjęć... - Wpadła w panikę, i to nie tylko z obawy o własne bezpieczeństwo. - Nie! Nie mogę, to wykluczone. Mam pacjentów, spotkania, ludzi, którzy na mnie liczą.

- Niestety, przez jakiś czas będą musieli liczyć na kogoś innego - powiedział Parnell miękko.

- Witaj w moim świecie - burknął Danny.

Czy naprawdę grozi jej niebezpieczeństwo? Znowu poczuła pięść na twarzy. Jej żołądek fiknął salto.

- Proszę posłuchać, rozumiem pana niepokój, ale czy to naprawdę konieczne? Przecież ledwo go widziałam.

- Czasami jedno spojrzenie wystarczy - zauważył Mike. - On też panią widział.

- Jeśli się nie zgodzisz, wsadzą cię do aresztu - ostrzegł Danny.

- Co?

- Jako świadka - wyjaśnił Mike.

- To szaleństwo.

- Zgadną się całkowicie. - Znowu Danny. Popatrzyła na nich groźnie.

- Nie pójdę do więzienia i nie zgodzę się na wyjazd z detektywem Sinofskym.

Odwrócił się wtedy, niedbale oparł o parapet, zwrócił głowę w jej stronę i utkwiał oczy gdzieś w dali.

- Dawniej kobiety były gotowe o to walczyć, ale teraz... - Rozłożył ręce w komicznej bezradności.

- Nie wygłupiaj się. Twój wzrok nie ma z tym nic wspólnego. -Spojrzała na niego i poczuła coś... jakby młot pneumatyczny. Rozwalał mury, które tak starannie dokoła siebie wznosiła. Nie zdawał sobie sprawy, o co ją prosi, nie miał pojęcia! - Nie mogę i już.

- Niestety, nie ma pani wyboru - stwierdził Parnell.

- A nie możecie... bo ja wiem... Kazać komuś mnie śledzić?

- Jak szpiedzy?

- Dlaczego nie?

Parnell rozłożył ręce w przeproszającym geście.

- Nie mam ludzi. Dwie osoby do pilnowania pani i Sina to dwóch policjantów mniej w wydziale. To mały posterunek. Mogę oddelegować jednego człowieka, ale nie dwóch.

- Słuchaj, mnie też się to nie podoba - wtrącił się Danny.

- No, bomba... Dzięki.

- Ale lepsze to niż pozwolić, by jakiś drań cię skrzywdził.

- Martho, nie będzie tak źle - zapewniał Mike. - Ty, ja i Sin. Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- Już mam rodzinę - zachnęła się.

- No to dopilnujemy, żebyś wróciła do nich cała i zdrowa.

Rozdział 4

Parnell wysłał ludzi po podstawowe rzeczy dla Danny'ego i Marthy. Zapisali, co im będzie potrzebne, i czekali na posterunku. Danny zadzwonił do Beth i opowiedział pokrótce, co się stało.

- Nic mi nie jest - zapewniał ją po raz trzeci.

- Nie podoba mi się, że nie wiem, gdzie będziesz.

Jego także przerażała myśl, że znajdzie się w jakimś obcym miejscu. Chmura paraliżującego strachu otaczała go niemal namacalnie. Przypomniawsobie pogrzeb matki. Właściwie to nie był pogrzeb. Nie do końca. Nie mieli pieniędzy na trumnę ani miejsce na cmentarzu, więc została skremowana. Przyszło tylko kilka osób - Parnell z żoną, grupka kelnerek z restauracji, w której pracowała matka, szef z jej zmiany w firmie sprzątającej. Poszli do parku w jasne, majowe popołudnie. Pogoda była idealna na piknik. Wtedy uważał, że natura go zdradziła.

Stali nad brzegiem rzeki. Czternastoletnia Beth wsunęła drobną rączkę w jego dłoń i razem wysypali zawartość urny do wody. Woda zabierała prochy matki, a Danny przysiągł sobie, że ani on, ani siostra nie będą harować tak ciężko jak ona.

Dotrzymał obietnicy Starannie dobierał sobie partnerki - spotykał się tylko z takimi kobietami, które chciały tego samego co on - żadnych zobowiązań, obietnic, więzi. Nie miał żony ani dzieci, więc nikogo nie skrzywdzi. Miał tylko Beth. A teraz, gdy została sama z dwójką dzieci, ośleplł i jest do niczego.

Zamknął oczy, przycisnął palce do skroni, gdzie znowu narastał ból.

- Przepraszam - zaczął, bo nie wiedział, co powiedzieć. I dlatego że naprawdę było mu przykro. - To nie potrwa długo.

- A wizyty u lekarza?

- Odwołaj.

- Ale...

- Posłuchaj, nic mi nie jest. Nie martw się już. Westchnęła z irytacją.

- Żartujesz, prawda? Muszę się o ciebie martwić, Danny. Muszę się tobą zaopiekować, tak jak ty się opiekowałeś mną.

Zacisnął usta.

- Nikt nie będzie się mną opiekował, Beth. Ani ty, ani nikt inny. Zadzwoń, kiedy będę mógł. - Rozłączył się, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć.

Masował czoło i marzył o kolejnej aspirynie. Słyszał, jak Martha rozmawia przez telefon.

- Mówiłam ci, nie wiem, dokąd jedziemy. - Zniżyła głos, wyraźnie zdenerwowana. - Nie, nie mogę, nie pozwolą mi. Nie mogę się nawet sama spakować. Posłuchaj, tatusiu...

Tatusiu? Ma pięćdziesiąt osiem lat i zwraca się do ojca per tatuś? Nie wiedział, czy go to bardziej przeraża, czy bawi.

- Nie wiem na jak długo. Nic nam nie mówią. W lodówce są chili i dwie zapiekanki w zamrażarce. Pamiętaj, masz jeść śniadanie. I nie pal. Wiem, że masz papierosy pochowane w całym domu. Nie, nie udawaj niewiniątka. I nie łudź się, że podczas mojej nieobecności możesz palić w domu. Na pewno to zauważę po powrocie.

Wygląda na to, że nie tylko Danny'ego rozstawia po kątach.

- Muszę kończyć. Powinnam jeszcze odwołać wizyty. Dzisiaj nie będę na spotkaniu. Co za bałagan. Tak, obiecuję. Jak tylko będę mogła. -Rozłączyła się z głośnym westchnieniem.

- Kłopoty w raju?
- Podobnie jak u ciebie - zachnęła się. - Kim jest Beth?
- Moją siostrą.

Szelest przekładanego papieru. Co robi? Przegląda notes? Książkę?

- Tak, słyszałam, że jesteście bardzo życzliwi - mruknęła w zadumie. Słyszała? Od kogo?

- Kto ci o mnie opowiadał za moimi plecami?
- Mike.

Co za pleciuga.

- Skurczybyk. Nie wierz w ani jedno jego słowo. Ma do mnie żal.
- Naprawdę? - To brzmiało jak długopis sunący po papierze. - Nie tak to odebrałam.

- Ale tak jest. Bo okazałem się lepszym gliniarzem od niego. -A przynajmniej nim byłem... Ale nie zdążył tego przemyśleć, bo drzwi się otworzyły.

- Jesteś lepszym gliniarzem niż kto? - zapytał Mike.
- Niż ty. - Danny ukrył uśmiech.
- Bzdura.

- Nieprawda. Masz do mnie żal.

- Nie. Chciałbym tylko, żebyś nie pilnował siostry jak orzeł. Wtedy może udałoby mi się ją poderwać.

Danny żartobliwie pogroził mu palcem.

- Wolna droga, ja ci nie stoję na drodze. Ale Beth sama wie, kiedy widzi fajtlapę. - Tym razem uśmiechał się szeroko.

- Fajtlapę? - Mike zagwizdał. - Przygarnął kocioł garnkowi. Szarpnięcie i odgłos rwanego papieru.

- Bardzo się cieszę, że tak świetnie się dogadujecie, ale muszę jeszcze załatwić mnóstwo spraw - syknęła Martha.

Ktoś wszedł do gabinetu.

- Wszystko gotowe. - Parnell. - Danny, chciałbym z tobą porozmawiać.

Chodźmy do pokoju przesłuchań.

Danny zeszywniał. Takie spacerki to koszmar, zwłaszcza na oczach chłopaków.

Martha zdawała się czytać w jego myślach.

- Zostańcie tutaj - zaproponowała. - Muszę zadzwonić w parę miejsc. Mogę skorzystać z aparatu na biurku detektywa Sinofsky'ego. Detektyw Finelli mnie zaprowadzi.

Zręcznie wyprowadziła Mike'a z gabinetu. Wiedziała, że Danny jest jej wdzięczny.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Danny odwrócił się tam, gdzie, jak mu się zdawało, stał Parnell.

- Co mamy?

- Wiejski dom przy trójce. Kiedyś mieszkała tam babka szefa. To nie hotel pięciogwiazdkowy, ale ma wszystko, co trzeba, i prawie nikt o nim nie wie.

Pięć gwiazdek czy jedna, Danny i tak nie zauważy różnicy.

- Dzięki.

Chwila ciszy. Nie słyszał, żeby Parnell się poruszył.

- Jesteś tu jeszcze?

- Tak - odparł przełożony. - Jestem... Jest jeszcze coś... o co chciałbym cię prosić.

Danny się spał. Wyczuwał złe wieści w głosie Parnella. Ważył każde słowo.

- Tak.

- Chodzi o twoją trzydziestkęósemkę. Zostaw ją tutaj. U mnie. Danny czuł się, jakby ktoś go rąbnął w żołądek.

- Odznakę też mi odbierzesz?

- Nie, to nie tak. Niczego ci nie odbieram. Ja tylko proszę. Nie możesz... - Odchrząknął i to uświadomiło Danny'emu, że przełożonemu z takim samym trudem przyjdzie to powiedzieć, jak jemu wysłuchać. Mało brakowało, a straciłby panowanie nad sobą. Poczł, że drżą mu dłonie, więc wepchnął je do kieszeni. - Danny, nie możesz strzelać. A napastnik z łatwością może ci odebrać broń i wykorzystać ją przeciw tobie.

Zacisnął usta. Parnell miał rację, ale Danny nie chciał tego przyznać.

- W domu świetnie sobie poradziłem.

- Miałeś szczęście.

A i tak nie powstrzymał napastnika przed uderzeniem Marthy. Sięgnął za plecy i wyjął rewolwer zza paska. Potarł palcami ostre krawędzie, rozkoszował się ciężarem w dłoni.

- To tylko przejściowe - zapewnił szef. - Włożę go do twojej szafki i będzie na ciebie czekał, kiedy wszystko się już ułoży. - Eufemizm, oznaczający, jeśli kiedykolwiek odzyskasz wzrok". Ale Danny nie poprawił Parnella. - Na razie, ze względu na mnie i na Jackie, pozwól, że go przechowam.

Wzmianka o Jackie, żonie Parnella, tylko pogorszyła sytuację. Danny poczuł, jak coś ściska go za gardło. Powoli wyciągnął rękę z bronią. Przełożony zabrał rewolwer i nagle Danny poczuł się całkowicie bezbrony.

Szef znowu odchrząknął i poruszył się niespokojnie.

- Dasz radę, chłopie. Zawsze ci się udawało.

Danny wiedział, że szef ma na myśli trudne lata, gdy matka walczyła o dach nad głową. I późniejsze chwile, gdy po jej śmierci został sam z siostrą.

- Owszem, ale tym razem pieczeń i ziemniaki nie pomogą. - Parnell zaglądał wtedy do nich kilka razy w tygodniu. Nigdy nie przychodził z pustymi rękami.

- Przynajmniej nie będę musiał sprawdzać, czy podgrzewasz przed jedzeniem.

Umilkł. I nagle Danny przypomniał sobie, jak Parnell i Jackie zabrali swoją trójkę, jego i Beth na tygodniowe wakacje na plaży. Jak Jackie pomagała Beth wybrać sukienkę na bal maturalny. Jak Parnell zabrał go na mecz Rangersów, choć nie przepadał za hokejem.

- Jesteśmy tutaj, ja i cały posterunek - powiedział cicho starszy policjant. - Nie pozwolimy ci odejść.

- Brzmi świetnie. Ale co ja tu będę robił, do cholery? - Po raz pierwszy wypowiedział na głos to, czego bał się najbardziej.

- Jeszcze nie wiem. Ale cokolwiek ci damy, będziesz w tym świetny.

- Albo...

- Albo cię wydziedziczę.

Danny musiał się uśmiechnąć. Parnell powtarzał mu to, odkąd po raz pierwszy go złapał, wówczas trzynastolatka, na kradzieży płyt w sklepie.

- Na razie wygląda na to, że będę dobry tylko w jednym, byciu ślepym. Zresztą uwierz mi, teraz nawet w tym jestem beznadziejny.

Zanim dojechali na farmę, śnieg spowił wszystko nienaturalną ciszą. Danny wdychał ostre świeże powietrze. Odchylił głowę tak, że płatki śniegu opadały mu na twarz i chłodziły skórę, zanim topniały.

- Lepi się? - Mówił inaczej, śnieg tłumiał jego głos.

- Tak. - Martha zacisnęła mu rękę na ramieniu. Wiedział, że jest zła, bo nie chciał trzymać jej pod rękę. Ale prędzej go szlag trafi, niż on pozwoli, żeby Mike widział, jak daje się prowadzić jak szczeniak.

- Poczekaj.

- Sin, powinienes jak najszybciej wejść do środka - zauważył Mike.

- Chwileczkę. Ile do drzwi?

- Zaparkowaliśmy na podjeździe, kilka kroków od chodnika prowadzącego do domu.

- Co widzisz?

- Czysto. Nie mieliśmy ogona, droga wolna. Na razie w porządku.

- Opisz, co widzisz.

- Dom, jednopiętrowy, białe deski, przydałoby się malowanie. Dwa wejścia, od frontu i od tyłu. Ganek przy tylnych drzwiach, z niego zejście na zaorane pole. Wiejska droga jakieś sześć metrów od drzwi frontowych. Drewniany płot dokoła.

Zapamiętał to wszystko.

- Co jest między mną a domem?

- Podjazd. Żwir. Betonowy chodnik po lewej stronie. Trawnik i drzewo pośrodku.

- Ślicznie.

- Dla naszych chłopców wszystko co najlepsze. - W głosie Mike'a czaił się uśmiech, ale Danny nie zareagował. Był zbyt pochłonięty wyobrażaniem sobie otoczenia. Nie miał pojęcia, jak to, co widzi, ma się do rzeczywistości.

Przerażenie pojawiało się nagle, jak dziewczyna, której starannie unikał. Do tej pory był w znajomym otoczeniu, w miejscach, które znał i widział w duszy. Teraz... zdusił niepokój i dławiące poczucie bezradności.

- No? - poganiał go Mike. Odetchnął głęboko.

- Dobra. Idziemy.

Ruszyli. Martha sterowała nim jak sternik okrętem. Zaciskała szczupłe palce na jego ramieniu, czuł przy sobie jej smukłą wiotką postać. Przez krótką, szaloną chwilę otarła się o niego krągłym biodrem. Zareagował mimo różnicy wieku.

Może los jest dla niej łaskawy i należy do kobiet, które pięknie się starzeją. A może wylew uszkodził mu nie tylko wzrok.

Skupił się na drodze, na zgrzycie żwiru pod stopami, na tym, ile mu zajęło dojście do chodnika. Zatrzymał się.

- Chodnik? - Czuł miękkość trawy po bokach.

- Tak. - Martha holowała go do drzwi.

Mike wszedł do środka, słyszał jego ciężkie kroki przed nimi. Wnętrze domu wypełniał zapach pleśni, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał.

- Stop. - Mike wyrażał się zwięźle, wydawał rozkazy. Danny stanął niezdarnie, skrzepowany tym, że musi go słuchać.

- Dokąd poszedł? - Martha mówiła cicho, ostrożnie.

- Sprawdza dom. Upewnia się, że jest czysty.

- Och!

Wyczuł jej niepokój w tym jednym słowie i z niepojętych powodów chciał ją uspokoić.

- To standardowa procedura. Na pewno wszystko w porządku. Mike potwierdził jego słowa.

- Dom jest czysty. Wniosem wasze bagaże i akta sprawy.

Danny skinął głową. Drzwi frontowe zamknęły się za policjantem. Martha się odprężyła. Szkoda, że on sam nie mógł powiedzieć tego o sobie. Na samą myśl, że Mike nosi jego bagaże, dostawał szału.

- Powinieneś się zapoznać z rozkładem domu - zaczęła Martha. Boże, od-
dałby wiele, żeby choć na chwilę odzyskać kontrolę i móc
się zapoznać z rozkładem domu. Ale nie mógł, więc czekał, aż Martha za-
cznie. Cisza się przeciągała.

- Co jest? - zapytał w końcu. - Nie powiesz mi, jak tu jest?

- Nie - odparła,

- Żartujesz.

- Nie zawsze będziesz w towarzystwie osoby widzącej. Sam się przekonaj.
Nie do wiary.

Przesuwał dłonią po ścianie, wierzchem dłoni, jak go uczyła.

- Co widzisz? - zapytała.

Nic a nic. Ale wiedział, co miała na myśli.

- Stolik w lewym rogu, tuż za drzwiami. - Drewno było popękane i znisz-
czone.

- Tak, na klucze i drobiazgi. Dalej. Obszedł pomieszczenie.

- Wąski pokój. Drzwi po lewej stronie, na dziewiątej.

- Prowadzą do sypialni. Dalej jest przedpokój i chyba więcej pokoi. Wpadł
na jakiś mebel. Martha jęknęła, ale nic nie powiedziała. Zaklął i przesunął dło-
nią po zarysach, czując pod palcami miękką tkaninę.

- Fotel?

- Tak. Pamiętaj o postawie ochronnej, żebyś nie zrobił sobie krzywdy. W
myślach pokazał jej środkowy palec, ale brnął dalej.

- Kanapa - stwierdził krótko, przesuwając dłońmi po kanciastym oparciu.
Nogą zahaczył o coś twardego. - Drewno, coś w tym stylu. -Stolik przed kana-
pą... Krzesło? Metalowa rura, materiałowy kapelusz. .. - Lampa stojąca?

- Tak.

Pusta przestrzeń między lampą a ścianą. Szedł dalej, aż trafił na barierkę.

- Kolejne drzwi - domyślił się. - Po prawej stronie.

- Do kuchni.

Zanim przekroczył próg, powtórzył w myślach pokonaną trasę. Drzwi, kانا, fotele.

- Więc jesteśmy w salonie.

- Tak.

- I stoję w drzwiach do kuchni.

- Tak.

Skinął głową, zapamiętując, co się da. W końcu wszedł do kuchni. Niemal natychmiast dotknął sześcianu zimnego metalu.

- Lodówka.

- Tak.

Szedł dalej, z podkurczonymi palcami, sunąc wierzchem dłoni po gładkich powierzchniach.

- Kontuar, piecyk, zlew. - Doszedł do rogu, skręcił.

- Drzwi?

- Na ganek.

Minął je, szedł dalej. Powiew zimna kazał mu się zatrzymać.

- Okno?

- Świetnie.

Kolejna przeszkoda uderzyła go w brzuch. O Jezu. Cofnął się, zirytowany, obszedł ją.

- Stół. Okrągły. Krzesła z wysokim oparciem.

- Tak. Ile? Policzył.

- Pięć?

- Tak. Na lewo od stołu?

Skręcił, poczuł nagą ścianę i jakiś mebel. Po chwili rozpoznał kształt.

- Kredens.

Obrysował dłońmi kredens i blat poniżej, po czym natrafił na pustkę, ostrożnie podszedł bliżej, osłaniając ciało ręką. I nic, tylko ściana.

A potem natrafił na barierę. Jakby wyrzeźbiony gips. I pustka. I znowu zarys...

- Kolejne drzwi?

- Tak. - Minął je. Martha szła za nim.

A wraz z nią szedł jej zapach, lekki, wiosenny. Przemawiał do niego bez słów - pogodny, kobiecy - i nagle po raz kolejny zjawilo się požądanie. Czyżby fakt, że oślepl, uczynil go szczególnie podatnym na kobiece wdzięki, bez względu na wiek?

Zatrzymał się gwałtownie. Może teraz tylko starsze kobiety będą nim zainteresowane.

- Wszystko w porządku?

Życie erotyczne było akurat tą sprawą którą nigdy nie musiał się martwić. Czas przeszedł.

- Tak.

- To chyba salonik. - Jej głos chwilami tracił na sile, jakby się rozglądała na wszystkie strony. Miała charakterystyczny głos, nie ochrypli, ale niski, z dźwięcznym zaśpiewem. Dźwięk wibrował w nim, jakby mówiła w jego głowie. Stała się jego oczami.

- Po prawej kanapa i dwa fotele. Po przeciwnej stronie składany stolik i telewizor na metalowej podpórce.

Zaklął pod nosem. Nie będzie cielakiem zdanym na matkę.

- Później się tu rozejrzę. - Musi to przerwać, przeciąć łączącą ich pewność. - Najpierw muszę się pobieżnie zapoznać z całym domem. Sam dam sobie radę.

- Dobrze. - Czyżby wyczuł w jej głosie cień urazy? Nawet jeśli, wycofała się, jej zapach tracił na sile. Poczul zarazem ulgę i samotność.

Wrócił do saloniku, gdy drzwi frontowe zatrzasnęły się głośno. Mike. Wraca czy wychodzi? Głuche uderzenie. Coś ciężkiego wyśladowało na ziemi.

- Oto i one - oznajmił przyjacieli.

- Akta?

- Wszystkich spraw, co do ostatniej teczki. - Odetchnął głośno i gdzieś usiadł. Pewnie klapnął na kanapę; mebel zajęczał pod jego ciężarem.

- Nie wiem, jak wy - zaczął Mike - ale ja nic nie jadłem od śniadania. Co powiecie na wcześniejszą kolację? Przywiozłem coś na ząb.

- W porządku - zgodziła się Martha.

Sin milczał. Słowo kolacja przywiodło na myśl wczorajszą katastrofę. Na kark wypełził mu gorący rumieniec wstydu. Nic nie jadł od rana, tak bardzo się bał, co się stanie, jeśli spróbuje. Umierał z głodu, ale nie sądził, żeby zdołał cokolwiek przełknąć. Nie przy Mike'u.

Zajął się badaniem korytarza po lewej stronie od saloniku. Cztery sypialnie i łazienka, malutkie, ustawione w szeregu jak ołowiane żołnierzyki. Mike już rozmieścił ich bagaże - w pierwszym pokoju przy łazience torba Danny'ego, po drugiej stronie walizka Marthy. Bez niej dłużej trwało, zanim potrafił się odnaleźć, ale tym sposobem miał przynajmniej o czym myśleć. O czymś innym niż nadchodzący posiłek.

Wyjął komórkę kieszeni i bawił się przyciskami, aż udało mu się zadzwonić do Beth.

- Wszystko w porządku?

- To nie ja zostałam napadnięta. U mnie wszystko okej. A u ciebie?

- Jesteśmy na miejscu, choć nie mam pojęcia, gdzie to jest. Wygląda... wydaje się... w porządku. Chciałem ci tylko dać znać.

- Doceniam to.

Zawahał się, wyobraził ją sobie w kuchni, jak szykuje posiłek.

- Gdzie jesteś?

- W kuchni.

Przyплыw satysfakcji. Trafił.

- Przepraszam za wcześniej. Że się rozłączyłem.

- Przez jakiś czas masz prawo strzelać fochy. - Uśmiech rozjaśnił jej głos. - O ile z tym nie przesadzisz. Chwileczkę. - Jej głos docierał teraz z oddali: - Tak, Josh. Tak, zobaczę. - Wróciła do rozmowy. - Możesz przez chwilę porozmawiać z Joshem?

Przypomniał sobie wczorajszą reakcję siostrzeńca i swoje upokorzenie.

Pogodził się z tym.

- Jasne.

Szmery, gdy telefon przechodził z rąk do rąk.

- Wujku?

- Cześć, stary. Wszystko w porządku?

- Czy już widzisz? Zrobiło mu się słabo.

- Tak samo jak wczoraj, bracie. Ale to znaczy, że nie jest gorzej, a to już coś, prawda? - Skrzywił się, słysząc fałszywą radość w swoim głosie.

- Niedługo Halloween, zabierzesz mnie?

O Boże. Na śmierć zapomniał. Halloween za dwa tygodnie. Może do tego czasu zdarzy się cud i wszystko będzie po staremu.

- Zobaczymy, Josh. Nie mam pojęcia, co mnie czeka w pracy.

- Obiecałeś.

- Wiem, bracie. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tam być. Daj mamę.

I znów usłyszał głos Beth:

- Przepraszam cię za to. Nie pozwól, żeby cię naciskał. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- To tylko dziecko. Ma marzenia. Jest za mały, żeby uwierzyć, że się nie spełnią.

- My nigdy nie byliśmy dziećmi. Nagle ogarnął go smutek.
- Ależ owszem, byliśmy.

Nie odpowiedziała i w nagłej ciszy przypomniał sobie inne Halloween.

Beth miała wtedy osiem czy dziewięć lat i zamarzył jej się strój wróżki ze sklepu Wal-Mart. Oczywiście nie było mowy o tym, żeby ciężko zarobione pieniądze wydać na przebranie, ale od tygodni paplała tylko o tym. Był ledwie chłopcem i nie miał prawa jazdy. Kiedy w końcu udało mu się stopem dotrzeć do sklepu, wszystkie stroje wróżek już sprzedano i nie mógł żadnego ukraść. Namówił ją wtedy, żeby się przebrała za ducha. Naciągnął na nią powłóczkę, wyciął otwory na oczy i usta i zabrał na eleganckie osiedle na przedmieściach. Takie, gdzie domy mają kolumnienki na ganku i nazwy.

Musieli iść na piechotę i jechać dwoma autobusami, ale wtedy było ciepło, nie jak w tym roku, i nie miał nic przeciwko temu. Beth uparła się, że pójdzie w przebraniu, a to oznaczało, że Danny musiał schować dumę do kieszeni i jak wariat podróżować dwoma autobusami obok białego duszka. Kiedy wracali, zgubił bilety. Nie starczyło im na drugi autobus i musieli iść kawał drogi na piechotę, ale cały czas częstowała go zdobytymi łakociami i kiedy w końcu dotarli do domu, zostały jej dwa batoniki. Jeden znalazł następnego dnia w swoim szkolnym lunchu.

- Danny?

Starał się opanować narastające emocje.

- Tak, tak... jestem. - Powiedział to ochryple, więc odchrząknął. - Muszę kończyć. Będziemy w kontakcie, ale nie martw się, jeśli się nie odezwę. Jesteś pewna, że wszystko będzie w porządku? Mogę poprosić jednego z chłopaków, na przykład Mike'a, żeby do was zajrzał. Sprawdzi, czy niczego wam nie trzeba.

- Danny, nie mam już czternastu lat. Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Uważaj na siebie, dobrze? I wracaj do domu cały i zdrowy. Tylko to się liczy. Damy sobie radę.

Lada moment miała być kolacja. Kiszki grały mu marsza. Mike kupił steki i ich zapach doprowadzał go do szaleństwa. Burczało mu w brzuchu, a do ust napływała ślinka.

Mike zapukał do pokoju Danny'ego i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Chodź, bracie. Nakryłem do stołu. - Ni to ciągnął, ni to pchał Danny'ego do kuchni. Podał mu nóż i widelec. - Siadaj i jedz.

Danny przez chwilę stał jak wryty, przerażony. Nie potrafi pokroić mięsa, chyba że posłuży się palcami. Wyobraził sobie siebie, rwącego jedzenie palcami, jak zwierzę. I zrobiło mu się niedobrze.

Drugie wyjście to poprosić, żeby ktoś mu pokroił stek. Tego także nie zniesie.

- Nie jestem głodny.

- Co? - Mike się zdziwił. - Ale...

Umilkł. Danny nie czekał, żeby się dowiedzieć dlaczego. Wyszedł z kuchni, po omacku wrócił do swego pokoju. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie ciężko, spocony jak szczur. Panika, którą udawało mu się kontrolować przez cały dzień, wracała. Usłyszał pukanie do drzwi.

Zamknął oczy.

- Nie jestem głodny.

- Ja też nie. - To Martha. Słyszał, jak pulsuje mu krew.

- Ja też nie jem. Pomyślałam, że możemy pogadać. Pogadać. Nieźle. Nie może wykrztusić nawet jednego słowa.

- Otwórz, Danny.

Trwał przy drzwiach. Nawet nie drgnął.

- Nie odejdę, więc albo mnie wpuścisz, albo będę się darła przez drzwi i wszyscy mnie usłyszą

Wiedziała, jak go podejść. Przestał się uzalać nad sobą. Zirytowała go. Z westchnieniem odsunął się od drzwi i je otworzył.

- Wiesz co? Jesteś niesamowicie męcząca - poinformował.

- To jedna z moich zalet. Minęła go. Poczł zapach jedzenia.

- Mówiłem, że nie jestem głodny.

- A ja sobie pomyślałam, że szkoda, żeby taki pyszny hamburger się zmarnował.

Stała za jego plecami. Coś skrzypnęło. Łóżko? Usiadła na posłaniu? Odwrócił się w tamtą stronę z nadzieją że dobrze odgadł.

- Skoro nie chciałem steku, skąd pomysł, że mam ochotę na hamburgera?

- Bo hamburgera nie trzeba kroić. - Mówiła cicho, spokojnie. Okazywała, że go rozumie i że nie musi jej niczego mówić.

Znieruchomiał. Cholerne łyzy w gardle.

- Nauczę cię kroić stek. Ba, nauczę cię go smażyć. Ale teraz musisz coś jeść. Siadaj. Łóżko jest przed tobą jakieś cztery kroki.

Pokonał je powoli, ciągle bał się otwartej przestrzeni. Ale dotarł do posłania, namacał je, usiadł koło niej. Położyła mu coś na kolanach. Talerz.

- Kanapka na godzinie szóstej, frytki na dwunastej. Jeśli nie lubisz keczupu czy majonezu, masz pecha.

Czuł ciepło talerza. Zapach doprowadzał go do szaleństwa. Żołądek fikał mu salta, ale Danny siedział nieruchomo.

- Ja... no... - Język stawał mu kołkiem w gardle, słowa nie przechodziły przez usta. - Ty... To...

- Proszę bardzo - powiedziała i napięcie opadło. - Na stoliku jest cola. - Łóżko zaskrzypiało, gdy wstawała. - Zostawiam cię.

- Poczekaj. - Szukał jej dłoni i trafił na przegub. Miała gładką, miękką skórę. - Nie idź.

Martha się zawahała. Ich relacja musi pozostać czysto służbowa, a jeśli tak, jak może siedzieć koło niego na łóżku? Ale z jego twarzy bił ciepły blask, którego wcześniej nie widziała. Nie oparła się pokusie. Usiadła z powrotem. Danny wbił zęby w kanapkę. Zamknął oczy na znak najwyższej rozkoszy.

Uśmiechnęła się.

- Smakuje?

- Pycha. - Pogryzł, przełknął. Obserwowała grę mięśni na jego szyi, zafascynowana jego męskim urokiem.

- Skoro jem twoją kolację, co ty będziesz jadła? - zapytał nagle.

- Twoją.

Odgryzł kolejny kęs i z komiczną powagą pokiwał głową.

- A więc to spisek, żeby mnie pozbawić steku? Musiała się roześmiać.

- Oczywiście. Egoizm to podstawa.

W każdym razie teraz, gdy obserwowała, jak je. Boże, co się z nią dzieje? Odwróciła wzrok, chcąc za wszelką cenę zmienić temat.

- Danny...

- Tak?

- Ten, kto cię zaatakował. Domyślasz się, kto to mógł być?

- Jeszcze nie. Właśnie dlatego zabraliśmy akta.

- I jak chcesz je przeczytać?

Uśmiechnął się. Zęby załśniły w opalonej twarzy i po raz kolejny jego uroda uderzyła ją z całą siłą.

- Nie ja - oznajmił. - Ty.

- Ja? - Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. - Przecież to poufne!

Wzruszył ramionami.

- Nie pracowałem nad niczym aż tak tajnym. Od dwóch lat zajmuję się odzyskiwaniem broni. Praca w terenie, pod przykrywką. Kontrolowane zakupy. Przystępczość uliczna, alfonsi, narkotyki...

- Brzmi... cudownie - rzekła z przekąsem.

- Nie ma w tym rutyny, to pewne. Ale też praca nie wymaga szczególnej inteligencji. Zobaczysz sama, w aktach. Zresztą jestem niewidomy, zapomniałaś? Ktoś musi mi czytać na głos. Jeśli chcesz, żeby wszystko było zgodnie z zasadami, będziesz oficjalnie współpracować z policją.

Martha przypomniała sobie, jak wyglądał podczas ich pierwszego spotkania.

- Do szpitala pewnie trafiłeś prosto z pracy?

Skinął głową. Na jego twarzy malowały się różne uczucia - żal, nostalgia, smutek.

- To był Turq. Moje uliczne wcielenie. - Wskazał swoje oczy. - Skrót od koloru. Ironia losu, co? - Wstał, jakby chciał odpędzić smutne myśli. - Słuchaj. Idź, zjedz. Ja tu dokończę, a później zajmiemy się aktami.

Godzinę później siedzieli w salonie koło kuchni. Tu - podobnie jak w całym domu - wyczuwało się lata zapuszczenia, jakby życie zatrzymało się w latach siedemdziesiątych. Wiekowy telewizor nie działał, białe niegdyś firanki pożółkły ze starości. Ale na kanapie zółciły się nadal słoneczniki, a stolik do kawy nadawał się do użytku. Danny postawił na nim pierwsze pudło z aktami.

Uniosła pokrywę i zobaczyła stertę folderów, segregatorów, teczek. Na wszystkich widniały nazwiska ofiary albo osoby składającej skargę. Zaczęła od Marcelli Andrews i przez kolejne godziny przedzierała się przez tonę dokumentów, czytając wszystko, co policjanci spisali na kartkach.

Bezmiar zła ją przytłaczał. Narkomani i dilerzy, zaopatrzeni w długą na kilometr Hstę akcesoriów. Dowiedziała się, jak w policyjnym żargonie określa się torebeczki z crackiem, a jak fiołki heroiny. Uczyła się nazw i typów broni. Dowiadywała się coraz więcej o życiu ulicy. Czytała raporty tajnych współpracowników.

- Jak ty to robisz? - zapytała nagle,

- Co?

- Jakim cudem pływasz na powierzchni tego bagna? Posłał jej dziwny, smutny uśmiech.

- Bo to bagno... cholera, sam nie wiem. - Urwał, szukał słów, którymi zdoła to wytłumaczyć. Które Martha zrozumie. - To jest rzeka, rozumiesz? Pełna życia, rwąca, zadziwiająca. Na jednym brzegu mieszkają ludzie, którzy tyrają od świtu do nocy, żeby zapłacić czynsz i kupić dzieciakom prezent. Na drugim uzależnieni, którzy zrobią wszystko za działkę. Cwaniacy, którzy naciągają system, i zwyczajni dranie. A ja oddzielam jednych od drugich. A przynajmniej próbuję. Czasami to jest jak powódź; ich zbyt wielu, mnie za mało. A czasami wydaje mi się, że naprawdę udaje mi się coś osiągnąć. Coś, w czym jestem dobry. - Chwila ciszy. - A przynajmniej byłem.

Kocha! tę pracę. Nagle poczuła, że zaraz się rozplacze na myśl, co Danny czuje, wiedząc, że to wszystko stracił.

Na zewnątrz rozległ się warkot silnika, ciemność przecięły światła reflektorów. Zaniepokoiła się.

- Samochód? - Danny szybko się uczył, choć pewnie jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Ktoś przyjechał. Dał znać, żeby wstała.

- Podaj mi rękę. - Mówił szeptem. Posłuchała. Czerpała siłę z jego palców. Przyciągnął ją do siebie i zasłonił własnym ciałem.

- Zmiana warty! - zawołał Mike z saloniku, gdzie się zainstalował. Danny się odprężył. Martha się cofnęła. Ale była zadowolona, że ma go u swego boku, nieważne, niewidomego czy nie.

Po chwili Mike wprowadził chudego, umięśnionego mężczyznę ze złamanym nosem. Gość wyglądał na boksera.

- To ja, Bayliss - odezwał się przybysz, żeby Danny wiedział, kto przyszedł.

- Wysłali sierżanta? - Danny wyciągnął rękę. - Myślałem, że będą nas niańczyć mundurowi.

Danny wyciągał rękę nie w tę stronę, ale Bayliss szybko to naprawił.

- Znasz mnie. Zrobię wszystko, byle się wyrwać z domu.

- Znam twoją żonę i wiem, że to bzdura. Facet się spieszył.

- No... Miałem tego nie mówić, ale wszyscy na posterunku zgłosili się na ochotnika.

Chwila ciszy, a potem:

- Cholera. - Danny opuścił głowę, wyraźnie zaskoczony. Mike przerwał niezręczną ciszę.

- Martha Crowe, sierżancie. Martho, to sierżant Mel Bayliss.

Bayliss uprzejmie skinął głową.

- Finelli był grzeczny?

- Cudowny - zapewniła. - Za to detektyw Sinofsky...

- Sin? - Mel się uśmiechnął. - Kto by pomyślał? - Poklepał Danny'ego po plecach. - Siadaj i opowiadaj.

Wrócili na kanapę. Bayliss przycupnął na oparciu, Mike stał z boku.

- Przeglądaliśmy stare akta - zaczął Danny i zwrócił się do Marthy: - Przeczytaj listę.

Co jakiś czas kazał jej zapisywać nazwiska z przeglądanych dokumentów.

- Tommy Pelotti.

- Pamiętasz aresztowanie narkotykowe, półtora roku temu? - ciągnął Danny. - Facet oszalał, wrzeszczał, że nas dopadnie.

- Owszem - zgodził się Bayliss. - Był naćpany. Wyszedł już?

- W zeszłym miesiącu. Bayliss pokręcił głową.

- Kto jeszcze?

- Antone Linley - powiedziała Martha.

- Jeden z ludzi Rody - wyjaśnił Danny. - Był oskarżony o posiadanie i zamiar sprzedaży, ale się wykręcił. Niezbyt nas lubi.

- Roda zajmuje pierwsze miejsce na naszej liście - dorzucił Mike. - Sprawdzamy wszystkich jego ludzi.

- Dobra. Zajmę się tym dokładniej. - Bayliss i Mike wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć, że Danny śni na jawie. Dobrze, że tego nie widział. - Kto dalej?

- Dewayne Cordell - przeczytała.

- Jeden z moich tajnych informatorów. Narkoman, ale w miarę spokojny. Skontaktujcie się z nim, zobaczymy, co powie. Ale musicie mu zapłacić.

- Na razie to wszystko - podsumowała Martha.

- Jutro będziemy szukać dalej - zapewnił Danny.

- Zacznę od tej trójki. - Mike wziął listę od Marthy. - Chodźmy, sierżancie, pokażę panu dom.

Oprowadził Baylissa po budynku, potem przyszedł się pożegnać.

- Mel siedzi w kuchni, z kawą. Jutro przyjadą Bradley i Carstens, ja dopiero pojutrze. Mam twoją komórkę, zadzwonię, jeśli coś znajdziemy. - Uciskał dłoń Danny'ego. - Trzymaj się.

Już odchodził, ale Danny zawołał za nim:

- Ej, Mike! Tylko nie przeraż mojej siostry!

Mike zatrzymał się w pół kroku i odwrócił powoli, jak dziecko przyłapano na kradzieży cukierków.

- O co ci chodzi?

- Przecież się z nią spotkasz, prawda?

Przyjaciel skrzyżował ręce na piersi, trochę urażony, trochę zły.

- Może.

- Może, akurat. Bądź dla niej dobry. Nie chcę, żeby się martwiła.

- Za kogo ty mnie uważasz?

- Chyba nie chcesz usłyszeć odpowiedzi.

Mike wyszedł z uśmiechem na ustach, a Martha rozmyślała nad ich przyjaźnią i szorstkimi słowami, pod którymi ją ukrywali.

Nagle ziewnęła. Ciekawe, która godzina? Zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos, dopiero kiedy Danny odpowiedział:

- Nie wiem, zegarek do mnie nie gada. Pozbierała przejrzone akta i odłożyła na bok.

- Więc trzeba się tym zająć. Zachnął się.

- Niby jak? Operacja mózgu? Od razu ci mówię. Lekarze stwierdzili, że to nie pomoże.

- Na rynku jest mnóstwo gadżetów, które ci ułatwią życie. Gadające zegarki, komputery, wszystko. Ciesz się, że żyjesz w naszych czasach.

Oparł głowę o oparcie i masował skronie.

- Bardzo się cieszę, nie ma co.

Przewróciła oczami, słysząc sarkazm w jego głosie.

- Uważaj, już ci zamówiłam słownik.

- Trzęsę się ze strachu. Uśmiechnęła się i wstała.

- Na tym zakończymy dzisiejszą rozmowę.

- Już? Dopiero dochodzi północ. Zmarszczyła brwi.

- O ile pamiętam, mówiłeś, że nie wiesz, która godzina.

- Mam zdolności parapsychologiczne.

- Czyżby. - Mimo sceptycyzmu, w jej głosie czaił się cień uśmiechu. Drażnił się z nią tak samo jak z Mikiem. I bardzo jej się to podobało. - Więc o czym teraz myślę?

Spojrzał na nią, czy raczej skierował głowę tani, gdzie, jak sądził, stała. Na jego twarzy malowały się męska duma i rozbawienie.

- Żałujesz, że nie jesteś o dwadzieścia lat młodsza, bo mogłabyś mnie wykorzystać.

Zaczerwieniła się. Pilnowała, żeby nie zdołał wyczytać z jej głosu, że się speszyła.

- Chyba coś ci się pokręciło. To raczej twoje marzenia, mój drogi. Roześmiał się. Napawała się tym widokiem.

- Skoro mamy zmianę warty, musi być coś koło północy.

- Dobranoc, detektywie - powiedziała sucho.

- Słodkich snów, Martho.

Kiedy wyszła, poszedł do kuchni. Bayliss nadal siedział nad kawą. Dołączył do niego.

- Dogadujesz się z panną Crowe?

Wyczuł podtekst w głosie sierżanta i choć przed chwilą sugerował to samo w rozmowie z Marthą teraz ta myśl wydała mu się niesmaczna.

- Daj spokój, Mel. Mogłaby być moją matką. Bayliss się zachnął.

- Raczej moją córką.

- Co ty pleciesz? Ma pięćdziesiąt osiem lat. Mel zakrztusił się kawą

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Powiedziała... - Zamyślił się. Przypomniawszy sobie wszystkie okazje, gdy jej dotykał. Jej głos, jej zapach. Powoli skinął głową. - Nie ma tyle.

- Pomyliłeś się o jakieś dwadzieścia pięć. To nie laska. O nie. Nie taka, jakie lubisz. Proste ciemne włosy. Wysoka, chuda, ubiera się w worki. Ale na pewno daleko jej do pięćdziesiątki.

- A niech mnie - mruknął Danny cicho.

Rozdział 5

O snach Marthy można było powiedzieć wiele, ale z pewnością nie to, że są słodkie. Tym razem okazały się mroczne i duszne. Uciekała przez parną dżunglę przed jaguarem o turkusowych oczach. A im dalej biegła, tym bardziej chciała, by ją dogonił.

Obudziła się gwałtownie, spocona. Odrzuciła koc tak energicznie, jakby odrzucała myśl o Dannym. Przeżywali go Sin, czyli „grzech”. Idealnie pasowało do sytuacji.

Ciągle półprzytomna, zwlokła się z łóżka i poczłapała do kuchni. Bayliss w saloniku stawiał pasjansa. Na stoliku obok kart leżał pistolet.

Nie wiedziała, czy ten widok bardziej ją przerażał, czy dodawał jej otuchy.

Zobaczył ją, skinął uprzejmie głową i znowu się zajął kartami. Martha wyjęła herbatę z szafki, zagotowała wodę i naląła wrzątku do kubka. Zdjęła płaszcz z wieszaka przy drzwiach i wyszła na ganek z tyłu domu.

Przejmujące zimno rozpędziło resztki sennych omamów. Otuliła palcami ciepły kubek i podniosła twarz ku gwiazdom.

- Nie możesz spać?

Ochrypli głos Danny'ego dobiegał z fotela w cieniu. Drgnęła, zaskoczona.

- Nie widziałam cię.

- No, to jest nas dwójek

Uśmiechnęła się, gdy zażartował, ale nie odpowiedziała w podobnym tonie.

- Też nie możesz spać?

- Trudno zasnąć, gdy dzień i noc niczym się od siebie nie różnią.

- Przyzwyczaisz się.

- Nie chcę.

Nie przypomniała mu, że rzadko sprawy toczą się tak, jak chcemy. Że trzeba się mierzyć ze światem takim, jaki jest.

Noc pachniała cudownie, mimo zimna - sosny, ziemia i świeży śnieg. Światło księżyca rozjaśniało pole za domem. Wiatr szumiał w nagich gałęziach drzew.

- Widzisz? - zapytała.

- Co?

- Wiatr wśród drzew. - Zamknęła oczy, zdana tylko na słuch. Powietrze szumiało powoli, statecznie, jakby gałęzie zmieniły się gigantyczne żebra, między którymi oddychała ziemia.

- Tak - odparł w końcu. - Widzę.

Milczeli przez dłuższą chwilę, zanim Danny znowu się odezwał:

- Jak twój siniak?

Odruchowo podniosła dłoń do policzka. Kilka godzin temu, gdy przejrzała się w łazienkowym lustrze, myjąc zęby, siniak nabierał głębokiego, fioletowego koloru.

- Piękny odcień, na razie lila, ale purpura i lekka ochra niedługo dołączą.

- Artystyczny opis. - Wstał, podszedł do niej, bardziej pewny siebie w ciemności niż ona. - Niedobrze mi się robi na myśl, że szpeci ładną buzię.

Zarumieniła się. Ładną buzię. Roześmiała się gorzko.

- Tym akurat nie musisz się martwić. Nigdy nie byłam piękna, a teraz...

- Ach, no tak, bo... Ile masz lat? Zapomniałem.

Zamrugła szybko. Nie mogła sobie przypomnieć, jaką liczbę rzuciła rano na odczepnego.

- Ja... pięćdziesiąt...

- Pięć, prawda? Skończysz w czerwcu. Odetchnęła z ulgą.

- Tak, właśnie tak.

Zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów do niej.

- A może pięćdziesiąt osiem? W lutym? Wpadła w panikę. Co mu powiedziała?

- Nie, nie... pięćdziesiąt pięć. W czerwcu.

- Jesteś pewna? - Wyciągnął ręce, dotknął jej ramion, przesuwając dłonie coraz wyżej. Jego dotyk palił przez płaszcz, ogrzewał ramiona, barki, policzki.

Zamknął jej twarz w dłoniach.

- Co ty wyprawiasz? - Strach i podniecenie przyprawiły ją o żywsze bicie serca.

- Patrzę na ciebie. Jak na wiatr. - Opuszki jego palców błędziły po jej twarzy, wśród włosów. Pieścił jej brwi, zarys nosa, wreszcie doszedł do warg.

Zimno przeszło w ogień. Nie mogła oddychać.

- Idę o zakład, że w ciągu tych pięćdziesięciu ośmiu lat całowałaś wielu mężczyzn.

Mówił niskim, ochrypłym głosem. Walczyła ze sobą, żeby nie ulec jego czarowi.

- Pięćdziesięciu pięciu. Owszem, było ich trochę.

- Czyżby? - Skąd pojawiło się wrażenie, że nie wierzy w ani jedno jej słowo?

- Danny, nie. Proszę. Przestań. - Chciała się odsunąć, ale trzymał ją mocno, silne dłonie obejmowały jej twarz, palce muskały usta.

- Czego chcesz, Martho?

Kolana się pod nią ugięły, cała była płynnym ogniem.

- Żeby to się zaraz skończyło. I to już!

- Naprawdę?

Był mroczny jak noc. Potężny, silny samiec, który otulił ją ciemnymi skrzydłami i porwał na zawrotną wysokość, by potem cisnąć na ziemię, żalną, połamaną.

Przez ułamek sekundy w ogóle jej to nie obchodziło. Pochylał głowę, jego usta były coraz bliżej. Zamknęła oczy. Oddychała z trudem.

- Przez was moje życie staje się piekłem - stwierdził Bayliss. Stał w drzwiach. - Jeśli chcecie romansować w środku nocy, róbcie to w domu.

Martha poczerwieniała. Danny ani drgnął.

- Masz fatalne wyczucie czasu, Bayliss.

- Wiem, moja żona mówi to samo.

Danny się cofnął. Martha uciekła wystraszona. Bayliss zagwizdał.

- Tracisz wprawę, Sin.

- No cóż, nie ma to jak trochę zaślepienia, żeby wystraszyć dziewczynę.

Bayliss nie skomentował. Danny po omacku szedł do siebie. Zza ściany dobiegał szum wody. Myła twarz? Chłodziła się? To znaczy, że ją rozpalili?

Sam nie wiedział, po co to zaczął.

Zdenerwowała go i tyle.

Zrobiła z niego głupka. Z niewidomego. Okłamała go.

Nawet jeśli nie jest już policjantem, nadal jest mężczyzną. Nadal przyprawia kobiety o żywsze bicie serca. Przecież przed chwilą to udowodnił. Może nie?

Przysiadł na łóżku i nerwowo uderzył pięścią w poduszkę.

Tylko dlaczego tak mu z tym źle?

Krzyk, który cały czas czaił mu się gdzieś w gardle, próbował się wydostać. Zdławił go, przełknął, powstrzymał. Ale nie był pewien, czy nie wybuchnie w najmniej oczekiwanym momencie.

Położył się, zamknął oczy.

Nie wiedział, kiedy zasnął, ale kiedy się obudził, ciemność nadal mu towarzyszyła. Przeszył go dojmujący ból, przenikliwy jak cięcie maczetą. Kiedy w końcu odzyska wzrok?

Strach utrudniał oddychanie. A jeśli odpowiedź brzmi: „nigdy”? A co, jeśli do końca życia będzie ślepy?

To już nie był strach, ale przerażenie. I rozpacz tak silna, że jeśli jej nie opanuje, straci rozum.

Usiadł, nie wiedząc, czy przespał kilka minut czy kilka godzin. Czy nadal jest noc? A może słońce już wstało i stopiło śnieg?

Podniósł się, oparł o wezglowie i przypomniał sobie pokój, jak go sobie wczoraj wyobrażał. Drzwi powinny być naprzeciwko, w odległości kilku kroków. Ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Kłękcie dotknęły plastikowej framugi, a potem drewniej powierzchni. Znalazł klamkę.

Zapachniało kawą. Usłyszał cichy szmer rozmów.

Po jego lewej stronie znajdowała się łazienka. Idąc wzdłuż ściany, znalazł drzwi, wszedł, skorzystał i ruszył do kuchni.

Rozpoznał głosy, jeszcze zanim przekroczył próg. Martha i Anita Bradley. Anita, potężna Murzynka o głosie donośnym jak dzwon, była jedyną kobietą w wydziale. Skoro tu jest, nadszedł ranek i Bayliss odjechał.

Zatrzymał się w saloniku, słuchał, o czym rozmawiają.

- Żonaty? - Anita się roześmiała. - O, nie. Sin to nasz playboy. Wieść o wypadku już się rozeszła. - Przekładała papiery. - To plon ostatniej nocy: Barbie, Pattie, Debbie...

- Nie zna kobiet o pełnych imionach? Tylko zdrobnienia? Anita zachichotała.

- Nie. Nadają tylko te z „ie” na końcu. No i oczywiście, od ilorazu inteligencji ważniejszy jest rozmiar miseczki.

Poczerwieniał.

- Daruj sobie, Bradley. - Stał w progu, opierając się o framugę. -Z twojego opisu wynika, że jestem płytki.

- Prawda w oczy kole.... - Anita się zachnęła.

Wyobraził sobie jej przemądrzałą minę i zmusił się, żeby zachować cierpliwość.

- Prawda jest taka, że podobają mi się wszystkie kobiety. Nawet ty, Anito. - Stół stał po lewej stronie pomieszczenia. Szukał go po omacku. -I to mimo twojego ilorazu inteligencji. I rozmiaru miseczki.

Oburzyła się komicznie.

- I mimo, że twoje imię nie kończy się na „ie”. Podobnie jak Carol, Pam czy Trish.

- Owszem, ale one nie dzwoniły.

- Jeszcze nie.

Roześmiała się, nisko, gardłowo.

- No dobra, Sin. Już nic nie powiem o tobie i twoich kobietach.

- Wielkie dzięki, koleżanko Bradley. W końcu to nie twój interes. Poza tym nie chcemy, żeby panna Crowe wyrobiła sobie błędne mniemanie o kwiecie policji w Sokanan.

Anita zakasłała, jakby znowu usiłowała powstrzymać śmiech.

- Ależ skądże.

Przeszedł kilka kroków wzdłuż ściany, minął drzwi do saloniku, kredens i kontuar.

- Pachnie tu kawą.

- Świeżo zaparzona. - Skrzypnięcie krzesła. Ktoś wstał. - Zaraz ci naleję - zaofiarowała się Anita.

- Nie zawracaj sobie głowy. - Głos Marthy był suchy i zimny. - Kontuar, mniej więcej dwie trzecie długości w stronę stołu.

Chwila ciszy. A potem skrzypnięcie krzesła. Anita usiadła. Zaklął w myślach, przesuwał palcami po blacie, aż trafił na plastikową podstawę ekspresu.

- Kubki w kredensie - poinformowała Martha tym samym lodowatym tonem.

Cholera, o co się wścieka? To nie ją okłamano.

No dobra, może trochę.

Nie powiedział jej, co wie. Bawił się nią.

No więc okej. Ma prawo się wściekać.

Co nie znaczy, że jemu musi się to podobać.

Podniósł ręce, namacał kredens i poszukał drzwiczek. Kiedy je otworzył, uderzył dłonią w rząd kubków. Wyjął jeden, postawił na blacie i znieruchomiał. Nie wiedział, co dalej. Cisza dzwoniła mu w uszach. Czuł, jak wali mu serce. Ale prędzej go szlag trafi, niż poprosi o cokolwiek Marthę Crowe.

Ponownie odnalazł ekspres, obrysował go dłońmi i oparzył się, dotykając podgrzewacza.

- Cholera - mruknął, podnosząc do ust poparzony palec. No, ale przynajmniej wie, gdzie jest dzbanek. Znalazł rączkę, wyjął dzbanek z ekspresu i poszukał kubka.

Potrącił go. Kubek się przewrócił.

- Cholera - zaklął.

- Szukaj metodycznie. - Martha nie wytrzymała. - Na przykład zataczając koła.

Wsadź sobie te rady, pomyślał, ale w końcu znalazł kubek. A teraz co? Niby jakim cudem zdoła nalać kawy, nie zalewając wszystkiego dokoła? Schował dumę do kieszeni.

- Dobra, Crowe, poddaję się. Niby jak mam to nalać?

- Prosisz o pomoc? Zacisnął usta.

- Powiedz mi, jak mam to zrobić, albo sama mi nalej. Ale daruj sobie komentarze.

Usłyszał skrzypnięcie krzesła, a potem otoczył go jej cudowny zapach. Nagle znalazła się przy nim, czuł na sobie jej dłonie, jej pierś na ramieniu. Nie chcący czy celowo? Czyżby odpłacała mu pięknym za nadobne? Nieważne. Od razu zareagował. To kobieta, nie instruktorka. Miękka, kształtna... kobieca.

- Czujesz brzeg dzbanka? - Mówiła mu do ucha, czuł jej oddech na szyi. Nakryła jego dłoń swoją, nakierowała na dzbanek. Chłodne szkło i ciepło kawy. Gładkość. I jej palce, zimne, wąskie, gładkie, ale inaczej.

Zaschło mu w ustach. Naprowadziła jego dłoń na dzióbek.

- Tutaj, czujesz? Połóż palec na dzióbku. - Ich dłonie poruszały się w wolnym, zmysłowym tańcu. - Weź kubek, połóż palec środkowy na krawędzi, wsuń go lekko do środka. - Pomogła mu. Krew w nim szalała, uderzała do głowy i do... O Boże! - Nalewaj powoli. Kiedy poczujesz na palcu ciepło, wiesz, że kubek jest pełen.

I nagle jej dłoń zniknęła. Został sam, rozpalony jak nastolatek. Żaloszny dupek.

Wstrzymał oddech, przechylił dzbanek. Udało się. Żaloszne, jak wielką dumą napełniło go to małe zwycięstwo.

- Śniadanie?

- Kto śpi do południa, gotuje sobie sam - oznajmiła Martha.

- Do południa?

- No, prawie - uściśliła Anita. - Jest wpół do jedenastej. Cholera. Przespał pół poranka. Zacisnął dłoń na kubku. Wolał nie myśleć o tym, co kłębiło mu się w głowie.

- Coś nowego w sprawie broni?

- Dowiemy się po południu - odparła Anita. - Bud się tym zajmuje.

- Bud? - Martha się wtrącała.

- Bud Taylor - wyjaśnił Danny. - Znajomy z wydziału broni palnej, alkoholu i tytoniu. - Sączył kawę. Gratulował sobie, że pije czarną i nie musi się męczyć z mlekiem i cukrem. Burczało mu w brzuchu, ale przygotowanie śniadania wydawało się zbyt wielkim wyzwaniem. Kawa była wystarczająco trudna.

- No cóż... - Westchnienie i odgłos odsuwane go krzesła. - Wracam do saloniku - oznajmiła Anita. - Dzięki za kawę.

- Dzięki za zakupy - odparła Martha.

- Nie możemy przecież głodzić gości! - Anita minęła Danny'ego w drodze do drzwi. Poklepała go po ramieniu. - Jak już zjesz, przyjdź do mnie, pogadamy.

Skinął głową. Wyszła.

- Anita zrobiła zakupy - poinformowała Martha. - Mamy jajka, grzanki, bekon.

- Znowu będziesz mnie trzymała za rączkę? - Usłyszał irytację w swoim głosie.

- Nie boję się ciebie, detektywie Sinofsky. - Ten ton. Jakby dumnie podniosła głowę, wyprostowała plecy.

- Sin.

- Danny.

- Co jest, Martho? Masz coś przeciwko grzechom?

- No cóż, nie wyszły mi na dobre - powiedziała to nadętym belferskim tonem. Słyszał w nim wszystkie pięćdziesiąt osiem lat, które rzekomo miała.

- Bo grzech nie wychodzi na dobre. Przynosi rozkosz. Cholera. Dużo by dał, żeby jej zaznać.

- Szukaj rozkoszy w innym towarzystwie. Ja cię nauczę, jak przyrządzić śniadanie.

- Umiem sam. Jestem już duży.

- Cieszę się, to mi oszczędzi sporo zachodu. - Jej słowom towarzyszył odgłos otwieranych szuflad. Trzaskała nimi, jakby w ten sposób dawała wyraz swojej irytacji. Jej ruchom towarzyszył brzęk, jak się domyślał, sztuców kładzionych na blacie. Zazgrzytały drzwi lodówki. - Na wierzchu jest wszystko, czego będziesz potrzebował. Powiedz, co tu masz:

Chcąc ją zaskoczyć - i może odrobinę dreczony wyrzutami sumienia za wczoraj - odszedł od blatu i przeszedł przez całą kuchnię. Skręcił w lewo, doszedł do zlewu, poszedł w prawo, minął kuchenkę i poczuł pod dłońmi sztuce, dokładnie tak, jak mówiła.

Dotykał ich ostrożnie.

- Ubijaczka do jajek. Nóż.

- Jaki?

Badał ostrze i trzonek.

- Do jedzenia, nie do zabijania. To nie nóż do steków ani do oprawiania. Nie sztylet, toporek czy nóż myśliwski.

- Dobrze. - Mówiła zwięźle, nie połknęła przynęty. - Dalej? Poczuł pod dłonią podłużne opakowanie, papierowe albo z tektury.

Uniósł wieczko, dotknął zakrzywionych kształtów.

- Jaja, tuzin, w pudełku. - Przesunął rękę w prawo. Długa rączka, rozszerzająca się na dole, drewno. - A to... drewniana łyżka. - Coś zim-

nego, okrągłe, zimne i twarde. Metal albo szkło. Pstryknął w to palcami, rozległ się metaliczny dźwięk. - Miska?

- Tak.

Płytkie naczynie z długą rączką.

- Patelnia.

I wreszcie podłużna tuba w papierku.

- Masło?

- Margaryna.

- Skąd mam wiedzieć, co?

- Spróbuj.

- Wielkie dzięki.

- Możesz je podpisać.

- Podpisać?

- Oznaczyć. Zacisnął usta.

- Przecież nie mogę czytać, do cholery.

- Brajlem - odparła cicho.

To słowo uderzyło go z pełną siłą. Żołądek fiknął salto. Kawa, którą wypił, chciała wydostać się na świat. Przed oczami stanęła mu Helen Keller, siwowłosa, zakurzona, rysująca w powietrzu znaki, których sama nie widziała. Podziwiał ją, tak, ale nie na tyle, by iść w jej ślady.

- O, nie. Nigdy.

Westchnęła, jakby przeżyła duże rozczarowanie. Spodziewała się, że tak będzie, a jednak... No i co z tego? Ma w nosie, co sobie pomyślała. Żadnego brajla i żadnej laski. Nie będzie przecież ślepy do końca życia!

- Możesz zaznaczać je flamastrem.

- Flamastrem? O jaskrawym kolorze? Markerem? - Co ona, kpi z niego? I tak tego nie zobaczy.

- Nie, o specyficznej fakturze.

- Co proszę?

- Są flamastry, które zostawiają gruby, wyraźny ślad, grudkę. I o to chodzi. Jedna kropka to margaryna, dwie masło. Ale przy puszkach ten system zawodzi.

Kropki. Oznaczanie całego życia. Przełknął ślinę i zdusił obrzydzenie. Wyjął trzy jajka z pudełka.

Martha obserwowała go spod oka. Trochę za wcześnie zmuszała go, żeby sam przygotował sobie śniadanie, ale i tak kiedyś będzie się musiał tego nauczyć. A poza tym nie może pozwolić, żeby ją zastraszył.

Nie będzie się bała. Ani jego, ani tego, co się wczoraj wydarzyło.

Co za facet podrywa kobietę w wieku jego matki?

Mężczyzna, który musi sobie coś udowodnić, na przykład to, że - ślepy czy nie - nadal zdobędzie każdą.

Tak? No to niech tego dowiedzie, wykorzystując kogo innego. Nie pozwoli, żeby ją zranił.

Rozbił pierwsze jajko o brzeg miski, ale źle oszacował siłę uderzenia i zbił całą skorupkę.

- Cholera. - Surowe żółtko ściekało mu z dłoni.

- Papierowy ręcznik koło piekarnika. - Kusiło ją, żeby mu pomóc, ale się powstrzymała. Niech zobaczy, co to za uczucie, gdy jest się bezradnym i przerażonym. Zdławiła w sobie instynktowne współczucie, gdy szuka! piekarnika, znalazł ręcznik i wytarł ręce.

Wziął kolejne jajko. To samo.

- Kurwa!

Z trzecim poszło lepiej. Przelał je do miski, ale kiedy roztrzaskał czwarte, odepchnął naczynie i ruszył do drzwi, nachmurzony. Stała mu na drodze.

Anita stała w drzwiach z pistoletem w dłoni. Zaniepokoiły ją hałasy.

- Co tu się dzieje? Wszystko w porządku?

- Puść mnie - wycedził przez zęby do Marthy. Oczy błyszczały mu jak brylanty.

- Detektyw Sinofsky szykuje sobie śniadanie. - Jej spokojny głos nie zdradzał rozszalałego pulsu. - Wszystko w porządku.

Anita się zawahała, oceniła sytuację i wróciła do saloniku.

- Długo trwało, zanim nauczyłeś się strzelać? - zapytała, kiedy policjantka zniknęła.

Nie odpowiedział.

- Trafiłeś w środek tarczy za pierwszym razem? Pewnie nie. Podałeś się? Uciekłeś ze strzelnicy? Zostawiłeś...

- Rozumiem.

- To dobrze. Zostało jeszcze osiem jajek.

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, niepewnym, nerwowym krokiem, ale wrócił. Mógł wyjść. Mógł się poddać. Nie zrobił tego i poczuła podziw.

Rozbił jeszcze cztery jajka, zanim dwa w końcu trafiły do miseczki, kłął nieprzerwanie, ale ubił je bez problemów.

Później pokazała mu, jak się posługiwać kuchenką - włączać ją i wyłączać. Jak pilnować patelni.

Gniew szpecił jego piękną twarz, ale wypełniał jej polecenia. Gdy jajecz- nica była gotowa, przełożył ją na talerz, dotykając jego brzegu, żeby się upew- nić, że śniadanie nie łąduje na blacie.

To, co robił, nie sprawiało, że czuł się szczęśliwy, ale nie przestawał. I to mówiło wiele o jego podejściu do życia. Walczył, nie poddawał się, aż się na- uczył. Ogarnęła ją duma. Ludzie, którzy nagle stracili wzrok, często trwali w bezmyślnym uporze, który nierzadko ustępował. Jej ojciec co najmniej rok zmagał się z myślą o kalectwie, zanim pogodził się z tym faktem.

Wyjęła mu talerz z rąk i postawiła na stole.

- Zakładam, że pamiętasz, jak wygląda nakryty stół?

- Jasne. Jakby to było wczoraj.

Puściła jego sarkazm mimo uszu. Wiedziała, że w ten sposób radzi sobie ze stresem.

- Siadaj. Znajdź krawędź stołu wierzchem dłoni. Posłuchał.

- Przesuwaj dłońmi po stole.

Patrzyła, jak jego palce badają gładką powierzchnię. Silne, opalone, pew- ne. Przez ułamek sekundy przypomniała sobie ich dotyk na twarzy. Przeszył ją dreszcz. Dobrze, że tego nie widział.

Natrafił na coś.

- Serwetka i widelec po lewej stronie talerza. - Przesunął prawą dłoń. - Kubek z kawą po prawej. Ciepła.

Oderwała wzrok od jego dłoni, szukała ucieczki w profesjonalnym zacho- waniu.

- Dolałam ci. Uważaj, kiedy podnosisz rękę nad stołem. Ruszasz nią ener- gicznie. W ten sposób rozlewa się płyny.

- Tak jest, psze pani.

Ona także usiadła. Właściwie prawie już się przyzwyczaiła do jego blisko- ści. Prawie.

- Sól? Pieprz?

- Żebym jeszcze umiał je rozróżniać.

- Nauczysz się. Możesz kogoś poprosić, żeby ci je podał.

- Jezu. Podasz mi je?

- Na drugiej godzinie. Poszukaj.

Skrzywił się, ale wykonał polecenie, nie rozlewając przy tym kawy. Kolej- ny plus.

- Okej.

- Możesz je rozróżnić?

Podniósł pojemniczki.

- Jeden jest cięższy.

- Tak jest. Wysyp z niego odrobinę na dłoń. Co czujesz?

- Twarde, ziarniste...

- To sól. Sprawdź zawartość drugiego.

- Leciutkie, jakby nic nie ważyło.

- Pieprz. Co masz na talerzu?

- Jajecznicę.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien, sam do cholery to usmażyłem....

- No dobrze. A gdybyś nie miał pewności? Albo gdyby oprócz jajecznicy na talerzu był też bekon?

Nie widział jej, ale w oczach miał chęć mordy.

- Zanim skończymy, jajecznicę i wymaginowany bekon wystygną na lód.

- Delikatnie dotknij widelcem potrawy na talerzu. Tym sposobem ustalasz, z jakim daniem masz do czynienia i gdzie się znajduje.

Wykonał polecenie.

- Wysyp przyprawy na dłoń i teraz dopraw danie.

Doskonale. Znowu poczuła dumę z jego postępów. Bez namysłu wyciągnęła rękę, żeby go uściskać, ale w porę się powstrzymała.

- I co, grzeczny ze mnie chłopiec?

- Jesteś na najlepszej drodze, żeby stać się samowystarczalnym człowiekiem.

- No to ze mnie szczęśliwy dupek. Uśmiechnęła się lekko.

- Owszem, detektywie. Owszem.

Rozdział 6

Danny siedział w swoim pokoju. Nie miał siły na kolejną sesję z Martha. Ktoś zapukał do drzwi. Nauczył się już ścielić łóżko i składać ubranie. I oczywiście udzieliła mu kilku kolejnych lekcji gotowania. Przez większość czasu czuł się, jakby wrócił do szkoły. Podstawowej.

Już chciał powiedzieć, żeby spadała, gdy usłyszał męski głos.

- Ej, Sin. To ja, Tim.

Danny się rozpromienił. Każdy, kto nie był Martha, stanowił miłe urozmaicenie. Tim Carstens był beniaminkiem wydziału. Starszy od Danny'ego o rok, był nieco szczuplejszy i miał chłopięcą urodę, przez co wyglądał na szesnaście lat. Często pracował na terenie szkół, przenikał do gangów. Skoro przyjechał, a Anita wróciła do miasta, minęła kolejna zmiana. Było koło ósmej.

- Wejź.

Drzwi się otworzyły.

- Mam coś dla ciebie.

Danny stał przy łóżku, czekał, aż Tim podejdzie, żeby nie szukać go po omacku.

- Mam nadzieję, że to drogi prezent.

- Dla ciebie wszystko, co najlepsze, skarbie. - Szelest papieru. Tim wsunął mu torebkę w dłoń.

Zawierała kilka pudełek. Wyjął jedno, otworzył i powąchał. Medyczny zapach uderzył go w nozdrza.

- Ta? - zapytał Tim. Danny pokręcił głową.

- Za dużo anyżku. Tim prychnął.

- Baw się dobrze. Nie wytrzymam tego smrodu.

Wyszedł. Danny wysypał zawartość torebki na łóżko. Pudełko, które już badał, wrzucił do niej z powrotem. W sumie pięć opakowań, różne kształty i rozmiary. Sprawdził kolejne dwa. Bez rezultatów. W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Odebrał.

- Mam wieści o broni - powiedział Mike, nie witając się. Danny poczuł dreszcz oczekiwania.

- Wal.

- Żadnych znaków, numerów seryjnych. Nic. Jakby nie istniała. Podniecenie opadło.

- Niemożliwe. - Oparł łokcie na kolanach. - Ktoś musiał gdzieś wykonać tę broń. Na pewno jest sposób, żeby namierzyć jej pochodzenie. A Taylor?

- Sprawdza ją w metalurgii, czy da się ustalić, gdzie wykonano stop, z którego jest zrobiony pistolet. Jeśli im się to uda, ustalą producenta.

- Cholera. - To się może ciągnąć tygodniami. Nie mają tyle czasu. Im szybciej będą coś wiedzieli o broni, tym szybciej trafią do sprawcy i rozwiążą tę sprawę. A później pozbędzie się rehabilitantki i wróci do dawnego życia... Akurat. - Niech Bud traktuje to jako sprawę priorytetową.

- No cóż, nie tracimy nadziei. Dam znać, kiedy Bud coś ustali. A przy okazji sprawdziłem ludzi z twojej listy.

- I co?

- Tommy Pelotti odpada. Siedzi. Złamał warunki zwolnienia warunkowego. Zgarnęli go na tydzień przed strzelaniną w magazynie.

Cholera.

- Antone?

- Ma alibi.

- Też mi nowina.

- Może to fałszywka, ale dziesięć osób przysięga, że w czasie strzelaniny był z nimi w klubie Starlight.

- To knajpa Rody.

- Fakt. Ale świadkowie są różni, nie tylko jego ludzie. Również studenci i miejscowi. 1 wszyscy się zaklinają że go widzieli.

- No to pech. A Dewayne?

- Nic nie wie. Obiecuje, że będzie miał oczy i uszy otwarte, ale na razie...

Zero.

- Więc wracamy do punktu wyjścia.

- Chyba że masz nowy pomysł?

Przypomniało mu się długie, męczące popołudnie z Martha.

- Przejrzałem wszystkie akta. Nic.

- No dobra. Będę miał oko na Antone'a. Zobaczmy, czy alibi jest prawdziwe. I docisnę Dewayne'a. A co u ciebie?

- Lepiej nie pytaj.

- Trzymaj się. Do zobaczenia jutro.

Danny się rozłączył. Nic nie układało się po jego myśli. Tommy i Antone to były strzały w ciemno, ale liczył, że może okazać się trafne. Broń stanowiła ich jedyny trop, który jak na razie prowadził donikąd.

Broń, której nie można wyśledzić. Przecież nieraz ustalali nawet numer seryjny łusek. Kto strzela z anonimowej broni?

Przeszył go zimny dreszcz.

To szaleństwo. Pracuje w niewielkim mieście. Nigdy nie prowadził dużej sprawy. Niby dlaczego ktoś miałby...

Sięgnął po komórkę. Coraz lepiej mu szło wystukiwanie numerów, ale trochę trwało, zanim wybrał właściwy. W końcu udało mu się dodzwonić do Buda Taylora. Usłyszał, że kolega już wyszedł. Zostawił wiadomość.

Niepokój powrócił. Jezu, oddałby wszystko za chłodny ciężar pistoletu za paskiem i świadomość, że może go użyć.

Nie mógł się uspokoić. Jest do niczego, po prostu do niczego. Jest bezbronny, jak kaczką na stawie. Jak Martha.

Wmawiał sobie, że nic go to nie obchodzi. Proszę bardzo, niech ją rozwalą. Sam miał ochotę ją zabić.

Ale wpadła w to wszystko nie z własnej winy. Przez niego, to jasne. A on nie umie nawet zadbać o siebie, a co dopiero o nią.

Pukanie do drzwi.

Szatan we własnej osobie.

- Czego?

Martha uchyliła drzwi, nie czekając na zaproszenie.

- Chcesz kanapkę?

Wyczuwał pułapkę. Powtórzy męki ostatnich dwóch poranków?

- Pewnie muszę ją sobie sam zrobić.

- Już po piątej. Masz wolny wieczór. - Czyżby żartowała?

- Dzięki, szefowo.

- Ależ proszę. Więc jak? Indyk czy pieczeń?

- Żartujesz sobie.

- Będzie pieczeń. - Sądząc po jej głosie, komicznie przewróciła oczami. - Z serem?

- Bez sera i bez pomidorów. Z sałatą, musztardą i majonezem.

- Dobrze, proszę pana. - Tak, zdecydowanie słyszy drwinę w jej głosie. -

Coś jeszcze?

Uśmiechnął się wbrew sobie. Musiał jej to przyznać, odwzajemniła mu się pięknym za nadobne.

- Lodowate piwo?

- Niestety, nie mamy pozwolenia na serwowanie alkoholu.

- Co to za knajpa?

- To kryjówka. Prymitywna.

- Ha! Powiem o tym, komu trzeba. Zaraz przyjdę.

Wyszła. Otworzył dwa pozostałe pudełka. Pierwsze przyniosło kolejne rozczarowanie, ale ostatnie okazało się strzałem w dziesiątkę. Od razu rozpoznał charakterystyczną ziołową nutę, której nie było w innych maściach.

Szczęśliwy, jakby trafił główną wygraną na loterii, poszedł do saloniku.

- Tim, jesteś tu?

- Na kanapie.

- Co to jest? - Cisnął słoiczek w stronę Tima i usłyszał, że kolega go złapał.

- Maść tygrysia. Wyprodukowana w... Singapurze. To?
- Tak. Z Singapuru? Skąd to wziąłeś? Od wiekowego Chińczyka, który ostatnio sprzedał to tylko dwóm osobom?

Tim się roześmiał.

- Niestety. Z supermarketu.

- No to kiszka.

- Nie jest tak źle, jeśli facet kupił to w Sokanan. W mieście nie ma aż tylu drogerii. Jutro to sprawdzę.

Pod warunkiem że sprawca kupił maść w Sokanan. Skoro można ją kupić w drogerii sieciowej... Nie wiadomo, skąd ją przywiózł. Danny nie powiedział tego głośno, ale Tim prawdopodobnie wiedział to równie dobrze jak on.

- Jeszcze kanapkę? - zawołała Martha gdzieś z kuchni.

- Dzięki - odparł Tim. - Już się najadłem.

- A detektyw Sinofsky?

Danny poszedł do kuchni, znalazł stół i usiadł. Otaczały go typowe kuchenne odgłosy - szcęk noża o szkło, szelest plastikowych torebek, brzęk talerzy. Martha krzątała się po całym pomieszczeniu i jej zapach otaczał go ze wszystkich stron.

Co to jest? Perfumy? Szampon? Mydło? Zapach działał na jego zmysły i ciało.

Po dłuższej chwili podeszła. Usłyszał szcęk talerza.

- Kanapka z pieczenią bez sera.

Znowu ten sam dźwięk, potem odgłos odsuwanej krzesła i Martha usiadła.

Machinalnie zbadał talerz i powierzchnię stołu. Robił to już niemal odruchowo. Kanapka przekrojona na pół na środku, frytki na dziewiątej, ogórek na trzeciej.

Wbił zęby w kanapkę.

- Dobra - powiedział z pełnymi ustami.

- Cieszę się, że ci smakuje.

- Często gotujesz?

- Gdybym tego nie robiła, mój ojciec odżywiałyby się wyłącznie jajkami na twardo i masłem orzechowym.

A zatem gotuje dla ojca. Rodziło to mnóstwo pytań. Może czas przycisnąć ją do ściany i wydusić zeznanie.

- Od jak dawna mieszkasz z ojcem? - Nie pytał, czy z nim mieszka, bo tu mogłaby skłamać, ale od jak dawna. To wymagało dłuższej odpowiedzi.

- Prawie przez całe życie. - Suchy ton ostrzegał, że ma nie pytać dalej. Nie ma lekko, dziecinko.

- Rzadko się zdarza, żeby kobieta koło sześćdziesiątki nadal mieszkała z ojcem. Jest już chyba bardzo stary.

- Dość.

- Martha i tatuś. Jakie to słodkie. - Kusił ją, żeby wyznała mu prawdę? Ugryzł kolejny kęs i dał jej okazję. - Nigdy nie wyszłaś za mąż?

- Nie.

- Naprawdę? Nie poznałaś nikogo odpowiedniego w ciągu tych pięćdziesięciu ośmiu lat?

Odcchrząknęła. Czyżby się spieszyła?

- Czasami tak się układa.

- I tobie właśnie tak się ułożyło? - W zadumie kiwał głową. Przełknął. Przeciągał jej niepokój. - Jak to?

- Jak co?

- Jakim cudem nie poznałaś nikogo przez tyle lat?

- Posłuchaj, moje życie to nie twój...

- Zbyt wybredna?

- Mam pewne wymagania. Tak, ale...

- Zbyt władcza? To mnie akurat nie dziwi...

- Silna kobieta to nic złego.

- Nie lubisz seksu?

- Bardzo lubię.

- Nawet w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat? Och, przepraszam, chyba pięćdziesięciu pięciu?

Chwila ciszy. Wyobraził ją sobie, jak odkłada kanapkę i przewierca go wzrokiem na wylot.

- O co ci chodzi? - W jej głosie pojawił się spokój. I czujność.

- Martho, nie masz pięćdziesięciu ośmiu lat. Ani nawet pięćdziesięciu pięciu.

Kolejna cisza. O wiele dłuższa.

- Mam rację?

To nie było pytanie. Nie odpowiedziała.

- Mam rację - powtórzył głośniejszym, dobitniejszym głosem.

- Tak.

A prawda was wyzwoli.

Dokończył kanapkę, choć nie czuł smaku. Niedbale, nonszalancko otrzepał okruszki z dłoni.

- Bawisz się tak z wszystkimi ślepcami?

- Ja nie...
- Co „nie”? Nie kłamałaś? - W jego głosie pojawił się gniew. Nie ukrywał tego.

- Nie bawiłam się. - Mówiła cicho, smutno.
- A jak to nazwiesz?
- Ja... Posłuchaj... Nie chciałam... - Głęboko zaczerpnęła tchu, mówiła nerwowo, drżącym głosem. - Przepraszam. - Odsunęła krzesło. - Ja... Przepraszam. - Wybiegła.

- Wszystko w porządku? - To był Tim. Pewnie go minęła. Danny od-
pchnął od siebie talerz i ruszył za Martha.

- Co z nią? - zapytał Tim.

- A kto to wie?

Szedł korytarzem. Minął swój pokój i łazienkę. Nawet nie zapukał. Od-
wróciła się gwałtownie, gdy bez pytania wszedł do środka.

- Nie uciekniesz od tego. Musimy pogadać. - Zamknął drzwi, oparł się o
nie i położył rękę na klamce. Strażnik i jego więzień.

Potężny, mroczny, piękny. I odważny. Nie zapomniała, jak własnym cia-
łem ochraniał ją przed niebezpieczeństwem. Dwukrotnie. Najpierw u niego w
domu, kiedy pojawił się napastnik, i kilka dni później, tutaj, gdy nie wiedzieli,
kto nadjeżdża. Biorąc pod uwagę sytuację, radzi sobie świetnie. Ostatnie, czego
mu potrzeba, to jej zdrada.

Ale przecież nie o to chodziło. Chciała chronić siebie. Trzymać Danny'ego
na dystans.

- Dlaczego powiedziałaś, że jesteś w wieku mojej matki, skoro każdy, kto
ma oczy... poza mną ma się rozumieć... widzi, że tak nie jest?

- Ja...

- Co „ty”? Cholera jasna!

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak wyznać mu prawdę?

- Jesteś bardzo...

- Jaki?

Przełknęła ślinę.

- Atrakcyjny. - Wykrztusiła to słowo ledwie słyszalnym szeptem. Ale i tak
usłyszał. Na jego twarzy gniew walczył ze zdumieniem.

- Okłamałaś mnie, bo jestem... - Usiłował to zrozumieć.

- A ja... - Zaciśnęła powieki. Nie przejdzie jej to przez gardło.

- A ty... co?

- A ja... nie - jęknęła.

- Nie... co? Oblizwała usta.

- Nie jestem... atrakcyjna. Pokręcił głową.
- W tym jest jakiś sens, tak? Ale ja nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Ja nie...
- Co jeszcze?
- Nie radzę sobie z mężczyznami. I pomyślałam...
- Tak?
- I pomyślałam, że jeśli uznasz... że jestem starsza, nie będziesz... To znaczy, ja nie... No, nie będzie mowy o...

- O czym?
- O niczym. Między nami. Tylko rehabilitacja. Tak będzie łatwiej.
- Chwileczkę. Wyjaśnijmy to. Ja, tak wspomniały, że dostaję jedenastkę w skali atrakcyjności od jednego do dziesięciu, powinienem cię podrywać. Tylko że oczywiście tego nie zrobię, bo na tej samej skali ty masz jakieś minus dziesięć. O to chodzi?

Skinęła głową. Policzki płonęły żywym ogniem. Na pewno jest czerwona jak burak.

- Mniej więcej.

Cisza. Z jego twarzy nie zdołała niczego wyczytać. O czym myślał? Nie może mieć mu za złe, że się złości. Postąpiła okropnie, choć próbowała tylko chronić własne uczucia. Zrobił tak duży postęp. Czy wszystko teraz zepsuła? Czy jeszcze kiedyś jej zaufa?

Przygotowała się na wybuch. Ale nie nastąpił.

- Wiesz, że jestem ślepy - mówił z przesadną cierpliwością jak do dwulatka.

- Tak - powiedziała ostrożnie, powoli. Zaplótł ręce na piersi.

- To oznacza, że... No, że nie widzę.

- Wiem.

Rozłożył ręce. Gwałtownie, energicznie.

- Więc jeśli o mnie chodzi, mogłabyś być Pamelą Anderson!

- Nie jestem.

- Nie w tym rzecz.

- Ależ owszem, właśnie w tym. Nie jestem Pamelą Anderson. Ani Barbie.

Ani Pattie. Jestem zwyczajną nudną Marthą.

- No cóż, Barbie czy Pattie nie dokonałyby tego, co ty.

- Nie okłamałyby cię?

- Nie nauczyłyby mnie smażyć jajeczniczy.

Nagle coś ścisnęło ją za serce. Nie mogła oddychać. Opuściła wzrok, zdumiona, że łyzy pieką ją pod powiekami. Nigdy nie płakała. Od bardzo dawna. Ale Danny właśnie jej wybaczył i okrasił to wszystko komplementem. Tego było za wiele.

Odczekała chwilę. Opanowała się, wyprostowała plecy.

- I jeszcze cię nauczę posługiwać się laską. Uśmiechnął się.

- O, nie! Nigdy w życiu.

- Zobaczymy. Uśmiechnął się szerzej.

- Ja na pewno. Mogę się założyć.

Kiepskie szanse, ale akurat nie o to teraz chodziło.

- Może rzeczywiście powinniśmy się założyć?

- Mądra dziewczynka.

Już miał wyjść, ale nagle odwrócił się na pięcie.

- Jeszcze jedno zanim wyjdę. Co tak ładnie pachnie? Znieruchomiała. Myślała, że nie zauważył.

- Kwiaty... W ubraniu. Mama wkładała saszetki z suszkami do szafy. Kiedy ona... Podobało mi się to, więc też zaczęłam to robić.

- To bardzo seksowny zapach, Martho. - Uśmiechnął się i otworzył drzwi.

- Bardzo seksowny. -I już go nie było.

Martha stała nieruchomo, zbyt zaskoczona, żeby się poruszyć. Powiedział, że seksownie pachnie!

Nikt nigdy nie powiedział, że cokolwiek w niej jest seksowne. Ale jeśli ktoś miał to zauważyć, to oczywiście najpiękniejszy mężczyzna świata.

Dobrze, że jej nie widzi.

Zdusiła tę myśl, targana wyrzutami sumienia. Życzyła mu, żeby odzyskał wzrok. Naprawdę. Bo ona...

Drzwi otworzyły się ponownie. Wrócił Danny. Wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Był spięty i czujny.

- Martho? - wyszeptał jej imię i od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

- Co się stało?

Wyciągnął rękę w jej stronę. Podała mu swoją. Przyciągnął ją do siebie i znacząco przyłożył palec do ust.

- Ktoś jest w domu - szepnął jej do ucha. Przeszył ją dreszcz.

- Nowa zmiana? - zapytała. Przecząco pokręcił głową.

O Boże!

- Jesteś pewien? - Przełknęła ślinę, świadoma, że ma płonne nadzieje. Ale tak łatwo się pomylić. - Może ja sprawdzę.

Objął ją mocniej, zasłaniał sobą drzwi.

- Ani się waż.

- Ale...

- Wiem, że nie widzę. Ale słuch mam dobry. I węch. Nie wyjdiesz stąd.

- A gdzie... Gdzie Tim?

- Nie pomoże nam.

Pisnęła, ogarnięta paniką. Położył jej dłoń na karku. Była ciepła. Dodawała otuchy.

- Wszystko będzie dobrze. - Jego głos uspokajał. Wydawał się pewny tego, co mówi.

Naprawdę w to wierzy czy kłamie, żeby nie panikowała i nie krzyczała? Nieważne. Kurczowo czepiała się nadziei.

- Którędy można stąd wyjść?

Zdławiła strach. Wzięła się w garść i skoncentrowała na realiach.

- Oprócz drzwi? Skinął głową. Rozejrzała się.

- Okno.

- Sprawdź, jak wysoko. Szybko.

Wypuścił ją. Podbiegła do okna. Serce waliło jej jak oszalałe. Słońce już dawno zaszło i w szybie widziała jedynie swoje odbicie.

- Chwileczkę. - Wróciła do niego.

- Co ty wyprawiasz? Nie mamy czasu...

- Nic nie widzę. - Zgasiła światło, wróciła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Ponad metr.

- Weź kurtkę i doprowadź mnie do parapetu.

- Mój płaszcz wisi przy drzwiach wejściowych. - Nie zwracając uwagi na szaleńcze salta żołądka, prowadziła go do okna.

- Więc włóż, co masz najcieplejszego. - Jego palce zręcznie przebiegły po framudze. Znalazł zasuwkę.

- A ty? - Miał na sobie dzinsy i sweter. W domu było ciepło, ale na dworze ten strój go nie ogrzeje.

- Poradzę sobie. Cholera. - Szarpał za klamkę okienną. Ani drgnęła. Narzuciła sweter. Już drżała.

- Zamalowane.

- Cholera.

Usłyszeli kroki. Oboje gwałtownie podnieśli głowy.

- Masz scyzoryk? - mówił cichym głosem, ochrypłym z napięcia. Przeknęła ślinę i przecząco pokręciła głową. Nie przypuszczała, że serce może bić tak szybko. Zaraz sobie przypomniała, że nie widzi. _ Nie _ szepnęła.

- Coś, cokolwiek. Nóż do papieru?

- Pilniczek do paznokci?

- Dawaj.

Gdzieś w korytarzu otworzyły się drzwi. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, co zrobiła z torebką ale potem oprzytomniała i podniosła ją z krzesła w rogu.

- Proszę. - Podała mu pilniczek.

- Ty to musisz zrobić. Szybko. Na tyle, żeby okno się otworzyło. Zaczęła zdierać warstwę farby ze szczeliny między oknem a framugą. Ręce jej się pociły.

- Jakim cudem nas znaleźli?

- To pytanie roku. Kolejne kroki w holu.

- Szybciej.

Wzmogła wysiłki, dźgała farbę z całej siły, a Danny ciągnął za klamkę. Jego sapanie mieszało się z żalnym odgłosem pilnika walczącego z warstwą farby.

Trzask!

- Co to było?

- Pilnik się złamał.

- Jezu.

Drzwi się otworzyły. Pokój Danny'ego? Wstrzymała oddech. To tylko dwa pokoje dalej.

- Nie chciałem, żeby ten ktoś nas usłyszał, ale... - Naciągnął rękaw bluzy na dłoń i uderzył w szybę. Z całej siły. Brzęk tłuczonego szkła, powiew zimnego powietrza... Zadrzała, owinęła dłoń rękawem i nerwowo pomagała mu wyjmować odłamki, żeby otwór był na tyle duży, by zdołali się przecisnąć.

- Idziesz. - Pchnął ją do przodu.

- Chwileczkę! - Chwyciła torebkę i poduszkę. Torebkę wyrzuciła przez okno, a poduszkę położyła na odłamkach na parapecie. Zasłoniła nią ostre odłamki. Przepchnęła się przez otwór i skoczyła. Szkło rozcięło jej ramię, ale poderwała się błyskawicznie z ziemi i odwróciła, żeby mu pomóc.

- Na parapecie jest poduszka, żebyś się nie pokaleczył. - Wszedł na parapet, kucnął. Chwyliła go za rękę, żeby nie bał się skoczyć. Przytłoczył ją swoim ciężarem i wyładowali na ziemi. Przygniatał ją.

- Musimy to kiedyś powtórzyć - mruknął. Sturlał się z niej, nie puszcżając jej ręki. Pomógł jej wstać. - Wszystko w porządku? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Za ich piecami trzasnęły drzwi. Rozległ się krzyk.

- Spadamy stąd. - Uścisnął jej dłoń. Ruszyła do przodu, ciągnąc go za sobą. Dokoła rozległy się dziwne trzaski.

Strzały.

O Boże! Ktoś do nich strzela. Chciało jej się płakać z przerażenia. Zwolniła. Strach ją paraliżował.

- Szybciej! - Szarpnął ją za rękę, pociągnął i mało brakowało, a straciłaby równowagę.

Wyprostowała się.

- Gdzie jesteśmy?! - stęknął.

- Ja... Nie wiem. - Rozejrzała się.

- Musisz wiedzieć. Skup się. Sam tego nie zrobię. Kolejny strzał. Pisnęła ze strachu.

- Co się stało? - W jego głosie usłyszała panikę. - Jesteś ranna?

- Nie, ja tylko...

- Więc myśl. Dokąd idziemy?

Nie mogła oddychać. Kręciło jej się w głowie, jej żołądek wykonywał akrobacje. Ale jakimś cudem zdołała się skoncentrować.

- W stronę pola. - Potknęła się, straciła równowagę, ale zaraz się wyprostowała. Jeśli mu nie pomoże, nigdy się stąd nie wydostaną. -Przed tobą nic nie ma. - Z całej siły ścisnął ją za rękę. - Idziemy. To otwarta przestrzeń.

Strzały albo ucichły, albo się oddalały. Sama już nie wiedziała. Dyszeli ciężko. Serce waliło jej o żebra.

- Jest śnieg? Słyszę, jak coś chrzęści pod nogami.

- Cienka warstwa.

- Zostawiamy ślady?

Zesztywniała, obejrzała się przez ramię. Światło księżycy wydobywało z mroku ich trop.

- O Boże, tak! - Odwróciła się i w ostatniej chwili zobaczyła drzewo tuż przed nimi. Szarpnęła Danny'ego tak mocno, że niemal upadł.

- Chwileczkę, chwileczkę. - Zwolnił. - Czy ktoś nas ściga?

- Nie wiem. - Pełna obaw, co zobaczy, znowu się odwróciła. - Nikogo. .. nikogo nie widzę.

Za to coś usłyszała. Danny także. Odwrócił głowę w tamtą stronę. Warkot silnika. O nie! Nie uciekną przed samochodem. Nie na piechotę.

- Słuchaj, nie możemy się pchać na zaorane pole. Zostawiamy ślady, znajdując nas. A na polu bez problemu załatwią nas samochodem. Mówiłaś, że było tu drzewo? Jest ich więcej? Las? Jakies zabudowania?

Przypomniała sobie wiatr wśród gałęzi. Wtedy, na ganku, spojrzała na zachód.

- Tak! Las po lewej stronie.

- Idziemy tam. Nie czekaj na mnie. Jeśli coś się stanie, biegnij dalej. Nawet o tym nie myślała.

Z całej siły trzymając go za rękę, biegła w stronę drzew, jakby umierała z pragnienia, a tam czekała studnia.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim dotarli do lasu, ale dla niej była to cała wieczność. Ociekała potem, nogi się pod nią uginały. Bała się, że nie wytrzymają jej ciężaru. Cały czas oczekiwała, że kula rozerwie jej plecy. Strach kazał jej biec, choć jednocześnie miała ochotę się skulić i ukryć.

Cudem dotarli do zarośli i schronili się wśród drzew. Danny od razu uderzył głową w jakiś konar. Zwolniła. Potknął się o kamień. Szli jeszcze wolniej. Gałąź uderzyła go w twarz.

Po kolejnym potknięciu się zatrzymał.

- To bez sensu.

Przeczesał włosy palcami. Podobnie jak ona dyszał ciężko. Był blady, miał ściągnięte rysy, jakby skute lodem. Z prawego policzka spływała cieniutka strużka krwi. Był podrapany, jakby ktoś przejechał mu po twarzy skalpelem. Czy to pamiątka po wybitym oknie, czy efekt biegu przez las? Przez chwilę zastanawiała się, jak sama wygląda. Dobrze, że tego nie widzi.

- Słuchaj, idź sama. Zostaw mnie - wysapał. - Nie ma sensu, żebyś i ty oberwała.

Otworzyła szeroko usta, chwytając łapczywie zimne powietrze.

- Żartujesz chyba. Nie zostawię cię. Zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Lepsze to niż żebyśmy oberwali oboje.

Ciągle dygotała, ze strachu i z zimna. Tupnęła nogą - trochę po to, żeby się opanować, ale i dlatego, że jego propozycja była nie do przyjęcia.

- No proszę, jakie to szlachetne z twojej strony! I szalone, pozwolę sobie dodać. Nie możemy do kogoś zadzwonić?

- Niby do kogo? Do Supermana?

Miała ochotę nim potrząsnąć. Gonia ich uzbrojeni mordercy, ona powoli zamienia się w sople lodu, a jemu żarty w głowie!

- Nie wiem. Do Mike'a. Do Anity. Znasz chyba kilku policjantów?

Przecząco pokręcił głową. Miał ponurą minę.

- Nie możemy się skontaktować z nikim z wydziału.

- Niby dlaczego?

Złożył ręce na piersi, wsunął dłonie pod pachy i stanął tyłem do wiatru.

- Tylko policjanci wiedzieli, gdzie jesteście.

Przeszył ją dreszcz. I wcale nie dlatego, że było jej zimno.

- Co sugerujesz? Że za tym wszystkim stoi ktoś z policji?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że napastnik dowiedział się o kryjówce od kogoś z wydziału.

Patrzyła na niego z przerażeniem w oczach. Cały czas miała w uszach huk strzałów.

- Nie Mike. I nie Anita.

- Ani Bayliss, Carstens czy ktoś inny. Sam mam taką nadzieję. -Mówił szorstkim głosem, był spięty. - Ale nie będę ryzykował.

- Więc... Co nam zostaje? - Chuchała na dłonie. - Skoro nie policja, musimy się zwrócić do rodziny i przyjaciół. Masz kogoś zaufanego?

- Nie wiem. Nie zadzwonię do Beth, nie chcę jej w to wciągać.

W myślach przebiegła listę znajomych, ale przychodziło jej do głowy tylko jedno nazwisko. Tylko jeden człowiek, któremu chciałaby zaufać, ale nie wiedziała, czy może. Ojciec wiele razy obiecywał, że odbierze ją ze szkoły. I wiele razy wracała do domu na piechotę. Nauczyła się już, że nie może na nim polegać.

Zagryzała usta, zdenerwowana, niepewna. Ale czy mają inne wyjście?

Wsunęła zmarzniętą dłoń do torebki. Sięgnęła po telefon. Słyszał to chyba, bo zapytał:

- Co robisz?

- Szukam komórki.

- Po co? Do kogo zadzwonisz?

- Do ojca.

Uśmiechnął się krzywo.

- Żartujesz. W tej sytuacji tatuś nie pomoże. Znalazła aparat.
- Mój, owszem, pomoże. - Oby jej słowa okazały się prawdą. Wybrała numer, czekała. Charlie odebrał po pierwszym dzwonku.

- Tatusiu?

- Martho! Gdzie jesteś, do cholery? - Słyszała troskę w jego głosie. -

Wszystko w porządku?

Zawahała się i powiedziała prawdę.

- No... Nie do końca. Właściwie nie. Puścił wiązanek przekleństw.

- Tatusiu, nie mamy czasu.

- Powiedz, gdzie jesteście.

- Stary dom, jakieś dwadzieścia minut od miasta, przy trójce. Musisz nas stąd zabrać, ale nie możesz wziąć taksówki ani podjechać sam jakby nigdy nic.

- Chwileczkę. Wezmę mapę. Czekala. Cisza zaalarmowała Danny'ego.

- Co się dzieje?

- Poszedł po mapę.

- Jezu. - Danny znieruchomiał, a na jego twarzy pojawiła się czujność.

Zamarła przerażona.

- Słyszałeś coś?

- Silnik.

Jej serce biło coraz mocniej, ale choć wyęzła słuch, niczego nie słyszała.

- Chyba jeszcze nie dotarli do lasu. To tylko kwestia czasu, niestety.

Charlie podniósł słuchawkę.

- Powtórz. Gdzie jesteście?

- W lesie, niedaleko trójki. To farma. Jesteśmy pieszo.

- Dziewczyno, trójka jest długa. Coś więcej?

Była na siebie wściekła, że nie zwracała większej uwagi na otoczenie.

- Nie.

- Jak daleko jesteście od wieży ciśnień?

- Wieży ciśnień? Ja nie... Ach, tak! Widziałam ją podczas jazdy. Dotrzemy do niej.

- Tam się spotkamy.

- Weź kurtkę, moją i twoją, zapasową. I jeśli znajdziesz czapkę i rękawiczki...

- Jesteś bez płaszcza?

- Nie było czasu. Znowu zaczął kłać.

- Do zobaczenia, tato. - Rozłączyła się zaskoczona, że nie protestował. I ekscytacją w jego głosie. Obiecał, że przyjedzie. Oby tylko dotrzymał słowa.

Rozdział 7

Gdyby tydzień temu ktoś powiedział Danny'emu, co się wydarzy, nie uwierzyłby. Uciekał przed nieznanym niebezpieczeństwem przez nieprzenikniony mrok, całkowicie zdany na cywila bez podstawowego szkolenia. Taki prywatny horror na jawie.

Martha upierała się, że ma ją trzymać prawidłowo.

- Nie ustąpię. Skoro mam cię prowadzić, zrobimy to, jak należy. Nie bez powodu wymyślono ten chwyt.

- Jak chcesz. Ale idź już!

Położyła jego dłoń na swoim ramieniu i ruszyli jak wielka, niezdarna bestia.

- Słyszysz samochód? - zapytała.

- Daleko za nami. Widzisz go?

Odwrociła się i między ich ciała wdarło się zimne powietrze.

- Nie. - Przyjęła poprzednią pozycję. - O ile pamiętam, za lasem jest pole. Po drugiej stronie drogi mamy lepszą osłonę, ale żeby się tam dostać, musimy przejść przez jednię. Myślisz, że to bezpieczne?

- Pewnie nie. Ale chyba nie mamy wyboru. Dojdźmy dokąd się da, zanim zaryzykujemy. Może ich wyprzedzimy.

Ale warkot silnika zbliżał się uparcie. Przyspieszyła. Ruszyli biegiem, a wiatr smagał ich po twarzach. Danny czuł zimne powietrze w płucach.

- Słyszę silnik. - W jej głosie pojawił się strach.

- Szybciej.

W miarę możliwości dostosowywał długość swoich kroków do tego, jak stawiała swoje. Starał się zachować równe tempo. Silnik warczał

coraz bliżej. Czy samochód jest już na skraju lasu? Trzaśnięcie drzwi. Dwa męskie głosy. Nie słyszał, co mówią.

- Teraz! - Jeśli mężczyźni wchodzą do lasu, nie patrzą na drogę. Chyba że jest ich trzech.

Zaklął, zły, że nie został w domu na tyle długo, żeby to ustalić. Usłyszał wtedy kroki, szeptaną rozmowę i jęk, a potem głuchy odgłos padającego ciała. Poczul zapach maści tygryziej. Nie czekał dłużej. Musiał zabrać stamtąd Martha.

Potknął się o coś.

- Korzeń. - Martha dyszała ciężko. - Przepraszam. - Szarpnęła go w lewo. - Tu jest czysto. Przechodzimy.

Przestrzeń to niekończąca się czerń. Każdy kolejny krok to wyzwanie rzucone strachowi i nieufności. Czy Martha go zostawi? Pozwoli mu upaść? Drażniło go to uzależnienie. To on powinien dowodzić. Fakt, że kurczowo trzymał się jej ręki, upokarzał. Kastrował.

Ale na razie zapomniał o wstydzie, koncentrował się na kolejnych krokach.

- Jesteśmy przy linii drzew - sapnęła Martha.

- Widzisz drogę?

- Chwileczkę. - Odeszła. Dopadł go niepokój, przenikliwy, dogłębny.

Gdzie oni właściwie są? Gdzie prześladowcy? Jakim cudem ma ją stąd zabrać, skoro nie widzi i nie wie gdzie się znaleźli?

Trzask gałązki oznajmił jej powrót.

- Droga wolna.

Siłą woli opanował drżenie.

- Nie ma strażnika? Nikt nie patrzy?

- Chyba nie. Odetchnął z ulgą.

- Dobrze. Może znowu nam się uda. Ruszyli.

- Znowu?

- Przecież żyjemy, prawda?

- No tak. - Odetchnęła głębiej i się wzdrygnęła. - Idziemy. - Niemal od razu zmieniło się otoczenie. Szosa pod stopami była gładka, wiatr i zimno - bardziej przenikliwe. Już nie chronią ich drzewa, domyślił się.

Kulił się z zimna. Oczyma wyobraźni widział tę scenę - dwugłowy potwór skąpany w blasku księżyca, przekrada się przez mroczną wiejską drogę i znika wśród groteskowych cieni drzew. Zupełnie jak z horroru.

Martha była spięta, przerażona. Oddałby wiele, żeby ją uspokoić, ale nie wiedział jak. Jeśli przeżyją będzie dobrze. Po chwili znowu weszli na ubitą ziemię.

- Przeszliśmy na drugą stronę. Jest tu trochę niskich zarośli.

Co oznacza, że musi całkowicie zdać się na nią. Odepchnął tę myśl. Dobrze chociaż, że Martha nie wpadła w histerię. Niemal czuł zapach jej strachu, ale dzielnie szła dalej. To wiele o niej mówiło.

- Idę o zakład, że w szkole dla niewidomych nigdy tego nie uczyli.

- Czego?

- Ucieczki przed zbirami z karabinem.

- Chyba poszłam wtedy na wagary. - W jej głosie pojawiło się gorzkie rozbawienie. Uśmiechnęła się lekko.

- Dobrze sobie radzisz. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Dobrze, że ktoś tak uważa, bo ja już się w tym wszystkim pogubiłam. - Zwolniła. - Mnóstwo tu powalonych drzew. Patrz, gdzie idziesz.

Niezbyt zgrabnie powiedziane, delikatnie mówiąc. Równie dobrze mogli wsiąść po ciemku do kolejki górskiej. Przeprowadzała go przez pułapki. Mijali pnie, korzenie wystające z ziemi; kazała mu się schylać, gdy przechodzili pod konarami. Czasami gałąź muskała mu policzek. Bywało, że sam zdołał rozpoznać przeszkodę. Głaz, pień. Chwilami wtedy szli gęsiego. Dla niego była to podróż przez mrok - koszmarna wędrówka, podczas której mógł się zdać tylko na jej głos i rękę.

Zaschło mu w ustach, dłonie miał mokre od potu, ale szedł. Pokonywał kolejne odcinki, obdarzał ją ślepym zaufaniem. I jednocześnie cały czas rozmyślał o przesładowcach.

Kim byli? I czego od niego chcieli?

Nie wiedział niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Od trzech lat pracował na ulicy. Jeśli ktoś szukał zemsty, dlaczego akurat teraz? I za co?

Przypomniał sobie nieoznakowaną broń, ale nic z tego nie rozumiał.

I cała reszta. Ktoś, komu ufał, nie potrafił utrzymać tajemnicy. Zdrada to koszarne słowo, zbliżał się do niego nieufnie i ostrożnie, jak język do bolącego zęba. Przenikliwy ból. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby to zrobić Mike. Albo Parnell. O Boże, nie! Jeśli naprawdę zakapował ktoś Z wydziału, niech to będzie ktoś inny, nie ci dwaj.

Ale instynkt policjanta podpowiadał, że wszystko jest możliwe. Bolesne, przerażające, niewyobrażalne, ale możliwe.

- Prawie jesteśmy na miejscu - szepnęła Martha. - Widzę wieżę ciśnię. - Zatrzymała się. Dyszała ciężko. Wyobraził sobie białe obłoczki pary wydobywające się z jej ust w świetle księżyca. Drżała. Pod nim także ugięły się nogi. Mimo zimna był mokry od potu.

- Widzisz samochód?

- Tak. Daleko stąd. Przypływ ulgi.

- Zadzwoń do ojca. Powiedz, gdzie jesteśmy, niech tu podjedzie. I nie rozłączaj się, póki nie dojdziemy.

Dźwięk odpalanego silnika.

- Jedzie?

- Tak. Powoli.

- Dobrze. Patrz cały czas.

- Patrzę. Droga chyba wolna. A u ciebie, tatusiu? Tak? Dobrze. Danny słyszał silnik coraz bliżej. Po chwili poczuł ostry zapach spalin.

- Jest. Gotów?

- Ostrożnie. - Zaciśnął dłoń na jej ramieniu i ruszyli. - Daleko?

- Sześć metrów, może mniej. Zbliżyliśmy się do linii drzew. - Jeszcze kilka kroków. - Teraz wychodzimy na otwartą przestrzeń - uprzedziła.

Usłyszał zgrzyt, jakby wprawiono w ruch jakiś mechanizm. Zatrzymał się w pół kroku.

- Co to było?

- Drzwi otwierają się automatycznie.

Rozluźnił się. Po chwili poczuł nowe podłoże. Asfalt? Coś twardego, sztucznego. Pisk opon.

- Boże! - krzyknęła Martha. - Są tutaj!

Szarpnęła go tak mocno, że mało brakowało, a upadłby.

- Biegiem!

Krzyki, strzały, odgłos kroków.

- Do środka! Już!

Ktoś go wciągał do ośrodka. Furgonetka? Wsiadł. Samochód drgnął, Danny się zachwiał. Chwycił się gumowej maty, żeby zachować równowagę. Ktoś - Martha? - złapał go za sweter i ciągnął. Znalazł się w wozie.

- Jest w środku, tatusiu. Zamknij drzwi!

I znowu mechaniczny zgrzyt. Zamykanie drzwi? Pisk opon. Leżał na podłodze, podczas jazdy rzucało nim na boki. Strzały.

- Cholera. - Męski głos z przodu samochodu. - W co wyście się wpakowali, do diabła?! - Dalsze kołysanie i zgrzyt przy zmianie biegów.

Jechali. Szybko. Czuł w podłodze wibrowanie silnika. Wydawało mu się, że niknie przez wszechświat w czarnej skrzynce. Poczł zapach papierosowego domu, oleju silnikowego i skóry.

- Gdzie jesteśmy?

- Ciągłe na trójce - odparła Martha.

- Możemy z niej zjechać?

- Pewnie. - Kierowca mówił niskim, ochrypłym głosem. Danny wyobraził sobie potężnego mężczyznę. Kogoś, komu nieobce są papierosy i whisky, i, daj Boże, mroczna strona życia.

Zakręł, Danny wpadł na coś - krawędź siedzenia? Nie, to coś było zimne i twarde. Chciał się odsunąć i trafił dłonią na metal i koło.

- Jada za nami?

- Jechali. - Wyczuwał napięcie Marthy.

- A teraz? Chwila ciszy.

- Chyba ich zgubiliśmy - oznajmił kierowca.

Znowu cisza, jakby wszyscy nasłuchiowali warkotu silnika.

- Nie, są!

Kolejny gwałtowny skręt i Danny'ego znowu rzuciło na dziwne urządzenie. Zbadał je dłońmi. Metalowe podpórki, koła, boki, uchwyty. .. Zbyt szeroki na rower. Jakby złożone...

I nagle zrozumiał, co to jest. Jęknął.

Wózek inwalidzki.

Włosy na karku stanęły mu dęba.

- Martho... - Jego szept ociekał jadem.

- Tak?

- Skąd to się tutaj wzięło? - Dźgnął wózek palcem. - Nie przypominam sobie, żebyś mówiła ojcu, żeby to przywiózł.

- Uspokój się, to nie dla ciebie, tylko dla niego. Jej słowa były jak sztylet. Zniżył głos.

- Jeździ na wózku, do cholery?

- Masz z tym problem, synu? - Głos kierowcy zabrzmiał złowrogo. Samochód skręcił w lewo. Danny poleciał na ziemię.

Skrzywił się.

- Szczerze mówiąc, tak. Niezła z nas ekipa; ślepiec, kobieta i jeszcze kaleka. Może być gorzej?

- Ślepiec? - Kierowca się przeraził.
- Mój nowy podopieczny - wyjaśniła Martha. — Detektyw Danny Sinofsky. A to mój ojciec, Charlie Crowe.
- Jezu Chryste! - Danny i Charlie powiedzieli to jednocześnie.
- Wystarczyłoby zwykłe: „Miło cię poznać” - burknęła Martha.
- Co tu się dzieje? - zapytał Charlie. - Masz siniaka na twarzy. Ktoś cię uderzył? I kto nas goni?

Martha westchnęła.

- Nie wiemy.
- Jak to, nie wie...
- Tak jak powiedziała, nie wiemy.
- Ludzie do was strzelają, a wy nie wiecie kto i dlaczego? Danny miał ochotę wrzasnąć, ale się opanował.
- W skrócie? Tak.

Z przedniego siedzenia popłynął strumień przekleństw. Sin był pod wrażeniem, co za inwencja twórcza!

- Tato! Dość. Nie pomagasz nam w ten sposób.
- Pomagam sobie, dziewczyno. Boże drogi! - Samochód skręcił w prawo. Danny'ego rzuciło w bok.

- Synu, dokąd chcesz jechać? Do hotelu? - zapytał Charlie swoim ochrypłym głosem. - Im szybciej się ciebie pozbędziemy, tym szybciej zabiorę córkę do domu, gdzie będzie bezpieczna.

Danny się zjeżył.

- Akurat w domu wcale nie będzie bezpieczna. A nazywam się Sin, nie syn.

- Sin?

- Skrót od Sinofsky - wyjaśniła Martha tym samym oschłym tonem. - Ale reaguje też na imię „Danny”.

Samochód się przechylił i runął w dół zbocza z piskiem opon. Danny miał poobijane żebra. Jego myśli szalały. Za kierownicą siedzi kaleka i wiezie ich Bóg jeden wie gdzie, a on jest za to wszystko odpowiedzialny. I na nic nie ma wpływu!

- Dlaczego nie mogę po prostu zabrać jej do domu? - zapytał Charlie.
- Bo ci, którzy mnie ścigają szukają także jej.
- A to dlaczego? - Charlie niemal krzyczał i Danny właściwie się temu nie dziwił.

- Widziała napastnika, może go rozpoznać. Właśnie on ją uderzył.
- Przestańcie się zachowywać, jakby mnie tu nie było!

Kolejny pisk opon i znowu zakręt w prawo. Żołądek Danny'ego poleciał na lewo, jego ciało - w przeciwną stronę. Chciało mu się wyć. Marzył, żeby samemu usiąść za kierownicą.

- Skoro nie mogę zabrać jej do domu, to dokąd jedziemy? Danny przebiegł w myślach wszystkie możliwości, desperacko szukając sposobu, żeby choć częściowo odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Nad rzekę.

- A co jest nad rzeką?

- Moja łódź. Popłyniemy na Manhattan. Tego na pewno się nie spodziewają więc nie ruszą za nami.

- Niby jakim cudem chcesz stanąć za sterami? Jesteś ślepy, człowieku.

- Ale ja nie - włączyła się Martha.

- W życiu nie byłeś na łodzi - zauważył Charlie.

- Zawsze jest ten pierwszy raz - stwierdziła. Charlie się zachnął.

- A co dalej?

- Mam tam przyjaciela.

- Przyjaciel to za mało.

- Federalny.

To ucięło dyskusję. Na ułamek sekundy.

- Jadę z wami.

- Kiepski pomysł, Charlie.

- Mam to gdzieś, młody. To moja córka. Nie zostawię jej.

- Byłoby rozsądniej, gdybyś się trochę pokręcił po okolicy i sprawiał wrażenie, że nadal jesteśmy z tobą. Odciągniesz ich uwagę.

To był rozsądny plan.

- Jeśli się zgodzę, musicie mi obiecać, że zadzwonicie. Że dacie znać, czy jesteście bezpieczni.

Martha sapnęła głośno.

- Zadzwoń do ciebie. Naprawdę nie jestem taka głupia!

- Zaczynam w to wątpić, widząc, w co się wplątałaś - syknął Charlie. Danny'emu nie spodobał się jad w jego głosie.

Zwłaszcza że Martha nie zasłużyła na takie traktowanie.

- Daruj sobie. To nie jej wina.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Nie musisz mnie bronić przed moim ojcem - włączyła się Martha.

- Ja tylko...

- Wiem, że ty tylko. A teraz zamknijcie się obaj.

- Zaczyna się - mruknął Charlie.
- Zamieniam się w słuch - warknął Danny.
- Jestem dorosła i sama podejmuję decyzje. Nie zostawię go, tato. Zaci-
snął pięści.

- Nie potrzebuję...
- Owszem, potrzebujesz, do cholery! - Niemal słyszał, jak zagryza wargi
po przekleństwie. Ta wizja pozbawiła jej słowa goryczy. - A ty tatusiu, nie pa-
kuj się w to jeszcze bardziej. Zgub ich. Zabierz nas nad rzekę. Poradzimy sobie.
Zadzwoń, gdy będziemy bezpieczni.

-Ale...
- Koniec dyskusji.
Jak ona to robi? Charlie się zamknął. I on też! Zgadzał się z nią potulnie.
- Dobrze? - zapytała łagodnie. Słyszał całą jej miłość do ojca w tym pyta-
niu.

Charlie westchnął.
- Dobrze.
- Danny? - W jej głosie pojawiło się coś innego, nie wiedział co, ale nie
było tej nuty, gdy rozmawiała z Charliem. Nie wiadomo dlaczego, ta różnica go
zabolała.

- Jasne. Spoko. Może być.
Rzeka za szybą była czarną wstęgą. Martha włożyła płaszcz przywieziony
przez ojca. Przyjechał. Zjawił się, tak jak obiecał. Ta myśl dawała prawie tyle
samo ciepła co palto.
- Jeśli coś się stanie mojej córce, znajdę cię. - Charlie odwrócił się na sie-
dzeniu i pogroził Danny'emu, jakby ten mógł go zobaczyć.

Piętnaście minut temu zatrzymali się w bocznej uliczce, czekając, aż prze-
śladowcy pojedą dalej. Nie wiadomo, ile czasu uda im się zyskać, ale na razie
stali przy przystani nad rzeką. Nieliczne lampy rozjaśniały mrok, oświetlały ło-
dzie i nurt Hudson.

- Jeśli coś jej się stanie, będzie po mnie - odparł Danny.
- Przestańcie! I to już! - Podała Danny'emu skórzaną kurtkę ojca. - Włóż
to. Nic mi nie będzie i nikt nie umrze. Jasne?

Chwila ciszy, która oznaczała, że nie wierzą w jej słowa. Wcale im się nie
dziwiła. Sama też nie bardzo w nie wierzyła. - Jasne?

- Pewnie. - Danny mocował się z suwakiem.
- Obyś miała rację - dodał ojciec.

- Mam. - Chciała pomóc Danny'emu, ale odepchnął jej rękę.

- Nie.

Zagryzła usta. Wiedziała, że trudno mu się przyznać do tego, że jest zależny od innych, ale teraz, na oczach jej ojca...

- Idziemy. - Cmoknęła Charliego w policzek.

- Zadzwoń.

- Dobrze.

- Szybko.

- Dobrze.

Otworzył drzwi. Wysiadła. Danny ruszył za nią. Zanim postawił stopę na ziemi, zbadał grunt.

- Uważaj na siebie, Charlie. Jeśli to możliwe, zatrzymaj się na kilka dni gdzieś poza domem. Na wszelki wypadek, gdyby zapamiętali wóz.

Charlie się zachnął.

- Żaden lalusz nie będzie mi mówił, jak mam o siebie zadbać. Zaopiekuj się Martha. - Drzwi się zamknęły. Odjechał.

Wsunęła ręce w kieszenie płaszcza. Był stary, podszewka darła się miejscami, a kieszenie się wytarły, ale czarna wełna była ciepła i ciężka, a wysoki kołnierz pozwalał ukryć w nim twarz.

- Trzymaj się.

Położył jej dłoń na przedramieniu.

- Podoba ci się to, co? Lubisz się rządzić.

Prychnęła tylko. Nie zdradziła, że lubi dotyk jego ręki i silnego ciała.

- Nie rządzę się, prowadzę cię tam, dokąd chcesz dojść.

- Ach, rozumiem. Jak mapa. Albo ludzki GPS.

Wolałaby, żeby znalazł jakąś bardziej kobiecą metaforę. Albo żeby powiedział to z mniejszym sarkazmem.

- Jeśli tak wolisz... - Zmieniła temat. - Gdzie ta łódź?

- Po prawej stronie, mniej więcej w połowie kei. Mała biała łódka rybacka. „Sinful”.

Roześmiała się. Jego łódź nazywała się „Grzeszny”! Szli przy akompaniamencie stukotu burt uderzających lekko o nabrzeże.

- Co cię tak ubawiło?

- Litości. „Sinful”?

- No dobra, przyznaję, byliśmy z kumplami lekko wstawieni, gdy ją chrzciliśmy.

- Niech zgadnę. Rzadko łowisz, a jeśli już, to nie ryby.

- Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz. Mówił spokojnie, a po jego twarzy błędził uśmiech.

- Anita powiedziała mi co nieco.
- Anita gównowo wie.
- Więc łowisz?
- Nie. - Uśmiechnął się szeroko, jego zęby lśniły w blasku księżyca. - Zapraszam dziewczyny na wycieczki.
- Dziewczyny? - Było jej wstyd, że tak to zabrzmiało. Ironicznie, z wyższością.
- Tak, dziewczyny. Kobiety.
- Łaski. O małych imionkach i wielkich biustach. Uścisnął jej rękę.
- Zazdrosna?
- Oczywiście. - Już to widziała. On i najnowsza blondynka. Drobna, kształtna, śliczna. Zapatrzona w niego. „Och, Sin”, szeptała gardłowym, ochrypłym głosem a la Marilyn Monroe.
- Nie sądz, a nie będziesz sądzony.
- Nie robię tego.
- Twoją dezaprobatę słysząc na kilometr - oznajmił i, jeśli to możliwe, uśmiechnął się jeszcze szerzej.
Uderzyła go pięścią w umięśnione ramię.
- Przestań. Nawet nie drgnął.
- Mam przestać? No wiesz, Martho, stać cię na więcej. - Pochylił się i szepnął znacząco: - Przepłyniemy się moją łodzią?
- A mamy inne wyjście?
Jego uśmiech zbladł. Odwrócił głowę, jakby patrzył na szereg jachtów w porcie.
- A jeśli tak?
Jej serce na chwilę przestało bić. A jeśli tak?
Na szczęście zauważyła jego łódkę, co uratowało ją od odpowiedzi.
- Jest! - ucieszyła się.
Nie kłamał, mówiąc, że jest mała. Ale nawet w mdłym świetle latarni lśniła. Kadłub i przednia szyba, stanowiąca jedyną osłonę przed wiatrem i wodą, były bez jednej smugi. Fotele kierowcy i pasażera okazały się stare, ale czystutkie. Niebieska lina leżała starannie zwinięta. Ktoś - zapewne Danny - bardzo dbał o łódź. Wyobraziła go sobie, jak bez koszuli poleruje chrom. Pewnie pochylał się nad nim z miłością, jak Charlie nad felgą. Ojciec byłby pod wrażeniem. Choć pewnie zachwyciłoby go zupełnie co innego niż ją. Ta myśl przeszła Marthę jak prąd. Weszła na pokład, żeby o niej zapomnieć.

Wyciągnęła rękę i pomogła Danny'emu wsiąść. Łódka się zachwiała. Jęknęła i szybko zagryzła wargi. Danny się zatrzymał, a potem powoli ruszył do przodu. Zaprowadziła go na dziób.

- Trzymaj. - Wyjął pęk kluczy z kieszeni. - To taki malutki, prawie najmniejszy. - Jego palce błędziły po tablicy rozdzielczej. - Gdzieś tutaj...

- Mam. - Nakryła jego dłoń swoją i naprowadziła na właściwe miejsce. Na chwilę zacisnęła palce na jej ręce.

Milczeli. Martha nie była pewna, czy zdołałaby wykrztusić choćby słowo. Powietrze znad rzeki było chłodniejsze niż w lesie, ale ich dotyk zrodził ciepło, które wirowało w brzuchu i spływało niżej...

- Daj mi klucz - poprosił miękko.

Odnalazł stacyjkę i pokazał jej, jak uruchomić łódź. Silnik warczał cicho w nocnej ciszy. Usiadł na miejscu kierowcy. Martha poszła na rufę i zdjęła cumę. Potem Danny przesiadł się na fotel pasażera.

- Powoli - radził. - Spokojnie. Zanim się rozpędzimy, musimy wypłynąć z portu.

Zacisnęła dłonie na drążkach sterów, oswajając się z nowym doznaniem, gdy łódź napierała na masę wody pod dziobem.

- Pamiętaj, odwrotnie niż samochodzie. Miecz zmienia kierunek. Wypełniała jego polecenia, jakby byli jedną istotą. Jego głos, jej ręce. Przecinali wodę z cichym pluskiem. Powoli zbliżali się od środka mrocznej rzeki.

- Widzisz boję? Wyznacza kanał.

- Minęliśmy ją.

- Dobrze. Przyspiesz.

Przykrył jej dłoń swoją pchnął dźwignię do przodu. Płynęli w dół rzeki. Wiatr rozwiewał jej włosy lodowatymi podmuchami. Zastygła w bezruchu.

- Jak tam?! - przekrzykiwał warkot silnika.

- W porządku! - odkrzyknęła. Tak naprawdę kłębiło się w niej zbyt wiele uczuć, żeby mogła to opisać. Oto płynie łodzią po Hudson w środku nocy. Rzeka jest mroczna i niebezpieczna. Podobnie jak jej towarzysz. Nikt by w to nie uwierzył. Sytuacja była nierzeczywista jak sen i przerażająca jak koszmar.

- Widzisz kogoś za nami?

- Nie. - W jej głosie było więcej spokoju niż w sercu. Jakaś jej cząstka zastanawiała się, jak to możliwe.

- Żadnego ruchu?

- Nie, tylko my.

- Płyn równym tempem, nie za szybko. Jeśli chcesz się zatrzymać, pociągnij drążek i wrzuc wsteczny.

Odruchowo skinęła głową. Póki płyną prosto przed siebie i wystarczy, żeby trzymała ster, będzie dobrze. Cokolwiek innego... Wzdrygnęła się i skupiła na tym, żeby trzymać się z daleka od brzegu.

Usiłowała się poddać rytmowi łodzi, kołysać się z falami. Ale ciągle kurczowo zaciskała dłonie na sterze. W oddali ciemne zarysy zdradzały brzeg, gęsto porośnięty drzewami.

Zerknęła na Danny'ego. Księżyc oświetlał jego twarz. Miał zamknięte oczy dla ochrony przed zimnem i lodowatymi kroplami. Wydawał się częścią nocy, rzeźbą z cienia - emanował mrocznym pięknem.

Skupiła się na łodzi, ale co chwila na niego zerkała, świadoma, że Danny nie ma o tym pojęcia.

- Widzisz księżyc? - zapytał.

- Tak.

Otworzył oczy. Podniósł głowę, jakby go szukał.

- I gwiazdy - dodała.

- To pogodna noc.

- Tak.

- I zimna. Zimno ci?

- Koszmarnie. A tobie? - spytała z troską.

Nie odpowiedział. Wstał, po omacku odnalazł jej fotel, podszedł, stanął za nią i otoczył ją ramionami.

- Lepiej? - szepnął jej do ucha.

Boże. Serce mało nie wyskoczyło z jej piersi.

- Ja... Tak, dzięki.

- Co widzisz?

Rozejrzała się, zadowolona, że może się czymś zająć.

- Rzeka jest szersza, niż myślałam. Czarna jak smoła, gdzieniegdzie księżyc ją oświetla. Z trudem dostrzegam zarys drugiego brzegu.

Kiedy mówiła, masował jej ramiona. Jego dotyk palii, nawet przez płaszcz.

- Jest pełnia księżycy - powiedziała gardłowo. I kto tu bawi się w Marilyn?
- Świeci tak jasno, że wydaje się do nas uśmiechać.

Pocałował ją w kark.

- Pewnie tak jest. Przełknęła ślinę.

- Na niebie jest mnóstwo gwiazd, świecą jak cekiny na sukni.
- Śliczna. - Powiedział to... Powiedział to tak, jakby miał na myśli nie tylko noc.

Jego ciepłe usta wędrowały wzdłuż jej karku, do ucha i na policzek. Dłoń przesuwała się w dół, znalazła drażek... Pociągnął go do siebie i jednocześnie ją pocałował.

O Boże. Łódź zwolniła.

Zamknął jej twarz w dłoniach, nakrył usta swoimi. Jego język był gorący i słodki. Pragnęła go i uległa mu całkowicie, bez opamiętania.

Usłyszała swój jęk, dobiegał z oddali, jakby wydarł się z innych ust. Uśmiechnął się. Odsunęła się i spojrzała wprost w jego oczy. Czyżby dostrzegła w nich rozbawienie? Były tak pełne życia, że musiała sobie powtórzyć, że nic nie widzą.

Zesztywniała.

- Dlaczego... Dlaczego to zrobiłeś? Przemknął palcem po jej policzku.
- Chciałem się przekonać, czy smakujesz równie dobrze, jak pachniesz.

Pochyliła głowę i wbiła wzrok w dłonie, jakby mógł ją zobaczyć. Czują, że się rumieni, speszona, zakłopotana.

- Musimy...

- Wiem, musimy. - Ale już ją odwracał twarzą do siebie, kazał jej wstać z fotela.

- Nie możemy tu tkwić pośrodku...

- Nie możemy.

I znowu ją pocałował. Wstrzymała oddech, uległa i zlała się z nim w jedno.

Ogarnął ją żar, płomień doznań. Jego usta, język, szorstki zarost, długie, silne palce, które trzymały jej podbródek, bawiły się włosami i przytrzymywały za ramiona, na wypadek gdyby chciała uciec.

Ale nie chciała.

Znowu gdzieś w głębi zrodził się ten jęk. I znowu nagle sobie przypomniała, gdzie są i co robią. Uciekają.

Oparła się o jego pierś, dysząc ciężko.

- Poczekaj... - Musimy...

- Jechać. Wiem. - Zamknął oczy, mówił ochryłym szeptem.

- Danny. - Ciągłe ją obejmował, ale już nie trzymał tak mocno.

- Kiedy cię całuję, wydaje mi się, że znowu widzę. Wszyscy zamykają oczy przy całowaniu. - Opuścił ramiona, uniósł powieki. Na jego twarzy pojawiła się gorycz. - Jestem równie dobry jak zawsze.

A więc o to chodziło. Chciał się poczuć jak dawniej. Nie ona była najważniejsza. Rzeczywistość oblała ją zimną falą. Wzięła się w garść.

- Staraj się nie myśleć w kategoriach lepsze i gorsze. Teraz jest... inaczej. Nie lepiej czy gorzej, tylko inaczej.

Wrócił na swoje miejsce.

- Dobra, stara Mary Poppins. Z cytryn zrobi lemoniadę.

- Staram się ogarnąć rzeczywistość.

- Tak jest. - Ostro skinął głową. - Ruszamy.

Przyspieszyli. Wiatr się wzmaczał. Mimo zimna powitała go ochoczo. Niech wywieje rozczarowanie. Czy było jej przykro, że przysł romantyczny nastrój? Marzycielce - tak. Tej Marcie, która wmawiała sobie, że Danny pragnął właśnie jej, a nie pierwszej lepszej kobiety. Ale realistka cieszyła się, że już po wszystkim. To pacjent. Związek osobisty byłby szczytem głupoty!

Zresztą, gdyby mógł ją zobaczyć, omijałby ją szerokim łukiem. Prawda?

To pytanie nie dawało jej spokoju. Wrócił na fotel. Z ciemności na brzegu wyłaniały się kształty i zarysy budynków. Gdzieś tam ciemność przecinało rozświetlone okno. Czerwone światła ostrzegawcze na maszcie radiowym radziły, żeby trzymać się z daleka.

Oby. Czułaby się bezpieczniej. O ile oczywiście nikt nie usiłowałby jej zabić.

Danny to zagrożenie innego rodzaju, zwłaszcza jeśli pozwoli sobie na marzenia o nim. Ale jak zachować dystans, skoro jest niemal więźniem na jego łodzi? I nie może uciec?

- Długo jeszcze? - zapytała. Szkoda, że nie ma skrzydeł. Żeby dolecieć na miejsce.

- Przy szybkości dwudziestu węzłów, jakieś trzy-cztery godziny.

O Boże. Pół nocy. Łódź mogła płynąć szybciej, czego nie można powiedzieć o niej. Nie przy jej zerowych umiejętnościach nawigatorskich. Odetchnęła głośno, zacisnęła zęby i skuliła się nad sterami.

Mijali kolejne mosty - Mid-Hudson, Newburgh-Beacon. Przy West Point rzeka się zwężała. Widziała miny starej akademii i fortyfikacje Constitution Island.

Dwie godziny później po lewej stronie rozgorzała luna świateł. Spojrzała na Danny'ego. Od pocałunku rzadko się odzywał. Udzielał jej tylko

instrukcji, gdy o coś pytała. Dała mu spokój, zbyt zmieszana własnymi uczuciami, żeby z nim rozmawiać. W nagłej jasności dostrzegła jego skupioną twarz. Zagryzła usta, niepewna, czy powinna się odezwać, ale nie mogła się powstrzymać. Zrobiłaby wszystko, byle znów się uśmiechnął.

- Duża budowla po lewej. Świeci się jak Disneyland. Uśmiechnął się krzywo.

- To nie Disneyland. To pewnie Indian Point.

- Elektrownia jądrowa?

- Tak.

Choć elektrownia powstała niedaleko Sokanan, nigdy jej nie widziała. Słyszała tylko o niej, jak większość mieszkańców. Przepływali obok podłużnej budowli z wieżyczkami. W dodali widniał potężny reaktor. Rysował się złowrogo na tle nocnego nieba.

Odwrociła wzrok, pełna fascynacji i obrzydzenia zarazem.

- Skoro to Indian Point, niedługo dotrzemy do mostu Tappan Zee - stwierdził Danny.

- Jak długo będziemy stamtąd płynąć?

- Mniej więcej godzinę.

Zdrętwiała z zimna. Palce zeszywniały jej od trzymania drążka, ale wytrzyma jeszcze godzinę.

Pół godziny później, zgodnie z przewidywaniami Danny'ego, z mroku wynurzył się most Tappan Zee. Początkowo był tylko ciągiem świateł, żeby w końcu ukazać się w pełnej okazałości.

- Widzę most - powiedziała.

Jego nazwa pochodziła od plemienia Tappan, pierwszych mieszkańców tych ziem. Zee to słowo z języka pierwszych przybyszów, Holendrów, którzy określali rzekę Hudson mianem wielkiej wody. Most wyglądał jak brylantowa kolia otaczającą szyję rzeki.

- Hudson jest tu najszersza - uprzedził Danny. - Dlatego czasami bardziej buja i wieje, więc się przygotuj.

Wiatr się wzmógł, jak na zawołanie, łódź zakołysała się na falach. Martha z jękiem zacisnęła dłonie na sterze. Danny przykrył jej palce swoimi i dodawał otuchy.

- Trzymaj z całej siły - polecił, jakby sama o tym nie wiedziała. Dokładnie to starała się robić.

Łódź tańczyła na falach, wiatr smagał uszy, aż straciła w nich czucie. Minęli właśnie most, gdy łódź runęła w tył. Puścili ster. „Sinful” był zdany na łaskę żywiołu i tańczył z falami koszmarną chaotyczną polkę. Lodowata woda uderzała o burty.

Martha miała serce w gardle. Przerazenie, prymitywne i wszechogarniające, paraliżowało jej ruchy. Usiłowała odzyskać równowagę i usiąść, ale nie mogła, jakby powstrzymywał ją niewidzialny potwór.

- Trzymaj ster! - zawołał Danny, szukając drążka po omacku.

- Próbuj! - Czy to ona krzyknęła?

Dopadła koła. Uciekało jej, wymykało się, jakby żyło własnym życiem. W końcu przycisnęła je całym ciężarem ciała i nie wiadomo jakim cudem, zdołała opanować.

Spocona, zdyszana, przekreśliła koło i... łódź jej posłuchała. Wróciła na dawny kurs. Martha siedziała, dygocząc na całym ciecie.

- Świetnie! - pochwalił Danny. - Świetnie się spisałaś.

To było świetne? Nie chciała wiedzieć, jak wygląda kiepsko.

Zwilżyła zaschnięte usta, starła ręką wilgoć z twarzy. W końcu wiatr ucichł, łódź się uspokoiła. Martha opanowała rozszalały oddech.

W oddali zajaśniały światła mostu Waszyngtona. Byli prawie na miejscu.

- Dobra - zaczął Danny, gdy przepłynęli pod mostem. - Zwolnij. Muszę ci coś powiedzieć.

Nie brzmiało to dobrze.

- Co? - Wiatr przenikał na wylot, ale osłabł, gdy zwolnili.

- Chodzi o cumowanie. Nie mam pozwolenia, więc technicznie rzecz biorąc, nie możemy przybić do przystani na Siedemdziesiątej Dziewiątej, dokąd zmierzamy.

- A kto się dowie?

- Tam jest ochrona, przynajmniej jeden strażnik.

Świetnie. Znaleźli się na środku rzeki i nie mają wyjścia. Mogą płynąć tyłko w przód albo w tył. A nie uśmiechała jej się myśl o drodze powrotnej.

- Co robimy?

- Zakradniemy się.

- Niby jak? Silnik trochę hałasuje. - W jej głosie pojawił się paniczny pisk.

Co jeszcze się zdarzy?

- Uspokój się, świetnie ci idzie.

- Nie każ mi się wyluzować! Wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo, to się nakręć. Która godzina? Zmusiła się, żeby się wziąć w garść i spojrzała na zegarek.

- Trzecia.

W zadumie skinął głową.

- Byłem już w tej przystani. Pośrodku jest kantorek, ale o tej porze siedzi tam pewnie tylko jeden strażnik.

- Jeden wystarczy, żeby nas złapać.

- Nie będzie przecież wszędzie jednocześnie.

Wy tłumaczył jej, jak płynąć, i wkrótce zobaczyli niski budynek przystani. Był dobrze oświetlony, nad dachem powiewała amerykańska flaga. Zgasili silnik, skryli się w mroku pod pierwszym pomostem. Wiatr ziębił jej twarz, rozwiewał włosy na wszystkie strony. Nieco dalej zaczynały się keje. Słyszała stukot burt i zgrzyt metalowych cum. Gdzieś w oddali warczał helikopter.

Wreszcie przy budynku zajaśniała ruchoma kropka. Strażnik z latarką.

- Idzie - szepnęła.

- W którą stronę? - zapytał Danny cicho. Przełknęła ślinę.

- Na nas.

- Dobrze. Nic nam nie grozi. Jesteśmy pod molo, tak?

- Chyba tak.

- Chyba to za mało.

Spojrzała w stronę nadchodzącego mężczyzny. Widzi ich? Wyciągnęła rękę w stronę słupa wspierającego molo. Zimne powietrze owiało jej szyję. Nie sięgnęła. Zachwiała się, łodzią zakołysało.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Danny nerwowo.

- Staram się nas przyciągnąć.

- Siedź spokojnie.

Ale już ponowiła próbę. Tym razem udało jej się złapać wystający gwóźdź. Przyciągnęła łódź bliżej, ukrywając ich przed wzrokiem strażnika.

- Mówiłem, że masz...

- W dół! - Pchnęła jego głowę. W ich stronę niknęło światło latarki. -Co do...

- Cicho. Jest tutaj.

Skulili się na dnie, zastygli w bezruchu. W ciemności jej serce zdawało się zagłuszać odgłosy nocy. Była pewna, że strażnik je usłyszy. Danny złapał ją za rękę.

- Co on robi?

Wyjrzała ostrożnie i serce zmarło jej w piersi.

- Pali.

- O Jezu.

Dokładnie.

Siedzieli w niewygodnej pozycji, skuleni. Wdychała ostry papierosowy dym i modliła się o zakaz palenia na całej ziemi.

Plusk i syk. Wyjrzała ponownie. Niedopałek wylądował w wodzie.

- Poszedł - powiedziała miękko.

- Odchodzi?

- Tak. - Odetchnęła głośno. - Droga wolna. - Wyprostowali się powoli.

Masowała obłąły, zeszywniały kark.

Danny poruszał barkami, żeby się rozluźnić.

- Powiedz, kiedy będzie na przeciwległym krańcu. Światło latarki kołysało się w rytm kroków strażnika.

- Nie widzę dokładnie.

- Więc powiedz, kiedy stracisz go z oczu.

Odczekała, na wszelki wypadek policzyła jeszcze do dziesięciu.

- Teraz.

- Odpal silnik. Ale powoli, spokojnie, nie rozpędzaj się.

Danny instruował ją krok po kroku i jakimś cudem udało jej się przycumować. Kiedy łódź uderzyła o keję, uśmiechnął się szeroko.

- Dobra robota, majtku. Teraz zacumuj.

Rzuciła cumę i zawiązała węzeł zgodnie z instrukcjami Danny'ego.

- Jak tam strażnik?

Wyteżyła wzrok, ale nadal nie widziała latarki.

- Nie widzę.

- Może znowu pali.

- To byłoby zbyt wiele szczęścia naraz.

- Chodź. - Wskazał keję. - Nie możemy tu zostać.

I nagle nie chciała schodzić z pokładu. Przeżyła podróż rzeką, ale kto wie, co ją czeka na lądzie?

Danny po omacku szukał wyjścia. Łódka się zachwiała. Martha wysiadła.

- Poczekaj, podam ci...

Ale on, jak zawsze uparty, zignorował ją i wysiadł sam.

Rozdział 8

Minęli bramę prowadzącą na teren przystani i znaleźli się w parku Riverside. Danny kazał Marcie wybrać numer nowojorskiej filii TCF, sił antyterrorystycznych. Jęknęła.

- Terroryzm? Boże drogi, żartujesz. Uważasz...

- Mówiłem ci, że znam agenta federalnego. Właśnie tam pracuje. Poproś do telefonu Jake'a Wise'a.

- O tej porze chyba nie ma go w pracy.

- Nigdy nic nie wiadomo. Zresztą możemy zostawić mu wiadomość. Zadzwoń, ale zgodnie z jej przypuszczeniami, Jake'a nie było. Danny wbił ręce w kieszenie.

- Chodźmy, gdzieś musi być jakiś bar, otwarty nawet o tej porze. Odejdźmy od rzeki.

Po kilku godzinach za sterami była wyczerpana, obolała, przemarznięta i zapłakana.

- Nie możemy iść do hotelu? Chyba prześpię cały tydzień.

- Nie. Łatwo mogliby nas znaleźć. Odetchnęła głośno i zaraz potem jęknęła.

- To może chociaż jakaś brama? Miła, zwyczajna brama. W tej chwili jest mi wszystko jedno, jak pachnie.

Danny zacisnął usta.

- Nie bądź taka pewna. Idziemy.

Podsunał jej ramię. Zmarszczyła brwi. Dlaczego nie akceptuje właściwej postawy?

- Znowu zaczynasz?

- Jesteśmy w miejscu publicznym.

- No i?

- No więc nie będę tu odgrywał ślepcy. Bierz. Zachnęła się.

- Gdybyś się nauczył posługiwać laską nie byłbyś od nikogo zależny.

Wściekł się.

- Nie będę wszem wobec zdradzał, co ze mną nie tak. Musimy wyglądać normalnie.

Poczuła ukłucie strachu.

- Nie myślisz chyba, że ktoś nas obserwuje?

- Nie wiem i nie chcę ryzykować. Drapieżnik wypatruje słabszej ofiary. Nie zdradzimy się.

Uległa jego logice i wzięła go pod rękę. Był spięty. Kręcił głową na wszystkie strony, jakby niewidzącym wzrokiem przeczesywał okolicę. Domyślała się, że nasłuchuje, stara się wychwycić i rozpoznać wszystkie dźwięki.

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy instruktor na zajęciach zawiązał jej oczy. Miała proste zadanie, przejść z jednego końca sali na drugi, podnieść kartę i wrócić z nią na miejsce. Żadnych krawężników, ulic, samochodów. Wydawało się to takie proste, ale kiedy ogarnęła ją ciemność, bała się każdego kroku. Bała się, że na coś wpadnie, że runie ze schodów. W tamtej sali nie było skał, a przecież wydawało jej się, że lada chwila jej noga zawisnie nad urwiskiem. Dopiero po wielu próbach dotarła do stolika, nie objając się o ściany. Danny ją zaskakiwał. Każdy jego krok był wielkim aktem odwagi.

Przytuliła się do niego, ale nawet przed sobą nie chciała się przyznać, że pragnie jego ciepła. Dobrze się czuł w kurtce jej ojca. Był ucieleśnieniem dziewczęcych marzeń o niegrzecznym chłopcu, buntowniku - nieogolony, z rozwianymi włosami, w skórzanej motocyklowej kurtce. Przy całym swoim rozsądku nie zdołała powstrzymać dreszczu, który rozpalał ją mimo zimna.

Siedemdziesiąta Dziewiąta pięła się w górę serią ramp i tuneli nad i pod autostradą. Szli razem, wsłuchani w monotonne odgłosy samochodów, które pędziły jezdnią mimo późnej pory.

Jeszcze nigdy nie była w Nowym Jorku o tej porze. Dawno temu mama zabrała ją na Broadway, na musical *Koty*. Było lato i kiedy szły do teatru, słońce jeszcze świeciło. Ale po spektaklu powitała je ciemność. Na ulice wylewały się tłumy ludzi, bo spektakle w innych teatrach kończyły się mniej więcej o tej samej porze. Wdychała mieszaninę perfum i spalin, wsłuchiwała się w stukot obcasów na chodniku, drżała wpatrzona w roziskrzone neony teatrów, światła latarni, oznakowania taksówek na dachach. Trzymała mamę za rękę i tak szły na stację kolejową. Była dumna z kobiety idącej obok. Szczęśliwa, że to jej mama. To jedno z jej najcenniejszych wspomnień, jakie miała. Skrywała je i nigdy o nim nie mówiła. Kiedy była mała, zanim zrozumiała, że matka nigdy nie wróci, wyjmowała je jak skąpiec skarby i polerowała, aż lśniło.

Teraz ktoś inny ją prowadził i miasto wyglądało zupełnie inaczej. Latarnie spowijały asfalt mdłym światłem, sprawiały, że butelki na chodnikach przybierały monstrualne kształty. Uliczne światła kładły się

plamami żółci, czerwieni i zieleni na jezdni. Czasami ciemność przecinało żółte oko taksówki - przemykającej szybko, jakby przerażonej. Minęli kobietę na skraju parku. Miała kozaki na niebotycznie wysokich obcasach, skórzaną mini i futrzaną kurteczkę, która nie na wiele się zdała w taką pogodę. Jej makijaż był stanowczo za ostry. Zmierzyła Marthę wzrokiem i rzuciła do Danny'ego, że z nią zabawi się lepiej.

- Niemożliwe, skarbie! - zawołał, a do Marthy szepnął cicho:

- Idź spokojnie i się nie najeżaj. Każdy musi jakoś zarobić na chleb. Ale to nie pruderia nią kierowała, tylko fakt, że nawet dziwka uważa się za lepszą od niej.

- Wydawało mi się, że zwykle zamykasz takie panienki.

- Taka praca. One o tym wiedzą i ja też. Zresztą teraz nie jesteśmy w So-kanan. - Minęli Riverside, West End i spokojne apartamentowce. Broadway także został za nimi. Zadrżała z zimna, zanim doszli do Amsterdam Avenue, skręcili i na kolejnym rogu zobaczyli bar z zielonymi oknami. Z lewej witryny zerkąło na nich logo budweisera w czterolistnej koniczynie, w prawej tańczył różowy kieliszek szampana.

- Bar Parkview - powiedziała. - Znasz?

- Nie, ale o widoku na park pewnie nie ma mowy.

- Pewnie nie.

Pomogła mu wejść do środka. Już do progu powitały ją znajome zapachy piwa i whisky. Pomieszczenie wypełniało bursztynowe światło, podobne do blasku ulicznych latarni, ale cieplejsze. Knajpa była długa i wąska, po lewej ku- sił kontuar, po prawej stoliki.

Przy barze siedziało dwóch mężczyzn - jeden w pogniecionym garniturze, drugi w dresie, jakby tu przyszedł prosto z siłowni. Wyglądał jak opuchnięty i nie wyobrażała sobie, żeby zdołał z siebie wykrzesać choćby odrobinę energii. Obaj podnieśli wzrok, gdy weszli. Zobaczyła przekrwione oczy szkliste od al- koholu i odwróciła głowę. Znała ten wzrok. Dorastała z nim.

Nieco dalej siedziała kobieta o ciemnej skórze i platynowych włosach, w kabaretkach i obcisłym czerwonym sweterku. Kiedy Martha i Danny przecho- dzili obok, przysunęła się do faceta w garniturze, zaśmiała i wychyliła drinka do dna.

Danny dyskretnie muskał mijane sprzęty wierzchem dłoni, ale potknął się o stółek barowy i zaklął pod nosem.

- Spokojnie - szepnęła. - Już prawie. - Zatrzymała się przy małym stoliku w rogu. - Tu będzie dobrze.

Po omacku odnalazł siedzenie.

- Gdzie jesteś? Dotknęła jego dłoni.
 - Naprzeciwko. Pochylił się.
 - Jest tu drugie wyjście?
- Rozejrzała się, zobaczyła neon za jego plecami.
- Chyba tak. Za tobą jest łazienka i wąski korytarzyk.
 - Idź, sprawdź.
 - Nic - odparła po powrocie. - Tylko łazienki.
 - Dobrze. Czyli tylko drzwi wejściowe. - Nie wydawał się zadowolony.

Przeszył ją dreszcz niepokoju.

- Wychodzimy? Poszukamy innej knajpy? - Zadrzała z zimna mimo płaszcz, którego jeszcze nie zdążyła zdjąć. Ostatnie, na co miała ochotę, to znowu znaleźć się na dworze, bo jeszcze się nie rozgrzała.

- Nie. Ale miej oczy otwarte. Wolałbym, żeby to miejsce nie zmieniło się w pułapkę.

Kiedy jej nie było, złożył zamówienie. Barman postawił przed nimi dwie filiżanki i dwie szklaneczki whisky.

Danny upił łyk kawy i wlał do niej alkohol. Podziwiała sprawność, z jaką to zrobił; nie rozlał ani kropli.

Pochylił się w jej stronę.

- Powiedz, kto tu jest, ile osób, płęć... - zażądał cicho. Rozejrzała się dyskretnie.

- Dwaj faceci przy barze, garnitur i dres. Kobieta. Blond peruka, duży biust, szpilki. Twój typ.

W niewidomych oczach pojawił się błysk.

- W przeciwieństwie do ciebie, co?

- Nie przejmuj się mną - zachnęła się. - Tu nie chodzi o mnie.

Na ułamek sekundy wróciła wzrokiem do kobiety. Jak to jest, emanować seksem? Nosić obcisłe ciuchy, ostry makijaż i buty na obcasie? Być wyzywającą i śmiałą a nie dyskretną i skromną?

Poczuła ukłucie zazdrości, ale zaraz się opanowała. No nieźle, zazdrości puszczańskiej w spelunie. Oczyma wyobraźni widziała siebie na szpilkach, w obcisłym sweterku. Nie miałby czego podkreślać. A na obcasach czułaby się jak żyrafa. Spójrzmy prawdzie w oczy - nie umiałyby się odnaleźć w takiej roli.

- Dobra. To zwykli goście w takim lokalu i o tej porze. Normalka.

- Normalka? - nie wytrzymała. - Co jest dla ciebie normalne? Niewidzialni ludzie strzelający do nas z nieznanych powodów?

- Niewidzialni tylko dla mnie.

Zdjęła płaszcz, ale narzuciła go na plecy - ciągle było jej zimno. Widziała swoje odbicie w lustrze w łazience i ten widok tylko pogorszył jej humor. Miała potargane włosy, splątane po podróży rzeką czerwony nos, zadrapania na policzkach i krwawe smugi, przypominające blizny Frankensteina. W tej chwili wcale nie współczuła Danny'emu.

- Weź się w garść. Ja też nie wiem, kto to. Nie widziałam nikogo w domu. Nie mam pojęcia, dlaczego chcą nas zabić. Równie dobrze mogliby być niewidzialni.

- Fakt. Nie dzielmy włosa na czworo.

Nie odpowiedziała. Oczy ją piekły, nogi bolały i mrowiły, gdy się powoli rozgrzewała. Oddałaby wszystko za godzinę snu. Cokolwiek teraz powie, wyda się złośliwe i niegrzeczne. Odetchnęła głęboko, otuliła filiżankę dłońmi.

- Ten twój przyjaciel, Jake Wise. Myślisz, że nam pomoże?

- Jeśli nie, tkwimy w gorszym bagnie, niż sądziłem. Świetnie. Akurat to, co chciała usłyszeć.

- Czy to znaczy, że masz pojecie, kto nas ściga?

- Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- A coś bezsensownego?

- Słuchaj, póki nie skontaktujemy się z Jakiem, wszystko jest jedną wielką tajemnicą. Nie ma po co kombinować, tylko się nakręcimy.

- Już jestem nakręcona.

- Więc porozmawiajmy o czymś innym.

- Na przykład? Jeszcze nikt nigdy do mnie nie strzelał.

- O twoim ojcu?

- O moim ojcu? O Jezu! Muszę do niego zadzwonić. - Znalazła komórkę, wybrała numer. - Tatuś?

- Gdzie jesteś? - Głos Charliego huczał jej w uszach.

- Spokojnie. W mieście.

- Spokojnie? Mam mówić spokojnie? Ścigają cię faceci z bronią a ja mam być spokojny? - Wyrzucił z siebie potok przekleństw, mówił coraz głośniej i coraz bardziej ochryple.

Odsunęła słuchawkę od ucha; dała mu chwilę, żeby się opanował.

- Tatusiu!

Urwał w połowie zdania, jakby nagle się zorientował, z kim rozmawia.

- Nic nam nie jest, słyszysz? Nic...

- „My” mnie nie obchodzi, interesujesz mnie tylko ty. Gdzie jesteś?

- W Nowym Jorku, w barze.
- Skontaktował się z kumplem?
- Jeszcze nie, jest za późno. Zostawiłam mu wiadomość. A ty? Znaleźli cię?
- Tak. Jeszcze się trochę pokręciłem. Wyprowadziłem ich z miasta, a potem zgubiłem, mam nadzieję, że na dobre.

- Dziękuję ci. - Zawahała się, nie wiedząc, czy ma prawo o to pytać, ale musiała wiedzieć. - Wróciłeś do domu?

- Nie, zadzwoniłem do Arniego.

Czy to kolejna subtelna próba manipulacji jej życiem miłosnym, czy Arnie Gould po prostu był dobrym przyjacielem? Nie zapytała, bo nie chciała wiedzieć. Dziwne, że ojciec poświęca jej tyle uwagi.

- Odzywaj się. - Zdawał się czytać w jej myślach. - I powiedz młodemu, że jakby co, może na mnie liczyć.

- Dobrze.

- Dbaj o siebie, mała Martho.

Skończyła rozmowę, poruszona. Od wielu lat tak się do niej nie zwracał.

- I co?

- Zgubił ich.

- Dobrze.

- Powiedział, że chętnie pomoże.

- Super. - Jego głos ociekał cynizmem. - Jeśli wymyślę, do czego mi się przyda koleś bez nóg, dam ci znać.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Ten koleś bez nóg dopiero co uratował ci życie, ty niewdzięczny...

- Ojoj! Nie chciałem...

- Przynajmniej nie uważał się nad sobą. - Nagle dygotała ze złości.

- Co to niby ma...

- Urządził sobie nowe, udane życie. Ma pracę, dom...

- Dobrze, już dobrze. - Danny uniósł ręce w geście poddania. - To prawdziwy bohater, a ja jestem śmieciem, bo sugerowałem co innego.

- A żebyś wiedział.

Zapadła znacząca, przykra cisza. Drżącą ręką nalala whisky do kawy. Wypiła. Ciepło było przyjemne, alkohol palił w żołądku. Strzelanina, ucieczka, zimno, strzelanina... chciało jej się płakać. Zalała ten odruch kawą z whisky.

- Daj mi rękę - poprosił Danny. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Po co?

- Bo sam jej nie znajdę, a zrobiłbym to, gdybym widział. Chcę ją uścisnąć i przeprosić. Poważnie.

Przesunęła dłoń, tak że ich palce się dotknęły. Przykrył je ręką.

- Przepraszam.

Patrzyła na ich splecione dłonie, na swoje kościste palce, niknące w jego opalonych i silnych. Zanim za bardzo przywiązała się do tego widoku, zabrała rękę.

- Przyjmuję.

Skinął głową odetchnął cicho.

- Jak to się stało? Dlaczego stracił nogi?

- Wypadek motocyklowy. I nie stracił nóg, po prostu nie może chodzić.

- Cholera. - Przez jego twarz przemknęło coś na kształt podziwu i przerażenia. - To musiało być straszne. Przepraszam.

Wróciła pamięcią do tamtych czasów. Ból stępsiał, znała go zbyt dobrze.

- To było dawno temu. Miałam wtedy dwanaście lat.

- Ciężka sprawa. Jak to zniósł?

Zachnęła się.

- Fatalnie. Podobnie jak ty. Zirytowany, cofnął dłoń.

- A co to niby ma znaczyć?

- Nie chciał się zmierzyć z rzeczywistością. Długo trwało, zanim zrozumiał, że ciągle ma życie przed sobą.

Zmarszczył brwi, ale nie zapytał więcej o ojca.

- A co ty robiłaś, gdy on dochodził do tego wniosku?

- Mieszkałam u przyjaciół i krewnych, głównie u ciotki Nancy, siostry mamy.

- Dlaczego? Gdzie była twoja matka?

Zadał to pytanie lekko, ot, podtrzymywał rozmowę. Ale przywołał wspomnienia, do których nie chciała wracać. Zamieszała kawę, grając na zwłokę. Łyżeczka monotonicznie uderzała o ścianki filiżanki. Chyba go to irytowało, bo złapał ją za nadgarstek i unieruchomił jej dłoń.

- Gdzie wtedy była twoja matka?

- Nie wiem. - Westchnęła. - Odeszła. - Dlaczego zawsze z takim trudem przychodzi jej to powiedzieć?

Przez kilka sekund, gdy jej dotykał, czuła bijące od niego ciepło.

- Jak to „odeszła”? Matki nie odchodzą.

- Moja owszem.
- Tak po prostu?
- W siną dal.

Był w szoku. Zawstydzila się i zignorowała myśl o jego rodzinie. Jego matce.

- Dlaczego odeszła?

Tyle razy sama sobie zadawała to pytanie, że już drażniło.

- Skąd mam wiedzieć? Bo była samolubna, niedojrzała, zepsuta, zła, wredna, nieodpowiedzialna... - wyliczała odpowiedzi, do których dochodziła w ciągu minionych lat. Nie zdradziła tylko podejrzenia, że odeszła, bo nikt nie jest w stanie jej kochać, nawet rodzona matka. - Pewnie nie miała ochoty opiekować się paralitykiem i małą dziewczynką.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Dziwne. Ja przez całe życie się zastanawiałem, dlaczego moja matka została.

- Z tobą? A co? Byłeś nieznośnym dzieckiem? Uśmiechnął się.

- No... nie byłem aniołkiem. Raczej zbuntowanym aniołem. Pamiętała go. Zawsze pakował się w kłopoty, choć zwykle wychodził z nich obronną ręką, za sprawą promiennego uśmiechu.

- Mam siostrę, Beth, więc było nas dwoje, a mama tylko jedna. Nie,, wiem, co się stało z ojcem. Pewnie gdzieś jest, ale nigdy nie mieszkał z nami. Tyrała ponad siły i umarła przed czterdziestką.

Powiedział to sucho, ale wyczuła coś pod tym spokojem. Więc i on posmakował utraty. Fakt, że coś ich łączy, kazał jej spojrzeć na niego z innej perspektywy.

- Pewnie bardzo ci jej brakowało. Uśmiechnął się smutno, z rozmarzeniem.

- Co rano szykowała nam śniadanie, nawet jeśli w lodówce było tylko mleko. Kazała nam siadać razem i pić przy stole. Lunch jadalіśmy w szkole, a wieczorami pracowała, więc nie było jej przy kolacji. Dlatego tak bardzo jej zależało na rodzinnym śniadaniu.

- Brzmi miło.

- Miło? - Zmarszczył brwi. - To było okropne. - Ugryzł się w język, zastanowił. Rozpogodził. - Tak, to było miłe. - Napił się kawy. -A ty? Widziałaś jeszcze kiedyś matkę?

- Nie.

- Nie napisała nawet pocztówki?

- Nawet pocztówki.

Zamyślił się. I dobrze. Szukała ucieczki w kawie. Liczyła, że to już koniec przesłuchania. Ale nie.

- Wychowałeś się w Sokanan?

Niewinne z pozoru pytanie, ale zeszywniała, świadoma, że zapuszczają się na grząski grunt.

- Tak.

- Czyli chodziłeś do miejscowej szkoły. Do północnej? Upiła łyk kawy, wyprostowała się. Czy doda dwa do dwóch?

- Tak.

- W którym roku skończyłeś?

- W dziewięćdziesiątym pierwszym. Chwila ciszy.

- Ja też.

Wbiła wzrok w filiżankę, nie chciała na niego patrzeć.

- Wiem.

- Wiedziałaś, że chodziliśmy razem do szkoły?

W jego głosie pojawiły się oskarżycielskie nuty. Musiała się bronić.

- Do tej samej szkoły i w tym samym czasie, co nie znaczy, że chodziliśmy do niej razem.

- Znowu dzielisz włos na czworo. - Zamyślił się. - Więc cię znam.

- Nie sądzę.

- Martha Crowe. - Widziała, jak szuka we wspomnieniach. Ale nie wiedziała, co gorsze: jeśli ją sobie przypomni, czy jeśli nie. W końcu westchnął i przecząco pokręcił głową. - Niestety.

Odetchnęła z ulgą.

- To było czternaście lat temu.

- Ale ty mnie pamiętałaś.

- Wszyscy pamiętają najprzystojniejszego chłopaka w szkole. Uśmiechnął się i nagle świat pojaśniał.

- Uważasz, że jestem przystojny?

- Przecież już to ustaliliśmy, prawda? Słuchaj. Wiem, że ryzykuję, powiększając listę zakazanych tematów o kolejny, ale czy możemy porozmawiać o czymś innym?

- No nie wiem, ta rozmowa mi się w sumie podobała.

- Wrzasnę na cały bar, że jesteś bezradnym ślepcem.

- Nie zrobisz tego.

Oczywiście że nie, ale mu tego nie powie.

- Ależ owszem. Jeśli nie zmienimy tematu.

- Twarda z ciebie sztuka, Martho Crowe.

- Takie życie, detektywie. Nie oponował.

- Która godzina? Zerknęła na zegarek.

- Czwarta.

- Ciągłe za wcześnie jak na Jake'a.

- A numer domowy? Komórka?

- Ależ tak, ale w książce telefonicznej go nie znajdziesz, a jakoś nie zabrałem notesu. Musimy poczekać.

Wrócił barman.

- Ostanía kolejka. Coś wam podać?

- To samo - mruknął Danny.

Drzwi się otworzyły i do baru wszedł mężczyzna. Miał zmierzwione ciemne włosy i sumiaste czarne wąsy. Wyglądał jak niedźwiedź, którego, ku jego wielkiemu niezadowoleniu, wybudzono z zimowego snu.

Rozejrzał się po barze. Zignorował wysokie barowe stołki i patrzył na stoliki. Napotkał wzrok Marthy. Uciekł, ale zaraz wrócił do niej spojrzeniem.

Poczuła dreszcz strachu. Niby po co wchodzić do baru, który zaraz zamkna? Chyba że nie przyszedł tu na piwo. Facet szedł w ich stronę. Znieruchomiała.

- Ktoś... wszedł. On... on się na nas gapi. Danny zeszywniał.

- Kto to?

- Groźny facet.

- Niewiele mi to mówi.

- Potężny, ciemnowłosy, nieogolony.

- Jak ja. Co ma na sobie?

- Prochowiec z postawionym kołnierzem.

- Ręce?

- W kieszeniach. - Pytania tylko potęgowały jej strach. - Chodźmy stąd. I tak więcej nie wypiję. - Chciała wstać, ale Danny wyciągnął rękę, złapał ją za biodro i pociągnął.

- Siadaj. Uspokój się. Co robisz?

- Kto?

- Ten facet.

Zerknęła ukradkiem.

- Siada.

- Gdzie? Przełknęła ślinę.

- Stolik po twojej prawej.

- Za nami.

- Tak. Jesteś pewien, że nie możemy iść do hotelu?

- Owszem.

- To poszukajmy innego miejsca.

- Jest za późno na ławkę w parku. Nadal nas obserwuje?

- Tak - syknęła. - Gapi się na mnie. - Złapała go za rękę. - Chodźmy już.

- Dobrze, ale spokojnie. Najpierw musimy zapłacić. - Wyjął portfel z kieszeni i znieruchomiał, klnąc pod nosem. Zrozumiała. Nie umiał wyjąć odpowiednich banknotów.

Wyjęła mu portfel z dłoni.

- Nauczę cię, jak radzić sobie z pieniędzmi. To proste, ale teraz... -Rzuciła kilka banknotów na stół.

Barman szedł w ich stronę z nowym zamówieniem.

- Zmiana planów?

Danny się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Kobiety.

- Wiem aż za dobrze, bracie.

- Pieniądze na stole - syknęła Martha, niezbyt zachwycona posunięciem Danny'ego, chociaż rozumiała jego intencje. Powinni zachowywać się normalnie.

- Miłego wieczoru! - zawołał za nimi barman.

- Tobie też, kolego - oparł Danny. - Chodź, skarbie, idziemy do domu.

Wiedziała, że to znak, że ma go wziąć pod ramię i wyprowadzić.

Na zewnątrz otoczyło ich lodowate zimno. Spojrzała w prawo i w lewo, nie wiedząc, gdzie iść. Oczami wyobraźni widziała, jak mężczyzna z baru wstaje i człapie do drzwi. Za nimi.

- Idzie? - zapytał Danny.

- Nie wiem, dopiero co wyszliśmy.

- Idź, cały czas oddalaj się od rzeki. Znajdź wystawę i stań przy niej.

- Dlaczego?

- Rób, co ci mówię. I nie odwracaj się. Rozkazy potęgowały napięcie.

- A jeśli za nami pójdzie?

- Dowiemy się. Ale na razie się nie oglądaj.

Płuca odmawiały jej posłuszeństwa, dygotała na całym ciele, ale go posłuchała. Minęli antykwariat, restaurację, sklep spożywczy. We wszystkich były kraty w oknach.

- Wszędzie kraty. - Słyszała panikę we własnym głosie.

- Nie szkodzi. Już i bez tego daleko zaszliśmy. Nic nie słyszę. Ktoś za nami idzie?

Obejrzała się za siebie.

- Chyba nie, nikogo nie widzę.

- Dobrze. - Zwolnił kroku. - Fałszywy alarm.

Z ulgi ugięły się pod nią nogi, musiała się przytrzymać krat w oknie. I wtedy przyszło zakłopotanie. Spanikowała. Bez powodu.

- Przepraszam. Pokręcił głową.

- Gdybym go widział...

- Myślałam... Uznałam, że lepiej dmuchać na zimne.

- W porządku. - Przytulił ją na chwilę.

- Wracamy?

- Nie, to by dziwnie wyglądało. Przejdźmy się jeszcze. Może znajdziemy inną otwartą knajpę.

Minęli dziesięć przecznic, skuleni z zimna. Niczego nie znaleźli. Wtedy lunął deszcz.

Spadł niespodziewanie. Moczył policzki lodowatymi kroplami, wślizgiwał się za kołnierz, spływał na kark. Smagał nogi poniżej płaszcza.

- Jezu Chryste. - Danny otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie. Pochylili głowy, ale deszcz nie dał się oszukać. — Jak się trzymasz?

- W porządku. - Ale nie mogła powstrzymać szczękania zębami. -No dobra, fatalnie. Jest mi zimno, mokro i źle. Nie możemy się tak włóczyć do rana.

- Znam takie miejsce...

- Alleluja! Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

- Jest... charakterystyczne. Ale nie trzeba się rejestrować.

- Jak dla mnie to może być śmietnik, byle suchy.

- Dobrze, ale nie mów, że cię nie uprzedzałem.

Doszli do Siedemdziesiątej Drugiej i pojechali metrem na Canal Street - przynajmniej w kolejce było sucho. Przemoczona, wyczerpana Martha kołysała się monotonnie. Huk ogłuszał. Ciekawe, jak podróż metrem odbiera Danny, który przecież słyszy jedynie huk i szum. Zamknęła oczy, żeby tego doznać, ale

świadomość, że zaraz uniesie powieki, sprawiała, że wrażenie było nierzeczywiste.

Wysiedli, weszli schodami na ulicę i znów znaleźli się w strumieniach deszczu. Danny postawił kołnierz kurtki i mówił, któredy mają iść - dwie przecznice na południe, jedna na wschód. Zobaczyli neon nad drzwiami. Przyzywał, kusił w potokach deszczu, Żółty Motyl.

Lokal nie wyglądał zachęcająco mimo poetyckiej nazwy. W oknach tkwiły kraty, podłoga za przeszklonymi drzwiami lepiała się od brudu. Ale w środku było sucho. Nie szkodzi, że recepcję otaczały, potężne kraty, zza których prawie nie było widać małego człowieczka.

- Prosimy pokój. - Z mokrych włosów Marthy spływała woda, usta zdrętwiały jej z zimna.

- Cześć, Jenny. Jesteś tu nowa. - Recepcjonista wyglądał jak mały skurczony staruszek, ale gdy podniósł głowę, przekonali się, że dopiero dobiega do pięćdziesiątki.

- Nie nazywam się Jenny i...

- Och, zwracam się tak do was wszystkich. Za dużo imion i twarzy do zapamiętania.

- Słuchaj, kolego. - Danny włączył się do rozmowy. - Zależy nam na pokoju, nie na rozmowie.

- Spokojnie, synu. Zaraz dostaniesz, czego ci trzeba. - Mężczyzna zakrzętał się i po chwili położył na kontuarze klucz oraz pościel.

- Dwadzieścia dolców za godzinę, siedemdziesiąt pięć do południa. Płatne z góry.

Odciągnęła Danny'ego od lady.

- Mam tylko czterdzieści. A ty?

- Nie wiem, miałem jakieś sześćdziesiąt. Ile zapłaciliśmy w barze?

- Dziesięć.

- Daj mu czterdzieści. Może do tego czasu Jake zjawi się w biurze. Podążyła recepcjoniście banknoty i zabrała klucz. Dostali pokój na piątym piętrze. Rozejrzała się w poszukiwaniu windy. Recepcjonista się roześmiał.

- Po schodach, Jenny Nie mamy luksusów. - Wskazał głową wiekową klatkę schodową z metalową poręczą Pociągnęła Danny'ego w tamtą stronę, wydając wskazówki szeptem. Miała nadzieję, że recepcjonista jej nie słyszy.

- Mówiłem ci, że to nie Ritz - zauważył Danny, gdy szli na górę. Delikatnie mówiąc.

- Skąd znasz to miejsce?

- Kiedyś tu kogoś aresztowałem.
- Dochodzę do wniosku, że na dworze było lepiej. Westchnął komicznie.
- Ech, kobiety! Kto was zrozumie!

Naburmuszona, dotarła na piąte piętro i szybko przekreśliła klucz w drzwiach. Czekały na nich łóżko, nocna szafka i fotel, który wyglądał, jakby tu stał od czasów wojny o niepodległość.

Najwyraźniej łóżko stanowiło główny element wyposażenia.

Gdyby jeszcze miała jakieś wątpliwości, zza cienkiej jak papier ściany dobiegało rytmiczne walenie, któremu towarzyszyły męskie sapanie, jęki i ryk spełnienia.

Poczerwieniała. Danny zatrzymał się w pół kroku.

Zapadła długa cisza.

W końcu przerwał ją Danny.

- Jesteś tu jeszcze?
- Mhm.
- Czerwona jak burak?
- Nie - skłamała. Uśmiechnął się.
- Prawa czy lewa strona?

Gapiała się na niego pustym wzrokiem. O co mu chodzi?

- Łóżko - wyjaśnił. - Z której strony chcesz się położyć? Poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Ja nie...

- Mówiłaś, że jesteś zmęczona. O ile pamiętam, powiedziałaś, że mogłabyś przespać cały tydzień. Niestety, musi ci wystarczyć kilka godzin.

- Tak, ale...

- No dobra, Crowe. Pozwolę ci leżeć od zewnętrznej, żeby karaluchy najpierw włożyły na mnie.

Oblizwała usta. Rzeczywiście jest zmęczona. Ale jak zdoła zasnąć, wiedząc, co się dzieje za ścianą?

Wpatrywała się w łóżko i zaskoczył ją dotyk jego dłoni na karku.

- Nie gryzę - szepnął jej do ucha. I właśnie to ją martwiło.

Nie zwracali sobie głowy ścieleniem łóżka. Zdjęli mokre okrycia, wytarli się jednym prześcieradłem, a drugie Martha byle jak rozłożyła na materacu. Danny położył się od ściany. Zgasiła lampkę i wyciągnęła się koło niego. Przemknęło jej przez myśl, że w ciemności są sobie równi - niewidomi, niezdarni.

Leżał koło niej, emanował ciepłem, chronił. Za ścianą odgłosy zaczęły się do nowa i pożądanie przeszło ją gorącym ukłuciem. Broniła się, tłumiała reakcje ciała, ale mimo świadomości, że transakcja za ścianą opiera się wyłącznie na pieniądzech, podniecały ją dobiegające stamtąd jęki. Czy Danny czuje to samo?

Leżała jak martwa, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, zaciskała pięści. Niechcący musnęła dłoń Danny'ego i zdała sobie sprawę, że robi to samo - wbiła palce w materac. Ich dłonie odnalazły się jednocześnie.

Jęki narastały, walenie przybierało na sile i tempie. Danny ścisnął jej dłoń. Zesztywniała z napięcia.

Gdy rozległ się krzyk spełnienia, jej palce były niemal zmiażdżone.

I nagle, zupełnie zwyczajnie, puścił ją. Rozluźniła się, wyciszyła, ale pulsowanie zostało, podobnie jak żar. Ciekawe, jakie to uczucie, ugasić go.

Tu i teraz. Taka jej prywatna fantazja.

Wyszeptała jego imię.

- Tak?

Przełknęła ślinę. Zrobi z siebie idiotkę.

Nie po raz pierwszy. Przed oczami przemknęło jej całe miłosne życie, jak przed oczami skazańca. Niezliczone randki w ciemno, które do niczego nie prowadziły. Wiecznie milczący telefon. Kiedy miała dwadzieścia pięć lat i kończyła studia, spodobał jej się facet z ekonomii. Zdawał się odwzajemniać to uczucie. Kupował jej kwiaty, zabierał do restauracji, mówił, że jest ładna, i sprawił, że w to uwierzyła. Zaczęła marzyć. Przespał się z nią i przestał ją uważać, jakby stała się niewidzialna. Później się dowiedziała, że była jego projektem charytatywnym na dany miesiąc.

Bolało tak bardzo, że rana została do dzisiaj.

I teraz, po raz pierwszy do dawna, poczuła, że żyje. Pragnie. Nie przypominała sobie, kiedy ostatnio doświadczyła czegoś takiego.

Cudowne uczucie.

Nie miała złudzeń. To tylko jeden raz, jedna noc. Złamie wszystkie zasady dla jednego marzenia.

Ale lepsze marzenie, wspomnienie niż nic. Odwróciła się do niego.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Rozdział 9

Znieruchomiał.

- Panno Crowe, niebezpieczna z pani kobieta.

- Pocałuj mnie.

Odwrócił się w jej stronę. W dusznym powietrzu wyczuł znajomy zapach wiosennej łąki i wiedział, że Martha jest tuż-tuż. Ale nie tu. Nie w hotelu na godziny. Odnalazł jej twarz, pogłaskał po policzku.

- To nie jest najlepszy pomysł. Znieruchomiała, odsunęła się.

- Dlaczego?

W jej głosie usłyszał strach i starał się go przegonić. Odwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Bo na pocałunku by się nie skończyło.

Leżała nieruchomo, jakby analizowała znaczenie tych słów. A potem poczuł, jak kąciki jej ust się unoszą. Uśmiechała się. Rozbawił ją. Ogarnęło go przyjemne ciepło.

Przysunęła się bliżej, czuł na ustach jej oddech.,

- Więc niech się nie kończy.

Nie zdążył odpowiedzieć. Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Był dziwny, nerwowy i niezdarly. Ale jej usta kusiły ciepłem, smakowały whisky i kawą. Mało kto by się oparł.

Otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie. Rozchyliła usta i dotyk jej języka sprawił, że przeszył go dreszcz.

Jęknęła. Głęboko, przejmująco, jakby ten dźwięk pochodził z dna jej duszy.

- O Boże. Danny.

Przesunął jej nogę tak, że go dotykała, że napierała na jego nabrzmiałą męskość. Była szczupła, miała małe, krągłe pośladki, smukłe uda... Oplatała go kusząco nogami. Cudownie. Nabrzmiał.

Błądził dłońmi po jej plecach, barkach i chudych ramionach. Pisnęła, co rozpaliło go jeszcze bardziej. Odnalazł jej piersi, drobne, jędrne, o już nabrzmiałych sutkach.

Pragnął jej. I był wdzięczny losowi, że mu tego nie odebrał. Że nieważne, ślepy czy nie, nadal może rozpalić kobietę.

Wsunął dłoń pod jej bluzkę. Miała gładką, miękką skórę. Jej piersi zdawały się błagać o pocałunek. Uniósł materiał i musnął je językiem.

Jęknęła, wygięła się w łuk. Odnalazł pasek jej spodni. Szukał suwaka. I wtedy za ścianą znowu się zaczęło.

Przypomniał sobie, gdzie jest.

I z kim.

Nie z byle kobietą. Z nią. Z upartą władczą zakompleksioną Martha Z kobietą która działała na niego jak żadna inna. Z Martha która ma go uczyć. Dodać mu pewności siebie.

- Martho. - Odepchnął ją. Sprawił, że między rozpalone ciała wtargnęło powietrze. - Martho, poczekaj. - Wypłatał się z jej objęć.

Dyszała ciężko. Jej piersi unosiły się gwałtownie. On także oddychał z trudem.

- Co? - mówiła niewyraźnie, nerwowo. - Nie przestawaj. - Zaczepnęła haust powietrza. - Dlaczego przestałeś?

- Ja, nie...

- Co? - Łóżko zatrzęszczało. Poruszyła się. Dotknęła pleców Danny'ego. Jej palce zostawiły ognisty ślad na jego skórze.

- Nie! Nie ruszaj się. - Boże, chyba nie da rady bawić się w szlachetnego rycerza, jeśli będzie go tak dotykać.

Zabrała dłoń, jakby ją uderzył.

- Ja... Nie rozumiem. Co ona wyprawia?

- Przepraszam. Rzuciłam się na ciebie - mówiła spokojnie, zawstydzona.

- Wiem, co robisz. Odrobina czułości dla ślepcy.

- Nie, Danny, to nie tak. - Znowu dotknęła jego pleców. Wzdrygnął się.

- Nie rób tego.

- Lubię cię dotykać. Jesteś taki... piękny.

- Czyżby? - Pokręcił głową coraz bardziej urażony. - A gdybym był niski, gruby i brzydki?

- Ale nie jesteś.

- A gdybym był? Czy to by coś zmieniło? Chwilę trwało, zanim się odezwała.

- Chyba tak - powiedziała w końcu ze smutkiem w głosie.

- Więc jesteś taka sama jak my wszyscy, zwyczajni śmiertelnicy.

Walenie za ścianą narastało. I jęki, przerywane krzykiem: „Tak! Tak, jeszcze!”

Pragnął jej, ale nie będzie się z nią kochał tu, wśród dziwki i pijaków. I nie dlatego, że oferuje mu się z litości.

Wstał. Gdzieś tu był fotel. Gdzieś w pobliżu. Wstał, trzymał się łóżka i odnalazł ścianę. Tkwił w czerni, w jaskini tak mrocznej, że jej istnienia nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Skupił się na opuszkach palców. Szedł wzdłuż ściany.

- Co robisz? - zapytała.
- Szukam fotela.
- Jest na...
- Znajdę - warknął.

Dotarł do okna. Musnął chłodną tafelą szkła. Potknął się o coś. Zaklął, zignorował ból i pomacał przeszkodę. Stolik - okrągły, twarde, a obok coś miękkiego - oparcie fotela.

- Znalazł siedzenie, upewnił się, że jest puste, i usiadł.
- Prześpij się.

Zamknął oczy. Nie musiał. Ciemność otaczała go bez względu na to, czy miał otwarte powieki, czy nie. Ze względu na Marthę. Żeby uciąć jej uwagi. Facet za ścianą szczytował z rykiem.

- Zapadła cisza. Od strony łóżka usłyszał głos Marthy:
- Nie zrobiłam tego z litości, Danny.

Godzinę później zadzwonił Jake Wise. Równie dobrze mogło minąć kilka wieków, ale Danny wiedział, że upłynęło ledwie sześćdziesiąt minut, bo na jego prośbę Martha sprawdziła godzinę, podając mu komórkę.

- Sin! - Uderzyła go radość w głosie Jake'a. Nagle w pełni zdał sobie sprawę, co oznacza spotkanie z przyjacielem. Będzie mu musiał powiedzieć, co się stało. Przyznać, że jest ślepy. Zrobiło mu się niedobrze.

Jake paplał dalej:

- Jezu! Co ty znowu wyprawiasz? Sam nie bardzo wiedział.
- Nie uwierzysz. Jake się roześmiał.
- Czyżby? Nadal tkwisz w rymsztoku, w podartych dżinsach i z fatalną fryzurą?
- Niektórzy nie muszą się stroić, żeby wyrwać łaskę.
- Jakbym nie wiedział. Niektórym wystarczy błysnąć niebieskimi oczami. To był stary żart, ale teraz zabolął.
- No właśnie.

Jake chyba usłyszał coś w jego głosie.

- Wszystko w porządku?

- Jasne.

- Więc po co ta pobudka?

- Musimy się spotkać.

- Jak?

- Ty mi powiesz. Jake zrozumiał.

- Działasz pod przykrywką?

- Powiedzmy.

- A mała? Nie mów, że jesteś z dziewczyną

- To nie... - Urwał, bo uświadomił sobie, jak Martha odbierze jego słowa. -

To świadek.

- Świadek. - Jake się zachnął. - Tylko ty możesz się w coś takiego wpakować, Sin.

- Słuchaj, to nie... - Właściwie sam nie wiedział, kim jest dla niego Martha. Co miał powiedzieć Jake'owi? - Mamy problem. Musimy się gdzieś zatrzymać.

- Gdzie teraz jesteście? Wytłumaczył, jak dojechać do hotelu.

Jake odszedł na chwilę. Nie wiedział, czy rozmawiał z kolegą czy studiował mapę.

- Masz pecha, Sin. Dzisiaj przyjeżdża gubernator i nowojorska policja zablokowała ulice w promieniu dwóch kilometrów. Mogę włączyć syrenę, ale nie sądzę, żebyś chciał zwracać na siebie uwagę.

- No, nie. Poczekamy.

- W restauracji? Na Mercer jest kawiarnia. Możecie tam być?

- Za pół godziny?

- Do zobaczenia.

Dzięki Bogu! Jake jak zwykle nie zadawał wielu pytań. Skończył rozmowę, a Martha wyjęła mu aparat z dłoni.

- Co powiedział? - spytała chłodnym rzeczowym głosem. Mimo to wiedział, że miałyby mnóstwo do powiedzenia na temat tego, co między nimi zaszło, gdyby tylko poruszył ten temat. Kobiety wiecznie analizują gadają, rozkładają wszystko na czynniki pierwsze. Aż nic nie zostanie.

Miał nadzieję, że Martha wytrzyma do czasu spotkania z Jakiem.

- Zaprasza nas na śniadanie. Umówiliśmy się w kawiarni. Musimy tam iść na piechotę.

- Nie możemy taksówką?

- Moglibyśmy, gdyby nie wizyta gubernatora i blokada ulic. Walczy o głosy.

Usłyszał szelest materiału. Stoi? Wkłada płaszcz?

- Niewiele mu powiedziałaś.

- Lepiej zrobić to potem. Nie wierzę, żeby nas podsłuchiowano, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

- I dlatego nawet nie wspomniałaś, że jesteś niewidomy? Powiedziała to cicho, a i tak jego żołądek fiknął salto.

- Co niby miałem powiedzieć? Słuchaj, stary, gównie widzę?

- Może nie tymi słowami, ale tak, coś w tym stylu. Będzie zaskoczony.

Danny westchnął. Uniósł dłonie do skroni.

- Nie wiem, dlaczego o tym nie wspomniałem.

- Boisz się?

To słowo obudziło gniew.

- Niczego się nie boję.

- Ślepoty owszem.

Instynktownie zrobił krok w jej stronę. Boże, najchętniej zamknąłby jej usta.

- Nie wymawiaj... - Wpadł na stolik. Uderzenie pięścią w drzwi.

- Jesteście tam?

- Nic ci się nie stało? - Martha stała u jego boku. Odepchnął ją.

- Nic mi nie jest.

- Hej! Jeśli zostajecie, wisicie mi dwadzieścia dolców.

- Już idziemy! - zawołał Danny. - Spadaj!

- Nie odejdę bez kasy. Albo zobaczę na własne oczy, jak wychodzicie.

- Trzymaj. - Martha narzuciła Danny'emu skórzaną kurtkę na ramiona i otworzyła drzwi. Sądząc po jęku zawiasów, niemal je wyrwała z futryny. - Dostać tego. Idziemy.

- Spokojnie, spokojnie. Taką mam pracę.

- Spadaj.

- Najpierw zobaczę, jak wychodzicie.

Zawróciła, wzięła Danny'ego pod rękę. Z dumnie podniesioną głową szukał drogi. Starał się wyglądać normalnie. Zatrzymała się, poczekała, aż drzwi się zamkną.

- Idziemy - oznajmiła chłodno. - To klucz. Recepcjonista burknął coś pod nosem i odszedł.

- Gotów? - zapytała.
- Pewnie.

Wcale nie. Martha trafiła w dziesiątkę. Bał się spotkania z Jakiem. Bał się, że nie będzie już dawnym sobą. Że Jake będzie się litował.

Powinien był mu powiedzieć, ale słowa utkwiły mu w gardle.

Trzymał się ściany i powoli schodził ze schodów. Na dole Martha przeprowadziła go przez otwartą przestrzeń - pewnie hol - i nagle poczuł podmuch wiatru. Byli na zewnątrz.

Namacał suwak. Zaklął, ale w końcu udało mu się dopasować dwa kawałki metalu. Jezus Maria! Nie umie szybko zapiąć zamka. Jakim cudem chce chronić życie swoje i Marthy?

Szli powoli, ostrożnie. Dwie godziny, które spędzili w hotelu, wystarczyły, żeby ruch uliczny przybrał na sile. Kiedy wyszli poza teren blokady, otoczyły ich warkot silników, buczenie klaksonów, niskie pomruki autobusów. Co jakiś czas Martha popychała go w prawo lub lewo. Kilka razy ktoś na niego wpadł i mruzczała pod nosem przeprosiny.

Domyślał się, że nie doszłoby do tego, gdyby trzymał ją tak, jak go tego uczyła. Ale nie wyobrażał sobie, że wejdzie do kawiarni zdany na jej łaskę.

- Kto to jest, ten cały Jake Wise? Skąd go znasz? - Trzymała go mocno, jakby bała się puścić. Bliskość obojgu dodawała otuchy. Słońce stało wysoko, czuł je na twarzy. Jego promienie łagodziły przenikliwy ziąb.

- Byliśmy razem wojsku, w siłach specjalnych. Trafiliśmy do tej samej jednostki po szkoleniu.

- Przyjaźnicie się?

- Nie ceruję mu skarpetek, ale owszem, chodzimy razem na mecze Knicksów.

- Myślisz, że nam pomoże?

- Jest bystry i świetnie wyszkolony. Mam nadzieję.

Dotarli do kawiarni na czas. Ledwie weszli, Danny zdał sobie sprawę, że ich kłopoty jeszcze się nie skończyły. Martha nie wie, jak wygląda Jake, a on go jej przecież nie pokaże.

- Macha do nas facet przy stoliku w kącie - oznajmiła. - To on?

- Jak wygląda?

- Jasnobrązowe włosy, garnitur. Tyle widzę. Poczekaj... Wstaje. Idzie do nas.

- Sin!

Znajomy głos sprawił, że coś ścisnęło Danny'ego w żołądku.

- Cześć, stary.

Poczuł rękę na karku i klepanie po plecach.

- Miło cię widzieć. Zająłem stolik. Chodźcie.

Martha ruszyła i pociągnęła Danny'ego za sobą. Pewnie do stolika.

- Machałem do ciebie - zaczął Jake. Danny oblizał usta i uśmiechnął się z trudem.

- Nie zauważyłem.

- Nie wiem, jak to możliwe.

Martha uściśnęła jego rękę. Dawała mu znak - powiedz mu, już, teraz. Będzie dobrze. Łatwo jej mówić.

- Widzisz, Jake... Ja... niczego nie zauważam.

- Jesteśmy - szepnęła Martha i jakimś cudem położyła jego rękę na oparciu kanapy.

Odsunęła się, żeby zbadał otoczenie. Chłodny, gładki materiał, skóra albo skaj. Usiadł. Martha zajęła miejsce koło niego.

Jake milczał. Danny domyślał się, że przyjaciel zastanawia się nad tym, co usłyszał i zobaczył-Marthę u jego boku, nieporadność. Brakuje mu tylko tabliczki na szyi.

- Co się stało? - zapytał poważnie. Danny oddałby wszystko, byle usłyszeć jego dawne drwiny.

- Po ludzku czy medycznie?

- Miał wylew. - Martha wtrąciła się do rozmowy. - Stracił wzrok. -

Odwróciła się do niego, pochyliła i przypadkiem dotknęła piersią jego łokcia. Błyskawicznie wrócił myślami do nędznego hoteliku. Poczuł jej dłonie na sobie. Jakimś cudem wszystko się zlewało - jej litość i współczucie Jake'a.

- Przykro mi, Danny - powiedziała miękko. — Ale lepiej mieć to z głowy

Skinął głową. Zaciskał usta tak mocno, żeby utrzymać emocje na wodzy, że nie byłby w stanie jej odpowiedzieć, nawet gdyby chciał.

- Wylew - powtórzył Jake powoli. - O Jezu. - Chwila ciszy, a potem niski śmiech. - Wiesz, Sin, wiedziałem, że zrobisz wszystko, dosłownie wszystko, żeby zapewnić sobie powodzenie u kobiet. Ale tego się nie spodziewałem.

Słowa Jake'a nie od razu do niego dotarły.

- Co ty gadasz?

- Rany! Myślisz, że nie wyczuję podstępów? Zobacz, jaki biedny ślepiec. - Jake naśladował kobiece szczebiotanie. - Taki biedniutki, może potrzebuje pomocy. Może chce, żeby ktoś wziął go za rękę, pogłaskał po główce, pomasażował...

- Jasne, dzięki. - Danny się odprężył. Nie zniósłby współczucia i na szczęście nie musiał.

- Co prawda nigdy nie potrzebowałeś tanich sztuczek, ale jeśli już chciałeś koniecznie zwrócić na siebie uwagę, mogłeś wymyślić coś lepszego.

Danny skinął głową i poczuł, że się uśmiecha.

- Co prawda, to prawda.

- A kim jest twoja przyjaciółka? - I już, koniec tematu. Problem z głowy, czas się zająć ważniejszymi sprawami.

- Jego przyjaciółka to Martha Crowe.

Jeszcze tydzień temu zaskoczyłaby go jej bezpośredniość. To, że nie czekała, aż ją przedstawi. Ale nie teraz.

- JakeWise.

Wyczuł ruch. Podali sobie ręce?

- Opowiadaj, Sin. Co się dzieje?

- Kawy? - Nieznajomy kobiecy głos.

- Dla wszystkich. - Jake zdecydował. Bulgotanie płynu mieszało się z brzękiem naczyń.

- Co podać? - Kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła. Danny pokrótce zdradził Jake'owi, o co chodzi. Martha naląła mleka do kawy i, korzystając z tego, że Danny i Jake zajęli się sobą przyjrzała się nowo przybyłemu. Był od Danny'ego niższy i drobniejszy, miał regularne rysy, kwadratową szczękę i krótkie włosy. Nosił elegancki ciemny garnitur i konserwatywny brązowy krawat, ale strój biznesmena nie zdołał ukryć siły i pewności siebie. Dokoła ust widziała zmarszczki. Rozchodziły się też promieniście wokół oczu - od śmiechu czy wpatrywania się długo w dal, w poszukiwaniu wroga?

Widziała w nich drwiący błysk. Zachowywał się wspaniale wobec Danny'ego. Nie umknęło jej uwagi, że z jego twarzy odpłynęła cała krew i zacisnął usta w wąską linię, gdy powiedziała prawdę. Ale zareagował jak trzeba. Samo to wzbudziło jej respekt. A do tego był inteligentny - analizował wszystko, czego się dowiedział z rozmowy.

- Więc co? Ricky Roda sprowadza do kraju nieoznakowaną broń? Przypomniała sobie to nazwisko. Widziała je w aktach. Danny mówił, że Roda to ważna figura w lokalnym handlu bronią i narkotykami.

- Taka spluwa to skarb dla każdego kryminalisty - zauważył Danny. A więc nad tym się zastanawiał. Dobry Boże! W natłoku uczuć, wywołanych jego dotykiem i bliskością prawie zapomniała, co ich połączyło.

- Po co ci jestem potrzebny? - Jake napił się kawy. - Broń to nie moja działka.

Danny nie dał mu dokończyć.

- Kumpel wysłał broń do analizy metalurgicznej. To potrwa Bóg wie ile, a tymczasem na nas polują.

- Więc chodzi o Rodę? Niby dlaczego miałby załatwić własnego kuzyna?

Danny się pochylił. Miał gotową odpowiedź.

- Jeśli dzieciak go okradał, na przykład sprzedawał broń na lewo, to miał powód. Ostatnie, na co ma ochotę, to zwrócić na siebie uwagę. Musi uważać, komu i co sprzedaje. Może dzieciak kombinował na własną rękę i Roda się wściekł? Nie mógł rozwalić go ot, tak sobie, więc urządził wszystko tak, żeby wyglądało, że chodziło o mnie.

Kiedy to wszystko wykombinował?

- Nie rozumiem - wtrąciła się Martha. - Skoro w pierwszej strzelaninie nie ty byłeś celem, skąd wziął się ten gość u ciebie w domu? Że już nie wspomnę o ludziach z farmy.

Danny wzruszył ramionami i sięgnął po kawę.

- Może to sprzątanie po spapranej akcji. Strzelec z magazynu miał załatwić i mnie, i dzieciaka. Sknocił sprawę i teraz musi się zrehabilitować. Ale w kółko popełnia ten sam błąd...

- Więc w kółko wraca - dokończył Jake. Danny skinął głową.

Martha się wzdrygnęła. Jak to jest żyć na co dzień wśród przemocy i nienawiści? Nie spodziewała się, że tego kiedyś zazna.

- A przeciek w wydziale? - Jake zmienił temat.

- Może Roda kogoś kupił.

- Kogo? Jak?

- Nie mam pojęcia. Jake spojrzał na Marthę.

- Jesteś świadkiem.

- Widziałam napastnika w domu Danny'ego.

- I tam oberwałaś... - Wskazał jej siniaki. Musnęła palcem opuchliznę.

- Tak.

Zacisnął usta.

- Potrafiłabyś go zidentyfikować?

- Wiem, jak wygląda. Ale w albumach na posterunku nie znalazłam jego zdjęcia.

Kelnerka przyniosła jedzenie i Martha rzuciła się na śniadanie, jakby od tygodnia nic nie jadła. Jake podał Danny'emu przyprawę. Kątem oka

obserwowała jak soli jajka. Nonszalancko, jakby widział - dokładnie tak, jak go uczyła. Jego palce obieżyły talerz, ustalił położenie filiżanki, znalazł sztućce i niczego przy tym nie rozlał. Nie wahał się, nie wstydził. Brawo, detektywie.

Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym Danny stwierdził:

- Musimy się gdzieś zatrzymać. W bezpiecznym miejscu.

- Załatwię to. Nielegalnie, przynajmniej na razie. Nie mogę działać oficjalnie, broń to nie moja działka, mówiłem. A łódź to sprawa miejscowa. Ale mogę was gdzieś ukryć i skontaktować z odpowiednimi ludźmi. Takimi, którym ufam.

Godzinę później byli już w nowym mieszkaniu. Był to niewielki apartament na Upper West Side, jak na ironię losu niedaleko baru Parkview. Bardzo surowy, umeblowany tylko niezbędnymi sprzętami. Mieli do dyspozycji kanapę i fotele w saloniku, kuchenkę, piekarnik i zlew w kuchni. Ale przynajmniej były tam dwie sypialnie. Osobne. Jej związek z Dannym był dość skomplikowany i wspólne łóżko tylko pogorszyłoby sprawę. Za żadne skarby nie chciała powtórki z minionej nocy. Ona mu się narzuca, on ją odpycha.

Przyglądała się w milczeniu, jak Danny oswaja się z nowym otoczeniem. Naprawdę uważał, że pocałowała go z litości? Pociągał ją tak bardzo, że bała się, iż zda sobie z tego sprawę. Zaczerwieniła się, ale nie zwracała na to uwagi, pochłonięta obserwowaniem Danny'ego. Dotknął ścian, zapamiętał, gdzie są meble i drzwi, zapoznał się z wyposażeniem kuchni. Zdaje się, że była diabelnie dobrą rehabilitantką.

Jake milczał, ale w jego wzroku było coś strasznego. Nie wiedziała, co go trzyma w miejscu, złość czy żal, ale stał nieruchomo i zmuszał się, by patrzeć. A potem Danny zniknął w łazience i Jake podszedł do niej.

- W jaki sposób... - Odchrząknął, emocje nie pozwalały mu mówić. - Jezu!

- Przełknął, pokręcił głową. - W jaki sposób poznałaś Sina?

- Jestem rehabilitantką niewidomych. To mój pacjent.

- I dlatego byłaś u niego w domu podczas ataku? Skinęła głową.

- Czy on... - Zwilżył usta językiem. - Czy odzyska wzrok?

- Nie wiem. Może, ale lekarze w to wątpią.

Jake skinął głową. Potrzebował chwili, żeby oswoić się z tą informacją.

- Dobrze. - Skinął głową. Koniec, sprawa zamknięta.

Danny wyszedł z łazienki i wyczuł napięcie. Oparł się o drzwi i uśmiechnął złośliwie.

- Rozmawialiście o mnie? Jake roześmiał się krótko.

- Jezu, Sin, ślepy czy nie, zawsze wiesz, co w trawie piszczy. Owszem, zadałem Marcie kilka pytań.

- I uzyskałeś odpowiedzi?

- Tak - powiedział miękko.

Martha wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Powietrze aż wibrowało od niewypowiedzianych słów. Bez niej poczują się swobodniej.

- Padam z nóg. Idę się położyć.

- W drugiej sypialni - zaznaczył Danny. - Pierwsza jest moja.

- Ja też już pójdę - zaczął Jake.

- Poczekaj chwilę.

Wykładzina tłumiła odgłos kroków, ale Danny słyszał szelest ubrania Marthy. Poczekał, aż zamknie za sobą drzwi. Podeszedł do kanapy, odnalazł siedzenie i usiadł.

- Jake? Jesteś tu?

- Jestem - odezwał się cicho przyjaciel. Danny wyczuł w jego głosie współczucie i wyprostował się gwałtownie.

- Teraz powiesz, że ci mnie żal.

- Jeśli chcesz...

- Nie.

- To nie.

Kanapa ugięła się pod ciężarem Jake'a.

- Zatem o co chodzi?

- Muszę pogadać z Rodą i chciałbym, żebyś mi to załatwił. Długa cisza.

Danny zdawał sobie sprawę, o co prosi. Jake nie może się włączyć formalnie do śledztwa, więc będzie musiał nagiąć zasady. A to może oznaczać kłopoty. Czy stara przyjaźń wystarczy?

- Zobaczą, co się da zrobić - powiedział w końcu. Żadnych pytań. Wątpliwości, czy ślepcowi uda się przeprowadzić przesłuchanie. Żadnych sprzeciwów. Najwyraźniej wierzył, że Danny sobie poradzi.

Sin zdusił dławiące go uczucia.

- Dzięki.

- Odezwę się. - Jake klepnął go w kolano i w tym geście wyraził to, czego nie umiał słowami. Ufność. Przyjaźń.

Danny jeszcze nie skończył.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Ta broń.

- Wiem.

- Nie chciałem mówić tego przy Marcie, ale...

- Co, jeśli to nie Roda? Pytanie zawisło w powietrzu.
- To była sterylna spluwa, Jake. Od dawna czegoś takiego nie widziałem.
- Od wojska.
- Wiesz, do czego się ich używa.
- Czarne operacje. Mokra robota.

Cisza. Analizowali nową teorię. W końcu odezwał się Danny. Starannie dobierał słowa.

- Może to właśnie to. Broń do zabijania, której nie sposób wyśledzić. Jake się poruszył. Danny nie miał pojęcia, co przyjaciel robi. Drapie się w szczękę? Przeszukuje włosy palcami? Poprawia się na kanapie?

- Słuchaj, Sin. Nie chcę cię drażnić, ale nie jesteś typowym celem zamachowca. Nie pasujecie ani ty, ani Sokanan. Niby dlaczego ktoś chciałby cię sprzątnąć?

- Tego właśnie nie wiem.
- I dlatego teoria z Rodą bardziej mi się podoba.
- Tylko kombinuję, stary. Muszę się czymś zająć, choćby po omacku.
- To taki żarcik?

Danny zdławił falę goryczy.

- Nic ci nie uniknie, co? Znowu cisza.
- Pamiętasz szafę? - spytał Jake.

Danny się uśmiechnął. Pewnie, że pamiętał. Jedno z ćwiczeń w siłach specjalnych. Dwaj faceci zamknięci w ciemnej szafie, bez broni, walczą ze sobą i szukają wyjścia w nieprzeniknionej ciemności.

- Poradziłeś sobie wtedy, Sin. Poradzisz sobie i teraz.

Rozdział 10

Jak skontaktować Danny'ego z Rickym Rodą? Plan był prosty - porwać i zwieźć.

Oczywiście pewnie trafią na jakieś komplikacje, na przykład na uzbrojonych ochroniarzy, ale Danny liczył, że uda mu się uniknąć najgorszego.

Ale zapomniał o Marcie.

- Nie ma mowy - powiedziała stanowczo. - W żadnym wypadku nie zaryzykuję życia ojca po raz drugi.

- Nie będzie żadnego ryzyka - tłumaczył Danny. - Nie tak, jak ostatnio. Nikt nie będzie do nas strzelał. To taka niedzielna przejażdżka.

- Akurat.

Zagotowała się woda, czajnik gwizdał przeraźliwie. Siedzieli na wysokich barowych stołkach przy blacie oddzielającym część kuchenną od saloniku.

Usłyszał, jak stół Marthy się przesuwa i gwizd ucichł. Trzask otwieranych szuflad i drzwiczek.

- Herbata czy kawa?

- Kawa. - Musi zachować przytomność. Jeśli nie wspomocze się kofeiną padnie jak długi. Nie ma czasu na sen, powinni działać szybko. - Sam zaproponował pomoc. I teraz nadarza się okazja. Potrzebna nam furgonetka.

- Furgonetkę możesz dostać, ale nie ojca. Niech Jake usiądzie za kierownicą. - Szczęk naczyń, coraz bliżej. - Kawa - mruknęła.

Przesuwał dłońmi po blacie, aż znalazł kubek.

- Jake ma inne zadanie.

- Nie.

- W taki razie sam go poproszę.

- Nie masz jego telefonu. - Jej głos to się oddalał, to znowu przybliżał.

Znów zgrzytnął stół. Pewnie usiadła ze swoim napojem. - A ja ci go nie dam.

- Chyba żartujesz. Za mną stoją federalni. Numer telefonu to pestka. Burknęła coś pod nosem.

- Jeśli coś mu się stanie...

- Nic mu nie będzie.

Nie dokończyli tej rozmowy. Rozdzwonił się telefon Danny'ego. Wyjął go z kieszeni, szukał odpowiedniego przycisku.

- Danny?

Od razu poznał ten głos.

- Beth? - Ukłucie strachu. Dlaczego dzwoni? - Wszystko w porządku?

- O Boże! Żyje! Żyje! - Mówiła coś, zasłaniając mikrofon dłonią ale usłyszał okrzyki radości. I męskie głosy w tle.

- Nic ci się nie stało? Gdzie jesteś? Mike i Bob Parnell są u mnie. Mówili, że mieliście kłopoty. Że może... - Głos się jej załamał.

- Nic mi nie jest - zapewnił szybko. - Daję słowo. - W miejsce strachu pojawiły się wyrzuty sumienia. No jasne, chłopcy skontaktowali się z Beth i napędzili jej stracha. Powinien był wcześniej do niej zadzwonić.

- Gdzie jesteś?

- W bezpiecznym miejscu.

- Ja z nim porozmawiam. - Zabrzmiało jak Parnell. Danny zeszywniał. Nie chciał nawet myśleć, że to właśnie Parnell może się okazać zdrajcą, ale wiedział, że to możliwe.

- Nic ci nie jest? Co się wydarzyło na farmie?

Danny się zastanawiał, ile powiedzieć. Strzelał w ciemno, nie wiedział, komu może zaufać.

- Dwóch facetów. Nie wiem, może trzech, ale mój stary znajomy był wśród nich.

- Ten sam, który wpadł do ciebie do domu?

- We własnej osobie.

- Skąd wiesz? Panna Crowe znów go widziała? Danny się najeżył. Wyczuwał brak zaufania.

- Poznałem go. Po zapachu.

- Po zapachu...

- Tak. Po zapachu. - Zdusił wstyd. - Węchu nie straciłem, a facet śmierdział na odległość. Maść tygrysia.

- Co?

- Chińska maść.

- Chińska? Z zapyziałej nory w Chinatown? Niestety.

- Wyprodukowana w Singapurze. Do kupienia w miejscowej drogerii. Tim miał sprawdzić sklepy w Sokanan.

- Ktoś inny się tym zajmie.

- Co z nim?

- Żyje. Ledwo. - Westchnienie ulgi. Dobrze. - Jeszcze nie może mówić. - To źle. Może coś widział. Z drugiej strony, nawet jeśli, czy Parnell mu to powie? Danny zaraz się skarcił. Oczywiście, że tak. Parnell powie mu wszystko, co tylko pomoże mu się uratować, prawda?

- Jakim cudem się wydostaliście? A jednak...

- Łut szczęścia i przyjaciele.

- Brzmi bardzo tajemniczo. - Parnell czekał, ale Danny nie powiedział nic więcej. - A panna Crowe? Powiesz o niej coś więcej? Wszystko w porządku?

- Tak. Jest ze mną.

- Gdzie dokładnie?

Dany się nie odezwał. Parnell się zachnął.

- Niby jak mam cię chronić, jeśli nie wiem, gdzie jesteś?

- Nie możesz. I właśnie o to chodzi. Ktoś wiedział o farmie. Pameli milczał dłuższą chwilę.

- Sin, ci ludzie oddaliby za ciebie życie.

- Też tak myślałem.

- Napastnicy poważnie zranili Tima. Chcemy ich dorwać tak samo jak ty.

A sam sobie nie poradzisz. - Danny słyszał niewypowiedziane słowa: jesteś ślepy i bezradny. - Słuchaj, mam kontakty. Pomożemy ci.

Ciekawe, jakie kontakty.

- Zastanowię się. Powiedz Beth, że niedługo wrócę. - Rozłączył się.

Porucznik Parnell skończył rozmowę i z ponurą miną spojrzał na Mike'a. Siedzieli w saloniku Beth. Siostra Danny'ego wodziła niespokojnym wzrokiem od jednego do drugiego.

- Nie chce mówić.

Mike Finelli skinął głową z ponurą miną.

- No cóż, to mnie akurat nie dziwi. Nie po tym, co się stało.

- Nic mu nie będzie, prawda? - Beth podniosła głowę.

- Pod naszą opieką byłby bezpieczniejszy. - Parnell obstawał przy swoim.

Beth położyła dłoń na ramieniu Mike'a.

- Dasz mi znać, jak go znajdziecie? Uścisnął jej rękę.

- Oczywiście. Może wpadnę od was wieczorem. Upewnij się, że wszystko w porządku?

Skinęła głową.

- Dzięki. Ale najważniejsze to dopilnować, żeby Danny'emu nic się nie stało.

- Oczywiście. - Parnell wstał i wraz z Mikiem poszedł do drzwi. -

Będziemy w kontakcie. Z dziećmiakami wszystko w porządku?

- Tak.

- Jeśli Danny się odezwie, daj nam znać. I odezwij się, gdyby czegoś ci było trzeba.

Pocałowała go w policzek.

- Dzięki.

- Do zobaczenia wieczorem - rzucił Mike.

Wyszli na dwór. Parnell się zatrzymał i postawił kołnierz płaszcza dla ochrony przed zimnem.

- Znajdź ojca panny Crowe. Może córka się z nim skontaktowała.

Sprawdź, czy wie, gdzie są.

Mike skinął głową.

- Dobra. A co z przeciekiem? Parnell zacisnął usta.

- Ja się tym zajmę.

To nie tak, że Charlie Crowe nie lubił policji. Po prostu żywił wrodzoną nieufność wobec przedstawicieli władzy. Co prawda czas złagodził owo nastawienie, ale nie zmienił go całkowicie. Dlatego, gdy w warsztacie zjawił się detektyw Finelli, Charlie wolał milczeć, niż wyznać prawdę.

Ale Mike ciągle wracał do sprawy, która Charliego dręczyła najbardziej.

- Znam Danny'ego od dawna. Zrobi, co w jego mocy, żeby chronić pańską córkę. Ale obaj wiemy, że akurat teraz jego możliwości są delikatnie mówiąc, ograniczone.

- Mówiąc krótko, facet jest ślepy. - Charlie podjechał do detektywa i wcisnął guzik, który obniżał roboczy blat do jego wysokości. Pracował nad motocyklem na zamówienie, dla kolekcjonera z Filadelfii. To miał być hołd złożony modelowi Spirit 76. Dzisiaj przywieziono kierownicę, białą niebiesko czerwona.

- No... to pewnie przeszkoda.

- Zdaniem niektórych, przeszkodą jest brak sprawnych nóg. - Charlie rozciął opakowanie, wyjął kierownicę i położył ją na blacie, obok lśniącej karoserii. Motocykl bez kierownicy wyglądał jak zwierzę bez głowy.

- Nie mówimy o grze w piłkę nożną, tylko o bezpieczeństwie panny Crowe. Jeśli się z panem kontaktowała, jeśli wie pan, gdzie jest teraz, proszę mi wierzyć, będzie bezpieczniejsza pod ochroną policji.

Zachnął się.

- To policja ją w to wszystko wpakowała.

Finelli przestąpił z nogi na nogę. Poczul się nieswojo. Charlie miał rację i doskonale o tym wiedział.

- Uratujemy ją W tej chwili jest zdana tylko na siebie.

Charlie westchnął. Mimo rozmowy z Martha, od rana umierał ze zmartwienia. Wiedział, co to za uczucie, gdy cały świat uważa cię za pół mężczyzny.

Nie wątpił w Sina tylko dlatego, że chłopak stracił wzrok. Ale prędzej go szlag trafi, niż z tego powodu zaryzykuje życie Marthy.

Przyglądał się Mike'owi Finellemu. Wyglądał na porządnego gliniarza, ale Charlie nie sugerował się wyglądem. Z drugiej strony, sprawy mogą się skomplikować i z glinami, i bez. Ale szanse Marthy chyba wzrosną jeśli policja jej pomoże.

Podrapał się w brodę, rozważał jeszcze, czy nie zmienić zdania.

- Wczoraj wieczorem zabrałem ich spod wieży ciśnień, koło trójki. Ścigali ich goście z pistoletami.

- Widział ich pan?

Charlie przecząco pokręcił głową.

- Było za ciemno. Wszystko działo się bardzo szybko.

- Dokąd ich pan zawiózł?

- Do przystani nad rzeką. Wasz chłopak powiedział, że ma tam łódź.

Chciał płynąć na Manhattan. Rano Martha do mnie dzwoniła. Dotarli. To wszystko, co wiem.

- Dlaczego Manhattan?

Charlie umieścił kierownicę we właściwym miejscu. Wsunął śrubę i sięgnął po śrubokręt.

- Wasz chłopak mówił coś o przyjacielu, który pracuje u federalnych.

Danny kończył trzecią kawę. Czuł sztuczny posmak spalenizny, ale potrzebował kofeiny, żeby zmusić mózg do pracy. Czas się dowiedzieć, który z jego kumpli zdradził.

Kroki.

- Robię grzanki - oznajmiła Martha. - Chcesz?

- Nie, dzięki.

Szelest folii, trzask opiekacza.

- Słuchaj, jeśli masz smęcić, rób to na głos.

- I kto to mówi? Od godziny smętnie kiwasz się nad kolejnymi kawami.

Jak to nazwiesz?

- Myśleniem?

- Niby o czym?

- Dlaczego ktoś w wydziale nas sprzedał. Sąsiedni stołek się poruszył. Siadła obok niego?

- I do jakich wniosków doszedłeś? Wzruszył ramionami.

- Szantaż. Długi karciane. Potajemny romans. Zazdrość. Chciwość.

- Ktoś pasuje?
- Z tego co wiem, nie.

Poczuł zapach chleba i nagle zaburczało mu w brzuchu. Po raz tysięczny przyłapał się na tym, że się zastanawia, o czym myśli Martha. Dziwnie się czuł, zawieszony w próżni, pozbawiony bodźców wzrokowych. Usiłował sobie wyobrazić, jak wygląda siedząca obok kobieta. Nie wiedział, od czego zacząć. Marszczy czoło czy jest zamyślona? Jakiego koloru są jej oczy? Ma bladą piegowatą czy śniadą skórę?

- Jakiego koloru są twoje włosy?
- Co?

Posłał jej, miał nadzieję, śmiertelnie poważne spojrzenie.

- Nie mów, że ogłuchłaś. Nie możemy stracić więcej zmysłów. Jakiego koloru masz włosy?

- Ja... Moje włosy... - Urwała. W jej głosie pojawiły się nuty zmieszania, które wydały mu się urocze. - Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Bez powodu. Bo sam nie widzę.

- Są... Są czarne.

- Czarne? Jak włosy Catherine Zety-Jones? - Wyobraził sobie głęboki, pełny odcień.

- Raczej jak u czarownicy.

Mało brakowało, a zakrztusiłby się kawą.

- To urocze.

- Prawdziwe. - Mówiła pewniejszym głosem, jakby dumnie wyprostowała plecy.

- Chyba nie masz o sobie najlepszego zdania.

- Ależ mam. Tylko nie przesadzam.

- Trzymasz się faktów, co?

- Tak jest.

Usiłował to sobie wyobrazić, ale kolor mu się wymykał. Dla niego Martha zawsze będzie Wiosenną Łąką Czy taki widok nie jest piękny?

- I nie myśl sobie, że uwierzę, jeśli stwierdzisz, że jestem nowym odkryciem od czasów JLo. Żadne pochlebstwo mnie nie wzruszy.

Roześmiał się.

- Ale jesteś podejrzliwa.

- Dalej nie chcę, żeby ojciec prowadził tę furgonetkę.

- Pamiętasz, co powiedział Mick Jagger? Chcieć a mieć to dwie różne sprawy.

- Nie potrzebujesz mojego ojca.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Martha wyszła z kuchni.

Danny wziął kubek. Wstał i po omacku trafił do zlewu. Odstawił naczynie - wcześniej nigdy nie był tak schludny - i poszedł do pokoju. Ramiona ciążyły mu jak kamienie młyńskie, w głowie szumiało mimo kofeiny. Brak snu dawał się we znaki.

Zdjął sweter i nagle zdał sobie sprawę, że nie ma niczego na zmianę. Złożył ubranie, przekonany, że i tak mu się to nie udaje. Położył sweter na toalecie, a przynajmniej tak mu się zdawało. Zdjął buty i skarpety, ustawił pantofle pod szafką znalazł łóżko i się położył.

Zazwyczaj zasypianie było trudne, bo wiedział, że gdy się obudzi, nie będzie pamiętał, że nie widzi. I na nowo będzie walczył z przerażeniem. Ale teraz, po wyczerpującej nocy, sen okazał się wybawieniem. Odpływał, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Danny?

Wszędzie rozpoznałby ten głos.

- Wejdz.

Otworzyła drzwi i zamrugła z wrażenia. Danny, w samych dzinsach, leżący na łóżku. W nocy, gdy jej dłonie go dotykały, niewiele widziała - było ciemno i nie zaszli aż tak daleko. A teraz leży długonogi, umięśniony, z kratą mięśni na brzuchu, widoczną gdy siadał, napinając potężne ramiona.

- Martho?

- Tak? - Zagapiła się na niego.

- Chciałaś coś? - zapytał cierpliwie, jakby mówił do dziecka. Chciała?

Idiotyczne pytanie. Chciała, żeby jej pragnał, a nie tylko potrzebował. Żeby nie musiała już mu się narzucać. Marne szanse. Nie po to tu przyszła. A właściwie po co?

Rozejrzała się, omijając łóżko. Myśl! - poganiała się. Zerknęła na swoją dłoń. Coś trzymała. Telefon.

Ścisnęła w dłoni komórkę.

- Mój... ojciec chce z tobą rozmawiać. Uśmiechnął się lekko, więc zaraz zgasił jego entuzjizm:

- Nie, nie prosiłam go. Uniósł ręce na znak poddania.

- Dobrze już, dobrze. Nie denerwuj się.

Zagryzła wargi. Dlaczego czasami tak trudno się z nim rozmawia?

- Telefon? - Wyciągnął rękę i musiała do niego podejść. Stała na tyle blisko, że mogłaby go dotknąć i pogłaskać te cudowne plecy.

- Sinofsky - rzucił do słuchawki. Słuchał uważnie. Między ciemnymi brwiami pojawił się głęboki mars. - Cholera - mruknął. - No cóż, stało się. Nie, nie mam pojęcia, czy wiedzą, kto to. Może Finelli... Ale się dowiedzą. Słuchaj, chcesz się zrewanżować? Mógłbyś coś dla mnie zrobić.

Martha zeszywniała, gdy tłumaczył ojcu, o co chodzi. Po chwili stało się jasne, że Charlie nie będzie zważał na niebezpieczeństwo.

Danny się rozłączył i wybrał inny numer. Połączył się z Jakiem i go ostrzegł, że Charlie wspomniał o nim policji.

- Ktoś z Sokanan może węszyć, więc uważaj. Po tej rozmowie zwrócił Marcie telefon.

- Kłopoty, tak? - domyśliła się. - Jeśli znajdą Jake'a, mają i nas.
- Jake to zawodowiec i wie, jak się zachować. Będzie ostrożny.
- Tym bardziej powinniśmy trzymać ojca z dala od tego wszystkiego.
- Słuchaj, wiem, że nie chcesz, żeby Charlie się w to angażował, ale nic mu nie będzie. To twarde.

Skinęła głową.

- Ale nie jest niezniszczalny.

- No... nie wiem. Charlie na razie nieźle sobie radzi. Musiała się z nim zgodzić, choć niechętnie.

- To mój ojciec - powiedziała cicho. - Jest wszystkim, co mam. Odnalazł jej rękę. Pociągnął, aż usiadła koło niego.

- Wiem. Nic dziwnego, że jest taki zaborczy.

Zadrzała pod jego dotykiem. Strach mieszał się z pożądaniem.

- Nie wiem, czy zaborczy to właściwe słowo. W każdym razie nie jeśli chodzi o mnie.

- Wtedy w furgonetce wydawał się bardzo przejęty i skory do pomocy.

- Dopiero kiedy ktoś do mnie strzelał, raczył się zainteresować.

- Mimo to z nim mieszkasz.

- Żywiłby się kawą i papierosami, gdyby nikt go nie pilnował.

- A więc zgłosiłaś się na ochotniczkę?

- Nie było wielu chętnych. - Prawda i wymówka zarazem. Zależało jej na ratowaniu tej części rodziny, jaka jej została.

- I tak sobie mieszkacie we dwoje, staroświecka stara panna i jej ojciec.

Te słowa zaboląłyby, gdyby nie błysk w jego oczach.

- Jeszcze mi powiesz, że macie sześć kotów w domu - ciągnął. Stłumiła uśmiech.

- Nie mamy kotów.
- Bo widzisz, nie przepadam za kotami.
- Charlie też nie.

Wydawało się, że na nią patrzy - przeciągle, przenikliwie. Wrażenie było tym dziwniejsze, że przecież jej nie widział. A jednak wyczuła, że Danny dostrzega coś, co chciała ukryć przed całym światem.

- Wiesz, Martho, chyba lubisz się opiekować innymi.

Nie wiedziała, czy to komplement, czy krytyka. Speszyla się.

- Opiekuję się ojcem do dwunastego roku życia - odparła chłodno. - To nawyk.

- Dlatego to robisz? Z przyzwyczajenia?

- Co?

- No, dlaczego opiekujesz się niewidomymi?

Poruszyła się niespokojnie. Stanowczo za dużo o niej wiedział.

- Po studiach nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić, a kurs rehabilitacji wiązał się ze stypendium na studiach magisterskich na uniwersytecie Val State.

Uniósł brew w zdumieniu.

- Czyli jesteś przekupna.

- Miałam już doświadczenia w opiece nad chorymi. Dobrze się składało.

- I na dodatek nikt cię nie widzi. Zmrużyła oczy.

- A co to niby ma do rzeczy?

- Nic. Tak tylko powiedziałem.

Trafił idealnie, ale nie chciała tego przyznać. Ziewnął i opadł na posłanie.

- Ledwo żyję.

Rzeczywiście, było to po im widać. Turkusowe oczy zapadły się głęboko, zacięcia i podrapania na twarzy straszyły wśród zarostu. Ona pewnie wyglądałaby równie żałośnie. W barze usiłowała doprowadzić się do porządku, ale chusteczki nie zlikwidują siniaków i zadrapań.

- Chodź tu, połóż się. - Poklepał posłanie koło siebie. - Nie mogę myśleć. Ty też pewnie padasz z nóg.

Wstrzymała oddech. Czy to zaproszenie?

- Nie bój się, jestem zbyt wyczerpany, żeby się do ciebie dobierać.

Zamknął oczy. Chłonęła go wzrokiem, chciwie, głupio, z jednej strony zadowolona, z drugiej rozczarowana. Wbrew podszeptom rozsądku położyła się koło niego. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak,

że położyła mu głowę na ramieniu. Wpatrywała się w sufit, zbyt spięta, żeby na niego spojrzeć.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął. - Obiecuję. -I wtedy zrozumiała. Naprawdę się do niej nie dobiera. Chce ją uspokoić. Pocieszyć. Świadomość, że zależało mu na niej na tyle, żeby to zrobić, była wspaniała.

- Dobrze.

- Więc się odpręż. Zamknij oczy i śpij. Ojcu nic się nie stanie, zaufaj mi. - Wyciągnął rękę i powoli podała mu swoją. Ich palce się splotły. Położył ich dłonie na swojej piersi. Czowała ciepło jego skóry, uderzenia pulsu. Jej serce biło w tym samym rytmie.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? - spytał niskim, zaspanym głosem. Miał zamknięte oczy.

O co, na Boga, chce zapytać, że nie robi tego prosto z mostu? Przełknęła ślinę, przygotowana na upokorzenie.

- Tak.

- Dlaczego rodzice dali ci na imię Martha? To dość staroświeckie. Zaskoczył ją.

- Bo nie ma „ie” na końcu? Uśmiechnął się lekko.

- No właśnie, nie ma „ie” na końcu.

Na liście pytań osobistych to niosło niewielkie zagrożenie. Odprężyła się, przywarła do niego.

- Znasz taką piosenkę Beatlesów, *Martha my dear!* To ulubiona piosenka mojej matki.

Znieruchomiał.

- To piosenka o psie. Uśmiechnęła się smutno.

- Wiem.

Przyciągnął ją do siebie.

- Lubię psy. A koty... Jak powiedziałem, nie przepadam za kotami. Bogu dzięki, że nie nazwali cię Garfield, z tym miałbym pewien problem.

Roześmiała się i żartobliwie trąciła go w bok.

- Hau, hau, Martho.

Były to ostatnie słowa, które słyszała, zanim zasnęła.

We środę Charlie wyszedł z warsztatu o piątej. Demonstracyjnie pożegnał się z Arniem Gouldem, wsiadł do furgonetki, złożył wózek i postawił w miejscu, gdzie łatwo mógł go osiągnąć. Przekreślił kluczyk w stacyjce.

Nie było w tym nic dziwnego. Od lat każdego dnia robił dokładnie to samo. No, może z wyjątkiem tego, że co chwila zerkał w lusterko. Ostrożnie. Nie odwracał głowy, tylko sprawdzał dyskretnie, czy nikt go nie śledzi. Był pewien, że jest czysty, ale nie chciał ryzykować. Zwłaszcza że chodziło o życie córki.

Zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, poczuł, jak dym przyjemnie wypełnia mu płuca, i zerknął w lusterko. Czysto.

Wrzucił bieg. Wyjechał z parkingu, cały czas sprawdzając, czy nikt mu nie towarzyszy. Jechał powoli, ostrożnie.

Dziesięć minut później zatrzymał się pod Craftsmanem. Wjechał na parking i przesiadł się z fotela kierowcy na wózek. Zamknął za sobą drzwi. Powoli wjechał do lokalu.

Zobaczył kilku gości za barem, przy stolikach - pusto. Było dość wcześnie. Pomachał do Cala, zamówił piwo i usadowił się przy stoliku niedaleko baru.

- Co słysząc, Charlie? - Cal postawił przed nim piwo, skinął głową. Spojrzał na kurtkę. - Zostajesz czy wychodzisz?

- Na razie mi chłodno. Jeszcze nawet nie listopad, a zimno jak cholera. - Rzucił banknot na stół i wbił ręce w kieszenie.

Cal wziął pieniądze.

- Nie na rachunek?

- Dzisiaj piję i płacę - odparł Charlie. - To mniejsza pokusa.

- Skoro o pokusach mowa, widziałem Marthę kilka dni temu. U niej wszystko w porządku?

- Pewnie. - Oby tak było naprawdę, pomyślał. - Wszystko w porządku.

- Daj znać, jak będziesz chciał następne. - Cal wrócił za bar. Poprawił czarnego tekturowego kota, który się przewrócił i zasłonił plakat wyborczy. Halloween i nadchodzące wybory oznaczały podwójnie koszmarne wystrój.

Charlie czuł, że serce bije mu coraz szybciej - oznaka narastającego podniecenia. Ignorował to jak mógl. Miał nadzieję, że wygląda normalnie. Umoczył wargi w piwie, ledwie je sącząc.

- Ej, Cal! - zawołał po piętnastu minutach. - Masz nowe graffiti w kiblu?

- Same starocie.

- Szkoda. Powinieneś ściągnąć kogoś, żeby zrobił nowe. Byłoby na co popatrzeć. - Pojechał w stronę męskiej toalety. Skręcił w prawo i wyjechał tylnymi drzwiami. Tam już czekała furgonetka firmowa, którą poprzedniego wieczoru

zostawił tu Arnie Gould. Miała przerobioną skrzynię biegów, żeby Charlie mógł ją prowadzić.

Otworzył drzwiczki, wgramolił się na fotel kierowcy i wyjechał z ciemnego zaułka. Pomknął do Roosevelt, skręcił w prawo, wjechał na autostradę i ruszył w kierunku miasta.

Ricky Roda miał stały terminarz. Co środa w towarzystwie dwóch ochroniarzy jechał z Bronksu do Yonkers, na spotkanie z dziewczyną Judith Ashanti. Kiedyś nazywała się Juditha Tompkins i zaczynała karierę na ulicy, gdzie poznała Ricky'ego. Kilka lat temu zostawiła stare nazwisko i ulicę za sobą. Teraz prowadziła niedużą galerię z dziełami artystów afrykańskich i afroamerykańskich. Była wysoka i smukła. Miała krótkie włosy, co podkreślało kształtny zarys głowy. Z gładką ciemną skórą kontrastowały wielkie srebrne kolczyki. Piękna i mądra, jej jedyną słabością był Ricky Roda. Ale nie spotykała się z nim, jeśli nie zostawiał ochroniarzy na dole. I tak co środa chłopcy zawozili szefa do Yonkers i siedzieli w samochodzie, a Ricky romansował z Judith. Rzadko zostawał na noc, choć czasami wychodził od niej dopiero o drugiej, trzeciej nad ranem.

W tę środę odprowadzili go do windy, jak zwykle. Wysiadł na piątym piętrze. Zobaczył napis „Świeżo malowane”. Facet w kombinezonie zamykał puszkę farby, kończył pracę.

Ostrożnie, żeby nie upaprać farbą nowiutkiego płaszcza Burberry, Roda stanął tyłem do pracującego dupka i ruszył w stronę mieszkania Judith.

Nie słyszał kroków, ale poczuł ręce na szyi. Ukłucie było niemal niewyczuwalne.

Rozdział 1 1

Ciemny zaułek zdawał się pochłaniać furgonetkę. Martha miała wrażenie, że czekają tu od roku. Minuty ciągnęły się w nieskończoność, ciszę przerywał jedynie Charlie, nerwowo bębniąc palcami w kierownicę. Pewnie chciało mu się palić.

Za nimi, na kartonie, siedział Danny, milczący i ponury. Ledwie go widziała w mdłym świetle odległej latarni.

- Gdzie on jest? - powiedziała w końcu, nie mogąc wytrzymać.

- Przyjdzie - warknął Danny. Od rana był rozdrażniony. Wściekły, że znalazł się na marginesie, a ktoś inny odwała całą robotę.

Charlie cały czas bębnił w kierownicę.

Przed furgonetką stanął mężczyzna z latarką w ręku. Martha podskoczyła. W białym kombinezonie wyglądał niesamowicie, jak przybysz z innej planety.

- To on. - Charlie otworzył drzwi przyciskiem.

Jake obszedł wóz dokoła i wtedy zobaczyła, że niesie ciało na ramieniu.

- Wygląda na mikrusa, ale to ciężki skurczybyk. - Sapnął głośno i cisnął Ricky'ego Rodę na podłogę. Ciało upadło z głuchym odgłosem. Danny po omacku znalazł jego ręce i wciągnął go głębiej.

Jake wsiadł, drzwi się zamknęły. Zdjął kombinezon malarski. Pod spodem miał sprane dżinsy, opadające nisko na wąskich biodrach, i granatową koszulkę, opinającą silne mięśnie. Z przodu miała napis „CIA”, a pod spodem „Culinary Institute of America”, czyli Kulinarny Instytut Amerykański. Taki wewnętrzny agencyjny żarcik, jak wyjaśnił, gdy po nich przyszedł. Zmarszczyła brwi. Jak można żartować w takiej sytuacji?

Silnik ożył. Furgonetka wyjechała z ciemnego zaułka. Charlie skręcił w prawo i włączył się w ruch uliczny. Miał błędzić i kluczyć, żeby Roda stracił poczucie kierunku.

- Zadzwoń - przypomniał jej Danny.

Martha rozwinęła karteczkę z numerem telefonu. Drżącymi palcami wystukała rząd cyfr. Odebrała kobieta. Miała niski, zmysłowy głos.

- Pani Ashanti? - Starła się nadać swemu głosowi bezosobowe, służbowe brzmienie.

- Tak.

- Tu Sookie Wade z klubu Starlight. - Danny wytłumaczył jej wcześniej, że Roda jest właścicielem tego klubu, więc to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. - Dzwonię w imieniu pana Rody. Prosił, żeby przekazać, że coś mu wypadło i się spóźni.

- Jak bardzo? - zapytała ostrym, zdenerwowanym tonem.

- Niestety nie powiedział.

- Wiesz co? Powiedz mu, że mam lepsze rzeczy do roboty, niż na niego czekać.

Serce Marthy zabiło szybciej. Jeśli Judith Ashanti wyjdzie z mieszkania, ludzie Rody ją zobaczą i zorientują się, że coś nie tak.

- Oczywiście, przekażę... - Gorączkowo szukała argumentów, które skłonią ją do pozostania w domu. - Pan Roda prosił też, żebym przekazała, że ma dla

pani niespodziankę. Chce... chce pani wynagrodzić czekanie. Chrząknęła.

- Liczę, że to kosztowna niespodzianka. Możesz mi to powiedzieć.

- Przekażę. Zatem poczeka pani?

Judith westchnęła, najwyraźniej przekonana.

- Tak. Ale następnym razem niech sam zadzwoni. - Rozłączyła się. Martha z ulgą gapiała się na telefon.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jake. Odwróciła się. Krępował więźnia.

- Chyba tak. Obiecała, że na niego zaczeka. Zawiązał Rodzie oczy.

- Dobrze.

- Kiedy odzyska przytomność? - zapytał Charlie. Jake zerknął na zegarek.

- Wkrótce. Podałem mu niedużą dawkę.

Jakby na potwierdzenie tych słów mężczyzna jęknął. Martha zagryzła usta.

Rick Roda był drobny i szczupły, oliwkową skórę szpeciły blizny po trądziku. Miał na sobie elegancki garnitur, bardzo drogi. Z kieszeni wystawała różowa jedwabna chusteczka. Głowa opadła mu do tyłu, a posklejane brylantyną włosy opadły na czoło. W tej chwili nie wydawał się szczególnie groźny, ale Danny mówił, że to główny podejrzany w trzech morderstwach w Bronksie i jednym w Sokanan. Chociaż jak na razie nie postawiono mu formalnych zarzutów.

Jake posadził Rodę na podłodze. Przywiązał mu ręce do wózka Charliego. Od razu wiedziała, kiedy odzyskał przytomność, bojek przerodził się w zdumione syknięcie. Szarpnął się.

- Co jest, kurwa? Co się dzieje? Gdzie ja jestem?

- Spokojnie - zaczął Jake. - Nic ci nie zrobimy.

- Kim ty, kurwa, jesteś?

- Pogadamy sobie. - Danny włączył się do rozmowy. - A potem cię wypuścimy.

Martha miała nadzieję, że to go uspokoi. Ale Roda warknął do Danny'ego:

- Chcesz pogadać, to się umów.

- Twoja sekretarka już wyszła - rzucił Jake gładko. Wydawał się całkowicie opanowany, kontrolował sytuację. Zastanawiało ją jak to robi. Z drugiej

strony, to jego praca, po to go szkolono. I jest w tym dobry. Nieważne, czy grozi mu niebezpieczeństwo, czy nie; znalazł się w swoim żywiole.

On może tak, ale nie Roda.

- Nic wam nie powiem.

- No to tu sobie trochę posiedzisz - stwierdził Jake. Danny wytarł usta wierzchem dłoni.

- Przepraszamy za bałagan, ale nie mieliśmy wyjścia.

- Niby dlaczego?

- W sumie możemy ci powiedzieć - mruknął Jake. - Ale wtedy będziemy musieli cię rozwalić.

- Odwał się.

Wymienili z Charliem spojrzenia. Sprawy nie układały się po ich myśli.

- Chodzi o T-Bone'a - przeszedł do sedna Danny. Roda znieruchomiał.

- Co z nim? Jeśli macie coś wspólnego z jego śmiercią załatwię was! Przy sięgam!

- To twój kuzyn?

- Coście za jedni? Gliny? To wbrew prawu. Nie można porywać porządnego obywatela z ulicy, szprycować go, wiązać...

Jake się uśmiechnął, ale w jego grymasie był chłód, który przeniknął Martha do szpiku kości.

- Powiedz nam, co chcemy wiedzieć, człowieku.

- Jesteście od Clarence'a? Powiedzcie temu dupkowi, że mu skopię tyłek.

Clarence? Kto to jest?

- Najpierw musisz się stąd wydostać - zauważył Jake.

- Wróćmy do T-Bone'a - wtrącił Danny. - Był twoim kuzynem.

- No i co z tego?

- Dlaczego handlował bronią na ulicy?

- Jeśli się dowiem, że to Eddie Clarence go odstrzelił...

Jake uderzył go w twarz i nagle Martha zrozumiała, jakie „inne” zadanie miał Wise i dlaczego nie mógł usiąść za kierownicą. Roda warknął gniewnie, ale odpowiedział:

- Mały chciał mi zaimponować.

- Co sprzedawał? - zapytał Danny. - Dziewiątkę, czterdziestkępiątkę?

- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

- Skąd wziął gnata?

- Może komuś ukradł. Nie mnie, to wiem na pewno. Głupi dzieciak. Ciotka szłocha, siostra ma do mnie pretensję...

Słyszała w jego głosie autentyczny żal. Czyżby mówił prawdę?

- Wiesz, co to sterylna broń? - zapytał Jake.

- Co my, kurwa, gramy w *Milionerach*?

Jake znowu go uderzył. Martha się skrzywiła. Odradzali jej udział w wyprawie. Teraz żałowała, że ich nie posłuchała.

- Odpowiadaj - warknął Jake. - Wiesz co to sterylna broń?

- Nie mam pojęcia. Sprzęt medyczny?

- Żartuj dalej, mamy czas - wycedził Jake.

- Wiesz co, Rick? Naszym zdaniem dobrze wiesz, co to jest - włączył się Danny. -I masz dostawcę. Mały T-Bone zwinął ci gnata i chciał zarobić trochę na boku, sprzedając spluwę na własną rękę. Wściekleś się i go sprzątnąłeś.

Roda po prostu eksplodował. Rzucił się na nich jak wściekły pies. Martha cofnęła się instynktownie, ale mężczyzna nie dotarł daleko, powstrzymały go więzy.

- Co ty, kurwa, pieprzysz? Oszalałeś? Naćpałeś się? Kochałem gnoja.

- Jasne - mruknął Danny. - Aż do śmierci.

- Kim ty jesteś? Nie powiem ani słowa, dopóki się nie dowiem, kim jesteś.

Jake spojrzał na Danny'ego, jakby czekał na znak co dalej. Danny nie zdawał sobie z tego sprawy. Wpatrywał się w dal, jakby spoglądał w nieistniejące okno. Niewidzące oczy były puste.

Powoli się odwrócił i pochylił nad Rodą

- Posłuchaj, gnojku. - Wyciągnął rękę i złapał go za gardło.

- Ej, co do... Danny nim potrząsnął.

- Ostatnio mam pecha. Strzelają do mnie, gonią że nie wspomnę o innych niedogodnościach, które teraz przemilczę.

- Puść mnie!

Danny zacisnął dłoń. Martha prawie podskoczyła, widząc jego nieznane oblicze. Z rozpaczą spojrzała na Jake'a. Jeśli Danny nie rozluźni uścisku, zabije Rodę. Wise dał jej znak, że ma milczeć.

- Chcę dostać snajpera. - Danny dusił Rodę, jakby cała wściekłość, którą w sobie tłumił, odkąd utracił wzrok, chciała się teraz uwolnić. - Jeśli mówisz prawdę, też go chcesz. Czyli walczymy po tej samej stronie.

- Nie wiem nawet, kim jesteś!

- Człowiekiem, który dopadnie strzelca, nawet jeśli po drodze będzie musiał cię rozwalić. - Cisnął mężczyznę na ziemię. Roda uderzył o fotel inwalidzki. Zaniósł się kaszlem.

- Jezu Chryste - powoli wyrzucał z siebie słowa. - Słuchaj, nie załatwiłem dzieciaka. Przysięgam na grób mojej matki. Nie mam pojęcia o... co to było? Sterylnej broni. Prowadzę skromny, czysty interes, diluję dragami. No dobra, mam też kilka dziewczyn i inne takie, ale na tym koniec.

Zapadła cisza. Charlie się poruszył. Napotkała jego wzrok. Czy Roda mówi prawdę?

- Co ty na to? - zapytał w końcu Jake. Danny pokręcił głową

- Sam nie wiem.

- Wierzysz mu?

- Przysięgam, mówię prawdę!

- Tak? - Gdyby Danny widział, jego wzrok przewierciłby stal. -Udowodnij to.

- Udowodnić? Przecież nawet, kurwa, nie wiem, gdzie jestem. Niby jak mam to udowodnić?

Danny roześmiał się szorstko.

- Trudna sprawa, co? Postaraj się.

Roda znowu się szarpnął i Jake jeszcze raz go uderzył. Mężczyzna zaklął i zacisnął usta. Siedział w milczeniu, dysząc ciężko. Grał na zwłokę, planował.

Martha zamknęła oczy. Ile to jeszcze potrwa?

- Ktoś zapłacił T-Bone'owi, żeby się umówił z tym gliniarzem. -Roda mówił cicho, gniewnie, ale jego głos kazał Marcie otworzyć oczy. Nagle powietrze zaiskrzyło energią.

- Kto? - Danny był czujny.

- Gdybym wiedział, już by nie żył. Jak ty, kiedy stąd wyjdę.

- Masz gadane, jak na koleśia związanego jak prosiak - zauważył Jake.

Roda milczał.

- Słuchaj, Ricky, chodzi nam w gruncie rzeczy o to samo.

- Wierzysz mi?

- Skłaniam się ku twojej wersji. Co nie znaczy, że nie mamy jeszcze wielu niewiadomych.

- Na przykład, kim jesteś?

- Na przykład, kto mu zapłacił i dlaczego. Jakiś pomysł?

- Moi chłopcy szukają gnoja.

Danny wyjął karteczkę z kieszeni. Był na niej numer telefonu, komórki na kartę, kupionej specjalnie w tym celu. Wepchnął ją Rodzie do kieszonki z różową chusteczką.

- Daj znać, jak coś znajdą.

- Niby dlaczego?

Danny wahał się przez chwilę.

- Bo ja jestem gliniarzem, który miał kupić gnata od T-Bone'a.

- Zaufanie. - Danny oparł się o ścianę furgonetki. W uszach cały czas miał słowa Rody. Ktoś zapłacił chłopakowi, żeby wciągnąć go w pułapkę.

- Zaufanie? - W głosie Marthy pojawiła się panika. - Co do tego ma zaufanie? Wie, kim jesteś.

Wracali do mieszkania. Zostawili Rodę w zaułku, potraktowawszy go uprzednio kolejnym zastrzykiem, żeby nie rozpoznał ani ich, ani wozu.

- Martha ma rację - zauważył Jake.

- Żeby coś dostać, trzeba coś dać - stwierdził spokojnie Danny. Ostatnie, czego mu trzeba, to histeria Marthy, chociaż nie zdziwiłby się, gdyby spanikowała. - Roda musi nam ufać, jeśli chcemy od niego informacji. Mówiąc, kim jestem, okazałem mu zaufanie. Odwzajemni je.

- Ryzyko - burknął Charlie. - Zwłaszcza z Martha u boku. Jakby sam tego nie wiedział.

- Tatusiu, tu nie chodzi o mnie, tylko o Dan...

- Ależ oczywiście, że chodzi o ciebie. Niby dlaczego tu przyjechałem?

- Tylko ja mu się przedstawiłem - zauważył Danny. - I tylko ja ryzykuję.

- I wszyscy w pobliżu - sapnął Charlie. - Masz mnie za głupka? Ktoś chce cię załatwić. A jeśli spudłuje i trafi w Martha?

Na samą myśl Danny'emu zrobiło się słabo.

- Zabieram ją - szybko i zdecydowanie powiedział Charlie. - Pojedziemy gdzieś. Na Florydę, do Arizony... Nieważne gdzie, byle jak najdalej stąd.

Danny poczuł bolesne ukłucie. Nie zwrócił na nie uwagi.

- Dobry pomysł.

- Nawet nie wracajcie do domu - poradził Jake. - Jedźcie od razu.

- Znowu to samo - zauważyła Martha.
- To znaczy co, mała Martho?
- Rozmawiacie o mnie, jakby mnie tu nie było - rzuciła wysokim, spiętym głosem. Cedziła słowa przez zęby.

Dopiero teraz zaczęła się prawdziwa bitwa.

- Ojciec ma rację. W tej chwili będziesz najbezpieczniejsza daleko ode mnie.

- A ty?

- Co ja?

- Co z twoim bezpieczeństwem?

- Dowiem się, kto i dlaczego na mnie poluje.

- Wybacz szczerłość, ale niedawno straciłeś wzrok. Nie chciałeś się nauczyć posługiwać laską, więc nie możesz się nawet samodzielnie poruszać. Nie rozróżniasz pieniędzy. Nie wiesz, która godzina. Nie umiesz nawet przejść przez jezdnię. Niby jak chcesz samodzielnie prowadzić śledztwo?

Ziemia usunęła mu się spod nóg. Zdradziła go osoba, której najbardziej ufał.

- Poradzę sobie - szepnął cicho, ledwie słyszalnie.

- Owszem - zapewniła. - Ale z pomocą. Za rok będziesz samowystarczalny. Ale na razie wielu rzeczy nie wiesz i nie umiesz. - Szelest ubrania, jakby się odwracała. - Nie zostawię go, tato.

Wiązanka przekleństw.

- Tato...

- Zrobisz, co ci każe, do cholery! - ryknął Charlie i zahamował, aż zapiszczały opony. Danny poleciał naprzód i w bok.

- Krzykiem tego nie zmienisz.

- Ciągłe jestem twoim ojcem. - W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta. Zignorowała to.

- Wiem. Ale nie zostawię Danny'ego.

- Nie potrzebuję cię, do cholery. - Danny wyrzucił to z siebie. Może to ją powstrzyma.

- Hej, Sin. - Poczł dłoń Jake'a na ramieniu. Bez słów kazał mu się uspokoić, opanować. Przypominał, że Martha nie zasłużyła na takie traktowanie.

Nie zasłużyła też, żeby przez niego zginąć.

- Nie chcę cię! - Wyraźne, jednoznaczne słowa, w których zawarł wszystko to, czego nie potrafił powiedzieć inaczej. Nie chciał jej w głowie, w łóżku, w życiu. Poczł się, jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Czekał na jęk, westchnięcie,

jakikolwiek znak, że uwierzyła. Nic. Cisza.

- Potrzeba i chęć to dwie różne sprawy, Danny - powiedziała spokojnie.

Pół godziny później pokonany Charlie podrzucił Jake'a do jego samochodu i odwiózł ich do mieszkania. Martha zniknęła w swoim pokoju.

Danny mocował się z sześciopakami piwa, który przyniósł Jake. Wyjął dwie butelki i poszedł do saloniku, gdzie czekał przyjaciel. Mało brakowało, a usiadłby mu na kolanach, zanim znalazł wolne miejsce na kanapie.

Samo to wystarczyło, żeby przyznał Marcie rację. Nie umie nawet usiąść. Podał Jake'owi piwo, zdjął kapsel, upił spory łyk. Upić się? Świetny plan. Jake zachichotał.

- Nie wiem, jak ty to robisz.

- Co? - Kolejny łyk.

- Nieważne w jakich okolicznościach, zawsze znajdziesz kobietę, która przez ciebie wypłakuje oczy.

Znieruchomiał.

- Nie płakała.

- Przenośnia. - Jake uniósł piwo do ust, a żelazna obręcz na żołądku

Danny'ego nagle ustąpiła. -Ale jej na tobie zależy.

- Jestem jej podopiecznym. Płacą jej za to.

- Sam w to nie wierzysz. Danny westchnął.

- Nie wiem, co myśleć. Wolałbym, żeby odjechała z Charliem.

- Nieprawda.

Pokręcił głową i roześmiał się cicho.

- Z jednej strony się cieszę, z drugiej...

- No właśnie, zawsze to samo.

Danny przypomniał sobie dotyk Marthy, jej długie, szczupłe ręce.

- W kółko mi powtarza, że nie jest ładna.

- Bo nie jest. - Jake powiedział to krótko, rzeczowo, rozwiewając wszelkie jego wątpliwości.

- Mówi, że ma włosy czarne jak wiedźma.

- No cóż, skoro o tym mowa, to rzeczywiście, trafne porównanie. - Kanapa drgnęła, gdy Jake zmieniał pozycję. - Ale skóra... ma ładną mleczną skórę. I śliczne oczy, zielone z brązowymi plamkami.

Danny usiłował to sobie wyobrazić, ale nie potrafił.

- Jest bardzo władcza - stwierdził.
- Widzę.
- I bezpośrednio.
- To prawda.

Danny się zawahał i wyrzucił z siebie:

- Lubię ją.
- Wiem. - W głosie Jake'a usłyszał tylko spokój i zrozumienie.
- Nie chcę, żeby coś jej się stało.
- Wiem.

Chwila ciszy, zanim Danny uciekł na bezpieczniejszy grunt.

- Myślisz, że Roda mówił prawdę?
- Może. Sześćdziesiąt procent. Masz pomysł, kto ci życzy śmierci? Danny pokręcił głową.

- Zajmuję się przestępczością uliczną Broń, dziwki, dragi. Nic na tyle poważnego, żeby ktoś chciał się mnie pozbyć.

- Nad czym ostatnio pracowałeś?

- Nielegalny handel bronią. Mieliśmy serię ulicznych strzelanin. Dokonywałem kontrolowanego zakupu, gdy się zaczęło. - Wskazał oczy.

- A przedtem? Danny się zamyślił.
- Nic takiego. Kilka dni wcześniej zgarnęliśmy handlarza narkotykami.

Wtedy oberwałem w głowę i...

- Aresztowałeś kogoś ciekawego?
- Nie, sami starzy znajomi.
- Gdzie to było?

- W Dutchman, to taka speluna. Dwadzieścia lat temu bywali tam politycy i znani mafiosi, ale odkąd firmy przeniosły się na drugą stronę miasta, zostali tylko handlarze i szumowiny

- Inne sprawy?
- Przejrzałem wszystko, czym się zajmowałem w ciągu minionych pięciu lat. Nic.

- Eddie Clarence?
- Niewiele o nim wiem. Wojna w Bronksie, tak? Mam znajomych w nowojorskiej policji. Dowiem się.

Jake wstał. Kanapa zatrzeszczała, uwolniona od jego ciężaru.

- A tymczasem poczekamy i zobaczymy, co zrobi Roda.

Danny także się podniósł. Odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos przyjaciela.

- Jestem zmęczony czekaniem. Jake poklepał go po plecach.

- Rozumiem, ale nie masz innego wyjścia, Sin. Zresztą na pewno znajdziesz jakąś rozrywkę.

Danny się najeżył, słysząc żartobliwy ton.

- To nie tak.

- Nie wiesz, jak na ciebie patrzy. Ale jeśli chcesz, mogę się zabawić w przyzwoitkę.

- Wielkie dzięki. Jake się roześmiał.

- Wiedziałem, że to powiesz.

Danny nie wiedział, dlaczego go to zirytowało.

- Słuchaj, ja nie...

- Jasne. Znam cię, Sin. Ślepy czy nie, nie oprzesz się pokusie. Ale obiecaj, że będziesz dla niej dobry. JohnWayne mówił o takich jak ona, że to dobra kobieta. To nie jedna z twoich plastikowych lalek. Jest dorosła.

- Dzięki, tatusiu.

- Nie ma za co. I jeszcze jedno ci powiem. Milczałem, póki nie skończyliśmy z Rodą ale miałeś rację. Ktoś z wydziału w Sokanan zaczął węszyć. Mike Finelli. Znasz go?

- Jak własną kieszeń.

- Ufasz mu?

- Do niedawna bezgranicznie. Ale pracuje ze mną więc kto wie? Co mu powiedziałeś?

- Że nic nie wiem, co nie znaczy, że to łyknął. Może trzeba będzie was przenieść.

Zrobiło mu się słabo na myśl, że znów będzie musiał oswajać się z obcą przestrzenią.

- Poczekajmy kilka dni. Zobaczmy, jak się rozwinie sytuacja.

- Dobrze. Do jutra. Daj znać, gdyby Roda się odezwał. Drzwi się otworzyły i zamknęły. Danny został sam.

Nagle, jakby w ciemności wybuchła bomba. Odzyskał wzrok!

Rozdział 12

Wszystko stanęło mu przed oczami. Dutchman. Mężczyźni przy barze, za którym stał Murray Potts i marszczył się gniewnie. Obraz zastygł mu przed oczami. Wstrzymał oddech.

Rozejrzał się po barze, rozkoszując się jego widokiem.

Widokiem.

Zadygotał.

- Martho! Martho! Przybiegła do niego.

- Co? Co się stało?

Przełknął ślinę. Otworzył usta. Nie był w stanie mówić.

- Co się stało? - Potrząsnęła nim i powróciła ciemność. Ale przez chwilę, przez jedną cudowną, jasną chwilę, widział.

- Danny - warknęła. - Mów do mnie. Co się dzieje?

- Ja... widziałem.

- Słucham?

Nabrał powietrza w płuca. Zaczął myśleć. Trzymała go za rękę. Odnalazł dłońmi jej ramię i zacisnął na nim rękę.

- Widziałem, rozumiesz? - Potrząsnęła nią. - Dobry Boże, widziałem. Na własne oczy.

- Co? Co widziałeś? Dygotał z podniecenia.

- Dutchman. Ten bar, w którym dostałem w głowę. Widziałem go.

Wszystko, jak na dłoni: kontuar, barmana, klientów, drobinki kurzu w świetle, szafę grającą w kącie. Boże, widzę. Wszystko będzie dobrze.

Otarł usta dłonią. Musiał usiąść. Rozejrzał się w poszukiwaniu fotela. Nie był w stanie myśleć. Gdzie się wszystko podziało?

- Tędy. - Martha wzięła go za rękę i pchnęła we właściwym kierunku. Był tak poruszony, że nawet nie protestował.

Opadł na kanapę. Nogi się pod nim uginały. Było mu na przemian to zimno, to gorąco, to znowu zimno.

- Danny, uspokój się. - Usiadła obok i położyła mu rękę na ramieniu. - Powiedz jeszcze raz, co się stało.

- Jake wyszedł. I wtedy, nagle, zobaczyłem tamten bar. Mówię ci, widziałem go! Bardzo wyraźnie!

Martha milczała. Zapanowała przykra cisza.

- Co? - Danny podniósł głowę. - Co ci jest, do cholery? Mówię, że widziałem. Na własne oczy.

- Widziałeś bar w Sokanan. Jesteśmy na Manhattanie. Nie mogłeś...

- Mówię ci, że widziałem. Kolejna chwila ciszy.

- Pomyśl tylko - mówiła spokojnie. Cały czas trzymała go za ramię. Jakby był dzieckiem. Albo wariatem. Strząsnął jej rękę.

- Wiem, co widziałem.
- Zastanów się. Jak to możliwe?
- Nie wiem, ale wiem, że widziałem! A skoro widziałem tamto, zobaczę wszystko.

- Danny. - Nowa nuta w jej głosie. Nie złość, nie cierpliwość. Jakiś... smutek. Jakby łzy. Dlaczego płacze? Powinna skakać z radości.

Ale nie skakała. Nagle zrobiło mu się zimno.

- Posłuchaj, proszę. - Głos się jej załamał. Urwała i podjęła tym samym tonem: - To tylko wspomnienie. Pamiątka z... dawnych czasów. To... efekt uboczny twojego urazu.

Siedział bez ruchu. Jej słowa przenikały go na wskroś.

- To się może zdarzać. Nagle zobaczysz coś dziwnego. Ślepą uliczkę z murem na końcu. Drzewo w ogrodzie. - Dotknęła jego dłoni. - Ale to nie znaczy, że odzyskałeś wzrok. To... to tylko wspomnienie z dawnych czasów.

Wstał, wściekły. Chciał roztrzaskać jej słowa na kawałki, zniszczyć coś, cokolwiek.

Wyprostowany poszedł do przedpokoju, minął sypialnię i niekończącym się korytarzem ciemności dotarł do łazienki. Znalazł klamkę, pchnął drzwi i namacał muszlę klozetową. Zwymiotował.

Martha przełknęła łzy. Słyszała, jak wymiotuje. Jej także było niedobrze.

Nie tylko dlatego, że widziała, jak z jego twarzy znika nadzieja. Także z innego powodu. Było jej wstyd, bo w pierwszej koszarnej chwili poczuła falę paniki na myśl, że Danny odzyskał wzrok. A potem okrutną radość, że to nieprawda.

Jak mogła! Chciała, żeby do końca życia był ślepy? To nieprawda! Przysięgłaby na wszystko.

Ale okrutny głos w głowie nie dawał spokoju. Gdyby odzyskał wzrok, gdyby ją zobaczył...

Brzydka. Bez biustu. Bez „ie” na końcu imienia. Zwykła, przeciętna Martha Josephine Crowe.

I co wtedy?

Na pewno nie byłyby mu już potrzebna.

Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju. Wykorzystała jego zależność od niej i zbudowała sobie przytulny świat. Jest okropna.

Drzwi się otworzyły i zamknęły. Danny poszedł do siebie. Odgłos jego nieporadnych kroków łamał jej serce.

Chciała do niego pójść. Przekonać się, czyjej obecność poprawi mu humor. Ale nie ruszyła się, pełna obaw, że tak naprawdę chce go dotykać, pieścić i sprawić, żeby zapomniał. A sobie dać wspomnienie, które zachowa na zawsze.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała. Na dworze zapadł zmrok. Zapatrzyła się w okno. W sąsiednim budynku zajaśniały nieliczne okna, reszta nikła w ciemności. Wstała w końcu, wyczerpana i zmęczona. Nie czuła się tak od dawna. Odkąd...

Odkąd znowu go zobaczyła.

Uśmiechnęła się gorzko na tę myśl. Strzepnęła ze swetra niewidzialny pyłek, wyprostowała się i poszła do siebie. Nie zapalała światła, trafiła do łóżka po omacku. Położyła się, wbiła wzrok w sufit, niewidoczny w ciemnościach.

Ludzkie serce ma swoje tajemnice. Zakątki tak mroczne, że lepiej ich nie odkrywać. Dla własnego dobra.

Zapadła w niespokojną drzemkę. Budziła się, zasypiała, znowu budziła. Ocknęła się po raz kolejny i usłyszała, że ktoś chodzi po mieszkaniu.

Danny.

Znalazła go w kuchni, opartego o blat, w rozpiętej koszuli. Był piękny, jak zawsze. Zapatrzyła się na jego klatkę piersiową. Muskularna, twarda z ciemnymi włosami. Odwróciła wzrok i zobaczyła kilka pustych butelek po piwie. Kończył kolejną.

Usłyszał kroki i odwrócił się w jej stronę.

- Niech zgadnę - mruknął. - Ponura Martha, posłanka złych wieści, niszczycielka nadziei.

Wstrzymała oddech, słysząc okrucieństwo w jego głosie.

- Powiedziałam ci prawdę.

- Oczywiście. Byłoby straszne, gdybyś czasami minęła się z prze-najświętszą prawdą.

Wbiła wzrok w ręce, żeby nie widzieć jego ponurej miny.

- Przykro mi.

- Naprawdę? Nie wierzę. - Upił łyk prosto z butelki. - Wiesz, nadzieja dodaje siły.

- I złudzeń. Każe podejmować niewłaściwe decyzje. Naprawdę mi przykro.

- Czasami złudzenia są potrzebne.

- A czasami stanowią wymówkę. Parawan, za którym chronimy się przed rzeczywistością. - Pomyślała o sobie. O długich smutnych latach czekania na matkę. O chwili, gdy zrozumiała, jasno i nieodwracalnie, że matka nie wróci. Ból, jaki wtedy poczuła, ostry, przenikliwy, był jak piętno. I naznaczył ją na zawsze. Nigdy więcej nie chciała tego poczuć. Nigdy więcej takiej udręki.

- Nie jesteś Bogiem, Martho - stwierdził miękko, cały czas bawiąc się butelką. - Nie wiesz, co się wydarzy. Może odzyskam wzrok.

- Ależ ja wcale temu nie zaprzeczam. Po prostu uważam, że nie powinienś na to liczyć. Jeśli tak się stanie, świetnie. A tymczasem musisz się pogodzić z sytuacją w jakiej się znalazłeś.

- Staram się. Boże! - Głos mu się załamał. - Ale potrzebuję wsparcia. Otu chy. Pocieszenia. Umieram.

Z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Miał ciepły policzek, szorstki od zarostu.

- Nie uciekaj od rzeczywistości. Złapał ją za rękę i przyciągnął bliżej.

- To już nieważne.

I nagle poczuła jego usta na swoich i wszystko przestało się liczyć. Nieważne, że Danny chciał w tej chwili tylko zapomnieć. Że gdyby widział, nigdy nie pragnąłby jej tak jak teraz. Nieważne, że ją wykorzystuje, bo ona także wykorzystuje jego. Zachowuje się dziecinnie, kierując się złudzeniami.

Jego usta - gorące, zachłanne. Jego ręce na jej ciele. Smakował piwem, męskością i czymś jeszcze, czego nigdy nie zaznała.

Oderwał się od blatu i pchnął ją aż usiadła na wysokim barowym stołku. Rozsunął jej uda, wszedł między nie. Jego dłonie błądziły w jej włosach. Całował ją gryzł, szczypał ustami.

W jednej chwili ściągnął jej sweter. Zadrżała, gdy poczuła zimne powietrze i jego gorące ręce na skórze. Jęknęła, gdy odnalazł jej piersi i zacisnął na nich dłonie, aż zaboląo.

I nagle wsunął jej rękę w spodnie. Były luźne, z gumką w talii, więc nie stawiały oporu. Jęknęła, gdy jego palce w nią weszły. Poczul, że jest wilgotna, gotowa.

- O Jezu! - jęknął.

Uniósł ją lekko, ściągnął spodnie i przyciągnął do siebie. Nie słyszała nawet, kiedy rozsunał zamek błyskawiczny w swoich dżinsach.

Wszedł w nią tak szybko, że nawet nie jęknęła. Była gotowa, a on gnał jak szalenciec, szybko, wściekle. Wbił palce w jej barki, wchodził w nią zaciekle. Stęknął, zacisnął zęby. I skończył.

Osunął się na nią. Rozpalona, ale niezaspokojona, widziała kuchnię, puste butelki po piwie, zlew pełen brudnych naczyń. Siebie na stołku i Danny'ego, który nawet nie ściągnął koszuli. Zadrżała, po jej policzku spłynęła łza.

Otarła ją niepewną dłonią. Wyzwoliła się z jego objęć. Włożyła spodnie i odwróciła się, kiedy Danny doprowadzał się do porządku. Oboje milczeli.

Poszła do łazienki, umyła się. Wróciła do siebie i, wyczerpana, skuliła się na łóżku.

Danny był jak odrętwiały. Słyszał, jak Martha wychodzi z kuchni. Powoli opadł na podłogę między stołkami i oparł się o ścianę.

Ukrył twarz w dłoniach, przeczesał włosy palcami. Co on najlepszego zrobił?

Doskonale to wiedział.

Wstał po omacku, oparł się o blat, wyprostował ręce. Przypomnił sobie pożegnalne słowa Jake'a. Wciąż brzmiała mu w uszach uwaga Charliego, że mu ręce powyrywa, jeśli nie zaopiekuje się Martha.

Miał wyrzuty sumienia. Wściekły, gniewny. Jeszcze nigdy nie wziął kobiety w gniewie. Nigdy.

Ale też jeszcze nigdy nie był ślepy.

Chciało mu się wyć. Zamachnął się i zrzucił wszystko z blatu. Brzęk tłuczonego szkła - wszechświat rozpadł się na tysiąc ostrych odłamków.

Stał bez ruchu, wyobrażał sobie bałagan, którego narobił. Nie może nawet doprowadzić tego do porządku. Tego nie, ale co innego...

Powoli wyszedł z kuchni. Poszedł do saloniku i dalej, do sypialni. Zapukał do jej drzwi.

- Odejdź! Otworzył drzwi.

- Nie odejdę.

- A właśnie że tak. - Coś twardego uderzyło go w bark.

- Co to było?

- But. Idź sobie.

- Najpierw mnie wysłuchasz.

- No to mów i idź.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Patrzy na niego? Pewnie tak.

- Przepraszam.

- Jasne.

Szedł w stronę jej głosu. Ostrożnie pokonywał nieznaną przestrzeń.

- Co ty wyprawiasz? Mówiłam, żebyś...

- Byłem zły. Zmieszany.

- Wymówki - rzuciła chłodno, z urazą. Zasłużył sobie na to.

- To nie wymówka. To wytłumaczenie.

Znalazł skraj łóżka, przysiadł. Poślanie skrzypiało. Odsunęła się od niego, ale i tak ją odnalazł. Dziwna sprawa z tymi palcami. Teraz wyznaczały cały jego świat, były niepokonane. I choć przesunęła się jak najdalej, jego palce szukały, błdziły, aż znalazły łuk barku. Leżała odwrócona do niego plecami.

Zesztywniała pod jego dotykiem, ale nie pozwolił, żeby go to powstrzymało. Delikatnie głaskał japo plecach.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. Zachowałem się jak ostatni drań i bardzo mi przykro z tego powodu.

Muskał opuszkami palców napięty kręgosłup.

- Chcesz mnie uderzyć? Nawet się nie zorientuję. Możesz mi dowalić.

Walnęła go łokciem w brzuch. Stęknął, zakaszłał.

- Nieźle, ale stać cię na więcej.

Łóżko się poruszyło, zatrzeszczało. Wstała? Nagle oberwał po głowie. Biła go, odpychała...

- Chcesz się bić?! - krzyknęła. - No to dawaj, ślepy draniu! Ty kontra kobieta. Powinno być równo.

- Przestań! Już! - Szukał jej rąk. Nasłuchiwał skrzypnięcia łóżka i desperacko usiłował się zorientować, gdzie jest. Uderzyła go w twarz, popchnęła. - Nie chcę ci zrobić krzywdy! Przestań! - Uchylił się, przerażony jej furją. Dotknął jej kolana, pociągnął za nogę.

Straciła równowagę i upadła na łóżko.

Wciągnęła niepewnie powietrze, jakby wstrzymywała łzy. Ten dźwięk złamał mu serce. Przyciągnął ją do siebie.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam.

I nagle ją całował. Jego usta mówiły to, czego nie umiał ubrać w słowa. Była ciepła i słodka. Chciał jej to wszystko wynagrodzić. Niebezpieczeństwo, na które ją naraził, swoją bezradność i to, że tak bardzo ją zranił.

Chyba nie słuchała. Ale nagle, jakimś cudem, odwzajemniała jego pocałunki. Przywarła do niego. Coś się w nim uchyliło, ogromne, ciężkie drzwi wpuściły powietrze i jasność tam, gdzie do tej pory był tylko mrok.

I nagle, równie szybko jak zareagowała, jęknęła i go odepchnęła. Stracił nadzieję. Tak bardzo chciał wszystko naprawić.

- Co się stało?

Cisza. Nie mógł zobaczyć, że pokręciła głową.

- Mów do mnie.

- To nie... To nie fair. - Dyszała ciężko, z trudem. - Nie potrafię...

- Czego nie potrafisz?

- Ci się oprzeć.

Odnalazł jej twarz, głaskał czule.

- Wzajemnie, skarbie.

Zadrżała. Uznał, że to dobry znak. Jego palce tańczyły na jej karku i obojczyku, badały tajemnicze obszary.

Czekał, aż go powstrzyma, a gdy tego nie zrobiła, pochylił się niżej, znalazł dolinę między drobnymi piersiami. Znieruchomiała.

- Światło się pali? - zapytał szeptem.

- Nie - odpowiedziała zdyszana.

- To dobrze. - Uniósł jej koszulę. Opuściła ją. Delikatnie odepchnął jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze. Spokojnie. Tym razem naprawdę będzie dobrze. Obiecuje. - Ściągnął jej koszulę.

- Danny...

Położył palec na jej ustach.

- Nie mów. Nie patrz. - Sięgnął za jej plecy, żeby rozpiąć stanik. - Nie myśl. - Jego dłoń błędziła po jej piersiach, lekka jak piórko. - Tylko poczuj to.

Dłonie na jej brzuchu. Powoli zdejmował jej spodnie. Zesztywniała.

- Nie sądzę, żeby...

- Cicho. Pamiętasz? Nie mów. Nie myśl. - Rozbierał ją powoli, aż leżała przed nim zupełnie naga. Jej brzuch był wklęsłą powierzchnią między biodrami. Miała szczupłe, gładkie uda.

Drgnęła, gdy dotknął ich złączenia. Pochylił się nad nią.

- Spokojnie. Odpręż się - szepnął.

- Ja... nie mogę.

- Zamknij oczy. - Musnął palcami jej powieki, 'sprawdził, czy posłuchała. - Oddychaj. Tylko oddychaj.

Jego palce wędrowały coraz niżej, do najintymniejszego zakątka jej ciała. Powoli, delikatnie dotykał ją głaskał, ledwie muskał delikatną skórę. Jęknęła. Nabrzmiał, ale nie zwracała na to uwagi.

- Nie jestem przypadkiem dobroczynnym, nie musisz tego robić z litości. -
Język jej się plątał. — O Boże!

- A ja myślałem, że to ty się litujesz nade mną. - Zamknął jej usta pocałunkiem. - To dla ciebie. Odpreż się i rozkoszuj.

Jęknęła, rzucała głową po poduszce. Była naga, wystawiona na jego widok. Tylko że on jej nie widział. Ani ona jego, nie w ciemnym pokoju.

Ta świadomość wyzwaliała. Jakby w ciemności mogła zrobić wszystko. Żadnych osądów, wstydu, braku pewności siebie. Tylko odczucia.

Dotykał jej piersi, muskał nabrzmiące sutki. Apotem w ciemności odnalazł je ustami. Każdy dotyk odbijał się gorącym echem między jej udami.

Jakby sam to poczuł, opuścił rękę, delikatnie rozsunął jej nogi. Dotknął jej. Rozpalał ją coraz bardziej, unosił coraz wyżej.

Jej biodra zadrżały w odpowiedzi na pieszczotę. Oderwał usta od jej piersi. Wędrował niżej, wzdłuż brzucha i pozwalał, żeby powietrze chłodziło wilgotny ślad pocałunków. Wplotła mu palce we włosy. Przesuwał się niżej i niżej, aż jego usta zastąpiły dłoń.

Trzymał ją całował. Szybowała w obłokach, tonęła w ogniu pożądania.

- O Boże. Boże! - Zacisnęła dłonie, w miarę jak narastał ogień. Napinała mięśnie coraz bardziej. Boże, co on wyprawia. Tutaj, tak, właśnie tutaj. Tak. Teraz. Już zaraz. Cudownie. Tak, cu...

Rozprysła się odłamkami nocy.

Danny całował wewnątrz jej ud. Wyczuwał delikatne skurcze po fali rozkoszy. Upajał się jej smakiem i zapachem i pragnął w nią wejść. Był z siebie zadowolony.

Z jękiem poruszyła się na łóżku. Podciągnął się wyżej i położył głowę na jej brzuchu. Nie mógł się opanować, cały czas musiał jej dotykać. Muskał jej kolana, uda, biodra. Głaskała go po włosach, początkowo słabo, leniwie, potem coraz mocniej. Jej dotyk budził dreszcze.

- Danny - szepnęła. - Obejmij mnie.

Podciągnął się wyżej i chciał ją przytulić, ale go odsunęła. Najpierw ściągnęła mu koszulę. Zdarł ją z siebie, rzucił gdzieś w mrok i wrócił do Marthy.

Leżeli wtuleni w siebie. Było słodko, zupełnie inaczej niż kiedykolwiek przedtem. Zazwyczaj z kobietami łączyły go śmiech i zabawa. Dużo śmiechu. Szybki seks, nic poważnego, poza chwilą rozkoszy dla obojga.

Jak Jake o nich mówił? Plastikowe lalki. Śliczne i puste. Odpowiadało mu to. Brak zobowiązań, partnerki, które chciały równie mało jak on. Że to płytkie?

Może. Ale tak naprawdę wystarczająco dużo ludzi czegoś od niego oczekiwało. Nie miał siły na więcej.

Więc co tu robił z Martha? Ona jest prawdziwa. Dorosła. Poważna kobieta gotowa do poważnego związku.

Głos w głowie krzychał ostrzegawczo, ale jej dłoń błędziła po jego klatce piersiowej, usta przesuwały się coraz niżej. Nie myślał. Znalazł jej głowę, wplótł palce we włosy i przypomniał sobie, co o nich mówiła. Że są czarne jak włosy czarownicy. Usiłował to sobie wyobrazić i nie mógł, czuł jedynie, jakie są jedwabiste w dotyku.

Otaczał go mrok, ale była przy nim, jak światło. Podciągnął ją i pocałował miękko, czule.

- Jesteś piękna-szepnął. Znieruchomiła.

- Nie mów tak! - powiedziała to ostro i strach, który w niej wyczuł, napawał go smutkiem.

Błądził dłońmi po jej plecach. Wyczuwał pod palcami kości kręgosłupa, jak górskie kamyki.

- Dlaczego?

- To nieprawda. Gdybyś mnie widział, zrozumiałbyś.

Jego dłoń wędrowała coraz niżej, wzdłuż łuku biodra, na pośladki.

- Nie muszę widzieć. Czuję. Jesteś piękna w dotyku. Miętka. Piękna w moich dłoniach.

Odpnęła się trochę.

- Jesteś w tym dobry. Uśmiechnął się.

- Lata praktyki.

- Sama nie wiem, co czuć - mruknęła ponuro.

- Wdzięczność?

Uderzyła go. Złapał ją za nadgarstek i przesunął jej dłonią po swojej piersi i twarzy. Pocałował ją.

- To nie puste słowa. Może nie jesteś piękna, a może sama się nie doceniasz. Nie wiem. Postrzegam cię innymi zmysłami. Pachniesz wiosną jesteś cu-downa w dotyku. Czy to nie jest piękno?

Milczała. Nie wiedział, czy mu uwierzyła.

A potem jej palce znalazły suwak jego spodni. Mocowała się z zamkiem.

- Pokaż mi. Spraw, żebyśmy poczuła się piękna.

Otoczyła go noc, zimna i gorąca zarazem. Poczul na sobie smukłe palce. Jęknął.

- Jezu, Martho. - Serce dudniło mu w piersi, krew pulsowała w żyłach.
- Wejdź we mnie. Chcę cię poczuć. Przełknął ślinę, starał się zapanować nad sobą.
- Jeden raz bez prezerwatywy wystarczy.
- Nie jestem chora. A ty?
Głaskała go na całej długości. Zacisnął zęby.
- Nie, ale...
- Biorę tabletki.
Zaskoczyła go, ale zanim odpowiedział, objęła go dłonią. Zadrżał z rozkoszy. Z trudem układał słowa.
- Czyżby coś kryło się za tą grzeczną fasadą?
- Miałam nieregularny cykl. I nie jestem grzeczna.
- Ależ owszem. - Pchnął ją na posłanie, nakrył sobą. - Dzięki Bogu za nieregularny cykl. - Wszedł w nią.
Tym razem powoli. Och, jak powoli. Znowu była wilgotna, gotowa. Otoczyła go jak miękka dłoń, ciepła i wilgotna. I ciasna, Boże, jaka ciasna.
Zagubił się ciemności, w jej zapachu. Kwiaty, maj i seks.
I po raz pierwszy zapomniał, że nie widzi. Zapomniał, że ktoś czyha na jego życie. Zapomniał o strachu i bezradności i pogodził się z ciemnością bo rozkosz, jaką mu dawała, rozjaśniła mu duszę.

Rozdział 13

Mike Finelli siedział w granatowym taurusie i obgryzał paznokcie. Przez szybę dokładnie widział wnętrze Breakout, ulubionego baru policjantów. Mel Bayliss stanął pod biało-niebieskim logo lokalu. Mike odpalił silnik. Kilka minut później ruszył za Baylissem spod knajpy.

Bayliss skręcił na dziewiątkę. Kilka kilometrów dalej zjechał w Van Buren. Jeszcze parę przecznic i parkował na własnym podjeździe.

Mike zatrzymał się trzy domy dalej, pod drzewem. Stąd miał dobry widok na dom sierżanta. Otworzył schowek, wyjął paczkę żelek i wsunął jedną do ust.

Drugi raz siedział dzisiaj komuś na ogonie, a trzeci w ciągu tygodnia. Robiło mu się niedobrze na myśl, że podejrzewa kolegów, ale ten wniosek sam się nasuwał. Tylko oni wiedzieli, gdzie ukryli Sina.

Na razie obserwowanie Baylissa ani pozostałych niczego nie dało. Zamarał we własnym wozie i psuł sobie zęby żelkami.

Pochylił się nad kierownicą i obserwował, jak jego oddech zmienia się w obłoczki w księżycową noc. W domu Baylissa przesuwały się cienie, ale nie umiał ich rozróżnić. Bayliss miał trzech nastoletnich synów, więc w małym domku pewnie sporo się dzieje.

Zastanawiał się, co Sherry Bayliss przygotowała na kolację. Świetnie gotowała i Mike'owi zaburczało w brzuchu na myśl o ziemniaczanym puree i domowej pieczeni. Albo o stekach z ziemniakami. Albo o samych ziemniaczkach. Nieraz bywał u Baylissów na kolacji. Dzieciaki gadały jedno przez drugie. Góry jedzenia zniknęły błyskawicznie.

Beth to co innego. Wcale tak dobrze nie gotuje. Hamburgery, dania z puszki... Ale ma inne zalety. Jest lojalna i twarda. Nie załamała się, kiedy Frank odszedł. Wytrzymała i robiła, co w jej mocy.

Oczywiście, Danny jej pomagał. Bardzo.

Ta dwójka... Wsunął garść żelek do ust. Denerwowali go i wzruszali jednocześnie. W porównaniu z nimi jego rodzina to jedna wielka klęska. Matka nie rozmawia z ojcem, bracia nie odzywają się do siebie. Każdy ma do kogoś pretensje.

Danny i Beth nigdy się na siebie nie skarżyli. Czy nie tak powinno być w rodzinie?

Drzwi do garażu otworzyły się ponownie. Mike się wyprostował, odrzucił żelki i odpalił silnik. Samochód Baylissa wyjechał z piskiem opon.

Mike zawrócił i ruszył za nim.

Po pięciu minutach rozdzwoniła się jego komórka. W stanie Nowy Jork nie wolno rozmawiać przez komórkę podczas jazdy samochodem, ale Mike korzystał z zestawu głośnomówiącego, dzięki czemu nie musiał odrywać rąk od kierownicy. Odebrał.

- Finelli.

- Jezu, Finelli, dopadli Anitę. - Głos, zdenerwowany i przejęty, należał do Tita Ovieda, najmłodszego stażem policjanta w wydziale. Zastępował Danny'ego, tymczasowo i być może, choć nikt nie mówił tego głośno, na stałe.

- Co ty gadasz? - Wyobraził sobie wydziałową amazonkę, prawie dwa metry czekoladowej potęgi. Była niezniszczalna. Nie mieściło mu się w głowie, że coś mogłoby się jej stać.

- Anita nie żyje.

W sypialni Marthy noc niepostrzeżenie przeszła w dzień. Danny oczywiście nie zauważył różnicy, ale Martha jęknęła ponuro, widząc, jak za oknem pojawia się szare światło świtu. Nie spali niemal przez całą noc. Kochali się, drzemali, budzili się i znowu kochali. Teraz skupił się na trzech monetach, które wsunęła mu w dłoń.

- Ile? - Leżała obok, naga i swobodna. Na jej brzuchu znalazł plik banknotów i stosik monet.

Dotykał metalowych krążków, szukał charakterystycznych wypukłości, które mu wskazała.

- To jest jeden cent, mniejszy niż pozostałe, bez nacięć. - Monety zabręczały w jego dłoni. Wybrał następną. - Większy, nacięcia... Dwadzieścia pięć centów. A to... - Muskał palcami metalową powierzchnię, porównywał, analizował. - Pięciocentówka. Większa niż cent, bez nacięć. W sumie trzydzieści jeden centów. Dostanę piątkę?

- Z plusem.

Nie zwracała sobie głowy zapaleniem światła, nie podniosła też żaluzji. Nie wiadomo dlaczego, był jej za to wdzięczny, jakby ciemność w jakiś sposób ich zrównywała.

To oczywiście nieprawda. Ale może przecież udawać? Udawać, że słońce wcale nie wstało, że światło, którego nie widzi, nie budzi rzeczywistości. Że nie muszą planować kolejnego posunięcia.

Prawdę mówiąc, nie chciał niczego planować. Wolał udawać, że nic nie widzi tylko dlatego, że nie włączyła światła.

Przewrócił się na bok, znalazł ustami jej sutek. Poruszyła się.

- Nigdy nie dojdziemy do banknotów, jeśli będziesz to robił. Jęknął.

- Ależ z ciebie uparciuch.

Z westchnieniem opadł na plecy i poszukał dłonią jej brzucha, rozkoszując się jego gładkością. Monety się rozsypały. Szukał po omacku, znalazł banknot, podniósł go.

- Słucham, pani Crowe - powiedział głosem szkolnego kujona.

- Możesz sobie wymyślić własny sposób identyfikacji banknotów, ale najpopularniejsza metoda to banknoty jednodolarowe na płask. - Wzięła banknot i położyła mu na nagiej piersi.

Błyskawicznie złapał ją za rękę i uniósł do ust. Wyrwała mu się, musnęła jego twarz i pocałowała go przelotnie.

- Wydawało mi się, że mieliśmy rozmawiać o pieniądzach - szepnął prosto w jej usta.

- Owszem.

- Więc mnie nie rozpraszaaj.

- Ja? - prychnęła. Roześmiała się i odchrząknęła. - No więc, jedynki są...
płaskie.

Szelest papieru.

- Piątki składamy na pół. - Podała mu kolejny banknot. Rozłożył go i złożył ponownie, pozwalając, by jego palce nauczyły się nowego ruchu, nowego kształtu.

Położył piątaka na banknot jednodolarowy.

- No dobra, mam jedynkę i piątkę. A dychy, dwudziestki, pięćdziesiątki, setki?

- Setki? - Wyczuł zaskoczenie i rozbawienie w jej głosie. - A jak często masz przy sobie banknoty studolarowe?

- W mojej branży nigdy nie wiadomo. - Powiedział to, zanim zdążył ugryźć się w język. I od razu przyszła zimna świadomość, że i tak straci pracę w tej branży, o ile oczywiście przedtem ktoś go nie zabije.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

I znowu poczuł jej dłoń na twarzy.

- Nieważne, co będziesz robił, pieniądze będą ci potrzebne - powiedziała miękko. Łagodny ton osłabiał ostry wydźwięk pragmatyzmu.

Miała rację. Wiedział o tym i wiedział, że musi się nauczyć żyć na nowo. Ale na Boga, chciałby, żeby się myliła. Marzył mu się cud, który przegna niepokój zżerający go od środka. Przełknął, skinął głową. Zabrała dłoń.

- Zaczniemy od dziesiątek. - Znowu była nauczycielką. Wyobraził ją sobie, miękka gotową i ta myśl złagodziła ucisk w klatce piersiowej. - Składamy dychy dwukrotnie, tak, że są o połowę mniejsze od piątek. - Podała mu złożony banknot. Powtórzył jej ruchy. Dwudziestkę złożyła wzdłuż.

- Pięćdziesiątkę złoż wzdłuż, dwukrotnie. A setkę? Nie wiem.

- Może łabądka z origami? Szturchnęła go w bok.

- Śmieję się, proszę bardzo, ale to działa.

Szukał jej ciała. Poczuł znajomy zarys biodra, miękki łuk piersi. Jęknęła, poruszyła się pod jego dłońmi.

- Kiedy nazwiesz mnie „Sin”? Odepchnęła go.

- Kiedy przestaniesz mnie rozpraszać? I się skupisz?

- Ależ ja się skupiam. - Położył jej dłoń na swojej męskości, żeby poczuła, jak na niego działa.

- Na pieniądzach, nie na mnie.
- Jesteś o wiele ciekawsza. - Nakrył ją sobą, wszedł w nią
- Danny. Sin. O Boże!

Zagubił się w niej. I znowu był silny i zdrowy. Monety dźwięczały w rytmie ich ciał.

Wiele godzin później obudził ich telefon. Martha ocknęła się, słysząc uprzejmy dzwonek, ale chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje.

Danny był szybszy.

- Telefon - rzucił, zanim zdążyła do końca oprzytomnieć. Dopiero wtedy dotarło do niej, jakie to ważne. Dzwonił telefon na kartę. Tylko Jake i Ricky Roda znają ten numer. Kto dzwoni? Spięła się. Monotonny sygnał nagle zabrzmiał złowieszczo.

Wyciągnął rękę w stronę nocnego stolika. W którymś momencie w nocy położył tam aparat. Niechcący zrzucił go na podłogę.

- Cholera - mruknął. Martha pochyliła się, żeby go podnieść, ale było za ciemno. Zapaliła nocną lampkę.

- Co robisz?

- Zapalam światło, bo nie wiem, gdzie się podział telefon. - Znalazła go na podłodze, podała mu i uznała za małe zwycięstwo fakt, że nie nakrzyczał na nią że nie pozwoliła mu zrobić tego samodzielnie. - Masz.

Wcisnął odpowiedni klawisz, nagle czujny i władczy, prawdziwy policjant.

- Sinofsky.

Przetarł twarz dłonią, starł resztki snu. Jego rysy stężały, turkusowe oczy pociemniały. Z czasem ich wyraz stracił ostrość. Ale dopiero później.

- To poważna sprawa. Nie wiem, czy to się da zrobić, zwłaszcza jeśli mam kupić kota w worku. - Chwila ciszy. - Nazwisko? - Zamyślił się. - Podaj telefon, odezwę się.

Skończył rozmowę, odłożył aparat. Powoli, jakby intensywnie nad czymś myślał. Czują, jak jej serce bije coraz szybciej.

- Kto to był?

- Roda. Mówi, że coś ma.

- Co?

- Nazwisko, przezwisko... Ktoś zorganizował wymianę w magazynie. Jeśli się dowiemy kto, sprawa ruszy z miejsca.

- To chyba dobrze?
- Tylko że chce czegoś w zamian. - Odrzucił koldrę, usiadł na łóżku. - Która godzina?

Zerknęła na zegarek. Boże, minął prawie cały dzień.

- Piąta. Uniósł brwi.

- Rano?

- Po południu.

Głośno wypuścił powietrze z płuc.

- No dobra. Gdzie moje ubranie?

Pozbierała je i mu podała. Bez słowa włożył dżinsy i koszulę. Zakrył twarde, umięśnione ciało, które pieściła przez całą noc. Dziwne, zobaczył znowu jego piękną twarz, lśniące oczy, silne ramiona.

Wyszedł z sypialni, skręcił w lewo, do łazienki, i po chwili usłyszała szum wody.

Zastanawiała się, czy do niego nie dołączyć, ale się rozmyśliła. Wraz ze światłem powrócił stary porządek świata. A jednak czuła, że jest inna, i ta świadomość drażniła. Jakaś jej część uciekła chyłkiem, zawstydzona. Inna chciała zachować nocną magię. Czuła się, jakby surfując, złapała falę, największą z możliwych. Rozkoszowała się szumem wiatru we włosach, morską bryzą łapaniem równowagi na wodnym grzbiecie.

Uśmiechnęła się na myśl o takim szaleństwie. I uśmiechała się coraz szerzej i szerzej, jakby już nigdy nie miała przestać.

Ubrała się, opadła na łóżko. Roześmiała się i rozłożyła ramiona. O tak! Tak, tak.

I choć niepokój nie odchodził, zepchnęła go na dno świadomości. Przynajmniej na razie. Co będzie, gdy fala opadnie? Nieważne. Nie pozwoli jej na to.

Poszła do kuchni. Zobaczyła potłuczone szkło na ziemi. Co tu się stało? Pochyliła się, żeby posprzątać, i zapamiętała, że to kolejna rzecz, której Danny musi się nauczyć.

Skończyła. Zaparzyła kawę. Jedno jest pewne — kawy im nie zabraknie. Już miała sobie nalać, gdy Danny zawołał ją z łazienki.

Pobiegła do niego, przerażona, że miał kolejną wizję. Ale nie, stał nad umywalką z ręcznikiem na biodrach i maszynką od golenia w dłoni. Para zasnuła powietrze, jego włosy lśniły. Wyglądał jak pogański bożek wody - wilgotny, piękny, swobodny.

- Tak, panie?

Uśmiechnął się, aż w kącikach oczu pojawiły się kurze łapki i na ułamek sekundy jej serce niemal się zatrzymało. Jego oczy były tak pełne życia, że wciąż musiała sobie powtarzać, iż jest ślepy.

- Lubię kobiety, które znają swoje miejsce - stwierdził.

- Nieprawda.

Podobnie jak ona, uśmiechał się szeroko.

- Rany! Ty wprost uwielbiasz klótnie. Chodź tutaj.

Tu akurat się nie sprzeciwiała. Wśliznęła się w jego ramiona. Poczowała jego silne ramiona pod palcami. Był wciąż rozgrzany po prysznicu. Pocałował ją i świat zatrzęsł się w posadach. Nie była pewna, czyjej się to podoba. Był jak trzęsienie ziemi.

- Dlatego mnie tu zawołałeś? - powiedziała nisko, ochryple.

- Nie do końca, choć to miłe, niezamierzone urozmaicenie. - Podniósł maszynkę do golenia. - Pomóż mi. Kiedy golę się sam, zajmuje mi to jakieś pół godziny.

Ukryła zdumienie. Po raz pierwszy poprosił o pomoc. Czy to oznacza, że stara się zaakceptować swoją sytuację? A może po postu chce się szybko ogolić?

- Siadaj.

Znalazł muszlę klozetową usiadł. Martha sięgnęła po krem do golenia. Jakże przyniósł go dla Danny'ego wraz ze zmianą ubrań i marnymi zapasami.

- Głowa do tyłu.

Powoli nakładała mu pianę na twarz. Była miękka, pachniała jak on. Jej dłoń wędrowała po jego skórze, pieściła ostre kości policzkowe, silną szczękę, podbródek, szyję... Rozbrajał ją. Widok jego piersi, szerokiej, twardej, przywoływał wspomnienia z nocy, rozkosz w ciemności. To, jak się przy nim czuła. Była pożądana. Piękna. „Piękna w moich dłoniach”, tak powiedział.

Oblizwała usta. Wzięła maszynkę i przyłożyła mu do szyi. Ręce jej drżały. Złapał ją za nadgarstek.

- Mówimy o mojej aorcie. Wszystko w porządku, skarbie? Spojrzała na niego. Niepokoił się i musiała się z nim podrażnić.

- Nie ufasz mi?

- Nie mam wyboru.

Przycisnęła ostrze mocniej i uśmiechnęła się, choć tego nie widział.

- Ufasz mi?

- No dobra, ufam ci. - Puścił ją. Zaczęła go golić.

- To był twój pomysł - zauważyła.

- Nie przypominaj mi.

Skończyła. Gąbką umoczoną w ciepłej wodzie zmyła resztki piany z jego twarzy.

- Należy się pięćdziesiąt dolarów, proszę pana.

- A jak mam je złożyć? - Stała przed nim, więc przyciągnął ją do siebie.

Kolejny pocałunek i kolejna chwila szaleństwa.

- Rany! - szepnął i wypuścił ją z objęć. -Przestańmy, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdziemy.

Przeczesała włosy palcami. Przyda jej się prysznic, długi i zimny.

- Zaparzyłam kawę. Napij się, a ja się wykąpię. Zamyślił się.

- Co jest? - spytała.

- Mając do wyboru kawę i ciebie pod prysznicem, wybieram...

- Kawę. - Wypchnęła go za drzwi. - Bo inaczej nigdy stąd nie wyjdziemy.

Zapomniałeś już?

Wyszedł ze śmiechem.

Kwadrans później, odświeżona, umyta, z mokrymi włosami w ręczniku, wyszła z łazienki i poszła prosto do sypialni. Otworzyła torbę z ubraniami, którą przywiózł jej ojciec. Otoczył ją zapach saszetek z suszonymi kwiatami. Prosiła ojca, żeby je zabrał. Ale nawet mimo zapachu ubrania nagle wydały jej się nudne. Chciałaby dzisiaj włożyć coś obcisłego i seksownego. Coś czarnego, co sprawiłoby, że Danny na chwilę wstrzyma oddech.

Zaraz się za to zbesztala w myślach. Po pierwsze, Danny niczego nie zobaczy. Po drugie, czułaby się jak idiotka. Jakby nie była sobą tylko jedną jego dziewczyn. Jakaś Barbie czy Partie. Po trzecie, przecież spędziła z nim noc. Jakie znaczenie ma to, w co się teraz ubierze?

Włożyła nudne zielone spodnie i długą tunikę w takim samym kolorze. Spojrzała w lustro. Dlaczego tak źle się czuje? Ubrania są miękkie i wygodne. O co jeszcze chodzi? Przyjrzała się sobie w lustrze. Szczerze mówiąc, były tak luźne, że maskowały wszystkie krągłości. Wyglądała jak w zielonym worku na kartofle. Zmarszczyła brwi. Przynajmniej kolor podkreśla barwę jej oczu.

Rzeczywistość wróciła z całą siłą Nieważne, co ma na sobie. Nieważne, jakie nosi kolory czy fasony. Danny nie widzi. Póki tak jest, nieważne, co ma na sobie.

Póki tak jest.

Odepchnęła tę myśl. Zamknęła na klucz na dnie świadomości.

Zanim skończyła się ubierać, przyszedł Jake. I przyniósł jedzenie, jeśli wierzyć zapachom. Przeczesała palcami mokre włosy. Zostawiła je rozpuszczone, żeby wyschły, i poszła do saloniku.

- Cześć, Jake.

Wstał, kiedy weszła. Danny był w kuchni, mocował się z piwem.

- Jaka czyściutka. - Puścił do niej oko. Zarumieniła się. Czy ma wszystko wypisane na twarzy?

Roześmiał się, objął ją ramieniem i uściśnął.

- W porządku - szepnął. - Jestem z tobą. Jak będzie nieznośny, daj znać.

- Jak... Skąd wiedziałeś?

- Danny się szczerzy jak dzieciak. Murowany znak.

Spojrzała na Danny'ego. Rzeczywiście, znajdował kapsle, ściągał je. I się uśmiechał. Nie podnosząc głowy, zapytał:

- O czym tak szepczecie?

- O tobie. - Jake najwyraźniej świetnie się bawił.

- To agent federalny, Martho. Co znaczy, że kłamie jak z nut.

- Nie sądzę. - Ona też się uśmiechnęła.

Danny wszedł do saloniku, podał Jake'owi butelkę.

- Tacy już są federalni. Nie wiesz, że kłamią aż nagle jest za późno i tkwisz w tym po uszy.

Jake zignorował zaczepkę. Wziął piwo.

- Mówiłeś, że dzwonił Roda?

Wystarczyły cztery słowa, żeby zmieniła się atmosfera. Wszyscy spowężnieli. Danny odnalazł oparcie fotela i przysiadł na skraju.

- Jakaś godzinę temu.

- Czego chciał?

- Wymiany. Informacje za jednego z jego ludzi. Zgarnęli go dwa dni temu w Sokanan.

Jake zagwizdał.

- Myślisz, że na to pójdą? Danny wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Co zrobisz?

- Porozmawiam z prokuratorką okręgową. Może się zgodzi, może nie. W każdym razie muszę się ujawnić.

Martha znieruchomiała, nagle ogarnął ją strach. Jake także milczał. Danny roześmiał się krótko, gorzko.

- Mam to gdzieś. To tylko życie, nie?

W kuchni na stole czekały dwie duże papierowe torby. Martha musiała się czymś zająć - nie mogła stać beczynn timer - więc je rozpakowała. Machinalnie wyjmowała kartonowe pudełka z chińszczyzną. Rozkładała talerze i sztuce. Poruszała się jak automat. Całą sobą była z Dannym, gdy dzwonił do prokuratury okręgowej.

Rozmowa była krótka; rozłączył się po pięciu minutach.

- Sprawdzają to - oznajmił.

Jedli i czekali. Martha w ogóle nie czuła smaku potraw. Danny grzebał w talerzu, nabił kurczaka na widelec.

- Odezwali się do mnie w sprawie broni. Zaskoczona, podniosła głowę.

- Kiedy?

- Kiedy brałaś prysznic.

- Zidentyfikowali broń? - zapytał Jake. Danny skinął głową.

- HS 2000, samokres, mówi ci to coś? Jake przecząco pokręcił głową, i zaraz dodał:

- Nie. Brzmi z rosyjska.

- Chorwacki. Zmodyfikowany browning, półautomat. Bud Taylor, nasz człowiek, mówi, że wyprodukowano je podczas wojny na Bałkanach na początku lat dziewięćdziesiątych, ale nigdy nie trafiły na rynek. Większość pierwszej partii została skradziona. Przynajmniej taką wersję podał producent.

- Skradziona albo sprzedana na czarnym rynku.

- W każdym razie Bud twierdzi, że trudno o taką broń na naszym terenie.

Usiłuje się czegoś dowiedzieć od handlarzy. Da mi znać, jak tylko się czegoś dowie.

Martha słuchała z dziwną fascynacją. Miała wrażenie, że podsłuchuje rozmowę nieznanym o obcym kraju. O miejscu, w którym nigdy nie była. Nie znała tamtejszego języka, a obyczaje krajowców różniły się od tych panujących w jej świecie, jak niebo i ziemia.

Jake zjadał smażony ryż, a ona się głowiła, jak można w takiej chwili myśleć o jedzeniu.

- Co z Eddiem Clarence'em? Rozmawiałeś z informatorem?

- Owszem. Clarence i Roda znają się z gangów. Walczą ze sobą od lat.

Clarence dopiero co wyszedł z paki. Za odsiadkę obwiniał Ricky'ego.

Jake upił łyk piwa.

- Może po prostu miałeś pecha. Clarence chciał się zemścić i sprzątnął dzieciaka. Ciebie też powinien, ale zwiąsał.

- Mamy tylko jeden problem. Clarence nie żyje. Wczoraj wieczorem ktoś go załatwił. Bronks obwinia Rodę, ale jeszcze nic nie wiadomo.

Jeśli to Roda, czy śmierć Clarence'a ma coś wspólnego z przesłuchaniem w furgonetce? Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy o tym pomyśleli.

Martha przestała udawać, że je.

- Co teraz?

- Eddie Clarence odpada - mruknął Danny. - Jeden podejrzany mniej.

- Nadal nie rozumiem. Przecież nie widziałeś strzelca w magazynie. Skoro nie możesz go zidentyfikować, dlaczego chce cię zabić?

- Może nie wie, że nie widzę. Albo w to nie wierzy. Niektórzy nie lubią niedokończonych spraw.

- A broń? Niby skąd Clarence miałyby wziąć sterylną broń?

- Czarny rynek, Internet... jest mnóstwo możliwości.

- Przynajmniej mamy motyw - stwierdził Jake. - Wreszcie coś się z czymś łączy.

Nadal nie pojmowała.

- Roda mówił, że ktoś zrobił Danny'ego. Jeśli Clarence polował na dzieciaka, po co Danny?

To pytanie zatrzymało dyskusję w martwym punkcie.

- Cholera! - Danny uderzył pięścią w stół. Jake odsunął od siebie talerz.

- To nie koniec złych wieści. Chciałem poczekać na odpowiednią chwilę, żeby wam powiedzieć, ale chyba taka nie nadejdzie.

- Powiedzieć nam? Co? - Marthę przeszył dreszcz.

Jake się zawahał, wodził wzrokiem od niej do Danny'ego. Widziała jego niepokój i zdenerwowanie. Bała się coraz bardziej.

- Co?

- Wyjeżdża - rzucił Danny cicho.

- Wyjeżdża? To niemożliwe. - Spojrzała na Jake'a przerażona. - To prawda?

Zacisnęła usta.

- Niestety tak.

- Ale dlaczego? Dokąd?

- Za granicę. Pojawiły się nowe tropy w ważnej sprawie. Muszę je zbadać na miejscu.

- A co z...

- Nie ma sprawy - rzucił Danny szybko.

Ogarnął ją gniew. Jake ich porzucił.

- Jak to „nie ma sprawy”? Nie możesz...

- Nie ma sprawy. - W głosie Danny'ego pojawiły się ostre nuty. -

Spodziewałem się tego. - Odwrócił głowę do Jake'a. - Doceniam wszystko, co zrobiłeś, stary. Damy sobie radę.

Dadzą sobie radę? Czy on oszalał?

- Załatwiłem, że możecie tu zostać, jak długo chcecie. Danny skinął głową. Jak może być tak spokojny?

- Proszę. - Jake położył na stole kartę kredytową - Na jedzenie i takie tam. Założyłem wam konto nie do wytropienia.

Martha wzięła kartę. Wystawiono ją na kogoś, kto nazywał się Bob-by Brooks.

- Pomyślałem, że Bobby to imię męskie i żeńskie. - Podał jej kolejne dokumenty. - Tak na wszelki wypadek. Prawo jazdy, dla każdego z was.

Martha nie była w stanie wziąć od niego dokumentów. Były namacalnym dowodem, że Jake ich zostawiał.

- Będzie można się z tobą skontaktować? Przeczący ruch głową.

- Telefonicznie? Nie.

- Dokąd się wybierasz, na Księżyc? Jake się zawahał.

- To ściśle tajne, Martho — odpowiedział Danny za niego. Wstała gwałtownie. Zabrała swój talerz ze stołu i poszła do kuchni.

I tak było im trudno, a teraz, bez doświadczenia Jake'a, bez jego oczu... Stała tyłem do mężczyzn. Ciężko oparła się o zlew. Jego kant boleśnie wrzynął się w ciało, przecinał narastającą histerię. Rozmawiali za jej plecami, spokojnie, rzeczowo.

- Kiedy? - zapytał Danny.

- Jutro.

Jutro. Zabrzmiało to jak najgorsza przepowiednia.

- Na jak długo?

- Nie wiem, niestety.

- Nie przejmuj się, dam sobie radę.

- Nie sam. - Wstał. Martha się odwróciła i zobaczyła, że stawia przed Danny'm małą walizeczkę i otwiera zamek. - Nie chciałem zostawiać cię całkiem samego, więc pożyczyłem laptop. Wypróbuj go.

Danny wyciągnął ręce i zaraz je cofnął. Był zgaszony, jakby Jake zadał mu nieuczciwy cios.

Martha patrzyła na niego z niedowierzaniem. Co on sobie myślał? Komputer dla niewidomego?

- Dzięki, ale nie sądzę...
- Wypróbuj go - nie dawał za wygraną Jake.
- Ale...
- Dawaj. Naciśnij coś.

Danny pokręcił głową i - wyraźnie zirytowany - nacisnął pierwszy lepszy guzik. Na ekranie pojawiła się litera „g” i metaliczny, sztuczny głos jednocześnie jąprze czytał. Danny znieruchomiał.

Martha spojrzała na Jake'a. Uśmiechał się.

- Co to jest? - zapytał Danny.
- Specjalne oprogramowanie, które przekłada tekst na głos. Nazywamy to Pan Ed.
- Pan Ed. - W ustach Danny'ego zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak. Oglądasz *Nick at Nite*, prawda? Pan Ed to gadający koń. A to gadający komputer. Spróbuj, napisz coś.

Danny powoli wystukiwał słowa. Komputer literował: N-i-e-c-h c-i-ę s-z-l-a-g.

Jake poklepał go po plecach:

- Ja też cię lubię, stary. - Roześmiał się. - Wpisałem ci mój adres elektroniczny. Reszta działa jak zwykle. Internet, e-mail... Program czyta wszystko, co jest na ekranie. Początkowo trochę to mylące, ale się połapiesz. Są też słuchawki, żebyś nie doprowadzał Marthy do szału.

Zadzwoił telefon; przeciął rozmowę jak katowski topór. Jake i Martha wymienili spojrzenia, gdy Danny rozmawiał. W końcu się rozłączył.

- Załatwione - powiedział, przerywając pełną wyczekiwania ciszę. - Zmniejszą mu wymiar kary, jeśli informacja okaże się prawdziwa.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć — mruknął Jake. Danny ponownie sięgnął po telefon i wybrał numer.

Nie owijał w bawełnę.

- Umowa stoi. Wiesz, jak jest. Jeśli dasz prawdziwe informacje, twój człowiek wyjdzie po dwojce, nie po piątce.

Nie rozumiała do końca, ale Jake szepnął, że chodzi o pięć lat.

- Więc jak? - zapytał Danny. - Co dla mnie masz?

Rozdział 14

Danny poprawił lustrzane okulary na nosie i mocniej otulił się skórzaną kurtką Charliego. Wbił dłonie w kieszenie dla ochrony przed zimnem. Gdzieś daleko Martha siedzi na innej ławce z kutego żelaza i podobnie jak on trzęsie się z zimna. Łączył ich jedynie cienutki kabelek, biegnący ze słuchawki w jego uchu do telefonu na biodrze. Zatrzymali się po drodze i płacąc kartą kredytową Bobby'ego Brooksa, kupili dwa zestawy głośnomówiące - takie proste, ze słuchawką i mikrofonem w kablu. Teraz jej głos w uchu był także jego oczami.

- Masz coś? - zapytał miękko.
- Nie wiadomo. Dokoła kręci się mnóstwo ludzi.
- Mało pocieszające, Martho.

Opisała mu okolicę, ale nie mieli czasu, żeby zapoznać się z terenem. Jedynie, czym dysponował, to zapamiętana scena z filmu - placyk zabaw w centrum miasta, otoczony wysoką siatką. Poobijane, zniszczone słupki, pomalowane na wesołe kolory, smętne kosze do koszykówki - widział to wszystko w czerni i bieli, jak na filmie. Szaro, zimno, brudno.

Wolałby, żeby spotkanie odbyło się gdzieś bliżej, ale Roda nie chciał umówić się nigdzie indziej, tylko na swoim terytorium w południowym Bronksie.

Od wczoraj dużo się z Marthą o to kłócili. Były trzaskanie drzwiami i dąsy, ale w żaden sposób nie dała się uspokoić.

- Poczekajmy na powrót Jake'a - zaproponowała.
- Ile? Rok?
- A jeśli to pułapka?
- A jeśli nie? Nie mogę tak bez końca siedzieć beczynn timer i liczyć, że nikt nas nie znajdzie. I uciekać, jeśli ktoś nas jednak namierzy. To nasza jedyna szansa. Zaryzykuję.

- Zrobisz to sam. - Próbował ją sobie wyobrazić. Była zła? Dotknięta? Zmartwiona? Wszystkie te uczucia słyszał w jej głosie. Pewnie stała ze skrzyżowanymi ramionami, wyprostowana jak struna. - Nie przyłożę ręki do twojej śmierci.

Z wahaniem położył jej dłoń na ramieniu. Była spięta, tak jak przypuszczał.

- Nie proszę cię o to.
- To jak trafisz na wyznaczone miejsce? Że już nie wspomnę o samym spotkaniu?

- Pomożesz mi.
- Przed chwilą powiedziałam...
- Wiem, co powiedziałaś. Ale jeśli choćby przez chwilę się łudziłaś, że uwierzę, iż pozwolisz mi tam iść samemu... Dużo gadasz, Martho, ale na tym się kończy.

Zdenerwował ją.

- Wydaje ci się, że mnie znasz?! - wrzasnęła.
- Tak, tak mi się wydaje. I to nie tylko w znaczeniu biblijnym. Trzaśnięcie drzwi.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Oczywiście, że wolałby trzymać ją od tego z daleka. Ale była mu potrzebna. Ta świadomość bolała. Choć już nie tak bardzo jak na początku.

A teraz siedzi, jak zawsze, w ciemności i słucha ulicznego ruchu dokoła. Wybuchy śmiechu potwierdzały słowa Marthy; nie jest tu sam. Ktoś zawołał coś po hiszpańsku, ktoś inny przeszedł z magnetofonem - 50Cent wydierał się na całą ulicę. Serce Danny'ego biło mocniej przy każdym odgłosie.

- Co to było? - Podrapał się w nos, żeby przykryć dłonią usta.
- Nie wiem, jakiś dzieciak.
- Uprzedzaj mnie, kiedy ktoś się zbliża.
- Przepraszam. Gdybym wiedziała, że czeka mnie taka przyszłość, ukończyłabym jakieś specjalne kursy dla szpiegów.
- Bardzo zabawne.
- Jesteś pewien, że nie możemy po prostu pojechać do domu?
- Jesteś pewna, że nikt nas nie obserwuje? Umilkła na chwilę.
- Nie. Wszyscy wydają się podejrzani. Jak sam powiedziałeś, nie jesteśmy już w Kansas.

Otarł usta wierzchem dłoni i szczerzej otulił się płaszczem. Twarda powierzchnia ławki dodawała otuchy. Siedział spowity czernią. Naiwny baranek czekał bezsilnie, a lew się zbliżał. Zakradał się bezszelestnie, szczyrzył kły i wietrzył krew. Czy Roda kazał go obserwować? Oczekiwał ciosu z każdej strony. Poprawił nóż w rękawie. Zwinął go z kuchni. Nie na wiele się zda w starciu z bronią palną ale zawsze lepsze to niż nic.

Zamknął oczy i wsłuchiwał się w hałas. Usiłował oddzielić dźwięki ważne od nieistotnych. Nic z tego. Musnął opuszkami palców rękojeść noża. Żeby go użyć, musiałby się znaleźć bardzo blisko napastnika.

- Ktoś idzie - ostrzegła Martha niskim, spiętym głosem. - Po twojej lewej. Dwóch chłopaków, jeden ma koło szesnastu lat, drugi mniej. Idą prosto na ciebie.

Zesztywniał. Dwóch? O Boże!

- Ty jesteś Turq?

Gwałtownie odwrócił głowę w lewo, bo stamtąd dobiegał wysoki, dziecinny głos. Obliznął usta. Czekał, aż serce przestanie mu walić w piersi.

- Mały?

- Tak.

- Starszy stoi nieco dalej - szepnęła mu Martha do ucha. - Usiadł na ławce jakies cztery metry od ciebie. Dobrze cię widzi.

Danny czuł, że serce bije mu coraz szybciej. Chłopak miał przyjść sam, bez wsparcia. Bez broni. Co starszy robi z rękami? Trzyma je w kieszeni? Na spluwie? Danny oddałby wszystko, żeby go zobaczyć. Nie mógł nawet zapytać Marthy, boby ich zdradził.

Skinął głową w lewo. Oby trafił. Dzięki Bogu, że nie widać jego oczu. Nie chciał ciemnych okularów, wyglądałby jak Steve Wander. Ale lustrzane soczewki wydają się groźne i dlatego się na nie zdecydował.

- Z kim przyszedłeś? Dzieciak się zawahał.

- Miałeś być sam.

W głowie usłyszał słowa Marthy: „A jeśli to pułapka?”

- Brat nie pozwolił mi przyjść samemu. - W głosie Małego był wstyd. - Powiedziałem, że nie jestem nówką, ale...

Nówka, czyli debiutant w świecie gangów. Danny odetchnął, wypuścił rękojeść noża. Zresztą co niby miałby zrobić? Pchnąć dzieciaka?

- Spoko. Równy z niego gość. - Oby Mały nie kłamał.

- Nie rusza się. - To Martha. - Siedzi i obserwuje.

- Ale nie mów Ricky'emu - poprosił chłopak.

Danny po raz kolejny pożałował, że go nie widzi. Uliczny slang zdradzał jego pochodzenie, ale pod brawurą wychwycił nutę strachu. Dziecięcego strachu.

Pomyślał o Joshu. O tym, jak różni się życie tego chłopaka od życia jego siostrzeńca. Nie po raz pierwszy, odkąd utracił wzrok, ogarnęła go panika. Jakim sposobem ochroni Beth i jej dzieci przed brutalnym światem Małego?

- Jeśli zostanie tam, gdzie teraz, nie ma sprawy. - Poklepał ławkę. - Siadaj.

Mały ani drgnął.

- Co to? - zapytał podejrzliwie. Danny znieruchomiał. Wskazuje na coś?

- Co?

- No, ten drut. Co ty, pies? - W jego głosie pojawiło się zdenerwowanie.

- Wyluzuj, Mały. To telefon, nie widzisz? - Podniósł kabel, wyjął aparat z kieszeni na biodrze, nie wspomniał tylko, że jest w trakcie rozmowy. - Wolę mieć wolne ręce. Na wypadek gdybyś mi nie powiedział tego, co chcę usłyszeć - rzucił ostrzej. - Siadaj.

Szelest ubrania, chłopak trącił go nogą.

Patrzył przed siebie, twardo, niewzruszenie, obojętnie.

- Ricky mówi, że wiesz coś o T-Bonie.

- Może.

- Pękasz, Mały? Ricky'emu się to nie spodoba. - Od niechcenia strzelił kłykciami. - Mnie też nie.

Dzieciak się poruszył.

- Przerażasz go - szepnęła Martha w jego ucho. - Przestań. Nie zwrócił na nią uwagi. Mały mówił cicho:

- Nie żartuj. Ricky nie powiedział, że mogę kablować.

- Ależ owszem, powiedział, więc nie pogrywaj ze mną. Co wiesz o T-Bonie?

- To był taki burak, nie? - Jeszcze nie przeszedł mutacji. Danny oceniał go na dziesięć do trzynastu lat. Co oczywiście nie znaczy, że mógł się przy nim czuć bezpiecznie. - Ale się dogadywaliśmy.

Dzieciak machał nogą; Danny wyczuwał ruch. Czyli nie sięga nogami do ziemi. W myślach obniżył jego wiek. Na pewno nie trzynaście.

- Jak to?

- Fajne miał gadki.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał, ale wtedy przypomniał sobie, że Mały jest... No właśnie, mały.

- Jakie gadki?

- No, o świniach na farmie. O tym, jak chodził na ryby i pływał w rzece. Nudne jak cholera, ale fajne. Tu nie ma rzeki. Czasami w lecie rozwalamy hydrant i się bawimy, ale pod hydrantem nie ma kijanek.

Burak - tak nazywali dzieciaki ze wsi, z prowincji. Danny przypomniał sobie, że T-Bone przyjechał z Missisipi. Mimo pogardliwych słów, takie życie wydawało się Małemu egzotyczne. Josh pewnie zareagowałby podobnie. Przeszło go ukłucie żalu, tęsknoty za przekreśloną przyszłością.

- Dlaczego T-Bone oberwał?
- Słyszałem, jak mówił, że jeden biały chce opylić spluwę. Dwa-dwa.

Danny się skupił.

- Tak powiedział? Chodziło o dwudziestkędwójkę?
- No. Facio chciał zapłacić dwie stówki za zorganizowanie, a T-Bone liczył, że drugie tyle ściągnie z kupującego.

Jeśli Mały mówił prawdę, teoria, że T-Bone ukradkiem podprowadzał sterylne spluwy Rody, spaliła na panewce. Chłopcy z Sokanan nie znaleźli gnata, którego oferował T-Bone, ale dwudziestkadwójka to nie kaliber operacji specjalnych.

Założył ręce na piersi i podrapał się w brodę. Miał nadzieję, że wygląda, jakby intensywnie myślał.

- T-Bone dużo działał na ulicy?
- E tam. Mówiłem ci, to był burak. Świeżak. Chciał się sprawdzić. Świeżak, czyli jeszcze nikogo nie zabił.
- Widziałeś gościa, który chciał sprzedać gnata?
- Nie.
- A wahałeś go? Mały parsknął.
- Kurde, koleś, nie. A niby po co?

Danny szybko zmienił temat. Tylko psy postrzegają świat przez nos. Psy i on. I reszta ślepych.

- Wiesz, jak się nazywa? T-Bone coś mówił?
- Snake, Wąż. Tak o nim mówił.

Snake? Co to ma być? Uliczna ksywka, jak Turq? A może to opis? Może facet ma w sobie coś żmijowatego?

- Mówił, że dziwnie gada.
- Dziwnie? Czyli jak?
- No, jakby nie był stąd, jarzysz?

Danny zmarszczył brwi. Czyli mógł być zewsząd, od Bostonu po Bejrut.

- I tyle?
- No.

- Dobra, spadaj. - Szelest ubrań, dzieciak ześlizgiwał się z ławki. -I jeszcze jedno, Mały...

- No?
- Powiedz Ricky'emu, że się dobrze spisałeś.

Chłopak odszedł. Danny został na ławce, zgodnie z ustaleniami. Jeśli w pobliżu są ludzie Rody, nie chciał, żeby widzieli, jak gramoli się

nieporadnie. Tym samym Roda miał więcej czasu, żeby go załatwić, ale Danny musiał zaryzykować. Wsunął ręce w kieszenie i zacisnął dłoń na rękojeści noża.

- Odchodzą - szepnęła Martha. - Brat na ciebie patrzy. Kiwnij głową czy coś.

Danny odwrócił głowę w lewo i skinął.

- Dobrze - pochwaliła. - Odwrócili się. Odchodzą.

- Ktoś jeszcze mi się przygląda?

- Na razie nie.

Wyteżał słuch. Starał się wyczuć niewidzialne niebezpieczeństwo. Słyszał jedynie odgłosy ruchu ulicznego. A potem ktoś koło niego usiadł. W pierwszej chwili zeszywniał. Potem ją wyczuł.

- Droga wolna. Tak mi się wydaje. - Jej niski, głęboki głos już nie płynął ze słuchawki w ucho. Rozległ się z tego samego miejsca na ławce, które do niedawna zajmował Mały. - Możemy iść?

Wyjął słuchawkę z ucha, odczepił od telefonu i podał Marcie.

- A co? Spieszysz się?

- Nie wygłupiaj się. - Wstała i pociągnęła go za rękę. Ledwie się podniósł, ruszyła szybkim krokiem.

- Co tak prędko?

- Mówiłam ci, nie chcę tu być. Wydawała się znużona.

- Tu ogólnie czy na placyku? - W jego głowie rozdzwonił się alarm. - Coś cię przestraszyło?

- Nie... nic takiego. Po prostu chcę wrócić do mieszkania. Na pustym parkingu piją jacyś faceci. Gapią się na mnie. Nie podoba mi się to.

Coraz głośniejszy ruch uliczny. Ktoś zagwizdał.

- *Ese vato!* - usłyszeli. Byli na ulicy.

Szła coraz szybciej. Potknął się.

- Wolniej - wycedził przez zęby.

Zwolniła posłusznie, ale jej napięcie było wręcz namacalne.

- Nie widzę samochodu. - Nie udało im się namówić taksówkarza, żeby ich tu przywiózł; żaden nie chciał się zapuszczać tak daleko na północ. W końcu znaleźli łebka, który ich podrzucił i obiecał po nich wrócić.

- Jesteśmy w umówionym miejscu?

- Nie wiem. - Poruszała się niepewnie, jakby się rozglądała. - Chyba tak.

- Zadzwoń do niego i zapytaj, co się stało. Zrobiła to. Usłyszała, że już jedzie.

- Dobrze. Poczekamy. - Stał koło niej, nieporadny i niezdamy, bezużyteczny jak słup na pustyni.

Grupa chłopaków - nastolatków lub młodych mężczyzn - przeszła obok, gwizdząc i bucząc.

- *Ej, flaca* - zawołał jeden i cmoknął głośno. Martha zacisnęła dłoń na ramieniu Danny'ego.

- Może pojedziemy autobusem?

- Masz pojęcie, jak działa rozkład jazdy? Miejscowe, pospieszne, w co drugi wtorek po deszczu... Równie dobrze mogłabyś zacząć się uczyć fizyki jądrowej.

- A metro?

- A widzisz stację?

- Nie.

- Co oznacza, że musimy jej poszukać. A nie jestem w tym dobry.

- Może się gdzieś schowamy? Choćby w bramie?

Nie chciał się ruszać, to wymagało zbyt wiele wysiłku, ale Martha najwyraźniej czuła się równie nieswojo jak on.

- Dobra, ale jeszcze raz zadzwoń do kierowcy. Powiedz, gdzie jesteśmy. I dowiedz się, dlaczego się spóźnia, do cholery.

Pociągnęła go w lewo i znowu w lewo. Nagle otoczył go latynoski hip-hop. Zatrząbił klakson, zapiszczwały hamulce.

W budynku Martha zobaczyła grupę chłopaków, którzy niedawno ich mijali. Stali w kącie i mierzyli ją chłodnym wzrokiem, jak stado drapieżników obserwujące ofiarę. Odwróciła głowę. Czuła, jak mocno bije jej serce. Przywarła bliżej do Danny'ego. Wcale nie czuła się tu bardziej bezpieczna niż na zewnątrz. Zerknęła na drzwi. Gdzie samochód? Dlaczego go nie ma?

Wyczuła ruch po prawej. W ich kierunku szła dziwna istota, tak wychudła, że nie była pewna, czy to jeszcze człowiek. Cofnęła się.

- Co jest? - szepnął Danny. Chudzielec podszedł bliżej.

- *Ese*, masz kasę? - zajączał. Jego oczy lśniły niezdrowo.

- Nie - odparła zimno.

- Co jest, laska gada za ciebie?

- Spadaj, człowieku.

Grupka w kącie obserwowała ich ze znudzeniem. Szkielet spojrział na nich i wrócił wzrokiem do Marthy i Danny'ego. Potem podszedł bliżej i się uśmiechnął, pokazując zgniłe, brązowe zęby.

- *Ese*, a ja myślę, że masz kasę. Zaraz się przekonamy. - Bez ostrzeżenia skoczył i otoczył szyję Marthy ramieniem. Krzyknęła.

- Martho! - Danny odwrócił się błyskawicznie.

Szkielet zakrył jej usta dłonią, więc nie mogła odpowiedzieć.

- Dawaj kasę, bo pokaleczę dziewczynę!

- Martho!

Wiła się i wrywała. Nie wiadomo skąd, w dłoni Danny'ego pojawił się nóż. Przeciął powietrze, ale był daleko od napastnika. Grupa nastolatków zainteresowała się dziwną walką. Podeszli bliżej.

Szkielet śmiał się głośno.

- Co z tobą koleś? Tu jestem!

Jeden z chłopców podkradł się do Danny'ego i ściągnął mu okulary. O Boże!

Danny się zamachnął, ale złodziej uskoczył zwinnie.

Ze ściśniętym sercem uderzyła napastnika łokciem. Zdrowy mężczyzna poradziłby sobie od razu, ale nie szkielet. Puścił ją wyjąc jak ranny kot.

- Martho! Nic ci nie jest?

Chłopcy otaczali ich coraz ciasniejszym kręgiem. Nabrała głęboko tchu, wodziła wzrokiem po nieznanym twarzach.

- Danny! - Złapała go za rękę. Przyciągnął ją do siebie. Oboje drżeli. - Otacza nas grupa - powiedziała cicho.

Danny zaciskał dłoń na nożu tak mocno, że aż pobieły mu kłykcie. Zaszło jej w ustach, serce waliło jak opętane. Szukała uciezki. Bezskutecznie.

- Dotknijcie nas, a dowie się o tym Ricky Roda! — zawołała na całe gardło. Kilku chłopców się zatrzymało. - Jeśli włos spadnie nam z głowy, macie przesrane.

Jeden z nich uniósł dłoń. Wydawał się młody, nieważny; pod nosem dopiero sypnął mu się pierwszy wąs. Ale pozostali go usłuchali i powoli, od niechcienia - stanowczo zbyt powoli jak na gust Marthy - rozeszli się na boki.

- Ej, *chingero*. - Przywódca podszedł do kościotrupa, który ciągle jęczał w kącie. - Ten koleś jest ślepy.

- I co z tego?

- To, że jeśli chcesz działkę, poszukaj innego sponsora. - Kopnął go w tyłek.

- *Chingate* - syknął kościotrup.

- Też się odczep. *Con sofos*.

Przywódca odczekał, aż épun wyjdzie. Dopiero wtedy spojrział na Marthę i Danny'ego.

- Wy dwoje, nieważne, znajomi Ricky'ego czy nie, nie chcemy was tutaj. Martha zacisnęła usta.

- Ślepych?

- Białych.-Wskazał głową drzwi.

Martha wzięła Danny'ego pod rękę i wyszli z całą godnością, na jaką było ich stać.

- Skrzywdzili cię? - zapytał, ledwie znaleźli się na dworze. - Bo jeśli tak, to...

- Nie! - Bo co im zrobi? - Nie, nic... - Przełknęła ślinę, pełna obaw, że tłumiony strach wybuchnie potokiem łez. - Nic mi nie jest.

Danny potykał się, zawadzał, każdy krok był stąpieniem w czarną niewiadomą.

Okazał się bezużyteczny. Zupełnie do niczego.

Podjechał samochód. Wrócili do mieszkania. Danny ciężko oparł się o drzwi.

Zginie przez niego. Jeśli przedtem nie chciał tego przyjąć do wiadomości, teraz miał dowód, że to możliwe.

Szelest ubrań. Czyżby zdejmowała płaszcz? Krzesło zatrzeszczało pod jej ciężarem.

Poszedł do kuchni, odłożył nóż do szuflady - z brzękiem uderzył o widelce i łyżki i ponownie stał się niegroźnym sztućcem. Przez dłuższą chwilę otaczała go jedynie cisza. A potem doszedł go stłumiony szloch, westchnienie, jakby przełykała łzy, i szybkie kroki.

Poszedł za nią do sypialni. Leżała na łóżku, zakrywała usta poduszką żeby nie słyszał, jak płacze.

Delikatnie zabrał jej poduszkę, przytulił ją. Drżała w jego ramionach, szlochała i na nowo przeżywała koszmar.

Uspokajał ją tulił, zapewniał, że już jest bezpieczna. Ale w uszach ciągle miał jej krzyk. I świadomość, że jedyne, na co go stać, to bezsensownie przecinać nożem powietrze.

Powoli szloch przeszedł w czkawkę.

- Przepraszam.-Załkała.

- Nie trzeba. - Położył jej palec na ustach. Poczul, jak drży.

- O Boże - szepnęła i znowu się rozplakała.

Ten odgłos łamał mu serce. Pocałował ją żeby przestała. Miała miękkie, ciepłe usta.

- Już dobrze - powiedział i znowu ją pocałował.

I nagle odwzajemniła pieszczotę i z pocieszenia zrodziło się coś innego, ogień i siła. I poczucie bezpieczeństwa. Mieć ją przy sobie, nie myśleć o niczym, tylko czuć jej skórę. Wiedzieć, że chociaż to może jej dać.

Martha chciała poczuć przy sobie jego silne ciało. Szarpnęła za koszulę. Błądziła dłońmi po jego klatce piersiowej; czuła, jak ciężko oddycha, jak zamyka jej usta pocałunkiem. Taki ciepły, żywy.

Przed oczyma stawały jej różne obrazy - park i graffiti na chodniku, kościotrup z nożem, jego dłoń na jej ustach, drapieżny wzrok chłopców. I Danny. Taki silny i taki bezbronny zarazem. Zamknęła oczy, przyciągnęła go do siebie, jakby jego bliskość mogła odegnać strach.

- Potrzebuję cię, Danny. - Dyszała ciężko, nawet teraz przerażona, że coś go jej odbierze. - Potrzebuję cię.

Pociągnęła go na łóżko. Niezdarne dłonie walczyły z ubraniem -najpierw jego, potem jej - spragnione poczucia, że nieważne, co było, teraz są tutaj, razem, żyją.

Odnalazł ustami jej pierś. Musnął językiem sutek. Jęknęła. Nie myślała już o niczym, oszołomiona rozkoszą.

Oddychała ciężko, gdy w nią wchodził, obejmował ją i całował. Był jej tarczą chronił ją. Jedno słowo niesło się echem w jej głowie w rytm jego ruchów. Żyją. Żyją. Żyją.

- Obejmij mnie nogami - szepnęła ochryple.

Usłuchała. Wsunął dłonie pod jej pośladki, uniósł ją wyżej. I nagle był w niej tak głęboko, że dotykał jej duszy, jej serca.

Nigdy wcześniej nie zaznała niczego podobnego. Ekstaza narastała gorącą spiralą. Przy każdym jego ruchu jęczała, doznając rozkoszy tak silnej, że bała się, że oszaleje. I szalała - nie myślała, tylko czuła. Liczył się tylko on i jego ciało. I płomień.

Była w ogniu. Chciała, żeby to trwało. Pragnęła zostać tam na zawsze, ale poruszał się w niej i nagle to się stało.

Szybowała nad urwiskiem, jęczała z rozkoszy, drżała. Gdzieś daleko ktoś krzyknął i zrozumiała, że Danny podążył za nią.

Kiedy dreszcze ustały, powróciły łzy. Nie wiedziała już, czy płacze ze strachu czy rozkoszy, czy może wdzięczna za życie. Ale cieszyła się, że Danny tego nie widzi.

Przyciągnął ją do siebie. Milczał. Co miałby powiedzieć? Żyją. To się liczy.

I wtedy przypomniała sobie coś, czego nie zdążyła mu powiedzieć. Zmar-
twiała, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Co? - szepnęła cicho. Cały czas ją tulił. Nie chciała psuć tej chwili.

- Nic takiego - odparła.

Danny objął ją mocniej. Jej skóra była gładka jak marmur i tak ją sobie
wyobrażał - jasną rozświetloną wewnętrznym światłem. Czyżby żałowała? Bo
jeśli chodzi o niego, w życiu nie było mu tak dobrze.

Dlaczego nie może spojrzeć jej w oczy?

- Coś się stało.

- Nie, nie. Naprawdę, wszystko jest... Cudownie.

Cudownie? Jasne, jeśli nie liczyć tego, że zaatakowano ją tuż pod jego no-
sem, a on stał bezradnie i ciął nożem powietrze.

- Tylko że... - Zawahała się. - No wiesz...

- Wiem, nikt nigdy jeszcze cię nie napadł, jasne - dokończył ostro. - Odkąd
mnie poznałaś, twoje życie stało się bardzo ciekawe.

- Nie o to chodzi. - Przełknęła ślinę. Spiał się cały. Nadchodzą złe wieści. -
Muszę ci coś powiedzieć. Nie chciałam tego robić tam, w parku. To dlatego na-
legałam, żeby szybko wracać do domu. I... Nie chcę ci mówić teraz, nie po...

- Zabijesz mnie. O co chodzi?

- O Anitę, twoją przyjaciółkę z wydziału. Zmarszczył brwi. Akurat tego
imienia się nie spodziewał.

- Co z nią?

- Udawałam, że czytam gazetę, tam, na ławce. Tak jak mi kazałeś. Spojrza-
łam na dział lokalny. Ona nie żyje, Danny. Anita nie żyje.

Rozdział 15

Hank Bonner podjechał do małego domku, w którym Anita Bradley
mieszkała z siostrą Beą. Razem wychowywały Jessicę, córeczkę Anity. Wszyscy
znali Beę z wydziałowych pikników - równie wysoka i ładna jak siostra, ale
bardziej miękka, kobieca. Hank pamiętał też siedmioletnią Jessicę. Zawsze ba-
wiła się w tej samej grupie dzieci, co jego siostrzenica, Amanda. Kiedy ostatnio
ją widział - na pikniku z okazji Czwartego Lipca - dumnie prezentowała
wszystkim dziurę po mlecznym ząbku.

Westchnął, wysiadając z samochodu. Śmierć Anity będzie dla nich wielkim ciosem. Poczul znajomy ból. On także tego doświadczył. Gdyby nie żona, Alex, pewnie nadal nie doszedłby do siebie.

Szedł powoli. Robiło mu się niedobrze na samą myśl o tym, co ma zrobić. Będzie wypytywał Beę o tajemnice siostry. Oboje będą przy tym cierpieć, ale nie ma wyjścia, ktoś to musi zrobić. Strzelano do policjanta. Nie spoczną póki tego nie wyjaśnią. Poczekał do wieczora, kiedy Jessica będzie już spać. Niełatwo było się skontaktować z siostrą Anity. Pracowała w szkole na pół etatu, ale od początku tygodnia była na zwolnieniu. Nie odbierała telefonu w domu, a nie miała komórki.

Przygotowany, że zaraz dopadnie go rozpacz, która zawsze czaiła się na peryferiach tej pracy, podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Jego uwagę zwróciły ciemne okna. Dom wydawał się groźny, złowrogi. Odczekał chwilę i zapukał. Ciągle nic.

Zaniepokoił się. Czyżby Bei i Jessicę też coś się stało? Boże! Tylko nie to! Obszedł dom dokoła, ale niczego nie widział, okna były zasłonięte.

Anita zginęła wczoraj. Czy jej siostra leży w domu, martwa albo ranna? Z mocno bijącym sercem zdjął kurtkę, owinał nią rękę i wybił szybkę w tylnych drzwiach. Dwie sekundy i otworzył zamek. Kolejne dwie i był w środku.

Dom był ciemny i pusty.

- Bea! - Nic. Krzyknął jeszcze raz. Żadnego odzewu. Denerwował się coraz bardziej. Zapalił światło - łokciem, żeby

nie zostawić odcisków. Był w kuchni, lodówka pełna. W zlewku leżały dzbanek po kawie i miska po płatkach, chyba od dłuższego czasu. Od wczorajszego ranka, odkąd Anita wyszła do pracy? Obszedł cały dom i sprawdził wszystkie szaty. Pełne.

Rozejrzał się po saloniku. Szukał jakiegokolwiek wskazówki, która zdradziłaby, co się stało. Wszystko wyglądało normalnie, ani śladu bójki.

Wyszedł i ruszył do sąsiedniego domu - zapalone światła sugerowały, że lokatorzy są w domu. Otworzyła mu starsza pani; siwe włosy, brązowa skóra, złote kolczyki w obwisłych uszach. Miała na sobie długą luźną sukienkę w kwiaty i żółty fartuch.

Spojrzała na niego ciekawie.

- Słucham pana? Błysnął odznaką.

- Przepraszam, że nachodzę, pani...

- Newman - podsunęła. - Paulette Newman.

- Detektyw Hank Bonner - przedstawił się. - Z policji w Sokanan. Usiłuję się skontaktować z Beą Bradley.

Zmarszczyła nos.

- Chodzi o jej siostrę? Widziałam w gazecie, że ją zabili. To straszne. W dzisiejszych czasach dzieją się takie rzeczy...

Nie miał czasu na towarzyskie pogaduszki.

- Tak, proszę pani. Czy ostatnio widziała pani Beę? Cmoknęła i pokręciła głową, jakby w ogóle nie słyszała pytania.

- I do tego akurat teraz Bea i Jessica wyjechały....

- Wyjechały? - powtórzył czujnie. Skinęła głową. Wytarła ręce w fartuch.

- No, tak. Jakiś tydzień temu.

Uniósł brew. Anita nie wspominała, że jej siostra się gdzieś wybiera. I to z Jessicą.

- Wyjechały? A może się wyprowadziły?

- Wyjechały. Zabrały mnóstwo walizek i wyjechały w środku nocy. Źle sypiam i mnie obudziły.

- Dziwne.

- Też tak myślałam, ale Anita mówiła, że chciały uniknąć korków. Pojechały na Florydę. Na urlop.

Urlop? W październiku? Zrobiło mu się zimno, ale uśmiechnął się zachęcająco, żeby starszuszka nie przerywała.

- Pewnie im teraz ciepło. Mój siostrzeniec dałby się posiekać, żeby pojechać na Florydę. No, ale chodzi do szkoły. Dziwne, że pojechały ot tak, w środku roku szkolnego - powiedział.

Paulette Newman wzruszyła ramionami.

- Tak. Wtedy o tym nie pomyślałam. Kiedy własne dzieci już nie chodzą do szkoły, to się zapomina o takich sprawach. A niektórzy nie doceniają edukacji. - Zachnęła się dla podkreślenia tych słów. - Coś jeszcze? Kolacja stygnie, a mąż nie lubi zimnego jedzenia.

Hank wręczył jej wizytówkę.

- Proszę się odezwać, gdyby się pani dowiedziała, dokąd pojechały. Chcemy służyć im wsparciem w trudnych chwilach.

- Z wielką chęcią. To straszne. - Znowu cmoknęła. - Straszne. - Wsunęła wizytówkę do fartucha i zamknęła drzwi.

Hank postawił kołnierz kurtki. „Straszne” to właściwe słowo. Ogarnęły go złe przeczucia.

Anita nie żyje. Jej siostra zniknęła. Trudno to nazwać zbiegiem okoliczności.

Danny przygotował kolację. Do jego repertuaru kulinarnego doszedł bekon. Szkoda, że nie może się odżywiać wyłącznie jajkami. Jutro trzeba będzie pójść na zakupy i nauczyć się czegoś nowego.

Jutro.

Cały czas rozmyślał o dzisiejszym dniu. O tym, jak Martha krzyczała przerażona, a on walczył z powietrzem.

Obliznął usta, uspokoił się. Za bardzo się do niej przywiązał. Zdecydowanie za bardzo. I wybrał najgorszy możliwy moment, teraz, kiedy gównem widzi. Jego przyszłość, całe jego życie stoi pod wielkim znakiem zapytania. To nie czas na związki.

Niepotrzebnie jej dotykał. Niepotrzebnie się w ogóle do niej zbliżał.

Za późno, stary.

Przypomniało mu się, jak się przed chwilą kochali. Na samo wspomnienie ogarnął go płomień. Zwalczył go. Wiedział, o co chodziło -o zapomnienie. Owszem, to był zapierający dech w piersiach seks, ale u jego podstaw leżała rozpaczliwa chęć zapomnienia o strachu.

Tylko że tego nie sposób zapomnieć. I dobrze. Był bezbronny. Nie mógł jej chronić. Dostał nauczkę.

Martha sprzątała po kolacji, a on znalazł Pana Eda. Chciał zająć myśli czym innym. Po głowie chodziło mu mnóstwo pytań. Na przykład o Anitę Badley.

Artykuł, który czytała Martha, powiedział im niewiele. Wspominano tylko, że dwóch kajakarzy znalazło ciało na płyciznie, niedaleko Sokanan. Ktoś ją zastrzelił. Policja szukała motywu.

Czy śmierć Anity wiąże się z polowaniem na niego? Może wszyscy w wydziale są zagrożeni.

A informacje od Małego... Dokąd go zaprowadzą?

Postawił skrzynkę z komputerem na blacie, uniósł wieko. W ciemności eksplodowała światłość i nagle znowu widział.

Tym razem zobaczył matkę. Stała w progu ich kuchni na Brower. Miała na sobie białopomarańczowy strój kelnerki z restauracji z naleśnikami. Widział ją tak wyraźnie, że odczytał nawet napis na identyfikatorze: „Barbra”. Jak Streisand.

Ręce zaczęły mu drżeć.

Cześć, mamó.

Nie odzywała się. Stała tylko zmęczona, znajoma, w wygodnych białych butach, które zawsze wkładała do restauracji. Nieruchoma, jak pocztówka z przeszłości.

A jednak miał wrażenie, że na niego patrzy. Surowo. Chce mu coś powiedzieć?

Zdawał sobie sprawę, że to złudzenie. Tylko figiel mózgu. A jednak chłonał ją wzrokiem i oczy zaszyły mu łzami. Bał się poruszyć, odezwać. Siedział nieruchomo. Zaciskał dłoń na czymś, co wbijało mu się w skórę.

I wtedy, jak poranna mgła, zniknęła. Powrócił mrok.

Przypomniawszy sobie, gdzie jest. I co robi. Zaciskał dłoń na pokrywie laptopa.

Cofnął ją.

- Co robisz? - Usłyszał głos Marthy od zlewu.

Odchrząknął, nie wiedząc, czy gardło nie odmówi mu posłuszeństwa.

- Chciałem sprawdzić, czy Jake się odezwał.

Ukradkiem wytarł łzy i odepchnął wspomnienie matki. Ale nie chciała odejść. Trwała na krańcach świadomości, gdy uruchamiał komputer. Czy ta wiza to coś więcej niż krótkie spięcie synaps?

A może to wiadomość? Znak, że ma się trzymać z dala do Marthy, bo jeśli nie, będzie równie przygnębiona i załamana jak jego matka?

Nie chciał o tym myśleć. Skupił się na zadaniu. Przed kolacją przez kilka godzin ćwiczył posługiwanie się komputerem i teraz włączył go w miarę sprawnie. Wszedł nawet do Internetu, choć to jeszcze przysparzało mu trudności.

Założył słuchawki i usłyszał dźwięk oznaczający nową wiadomość.

Trochę trwało, zanim wybrał właściwą kombinację klawiszy - dłonie ciągle mu drżały. W końcu mu się udało i usłyszał w słuchawkach:

„Do: sinbad Od: jmanl

Temat: starzy znajomi

Wiadomość: trzy możliwości. Fotki w załączniku".

W załączniku? Nie miał pojęcia, jak go otworzyć. Co nacisnąć? A może kliknąć coś na monitorze? Co? Gdzie? Wolałby nie angażować Marthy. Chciał od niej odpocząć, od jej zapachu i marzeń, żeby kochać się z nią gdziekolwiek; na kanapie, na podłodze. Ale nie miał wyboru.

- Martho! - Zaklął i ściągnął słuchawki.

- Co się dzieje? Jestem tutaj. - Znowu odezwała się z okolic zlewu. Woda ucichła. Podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach. Pochyliła się i jej włosy, pachnące brzoskwinia, muskały go po policzku. Zdusił jęk.

- O Boże, znalazł go? - Najwyraźniej przeczytała wiadomość od Jake'a.
- Albo ludzi z tą samą spluwą. Nie wiem jeszcze, jak otworzyć załącznik.
Położyła dłonie na klawiaturze tak, że czuł, co robi. Jej ręce były ciepłe i gładkie od gorącej wody. Miał ochotę unieść je do ust. Zamiast tego zabrał dłonie.

- Co się dzieje? Widzisz zdjęcia?
- Pierwsze. Nie znam go. I drugie. - Chwila ciszy, gdy ładowała się druga fotografia. - To też nie on. - Jęknęła.

A zatem do trzech razy sztuka.

- To on. O Boże! Danny, to on!

- Dobrze, uspokój się. Zobaczmy, kto to.

W denerwująco wolnym tempie wystukał wiadomość do Jake'a. Pan Ed literował: „Do: jmanl

Od: sinbad

Temat: starzy znajomi

Wiadomość: co się kryje za bramką numer 3?" Jake był chyba w sieci, bo odpowiedź przyszła w ciągu kilku minut:

„Do: sinbad

Od: jmanl

Temat: starzy znajomi

Wiadomość: Savo Kokir. Były serbski wojskowy. Niegrzeczny chłopak. Trzymaj się. Zadzwoń".

Martha złapała go za ramiona. Nie powiedzieli ani słowa, ale ścisnęła go tak mocno, że doskonale wiedział, co czuła.

- Znasz go? - odezwała się w końcu.

- Nie. Ale Serbia pasuje. Broń pochodzi z Bałkanów.

- A słyszałeś o nim?

- Nie.

- Więc dlaczego...

- Nie wiem.

- Może się chociaż domyślasz?

Pokręcił głową. Ciemność zdawała się jeszcze mroczniejsza niż zwykle.

- Nawet nie pytaj.

Apple House, dom na rodzinnej farmie Hanka Bonnera, pogrążył się w chaosie po kolacji. Siostrzeńcy, czternastoletni Trey i jedenastoletnia Mandy, szykowali do szkoły zadania związane z nadchodzącymi wyborami. Wszędzie poniewierały się ich plakaty, tablice, flamastry, gazety i długopisy. Synek - w pielusze i śliniaku - wspiął się na krzesło i z całej siły walił w siedzenie, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Będziesz głosował na gubernatora Henleya? - zapytała Mandy.

- Jeszcze się nie zdecydowałem. - Hank wyjął jej spod łokcia brudną serwetkę i widelec.

- Pan Bell mówi, że Henley przegra - poinformował Trey w zadumie, przeglądając „Slam”, magazyn koszykarski.

- Przykro mi to mówić, bracie, ale pan Bell nie jest jasnowidzem. - Hank zabrał chłopcu czasopismo. - A tu niczego nie znajdziesz na temat wyborów.

- Polityka jest do bani - stwierdził Trey. - Dlaczego nie mogę się zająć czymś ciekawym?

- Bo chodzisz do szkoły. Szkoła z zasady jest nudna.

- Mnie się podoba - stwierdziła Mandy. Trey przewrócił oczami.

- Dobrze. Już dobrze, Johnnie. - Alex, żona Hanka, podniosła dziewięciomiesięcznego brzdąca z podłogi i posadziła na dzieciennym foteliku, zanim dostał histerii, że nie siedzi razem z kuzynami. Wzięła ze stołu kredkę i kartkę i położyła przed malcem.

- Narysuj nam coś. - Pogłaskała go po jasnych włoskach.

- Albo napisz - wtrąciła się Mandy i pokazała mu, jak rozłożyć kartkę.

Dzieciak się uśmiechnął i zaślinił.

Hank schował dzbanek soku jabłkowego do lodówki.

- Lepiej naucz go posługiwać się serwetką. Tego mu trzeba.

- Po prostu ząbkuje - oznajmiła Alex.

- Jest obrzydliwy - mruknął Trey.

- To niemowlę! - Mandy się oburzyła. Zadzwoił telefon. Trey się pode-rwał.

- Ja odbiorę.

Hank i Alex wymienili znaczące spojrzenia. Ostatnio do Treya ciągle ktoś dzwonił. Najczęściej niejaka Brittany.

Ale tym razem Trey się spóźnił. Z saloniku dobiegł okrzyk:

- Do ciebie, Hank!

- Dzięki, mamó.

Trey wrócił do stołu, pochylił się smętnie nad gazetą i w zadumie bawił się długopisem. Hank się uśmiechnął. Podniósł słuchawkę.

- Halo?
- Hank?
- Tak, Hank Bonner.
- Tu Danny Sinofsky.

Hankowi zakręciło się w głowie. Jak wszyscy w wydziale wiedział o schrzanej robocie na farmie i o tym, że Danny zniknął.

- Poczekaj, przejdę do innego pokoju. - Odłożył staroświecką słuchawkę na sznurze obok aparatu. - Trey. - Chłopiec czujnie podniósł głowę. - Odłóż słuchawkę na widełki, kiedy ci powiem.

Trey skinął głową. Nie zadawał żadnych pytań.

Hank poszedł do sypialni, powiększonej i odnowionej po ślubie z Alex. W niczym nie przypominała pokoiku, w którym mieszkał jako dziecko. Podniósł słuchawkę, zawołał do Treya, żeby odłożył, i poczekał, aż usłyszy szcęk widełek.

- Gdzie jesteś, Sin?
- Jeszcze nie powiem. Nie chciałem zawracać ci głowy w domu, ale pomyślałem, że z chaty mnie nie namierzysz.

Jest ostrożny.

- Dobra. Jesteś bezpieczny? A co z kobietą? Wszystko w porządku? - Nie wspomniał o ślepocie. Nie wiedział nawet, jak to zrobić.

- Na razie tak. Ale nie powiedziałbym, że wszystko w porządku.
- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Zajmujesz się Anitą?
- Tak.
- Jest coś, co możesz mi powiedzieć?

Hank się zawahał. Nie wiedział, gdzie jest Sin ani z kim, wołał zachować ostrożność.

- Niewiele.
- Daj spokój, Hank. Daruj sobie formalne bzdury. Co macie? Westchnął.
- Nic, Sin. Naprawdę.
- Żadnego związku ze strzelaniną w magazynie?
- A co? Myślisz, że jest?
- To trochę dziwne, że zaatakowano dwoje policjantów z tego samego wydziału.

- Podejrzewasz, że ktoś chce nas rozwalić? Dlaczego? Naciskałeś kogoś za bardzo?

- Nie bardziej niż zwykle. - Umilkł na chwilę. - Słuchaj, mam coś w sprawie strzelaniny w magazynie. Nie wiem, na ile się to przyda, i wołałbym, żebyś

na razie zachował to dla siebie. Potraktuj to jako gest dobrej woli, żebyś nie myślał, że cię wrabiam, kiedy mi coś powiesz.

- Wal.

- Martha Crowe, ten świadek, który był u mnie w domu podczas napadu, rozpoznała faceta. Savo Kokir. Słyszałeś o nim?

Ze względu na rosyjskie korzenie żony i jej powiązania z handlem zagranicznym w ciągu ostatnich lat Hankowi obilo się o uszy wiele obcych nazwisk.

- Nie. Rosjanin?

- Serb. Były wojskowy. Hank zagwizdał cicho.

- Co tu robi?

- Usiłujemy się tego dowiedzieć.

- Mafia?

~ Możliwe.

- Narkotyki czy broń?

- Obstawiałbym broń. Zostawił po sobie ciekawą pamiątkę. Hank skinął głową. Przypomniawszy sobie nieoznakowany pistolet.

- Dobra, zobaczę, co wypłynie. Wiesz, nad czym pracowała Anita?

- Z tego, co mi wiadomo, nad tym samym, co my wszyscy. Ale Parnell będzie wiedział więcej.

- Dzięki, Sin.

- Jeszcze jedno, Hank. Na pewno nie chcesz mi niczego powiedzieć? Hank się uśmiechnął. Danny Sinfosky był świetny, pracując pod

przykrywką A to oznaczało, że miał szósty zmysł, wyczuwał ludzi. Nie wiele się przed nim mogło ukryć. Postanowił, że powie mu wszystko. Niech to będzie gest dobrej woli, tak jak powiedział Sin.

- Strzał w głowę. Egzekucja.

- Jezu! - Wściekłość i rozpacz w jednym słowie.

- Jej córka i siostra zginęły. Teraz Sin umilkł.

- Jak to „zginęły”? Nie żyją?

- Nie wiem. Być może. Ale sąsiadka widziała, jak odjeżdżają Szukamy samochodu.

- No dobra. Dzięki. Daj znać, jeśli możesz. Ja też się odezwę. Zapisz mój e-mail.

Hank nabazgrał adres na kartce, wpatrzony w zdjęcie Alex wśród kwitnących jabłoni. Przypomniało mu się, jak się poznali. Jak śmierć rosyjskiego emigranta okazała się wierzchołkiem góry lodowej.

A teraz kolejna sprawa, w którą zaplątani są cudzoziemcy. Dlaczego były serbski żołnierz atakuje policjantów z Sokanan?

Wyszedł z sypialni i udał się do kuchni. Dziecięce głosy zagłuszały monotonne stukanie zmywarki i śmiech z serialu, który oglądała jego matka.

Dom, pełen codziennych odgłosów, sprawiał, że wypełniły go ciepło i miłość. Szkoda, że reszta jego życia nie jest tak poukładana. Dlaczego nie trafi mu się miłe, spokojne włamanie?

Rozdział 16

Danny spędził bezsenłą noc w saloniku - był zbyt poruszony, żeby spędzić ten czas z Martha. Czuł się rozdarty. Z jednej strony chciał się z nią w łóżku kochać, przytulić się do smukłego ciała. Mówiła o sobie, że wygląda jak czarownica, ale nawet jeśli tak było, uprawiała białą magię. Przy niej czuł się sobą. Wnosiła światło w jego mrok. W jej towarzystwie zapominał, choć na chwilę, że nie widzi.

Ale jest ślepy. W dodatku ktoś chce jego śmierci. I po drodze zabije również Marthę.

Inna część jego umysłu podpowiadała, że nawet jeśli przeżyje, ma jej niewiele do zaoferowania. Jego kariera legła w gruzach. Nie wyobrażał sobie, jaką pracę może wykonywać jako niewidomy. Przecież nie umie nawet dotrzeć tam, gdzie chce o własnych siłach. A co dopiero znaleźć kogoś, kto go zatrudni. Zrobiło mu się niedobrze. Nie może brać na siebie pragnień innych. Za bardzo sam potrzebuje pomocy.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Może Marcie właśnie o to chodziło. Może chciała, żeby jej potrzebował. Może jej na tym zależy. Niezła kabała.

Telefon wyrwał go z zadumy. Odnalazł go, usłyszał statyczny szum i głos Jake'a z oddali:

- Jesteś tam, Sin? Usiadł, od razu czujny.
- Tak. Co masz?
- Savo Kokir ma teczkę grubszą niż książka telefoniczna. Zamachy bombowe, płatne zabójstwa, sabotaż, wymuszenia, porwania.

Danny'emu zakręciło się w głowie. Czego ten facet chce do niego?

- Jak działa?

- Zaczniemy od tego, że to zatwardziały serbski nacjonalista, który jeszcze nie porzucił marzeń o Wielkiej Serbii. Finansuje swoje operacje na Bałkanach za pomocą różnych działań terrorystycznych. Maczał palce w akcjach w Kongu, Ugandzie, Sudanie, Libanie, na Bałkanach i w środkowej Azji. I jeszcze jedno. Ma fioła na punkcie fitness, stąd ten zapach.

- Co tu robi?

- Właśnie to nas interesuje. Nie miał żadnych związków ze Stanami. Do tej pory.

Serce Danny'ego zabiło szybciej.

- Jakież teorie?

- Jeśli chodzi o akcję terrorystyczną mamy mnóstwo potencjalnych obiektów. Najbliżej ciebie jest nowa siedziba Renaissance Oil, po pierwsze. Dalej, trzy czy cztery mosty. A jeśli już naprawdę lubisz się bać, mamy Indian Point. Coś ci świta?

Danny przecząco pokręcił głową zbity z tropu.

- Nigdy nie byłem na terenie Renaissance Oil, działam po drugiej stronie miasta. Mosty to działka policji krajowej, a Indian Point to wasz problem.

Jake westchnął.

- No właśnie, w tym rzecz. Trzeba wpasować cię w to wszystko. Danny się zawahał. Sam nie wierzył, że naprawdę to mówi.

- No dobra. Mamy faceta od mokrej roboty i sterylnej broń. Co nam to daje? Jakież możliwe ofiary zamachu?

Jake milczał, rozważał nową teorię.

- Spotykałeś się ostatnio z grubymi rybami? To głupie i naciągane, ale...

- Raz się widziałem z burmistrzem. No i oczywiście z szefem policji.

- Niby dlaczego mieliby paść ofiarą zamachu?

- Świrowi nie trzeba powodu. Z drugiej strony, mówimy o Soka-nan, a nie o Nowym Jorku, Chicago czy Los Angeles.

- To musiałby być świr z szerokimi koneksjami międzynarodowymi.

- O to akurat nietrudno. Mamy Renaissance Oil.

- Dobra, pogadam z ich ludźmi od bezpieczeństwa. I z ekipą gubernatora.

Poznałeś go?

Danny zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie.

- Zbliżają się wybory, więc gubernator jest prawdopodobnym celem. Zawiadomię, kogo trzeba. Upewnię się, że Henley i pozostali mają właściwą ochronę.

Danny wrócił do tematu znacznie bliżej domu.

- Wiesz, może zabieramy się do tego od złej strony. Może chodziło o T-Bone'a, nie o mnie.

- Więc Roda skopał sprawę?

- Możliwe, nie grzeszy inteligencją. Może Eddie Clarence zatrudnił Kokira, żeby sprzątnął T-Bone'a, a ja byłem w nieodpowiednim czasie i miejscu.

To przynajmniej brzmiało prawdopodobnie. Tylko że tylko Kokir mógł to potwierdzić lub obalić.

- Wiadomo, gdzie teraz jest?

- Nie. Ale już sprawdzamy. Facet wszystkim działa na nerwy. Chcą go jak najszybciej mieć pod kluczem.

Danny masował kark. Męczyło go szukanie po omacku, w przenośni i dosłownie.

- Mamy kolejną ofiarę. Policjantkę.

- Jak to?

- Anita Bradley, z mojego wydziału. Znaleźli ją wczoraj. Strzał w głowę. Jake się zawahał.

- Egzekucja?

- Na to wygląda - mruknął Danny grobowo. - Jej siostra i córka zaginęły. Cisza. Jake chłonał nowe informacje.

- Myślisz, że to się jakoś wiąże?

- Kto wie?

- Jeśli tak, to Kokir nadal jest w Sokanan. W twojej dziurze chyba nietrudno znaleźć kolesia mówiącego z obcym akcentem.

- Uważaj na słowa, mówisz o moim rodzinnym mieście. A dla twojej informacji, mądrało, odkąd działa u nas Renaissance Oil, Sokanan to międzynarodowa metropolia. Rosjanie ściągnęli mnóstwo cudzoziemców. Teraz obcy akcent to u nas chleb powszedni.

- Więc trzeba go jakoś wykurzyć.

Danny od razu wiedział, co Jake ma na myśli. Serce zabiło mu mocniej. Pomyślał o Beth i dzieciakach, i o tym, co musiał im zapewnić. O Marcie i wszystkim, na co zasługiwała. I o sobie, niewidomym policjancie, który nie jest w stanie opiekować się siostrą ani dziewczyną.

Ale to może zrobić. Nawet ślepiec może to zrobić.

- Ej, stary! - Jake przerwał jego rozmyślenia. - Co jest? O czym myślisz?

Danny wpatrywał się w nieprzeniknioną ciemność i nie widział nic. - Myśle, że na szczura potrzeba przynęty.

Martha powoli otrząsała się ze snu. Ktoś ją woła? Jęknęła cicho i poruszyła się w kokonie ciemności. Poczła ciężar na ramieniu. Dłoń. Danny.

Poderwała się natychmiast przerażona, że coś się stało.

- Co jest?

- Spokojnie. Wszystko w porządku.

W pokoju panował nieprzenikniony mrok, ale jego głos uspokajał. Odechnęła głęboko, opadła na poduszki.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam, nie chciałem. Po ciemku szukała jego dłoni.

- Idziesz do łóżka?

- Nie.

Może to już ranek. Zerknęła na fluorescencyjne wskazówki zegarka. Wpół do trzeciej.

- Spałeś?

- Nie.

Przesunęła się trochę.

- Połóż się. Może zaśniesz.

- Nie mogę.

- Możesz. - Dotknęła jego uda. - Pomogę ci. Powstrzymał ją przykrył jej dłoń swoją.

- Odchodzę.

Sennie głaskała jego dłoń. Nic z tego nie rozumiała.

- Zostań. - Ziewnęła. - Połóż się. Porozmawiamy.

- Wracam do Sokanan. Uśmiechnęła się.

- Bardzo zabawne.

- Nie żartuję. Właśnie jedzie po mnie samochód z kierowcą. Zaraz tu będzie.

Jej uśmiech zbladł. Poczła zimny dreszcz na plecach. Usiadła, zapaliła boczną lampkę. Danny był smutny, w oczach nie lśniła nawet najmniejsza iskierka.

- Mówisz poważnie,

- Będziesz tu bezpieczna. Dzwoniłem do twojego ojca, przyjedzie do ciebie. - Wstał. Złapała go za rękę.

- Chwileczkę. - Zerwała się z łóżka i objęła się ramionami na chłodnym powietrzu. - Wracasz do Sokanan? Dlaczego?

- Savo Kokir tam jest. Zamrugła szybko, zbita z tropu.

- Tym bardziej powinieneś zostać tutaj.

- Nie, jeśli chcemy go złapać.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Co on opowiada?

- Nie rozumiem. Jakim cudem chcesz... - I nagle wszystko stało się jasne. - O Boże. Będziesz przynęta, liczysz, że facet wyjdzie z ukrycia, kiedy wrócisz.

Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Odwrócił się. Najwyraźniej nie miał ochoty na dyskusję.

- Muszę iść. Podbiegła do drzwi.

- O nie, nie pójdziesz! Oszalałeś? Nie możesz nawet...

- Nie kończ tego, proszę.

- ...poruszać się samodzielnie.

Zacisnął usta. Wyciągnął rękę w stronę klamki, odepchnął ją

- Zejdź mi z drogi.

- Chcesz się zabić? Zrób to sam. Będzie szybciej.

- Martho, odejdz od drzwi.

- Nie znasz się na zegarku, nie umiesz robić zakupów, nie...

- Mike zdejmie mi szybkę z zegarka, wyczuję wskazówki. Kupi mi sto jajek, przedtem też nic innego nie umiałem ugotować.

Zamachała bezradnie rękami. Chciała to sobie jakoś poukładać.

- Mike pracuje w wydziale. Mówiłeś, że nikomu nie ufasz.

- Póki siedzę w ukryciu. Ale teraz się ujawniam. Zejdź mi z drogi, do cholery. Załatwiłbym to sam, ale...

- Nie widzisz. Właśnie w tym rzecz. Nie możesz sobie poradzić nawet ze mną a co dopiero z Kokirem?

- Nie muszę sobie z nim radzić. Muszę być tylko widoczny. Wstrząsnął nią dreszcz. On naprawdę odchodzi.

- Danny, nie rób tego. Proszę. Odwrócił się, zacisnął usta w wąską linię.

- Będzie dobrze, obiecuję. Dwie agencje rządowe będą mnie pilnować jak oka w głowie. Zaufaj mi. Miej nadzieję.

Rozpląkała się.

- Wiesz, że to moja słaba strona.

- Więc trochę ogranicz realizm.

- Ale to realne zagrożenie. Chodzi o twoje życie. - Zachowywała się jak histeryczka, ale nie mogła się opanować. Najchętniej zatrzymałaby go siłą, ale surowa mina i napięte mięśnie skutecznie studziły jej zapał.

- Nie mogę przez całe życie oglądać się przez ramię. Ironia niezamierzona. Kokir to znany terrorysta. Ma powody, żeby się kręcić po Sokanan i zna je tylko on. Musimy go dopaść.

- Ale dlaczego ty? Jesteś śle... Położył jej palec na ustach.

- Jestem tym, kogo szuka. Musimy go jakoś wyciągnąć z kryjówek.

- Ale...

Pukanie do drzwi. Podskoczyła. Danny objął ją mocniej.

- Uspokój się. To pewnie Charlie. - Odsunął ją tak że już nie blokowała drzwi.

- Wpuścimy go. - Otworzył drzwi sypialni i wyszedł.

Ruszyła za nim, ale strach i niedowierzanie sprawiły, że ledwie stawiała kroki. Charlie wjeżdżał przednimi drzwiami.

- Tatusiu, nie pozwól mu na to. Powiedz, że to bez sensu.

- To najrozsądniejsze, co do tej pory zrobił! - huknął Charlie. - Niech się trzyma od ciebie jak najdalej.

W kącikach ust Danny'ego pojawił się delikatny uśmiech.

- Cieszę się, że ktoś się ze mną zgadza.

- Pojadę z tobą - rzuciła.

- Nigdzie nie pojedziesz. - Charlie się wściekł.

- Nie! - Danny odezwał się w tej samej chwili.

- Niby jak sobie...

- Poradzę sobie. Miałem wspaniałą instruktorkę.

- Jest dorosły, Martho.

- Nie widzi! Nie rozumiecie?

- Rozumiemy - zapewnił Danny i jego ton przeszył ją na wskroś. - Lepiej niż ci się wydaje.

Cisza. Przerwał ją Charlie.

- Idź już - ponaglił delikatnie. - Samochód czeka. Powiedziałem, że zaraz zejdiesz.

- Idę z tobą. - Rzuciła się za nim, ale Charlie złapał ją za ramię.

- Puść mnie, tato.

- Nigdzie nie idziesz. - Pociągnął ją aż usiadła mu na kolanach. Potężne ramiona trzymały ją jak kajdany. Szarpała się, ale nie na wiele się to zdało.

- Puść mnie!

- Idź-powiedział Charlie.- Trzymam ją.
- Danny!
Wyszedł. Drzwi się za nim zaniknęły.
- Uspokój się! - warknął Charlie, gdy ciągle się szamotała. - Bo nas prze-
wrócisz.
- Nic mnie to nie obchodzi. Puszczaj.
- Nie obchodzi cię, że biedny sparaliżowany ojciec będzie się miotał na
podłodze jak ryba na brzegu?
- O Boże! - Zwiesiła głowę. Odetchnęła głęboko. - Dlaczego pozwoliłeś
mu odejść?
- Martho! To facet. Sam podejmuje decyzje, sam musi się odnaleźć. I ty
wiesz to najlepiej.
- A jeśli zginie? - Była przerażona i obolała, ale ojciec tylko pokręcił gło-
wą z niesmakiem.
- Będzie go chronił cały wydział, że już nie wspomnę o federalnych. Ten,
którego szukają... Wszyscy chcą go złapać. Nie spuszczą Sina z oczu. To cię nie
uspokaja?
- Jest niewidomy, to samobójstwo. A ty mu pomogłeś. Charlie przyglądał
się jej uważnie.
- Dziewczyno, wiem, do czego zmierzasz, i za żadne skarby świata nie za-
biorę cię do Sokanan. Koniec dyskusji na ten temat. - Puścił ją i zepchnął z ko-
lan. - Jest późno, ledwo żyję. Porozmawiamy rano.
- Wolałabym teraz.
- Gdzie tu jest jakieś łóżko? - Nie czekał, aż mu pokaże drogę, pojechał
sam. Ruszyła za nim.
- Tatusiu...
- Rano, Martho. - Pchnął pierwsze drzwi, do pokoju Danny'ego, i wjechał.
Martha nie ustępowała.
- Idź do łóżka, Martho.
- Nie wyjdę, dopóki tego nie skończymy.
- Czyli dopóki nie przekonasz mnie do twojego punktu widzenia. Nie za-
biorę cię do Sokanan, więc daruj sobie. Możesz za to wytłumaczyć, co cię z nim
łączy?
- Nic - odparła szybko. Zarumieniła się.
- Jasne. I dlatego się czerwienisz.
- Martwię się o niego.
- A co to znaczy? Opiekujesz się nim jak bezdomnym psem? Jak mną?
Czy jeszcze inaczej?
Umilkła. Życie miłosne to nie temat, który chciałaby omawiać z ojcem.

- On nie widzi, Martho. Chcesz do końca życia opiekować się kolejnym kaleką? Takim jak ja?

- Do końca życia? Przecież ja... Ja go prawie nie znam - wyrzuciła z siebie, broniąc się i zarazem unikając wchodzenia w szczegóły. - Nikt tu nie mówi o trwałym związku.

- Dlaczego nie? - W pytaniu pojawiły się ochryple nuty. - Nie jesteś dziewczyną na jedną noc, tylko na stałe. A nie wyobrażam sobie tego faceta w stałym związku.

- Nigdy nie powiedziałam...

- Potrzebny ci ktoś solidny, ze stałą pracą oraz przyszłością a nie z wieczną rehabilitacją w perspektywie.

- Nie byłeś solidny ani porządny, a mama za ciebie wyszła - rzuciła bez namysłu.

Równie szybko odpowiedział:

- I zobacz, co jej z tego przyszło.

Zapadła cisza. Nigdy nie rozmawiali o matce. Nigdy. W końcu Martha się odezwała, cicho, miękko:

- Mogła zostać.

- I żyć z wrakiem człowieka? Namiastką mężczyzny?

- Nie jesteś wrakiem - zaprzeczyła, ale jego spojrzenie mówiło co innego. - To mogło być pełne życie.

Opuścił wzrok na swoje dłonie, ale zaraz spojrzał na nią.

- Była za słaba. Taka jest prawda, do cholery.

- Była tchórzem. - I nas nie kochała, dopowiedziała w myślach. Mnie nie kochała. W każdym razie za mało.

Ojciec patrzył na nią z dziwnie łagodną miną.

- Mylisz się, mała Martho. Kochała cię. Poczzerwieniała. Tak łatwo ją rozszyfrować?

- Jasne! Tak bardzo, że uciekła, gdzie pieprz rośnie.

- Robiła, co mogła, aż w końcu nie dała rady.

- Jak mogłeś jej wybaczyć? Zostawiła cię. Porzuciła dziecko! I to wtedy, kiedy potrzebowaliśmy jej najbardziej.

- Nie wybaczyłem jej, tylko przestałem się przejmować, bo mnie to wykańczało. A kiedy przestałem się nad sobą użalać, zacząłem rozumieć.

Uparcie zadzierała głowę. Nie chciała dobrze myśleć o matce.

- Ja bym została. I zostałam.

- To co innego. Byłaś mała. Nie miałaś wyboru.

- Już nie jestem mała, a nadal z tobą mieszkam. Roześmiał się.

- No i popatrz na siebie. Masz trzydzieści pięć lat jesteś sama jak palec...
- Trzydzieści dwa - poprawiła sztywno, Cały ojciec, nie wie nawet, ile ma lat.

- Trzydzieści dwa czy trzydzieści pięć, co to za różnica? Chodzi o to, że poświęciłaś mi całe życie. Nie wychodzisz, nie ubierasz się ładnie, nie masz znajomych.

Spojrzała na niego gniewnie. Te słowa zabolowały bardziej, niż chciała przyznać.

- Podoba mi się moje życie.

Unióśł krzaczaste brwi, a na jego twarzy malował się sceptycyzm.

- Czyżby, Martho? Bo szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię. Odwróciła się, uciekła przed jego przenikliwym spojrzeniem.

- Nie twoja sprawa, co robię, a czego nie.

- Nie? A ja uważam, że owszem, moja. Zostałaś, żeby się mną zająć, teraz moja kolej. Za późno, szczerze mówiąc, ale lepiej późno niż wcale. Nie takiej przyszłości chcę dla ciebie. I nie przyłożę do tego ręki. Zostaniesz tutaj, a piękny Danny sam sobie poradzi. - Złagodniał, obniżył głos. - A teraz daj mi spokój.
- Odwrócił się na wózku i podjechał do łóżka.

Wyszła. Odetchnęła głęboko. Co ich wszystkich ugryzło? Charlie wybacza matce i zachowuje się jak... jak prawdziwy ojciec. A Danny... Boże, czy on oszalał? Tyle rzeczy mogło mu się przytrafić. Nawet nie chciała o tym myśleć i starała się tego nie robić, mimo gniewu. Nie będzie już stała u jego boku, nie będzie jego oczami, nie będzie służyła mu wsparciem. Póki żyje.

Ale nie zdołała się opanować.

Pół godziny później wymknęła się ze swojej sypialni, zapaliła światło w korytarzu i uchyliła drzwi do pokoju ojca.

Światło z korytarza ścieliło się wąską smugą. Ojciec leżał na plecach w łóżku Danny'ego. Chrapał cicho. Wózek inwalidzki stał koło posłania tak, że miał go w zasięgu ręki.

- Tatusiu? - odezwała się cicho, ale wyraźnie. Nie reagował. Cichutko zakradła się do gabinetu, zabrała ubrania, które niedbale rzucił na toaletkę, i wyszła na paluszkach.

W korytarzu przejrzała kieszenie. Czowała się okropnie, szperając w jego rzeczach. Znalazła kluczyki w kieszeni spodni, ale musiała mieć jeszcze kwitek z garażu... Sprawdziła w tylnych kieszeniach i trafiła na arkusik papieru, złożony w ósemkę. Wydawał się znajomy, ale nie pamiętała skąd. Był jak stare wspomnienie. Rozłożyła go powoli.

„Kochana mamusi...”

Jej serce zabiło żywiej, zakryła usta dłonią. Szybko przeczytała list. Przypomniała sobie głupią małą dziewczynkę, która go napisała. Która jeszcze ciągle miała nadzieję.

Gdzie ojciec go znalazł? I dlaczego go nosił?

Nagle poczuła łzy pod powiekami. Płakała za dzieckiem, którym była, za rodziną, którą straciła.

Czy Charlie miał rację? Czy to wszystko sprowadzało się do słabego charakteru matki? To nie ona, Martha, była winna?

Ostrożnie wsunęła list na miejsce. Teraz nie chciała o tym myśleć. Góraczkowo szukała kwitka z parkingu. W końcu znalazła go w kieszeni koszuli.

Starannie złożyła ubrania i odłożyła je na szafkę, choć ryzykowała, że obudzi Charliego. Mogła je zostawić na podłodze przy drzwiach, ale miałyby kłopoty, żeby ich dosięgnąć. I tak będzie wściekły, kiedy się zorientuje, że uciekła. Jeśli zostawi go nagiego, dostanie szau.

Położyła liścik na stercie ubrań tak, żeby od razu go zobaczył. Nabazgrała na odwrocie czeku:

„Zabrałam furgonetkę. Przepraszam. Powiedziałeś, że każdy musi odnaleźć własną drogę, i to jest moja. Odezwę się wkrótce.

Kocham Cię”.

Podpisała się, stawiając zgrabne, kształtne, schludne literki.

Po raz ostatni spojrzała na ojca. Spod koca wystawały potężne ramiona. Nie jest stary. Po pięćdziesiątce. Ale miał ciężkie życie, pełne bólu i zmartwień, i to widać w jego twarzy. Silnej, nie przystojnej, ale na swój sposób atrakcyjnej. Pasowała do niego. Ale jej samej przeszkadzały te twarde rysy, zwłaszcza gdy co rano widziała je w lustrze.

Wyszła powoli, zadowolona, że rano nie spotka ojca. Charlie będzie kłął jak szewc.

Kierowca, agent federalny Tony Burdock, pomógł Danny'emu podejść do drzwi. Burdock to nie Martha i Danny potknął się na stopniach. I po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo pożyteczna może być laska. Zacisnął zęby na tę myśl. Przelknął bezradność, zwłaszcza wobec nieznanego. I kolegi po fachu. Po omacku szukał drzwi, ale zanim znalazł klamkę, same się otworzyły.

- Cześć, Sin.

- Mike? - Wiedział, że ktoś będzie czekał. Poprosił o to, zanim wyjechał.

- Tak, stary, to ja - powiedział przyjaźnie, normalnie. Stary, dobry, porządkowy Mike.

Ale Danny się zawahał. A jeśli to Mike jest źródłem przecieku? Nie chciał tego. Nie chciał, żeby zdrajcą okazał się którykolwiek z przyjaciół.

Burdock wszedł pierwszy, Danny ruszył za nim. Wdychał znajomy zapach domu - stare drewno i coś jeszcze, trudne do określenia, ale jego.

Miał wrażenie, że nie było go tu od lat, ale szybko przypomniał sobie rozkład pomieszczeń. Poczł zapach kawy. Ktoś chodził po domu.

- Wszystko w porządku, Sin? - To nie Mike.

- Parnell? - Kolejna bolesna wątpliwość.

- Tak. A to agent Warren Miller z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

- Dzień dobry. - Głęboki bas z cieniem południowego akcentu. Danny wciągnął rękę w tamtą stronę. Ktoś ją uściśnął.

- Witam.

I oto znalazł się w domu, w otoczeniu wrogów i przyjaciół. Nieważne. Był przynętą, serem na szczura. Musi oberwać.

Ta myśl niosła pewną pociechę. Siedzenie w ukryciu jest dobre dla tych, którzy sobie nie radzą dla przerażonych i zastraszonych. On taki nie był.

Nagle poczuł śmiertelne zmęczenie. Adrenalina do tej pory dodawała mu siłę, ale teraz opadła. Był wyczerpany i osłabiony.

- Słuchaj, przydałaby mi się mocna kawa. I dajcie mi chwilę, żebym się zorientował w przestrzeni.

- Nie ma sprawy

- Najchętniej zrobiłbym to sam. - Drażniła świadomość, że go obserwują ale nie może przecież do końca życia tkwić w drzwiach. Prędzej czy później i tak zobaczą, jak się potyka czy przewraca. Równie dobrze może mieć to już za sobą.

Ktoś się poruszył, przed nim, z lewej strony. Nie rozróżniał jeszcze ich kroków, sposobu poruszania się, żeby wiedzieć, kto to był. Wyciągnął ręce, znalazł ścianę po prawej i doszedł do kuchni.

Na nowo poznawał dom. Zawędrował do saloniku, w którym, jak mu powiedziano, ekipa urządziła sobie sztab. Usiadł na kanapie, ale zapomniał sprawdzić, czy jest pusta, i trafił na plik dokumentów. Wyjął je spod siebie, czyjeś ręce je zabrały. Inne podały mu kubek. Meble trzeszczały pod ciężarem ciała.

Danny sączył kawę. Była mocna, gorąca, podziałała.

- Na czym stoimy?

- Snajperzy na dachu po przeciwnej stronie - zaczął Parnell. Stał gdzieś z przodu, Danny wyobraził go sobie koło kanapy.

- Wóz nadawczy na ulicy - dorzucił Mike. Z lewej strony. Brązowy fotel.

- Wszystko załatwiliście.

- Mieliliśmy trochę mało czasu, ale rano to poprawimy. Na razie jest dobrze.

- Parnell.

- Sin, chcemy załatwić to publicznie. - Miller. Głos z prawej; pewnie siedzi w drugim fotelu.

- Co? Kokira?

- Wszystko. Gubernator pozuje jutro do zdjęć. Wygłosi przemówienie o służbie zdrowia i pomocy niepełnosprawnym. Szuka kogoś na plakat. Oczywiście musieliśmy poinformować go o zagrożeniu. A kiedy dowiedział się o tobie...

- Jasne, ślepy glina. Trudno sobie wyobrazić coś lepszego. - W jego głosie pojawiło się obrzydzenie.

- Musimy cię pokazać w gazetach.

Danny siedział nieruchomo, wściekły. Cierpieć prywatnie to jedno, ale ujawnić to we wszystkich gazetach w całym stanie?

- Mówiłem, że to kiepski pomysł - powiedział Mike, nisko i spokojnie. - Nie musisz się zgadzać.

- Owszem, musi. - Sądząc po głosie Millera, już o tym rozmawiali. - Wszystko jest załatwione.

- Mam to w dupie. Może Kokir obserwuje dom i już wie, że wróciłem.

- Nikt nas nie obserwuje - stwierdził Parnell. - Tylko nasi ludzie od ataku na farmę. Dom jest czysty.

- Jezu. - Danny ukrył twarz w dłoniach. - No dobra. Jak chcecie. -Przynęta to przynęta. Do niczego, jeśli się chowa.

- Dobra. - Miller się ucieszył. - A teraz się prześpij. O dziesiątej rano mamy spotkanie z gubernatorem.

Trzask krótkofalówki.

- Parnell. - Chwila ciszy. - Co? O, cholera. Danny'ego przeszył dreszcz.

- Co jest?

- Ktoś się zbliża do domu.

Wszyscy zamarli w bezruchu, a potem usłyszeli szelest ubrań i skrzypnięcie mebli. Ktoś go złapał za ramię.

- Idziemy! - Mike szarpnął mocniej.

- Chwileczkę. Dokąd?
- Zamknij się i chodź.
- Zidentyfikowaliście podejrzanego? - Parnell rozmawiał ze snajperem. -

To Kokir?

Mike odciągał Danny'ego.

- Jak to nie możecie go zidentyfikować? Musicie mieć pewność, zanim ktokolwiek pociągnie za spust.

Danny się opierał.

- Poczekaj.

- Musimy cię ukryć.

- Cholera - sapnął Parnell. - Dobra. Strzał ostrzegawczy. Wydawało się, że wszystko zamarło, gdy czekali na syk kuli uderzającej w asfalt przed domem.

Ktoś krzyknął.

- Ręce na kark! Na ziemię! I to już! - usłyszeli głos z megafonu. Chwila, która trwała całe wieki.

- W porządku? Tak, jasne. Wszyscy cali? - dopytywał się Parnell.

- Na razie - rzucił Mike.

- Zostańcie tutaj - rozkazał Miller.

Danny zeszywniał z napięcia. Mike zacisnął mu rękę na ramieniu. Drzwi się otworzyły. Kroki. Męskie głosy.

- Co jest? - spytał Danny.

- Wchodzą.

Sądząc po odgłosach, była ich cała armia.

- Widzisz, kto to? Kokir?

Nadzieja pojawiła się nie wiadomo skąd. Kokir schwytyany, nikomu nic się nie stało. Żadnych zdjęć, żadnych mitingów. Wszystko wróci do normy.

Do normy. To znaczy?

Lekarze, laski, wieczny mrok. Żadnej terażniejszości i żadnej przyszłości.

Kula wydawała się coraz lepszą perspektywą. Wyrwał się Mike'owi.

- Ej, co ty wyprawiasz? Sin?

Ale już szedł, coraz szybciej, nie dbając o ostrożność. Uderzył o coś nogą-jakiś mebel, mało brakowało, a wpadłby na ścianę.

- Oszalałeś? - Mike go dogonił, ale Danny znowu się wyrwał. - No dobrze, dobrze. Tutaj. Tu są drzwi. - Pchnął go.

Coraz głośniejsze głosy.

- Kto tam? - pytał Miller.
- To był błąd. - Parnell wydawał się wściekły. I jeszcze jeden głos, głośniejszy niż pozostałe:
- Danny! Dzięki Bogu, nic ci nie jest.

Rozdział 17

Skuli ją i brutalnie wepchnęli do domu. Zaszło jej w ustach, puls oszalał, ale to wszystko straciło znaczenie, kiedy tylko zobaczyła, że Danny jest cały i zdrowy.

- Oszalałaś! - ryknął. - Coś ty zrobiła?

Strzelali do niej i pchnęli ją na ziemię. Był środek nocy, nogi się pod nią trzęsły i nie miała ochoty na pouczające gadki.

- Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć, poproś ich z łaski swojej, żeby mi zdjęli kajdanki.

- Rozkuć ją-poleciał porucznik Parnell.

- Chwileczkę. - Danny podniósł rękę. - Nie jestem taki pewien. Może lepiej przykuć ją do krzesła. Tylko tym sposobem ją upilnujemy.

Podniosła skute nadgarstki.

- Ha, ha, ha. Rozkuli ją.

Potężny, groźnie wyglądający Afroamerykanin w granatowym garniturze zmarszczył brwi.

- Kto to?

Zanim odpowiedziała, wyręczył ją Parnell.

- Martha Crowe. Naoczny świadek. Agent Miller z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Martha wyciągnęła rękę. Miller ją uścisnął.

- Sinofsky, mówiłeś, że jest w bezpiecznym miejscu.

- Bo tak myślałem.

Miller spojrzał na nią gniewnie.

- Jak się pani tu dostała?

- Ja... - Wyprostowała się. Nie zastraszą jej. - Pożyczyłam furgonetkę ojca.

- Co takiego? - Danny nie wytrzymał. - Jezu Chryste! Mężczyźni patrzyli na nią wrogo.

Danny zwrócił się do nich:

- Dajcie nam chwilę.

Wymienili spojrzenia. Parnell cofnął się pierwszy.

- Jasne. - Odczekał chwilę, jakby się spodziewał, że Danny ją wyprowadzi. I nagle jakby sobie uświadomił, że byłoby to dla niego trudne. ~ Może... Hm... przejdziemy do salonu. Panowie, na pozycje na zewnątrz. Sytuacja jest pod kontrolą.

Miller zacisnął usta w wąską linię, ale posłusznie wyszedł. Po chwili zostali sami. Przygotowała się na atak.

- Wyszli już? - Przynajmniej pierwsze słowa są znośne.

- Tak.

Skinął głową w zadumie.

- Wyjaśnisz mi to?

- Chyba nie muszę.

- Nie, no jasne. Wszystko jasne jak słońce, skarbie. - Gniewnie dźgał palcem powietrze. Mniej więcej tego się spodziewała. - Nie ufasz mi. Uważasz, że bez niańki sobie nie poradzę.

No... raczej nie tego. Gniewu, że się naraża na niebezpieczeństwo? Tak. Ale tego? Podniosła ręce na znak protestu.

- Chwileczkę. To idiotyczne.

- Czyżby? Spójrz na siebie. Nie możesz mnie spuścić z oczu.

- Ale nie dlatego, że uważam, że jesteś bezradny...

- I ślepy?

- Ja nie...

- Zrobiłabyś to, gdybym widział? Czy świadomie zaryzykowałabyś powodzenie wspólnej operacji sił stanowych i federalnych, zaryzykowałabyś własne życie, które zresztą ciągle jest w niebezpieczeństwie, gdybym widział?

Zawahała się, tylko ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Skrzywił się.

- Powiedz prawdę, Martho. Przecież z tego słyniesz. Zaczerwieniła się, rumieniec płonął nawet na szyi.

- Ja... - Zagryzła usta. Wiedziała, że Danny ma rację, i nie chciała tego przyznać. - Nie wiem! - Sfrustrowana, uniosła ręce. Dlaczego nie chce przyjąć do wiadomości, że się zwyczajnie denerwowała? - Co za różnica? Przecież jesteś ślepy.

- Ach, święte fakty! Ale ja wiem, co byś zrobiła. Nic. Słyszysz? Nic. Siedziałabyś w mieście. — Jego twarz wykrzywiała wściekłość, martwe oczy wiały lodem.

- No dobrze. Nie jesteś w stanie funkcjonować samodzielnie, a ja jestem arcysuką że ci o tym przypominam. I co teraz?

- Teraz? Jezu, teraz mam cię na głowie. Podniosła brodę.

- Też mi problem.

- A żebyś wiedziała. Jesteś problemem. Bo cię nie potrzebuję. -Obniżył głos do lodowatego szeptu. -I nie chcę. Ty i ja to tylko terapia. Koniec sesji. Zabołało, ale stała dzielnie. Nie poddała się.

- Tu obok jest pokój gościnny - oznajmił chłodno. - Jest do twojej dyspozycji.

- Zamkniesz mnie?

- Jeśli będę musiał.

- No dobra, czyli ja będę księżniczką w wieży, a ty...

- To ściśle tajna operacja i...

- Nie mogę wiedzieć za dużo. Bla, bla, bla. - Odepchnęła go, dosłownie pchnęła, jakby zmiana pozycji ciała miała sprawić, że zmieni zdanie. Równie dobrze mogła walczyć z górą ale nie rezygnowała. - Myślisz, że tu przyjechałam, żeby dać się ustawić jak chcesz? Nie musisz nic mówić. Zapytam twojego szefa albo Mike'a. Albo napiszę do Jake'a. Na pewno masz tu gdzieś komputer.

- Rozejrzała się gorączkowo, jakby miał się zjawić na zawołanie.

- Świetnie - wycedził przez zęby i opowiedział o planie z sesją fotograficzną z gubernatorem.

Była przerażona.

- A jeśli Kokir nie będzie czekał na zdjęcie w prasie? A jeśli cię zastrzeli w trakcie przemowy gubernatora?

Uśmiechnął się, ale jego uśmiech był gorzki i martwy, jak wzrok.

- Na to liczymy.

Chciała zaprotestować, ale zastygła z otwartymi ustami. Przeraziły ją słowa. Stał zwrócony twarzą w jej stronę, zdawał się na nią patrzeć, ale jej nie widział.

I nagle wszystko zrozumiała.

- Nie, Danny - powiedziała cicho. - Nie na to liczymy. Chociaż może ty tego chcesz.

Ściągnął gniewnie brwi.

- Co ty gadasz, do cholery?

- Wiesz? Mój ojciec też usiłował się zabić.

- Ja nie...

- I miał wielu przyjaciół, którzy mu w tym pomagali. Najbliższymi byli Jack Daniels i Jim Beam.

- Oszalałaś. To nie to samo.

- Myśli samobójcze u osób, które nagle straciły pełną sprawność, są dość powszechne.

- Samobójcze? To ty porzuciłaś bezpieczne schronienie i przyjechałaś tutaj, przy czym mało brakowało, a zaliczyłabyś kulkę w głowę.

- Ale zrobiłam to z miłości do ciebie, a nie... - Ugryzła się w język, zakryła usta dłonią. Pobladała. Nie chciała tego powiedzieć, sama przed sobą nie przyznawała się do tego uczucia. Jęknęła w duszy, obnażona, bezbronna.

Wykorzystał to bez skrpułów.

- Nie chcę twojej miłości. Nie chcę, żeby coś ci się stało, bo myślisz, że sam sobie nie poradzę. Mam to jeszcze wyraźniej powiedzieć?

Zamrugła szybko, żeby powstrzymać łzy. I zmusiła się, żeby mówić zimnym, oschłym tonem.

- Bardzo mi przykro, ze względu na nas oboje, ale ją masz. Przeżyj i się z tym pogódź.

Następnego ranka Mike zawiózł go do Domu Weterana, gdzie gubernator miał wygłosić przemówienie. Zostawili Marthę w domu, w towarzystwie dwóch agentów z Agencji Bezpieczeństwa. Nie rozmawiał z nią od poprzedniego dnia. Kiedy był w łazience, wybrała mu garnitur i ułożyła na łóżku tak, że włożył go bez problemów. Cała ona. Bez pytania wiedziała, co mu będzie potrzebne. Nie podziękował jej, ale prawdę mówiąc, cieszyło go, że nie musi prosić o pomoc Millera czy innego agenta.

Nadal był wściekły, że przyjechała. Ryzykowała dla niego życie, czego nie musiałyby robić, gdyby był w pełni sprawny. Ta świadomość go dławiała, zostawiała niesmak, jak kwaśne mleko. Ile innych osób zrobiłoby coś takiego? Beth? Dzieciaki?

Przypomniawszy sobie zasłyszana kiedyś opowieść; wówczas wydawała mu się śmieszna. Czyjś wujek wybiegł na ulicę, żeby uratować ślepcę i sam zginął pod kołami.

Nie chce tak żyć, zdany na litość innych.

Samochód podskakiwał na wybojach, a on kołysał się wraz z nim. Na chwilę wrócił wspomnieniami do furgonetki Charliego i ucieczki z farmy. Przypomniawszy sobie, dokąd wówczas trafili - na łódź, do baru i do hotelu Żółty Motyl.

I nagle poczuł, że wcale nie chce stracić Marthy. Zrozumiał, jak wiele odejdzie wraz z nią. Będzie za nią tęsknił. Nie tylko za jej ciałem, za porcelanową kruchością jej obojczyków, ale także za jej wykładami wygłaszanymi tonem nauczycielki. Za tym, jak nim rządziła.

Boże, doprowadza go do pasji.

„Zrobiłam to z miłości do ciebie”.

Te słowa niosły się echem w jego głowie. Chciał je odepchnąć, ukryć w najciemniejszym zakątku świadomości, póki nie wymyśli, co z nimi zrobić.

Samochód się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Mike.

Teraz nie będzie o tym myślał. Nie będzie marzył o przyszłości. Nie on, który przyszłości nie ma.

Wysiedli z opancerzonego wozu. Mike przeprowadził go tylnymi drzwiami do pokoju na tyłach budynku, niedaleko podium mówcy. Był kiepskim przewodnikiem, jak Burdock, i Danny się o coś potknął - „kabel”, wyjaśnił Mike - i uderzył o mebel, którego Mike nie zidentyfikował.

Sala konferencyjna wydawała się ogromna. Głosy niosły się echem, kroki ogłuszały. Mike posadził go za długim stołem nakrytym gładką tkaniną. Obrus. Pewnie biały. Czuł kawę i jedzenie. Szkło, porcelana. Ciekawe, ile takich stołów stoi na sali.

Przedstawiono go wielu ludziom. Szef sztabu gubernatora, dziennikarze, pomocnicy. Ktoś postawił przed nim talerz z jedzeniem. Jajka w sosie, usłyszał. Nie tknął dania, zbyt spięty, by jeść. Ogarnęła go panika na myśl o posiłku na oczach tylu ludzi. A jeśli coś rozleje? Upaprze krawat żółtkiem?

Pod garniturem miał kuloodporną kamizelkę, było mu gorąco i niewygodnie. Ponieważ pracował na ulicy, rzadko ją nosił i nie przywykł do jej ciężaru. Ale Parnell i Miller się uparli i byłby głupcem, gdyby się nie zgodził. Jak powiedziała Martha, stanowił łatwy cel.

Nie żeby zostawili go samego. Na sali byli ochrona gubernatora i jego opiekunowie. Miler i Mike tuż obok, inni wmieszali się w tłum. Zauważą Koki-
ra, jeśli się pojawi.

Chyba że przyjdzie w przebraniu albo kogoś podstawią. Przeszył go zimny dreszcz.

- Na razie wszystko w porządku - szepnął Miller za jego plecami. Danny siedział między dwójką ludzi gubernatora. Mężczyzna po prawej pochylił się w jego stronę.

- Coś nie tak, detektywie? Może panu coś podać?

- Nie, dziękuję - odparł krótko, spięty. Jak ten liczył się nu/ywn? Przedstawiono ich sobie, ale był to tylko jeden z wielu głosów.

- Może kawy?

- Nie, dziękuję. - Robard. Andrew Robard.

- Poznał pan Marcusa Hansona? Siedzi po pana lewej.

- I nie jest zadowolony - wtrącił Hanson skwaszonym głosem. - Nasze notowania lecą na łeb, na szyję. Ostatnie, czego nam trzeba, to kolejne wydatki.

- Pracuje przy kampanii wyborczej gubernatora - wyjaśnił Robard, jakby to tłumaczyło zgorzknienie kolegi.

- Dzięki, Andrew. Poznaliśmy się. - Hanson miał cienki, zręczliwy głos. Danny przypomniał sobie jego dłoń. Miękka, pulchna, słaby uścisk. - Proszę nie brać tego do siebie, ale wam się wydaje, że mamy pieniędzy jak lodu.

Wam?

- Słucham?

- Henley popełnia błąd, jeśli liczy, że zostanie ponownie wybrany głosami niepełnosprawnych.

Robard chrząknął, zakłopotany.

- Marc, pozwól detektywowi w spokoju zjeść śniadanie.

- Niby dlaczego? Ja nie jestem spokojny. Proszę mi powiedzieć. .. - pochylił się i jego głos przybrał na sile; Danny wyczuł kwaśny zapach kawy w jego oddechu - podobno miał pan wylew. To nietypowe u kogoś w pana wieku. Jak do tego doszło?

Nie chciał o tym rozmawiać, a zwłaszcza nie z tym dupkiem. Robard mruknął coś pod nosem.

- Uważam, że nie powinieneś...

- Daruj sobie, Robard. Gubernator będzie chciał poznać wszystkie szczegóły. Jak do tego doszło, Sinofsky?

Danny zacisnął usta, ale musiał brnąć w to dalej, więc odpowiedział;

- Dostałem w głowę podczas aresztowania.

- Na ulicy?

- W barze.

- Tak? W którym?

- Nie sądzę, żeby gubernator bywał w takich lokalach. Hanson umilkł, ale nie darował.

- Powiedzmy, że to ciekawość tubylca. Pochodzę z Sokanan. Andrew też, prawda? - Pytanie było podszyte złośliwością.

- Powiedzmy. - Danny usłyszał powstrzymywany gniew w głosie Robarda.
- Od jakichś dwudziestu lat. - A potem mężczyzna powiedział cicho, tylko do Danny'ego: - Przepraszam.

- Co to za bar? - Wrogość w głosie Hansona działała Danny'emu na nerwy.

- Dutchman, przy ulicy Melvin. Chwila ciszy. Koniec przesłuchania?

- Hm... Chyba miał pan rację. Nigdy o nirn nie słyszałem. A ty, Andrew?

Bywasz w Dutchman?

- Nie.

Zgrzyt odsuwanej krzesła. Ktoś sięgnął po mikrofon.

- Panie i panowie...

Hanson mruknął coś pod nosem. Sala uciszała się powoli, zamierał brzęk sztuców. Mężczyzna z mikrofonem przedstawił gubernatora Henleya, a w głowie Danny'ego eksplodowała wizja. Dutchman.

Widział wszystko wyraźnie, jakby nagle się tam znalazł. Murray Potts polewuje szklankę. Grupa gości pochyla się nad stołem bilardowym. Ruch, gdy uchylły się drzwi do łazienki...

Poczuł rękę na ramieniu.

- Sinofsky?

I równie nagle, jak się pojawiła, wizja zniknęła, zostawiając po sobie tylko ciemność.

- Wszystko w porządku? - Szept Robarda. Ktoś dotknął jego pleców.

- Co jest? - szepnął mu Mike do ucha. Danny pokręcił głową.

- Nic się nie stało.

- Pobladł jak ściana. Znieruchomiał - tłumaczył Robard.

- Nic mi nie jest. To... nic takiego.

- Proszę. - Ktoś mu wcisnął szklankę w dłoń. - Woda.

Siedział sztywno i ociekał potem pod kamizelką. Jakby z oddali usłyszał brawa i gubernator zaczął mówić. Nie rozumiał sensu słów.

Dlaczego umysł mu to robi? Czy to efekt pytań Hansona? Czy to coś znaczy, czy są to tylko przypadkowe wizje, jak mówiła Martha? Usiłował się skupić na tej scenie, przywołać ją w myślach. Jakby coś nie dawało mu spokoju. Nie mogło wybaczyć momentu nieuwagi. Uchylone drzwi do łazienki. Gdyby nie odwrócił wtedy głowy, nie straciłby panowania nad tłumem. Nie byłoby walki. Ciosu. Udaru. Ślepoty.

Zacisnął pięść, uderzył w kolano. Uspokoił się z trudem i skupił się na tym, co się dzieje tu i teraz. Zapomnij o tamtej knajpie, teraz jesteś celem i myśl o tym.

Przełknął trochę wody. Ostrożnie odstawił szklankę na stolik. Usłyszał swoje nazwisko wypowiedane przez mikrofon. Zgodnie z umową gubernator wymienił go w przemówieniu. Chwila ciszy, jakby wszyscy czekali, aż coś się wydarzy. Jego serce waliło jak młotem.

Szept w uchu.

- Proszę pomachać - odpowiedział Robard.

Podniósł rękę i sala zagrzmiała oklaskami. Instynktownie przygotował się na strzał. Aplauz zagłuszyłby huk wystrzału.

Ale oklaski umilkły, a on nadal siedział na krześle. Żadnych strzałów. Nic.

Uspokoił się, ale tylko trochę. Nadal jest na celowniku, nadal można go zdjąć.

Mowa dobiegła końca i nic.

Później grupa ludzi, liczna jak pluton, tak mu się przynajmniej wydawało, prowadziła go przez znane już pomieszczenie. Otaczał go sztucznie przyjemny zapach, jakby odświeżacz powietrza. Wyobraził sobie hol, ale równie dobrze mógł to być schowek gospodarczy. Czy są tu jakieś meble? Nikt nie zaproponował, żeby usiadł, co ułatwiłoby sprawę. Słyszał niski głos Millera, więc wiedział, że opiekunowie nadal mu towarzyszą, ale wolałby wiedzieć, gdzie jest i zaplanować trasę ucieczki.

- Detektyw Sinofsky? - Odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos. Chyba znowu Andrew Robard. - Oto Paul Norris, fotograf.

- Miło mi. - Norris mówił z nosowym akcentem ze środkowego zachodu.

Danny skinął głową wyobraził sobie wysokiego, chudego wieśniaka, świadom, że jego obraz może się znacznie różnić od rzeczywistości.

- A to gubernator Thomas Henley. - W głosie Robarda pojawiła się duma.

Nie widząc, gdzie znajduje się gubernator, wyciągnął rękę do Robarda. Ktoś go naprowadził i poczuł uścisk.

- To zaszczyt, detektywie - zaczął gubernator. Danny przynajmniej wiedział, jak wygląda. Zdjęcia i materiały filmowe przedstawiały mężczyznę średniego wzrostu, o płaskiej twarzy i jasnych włosach.

- Gdyby mógł pan tu podejść, koło gubernatora... - Norris go doprowadził, a Danny poczuł przy sobie inne ciało. Gubernator był od niego o głowę niższy.

Robardowi się to nie podobało.

- Może pan usiądzie, detektywie?

- Nie chcę wyglądać, jakbym nie mógł stać - sprzeciwił się.

- Tak jest dobrze, Andrew - zapewnił Henley szybko. - Zróbmy to zdjęcie.

Mam inne zobowiązania.

- Dobrze. - Robard się wycofał. - Oczywiście.

- Detektywie, proszę w lewo - poprosił Norris.

Danny usłuchał, rozległ się trzask migawki. I jeszcze jeden.

- Masz co trzeba, Paul?

- Tak jest, panie gubernatorze.

- No, to chodźmy. - Henley od razu się odsunął.

- Burdock - poleciał Miller - wyprowadź pana Norrisa z budynku.

- Tak jest.

- Powodzenia, detektywie - rzucił gubernator, jakby z oddali. - Miller, proszę informować mnie na bieżąco. Andrew będzie w kontakcie. Chcę wiedzieć, kiedy znajdziecie tego Kokira.

- Tak jest.

Drzwi się otworzyły i zamknęły, koszmar się skończył. Mniej więcej. Teraz musi tylko poczekać, aż dowie się o tym cały świat. Ta myśl napełniła jego usta kwaśnym posmakiem.

- Jak się trzymasz? - zapytał przesadnie przejęty Mike. Wściekało go, że w jego obecności wszyscy są nagle tak cholernie radośni.

- Żyję.

- To dobrze. Danny się skrzywił.

- Na razie.

Rozdział 18

Zdjęcie Danny'ego pojawiło się w popołudniowych wydaniach gazet. Sam tego nie widział, ale Mike mu opowiedział. A potem Danny znalazł artykuł w sieci. Siedział nieruchomo, ze słuchawkami na uszach, a Pan Ed monotonicznie odczytywał podpis pod zdjęciem. „Detektyw Daniel Sinofsky”. Równie dobrze mógłby sobie powiesić na szyi tarczę strzelniczą

Tylko że, podobnie jak z poranku w Domu Weterana, nic z tego nie wyszło. Żaden nieznajomy nie podszedł do niego na ulicy. Nikt nie zakradał się do domu, nie jeździł bez celu po okolicy.

Oczywiście nie spodziewali się, że pułapka zadziała tak szybko, ale czekanie wszystkim dawało się we znaki. Martha weszła do saloniku -punktu dowodzenia Millera - i niechcący zahaczyła nogą o stertę papierów, za co oberwało się Burdockowi, że pozwolił jej wyjść z sypialni. Newson, inny agent, mruknął, że Burdock nie umie obchodzić się z kobietami, i ten coś odpysknał. Atmosfera się zagęszczała. Miller musiał interweniować.

- Dosyć tego, Burdock. Odprowadź panią Crowe do pokoju.

- Agencie Miller - zauważyła Martha chłodnym, surowym głosem. -Nie jestem więźniem, którego można ot, tak sobie, zamykać w pokoju.

- Niestety, tu się pani myli - uciał Miller. - Burdock!

- Tak jest.

Szli w stronę sypialni, Burdock energicznie, Martha mniej.

- Newson, dowiedz się, co z antyterrorystami.

- Tak jest.

Znowu oddalające się kroki.

- W porządku? - Mike pochylił się nad nim.

- Tak, do cholery. Nie pytaj mnie o to co pięć minut. Zadzwoił telefon.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Danny wyteżył

śluch, chcąc usłyszeć wszystko, co mówił Miller podczas krótkiej rozmowy.

- Uwaga! - I tak wszyscy nasłuchiwali. Tak przynajmniej sądził, bo milczeli. - Mamy informację o Kokirze.

- Informację? - Danny nie wierzył własnym uszom. To jak słońce w pochmurny dzień. - Jaka?

- Anonimową. Za pół godziny się okaże, czy była coś warta. Już tam jadą.

Kto? Dokąd? Poczul w ustach kwaśny smak frustracji. To on powinien tam być. W drodze. W akcji.

Nie tylko on tkwił tu beczynn timer i czekał. Zakładał, że Burdock nie przykuł Marthy do łóżka, choć pewnie miał na to ochotę. Pewnie jeszcze nie słyszała najnowszych wieści, bo komu chciałoby się ją powiadomić?

Oczywiście jego to nic nie obchodzi. Sama sobie nawarzyła tego piwa. Nie będzie do niej biegał.

Mimo to dziesięć minut później stał pod jej drzwiami, klnąc przy tym, na czym świat stoi.

- Burdock, powiedz panie Crowe, że mieliśmy anonimowy...

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Danny!

Cholera. Wiedział, że to będzie kiepski pomysł.

- Panno Crowe, proszę zostać w pokoju - powiedział Burdock ze znużeniem, jakby od wielu godzin bez skutku powtarzał to samo.

- Co się stało?

- Dowie się pani, kiedy to będzie możliwe. - Ten sam ton i lekka irytacja w głosie.

- Danny?

- Panno Crowe! - Szelest ubrań, kroki. Martha zapiszczała.

- Trzymaj łapy przy sobie...

- Burdock! - Danny uniósł głos.

- Do środka.

- Burdock! W porządku! Pozwól mi z nią porozmawiać.

- Jezu! - Agent się zachnął. - Proszę bardzo.

Danny ruszył i wpadł na niego. Burdock się odsunął. Danny zrobił krok do przodu i znowu się zderzyli.

- Proszę się odsunąć! - huknęła Martha. - Kretyn! - dodała pod nosem.

Danny się cofnął. Burdock ustąpił, a Martha pociągnęła Danny'ego za rękę. Drzwi się zamknęły.

Oparł się o framugę i założył ręce na piersi. Wolał nie kusić losu i nie zbliżać się do niej.

- Nie ma co, zaprzyjaźniasz się ze wszystkimi dokoła.

- Nie pojmuję, dlaczego mnie tu zamykają.

- Bo ci nie ufają - wycedził.

- To idiotyczne. Nie jestem przestępcą.

- Nie zostałeś tam, gdzie powinnaś. Ryzykowałeś powodzenie całej akcji...

- Dobrze już. Nie wracajmy do tego. - Wstrzymała oddech, jakby chciała się uspokoić. - Coś się stało?

W myślach skarcił się za to, że w ogóle tu przyszedł.

- Mamy informację o Kokirze.

- Od kogo?

- Anonimową.

- Ktoś tak po prostu zadzwonił? - Wyczuwał jej sceptyczne podejście.

- Czasami tak bywa. Jeśli mamy szczęście.

- Jasne. Czasami świnie latają.
- Poczekamy, zobaczymy. Na razie nie przekreślajmy tego.
- Ja nie...
- Ależ owszem. - Wyciągnął rękę w stronę klamki. Nie będzie tu sterczał i się z nią kłócił.

- Chwileczkę. Dokąd idziesz?
- Wracam do krainy optymizmu.
- Zostań - powiedziała cicho, słodko. Podobała mu się błagalna nutka. Zatrzymał się. Wbrew sobie.

Na wszelki wypadek trwał przy drzwiach.

- O co chodzi?
- Chciałam powiedzieć...
- Tak?

Kolejny głęboki wdech.

- Że ja...

Pukanie w drzwi, tuż przy jego uchu.

- Sinofsky! - krzyknął Burdock.

- Tak? - Danny uchylił drzwi.

- Telefon. Chyba dobre wieści.

Martha zobaczyła jego szeroki uśmiech i wbrew temu, co Danny o niej myślał, nabrała nadziei. Wziął słuchawkę, przedstawił się, a potem co jakiś czas komentował krótko:

- Gdzie? Nie do wiary! Chcę tam być. Rozłączył się. Martha ledwo oddychała.

- I co? Co się stało? Informacja się przydała?

Danny powoli skinął głową. Wyglądał, jakby był w szoku.

- Trafili prosto do kryjówki Kokira.

- Złapali go?

- Nie. Ale znaleźli wszystko inne. Mapy, plany, materiały wybuchowe, amunicję i mnóstwo sprzętu do nurkowania: butle, pianki...

- Po co mu pianki?

Danny przeczesał włosy palcami. Ciągle nie wierzył w to, co usłyszał.

- Wygląda na to, że chciał wysadzić Indian Point.

- Co? - Wpatrywała się w niego. Dostrzegła napięcie wokół ust, zmarszczki na czole. - To... szaleństwo. Jak?

- Chciał umieścić materiały wybuchowe na dnie rzeki.

- O Boże! - Przerazenie i zdumienie walczyły o lepsze w jej głosie. - Uda się go powstrzymać?

- Mike się tym zajął. Zdaje się, że Kokir zaplanował to na jutro.
- Dobrze. Czyli zdążyliśmy. W ostatniej chwili.
- Właśnie. Los szczęścia.

Danny rozłożył ręce i po omacku chodził po pokoju. Martha zastygła, żeby mu ciągle nie pomagać. W końcu doszedł do łóżka, i usiadł na skraju.

- Najlepszego ci jeszcze ci nie powiedziałem.

Najlepszego? Wcale nie była pewna, czy chciała usłyszeć coś jeszcze.

Wiesz, gdzie się ukrywał? W pokoiku nad barem Dutchman.

Oddechnęła głęboko. Dutchman. Tam, gdzie Danny oberwał w głowę. Tam, gdzie zaczęła się jego ślepotą.

- Czyli to jest... Ten związek z tobą? Myślał, że go widziałeś?
- Teraz wszyscy pracują nad tą teorią. Ma sens.
- A widziałeś go?

Roześmiał się, krótko, szorstko.

- A skąd mam wiedzieć? Nie pamiętam zapachu maści tygrysiej, ale nie wiem, czy wtedy zwróciłbym na to uwagę.

- Jeśli to wszystko prawda i złapią Kokira, cały ten koszmar wreszcie się skończy. - Coś w niej pękło. Powinna szaleć z radości, cieszyć się, że wróci do normalnego życia. Ale to oznaczało rozstanie z Dannyem.

- Tak - powiedział to krótko, rzeczowo. Intrygowało ją, czy czuje to samo. - Muszę iść. - Wstał. - Chcę wziąć udział w planowaniu akcji. Chcę złapać drania.

Otwierała usta, żeby zaprotestować, ale milczała. Nie wyobrażała sobie, żeby mógł im się na coś przydać, ale nie powie im tego. Niech kto inny pozbawi go nadziei.

Odprowadzała go wzrokiem. Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi, i uciekła do sypialni, w której spędziła ostatnie dwa dni. Nie żałowała niczego. Nie byłaby w stanie spojrzeć w lustro, gdyby pozwoliła, żeby Danny był tu sam. Ale jej obecność osłabiła jego wiarę we własne siły i z tego powodu było jej przykro. Nie żeby to sprawiło jakąkolwiek różnicę. Danny robi, co zechce, a kiedy już będzie po wszystkim, pożegnają się i koniec. Myślała o chwilach w mieszkaniu w Nowym Jorku. To będą jej wspomnienia. Przynajmniej nikt nigdy jej nie rzuci, że nie wie, co to za uczucie kochać mężczyznę. I być kochaną. Nieważne, że tylko kilka nocy. Z drugiej strony, może ojciec miał rację. Może w jej życiu rzeczywiście brakuje... Czegoś. Ostatnie dni... Czy Danny wypełnił pustkę? Kiedy się nie bała, była szczęśliwa. Czy znowu tego zazna? Bez niego?

Bo spędzi życie bez niego. Wiedziała to. Bawiła się tą myślą, sprawdzała, jak bardzo boli. Może właśnie dlatego zapragnęła jeszcze jednego, ostatniego wspomnienia.

I dlatego późnym wieczorem, gdy w domu zapadła cisza, a Burdocka zastępował mniej czujny Newson, wymknęła się z pokoju gościnnego. Powiedziała mu, że nie może zasnąć i chce się napić herbaty. Poszła do kuchni. Szedł za nią zaspany. Chyba nie zauważył, że tylko postawiła czajnik na kuchence i nawet nie włączyła palnika.

- Łazienka - mruknęła i wyszła. Ledwie zniknęła mu z oczu, ukradkiem podbiegła do drzwi Danny'go.

Miller i pozostali siedzieli w saloniku. Dzięki Bogu nie musiała przez niego przechodzić, przy drzwiach stał tylko jeden strażnik.

- Do łazienki - powtórzyła. Nawet nie zwrócił na nią uwagi.

Nie zwracała sobie głowy pukaniem, po prostu wśliznęła się do jego pokoju. Jej wzrok szybko przywykł do ciemności. Siedział półnagi, oparty o wez-głowie.

- Co tu robisz, Martho?

Jęknęła w duszy. Liczyła że będzie spał. Dałoby jej to kilka sekund na rozkoszowanie się jego widokiem, zanim zaczęły się negocjacje. Ale nie.

- Skąd wiesz, że to ja?

- Nos mi powiedział. - Założył ręce na piersi. - No więc? Podeszła bliżej.

- Ja... - Teraz, gdy już tu była, nie wiedziała, co powiedzieć. Czasami słowa przychodziły jej łatwo w jego obecności, czasami, jak teraz, język stawał jej kołkiem.

- Wracaj do siebie. Skupiła się na faktach.

- Nie mogę zasnąć.

- Napij się mleka. Podeszła do łóżka.

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Rano.

- Chciałabym... - Urwała, zaczerpnęła tchu. - Przeprzić.

- Która godzina?

Zaskoczyło ją to pytanie. Nerwowo zerknęła na zegarek przy łóżku.

- Trzecia dwadzieścia. Skinął głową

- Więc czekałaś do tej pory, żeby mnie przeprosić?

Zarumieniała się. Dlaczego zawsze przejrzy ją na wskroś? Niskim, miękkim głosem przyznała:

- Nie chciałam być sama. Westchnął.
- Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie grozi.
- Nie chodzi o bezpieczeństwo. Po prostu nie chciałam być sama. - Przy-
siadła na łóżku.

Jego usta wygięły się w ironicznym uśmiechu.

- W sensie kosmicznym czy raczej przyziemnym? Dotknęła jego ramienia.
- Bardzo przyziemnym. Zadrżał pod jej dotykiem.
- W domu jest pół tuzina agentów - powiedział spokojnie.
- Siedzą w saloniku. - Muskała jego bark, czuła mięśnie, napięte pod jej
dotykiem.

- Nie mogę. Myślałem, że rozumiesz. Już nie możemy.

- Wiem, ale... - Zwilżyła usta językiem. - Robiłeś to pewnie z milionem kobiet, na których ci nie zależało. Jedna więcej nie robi różnicy. - Jej dłoń za-
wędrowała na jego pierś. Serce biło mu jak oszalałe.

- Nie z milionem, może z połową. No, powiedzmy siedemset pięć-
dziesięcioma tysiącami kobiet.

- Bardzo zabawne.

- I to nie tak, że mi na nich nie zależało. Świetnie się razem bawiliśmy.
Żadnej nie skrzywdziłem. - Złapał ją za rękę, zatrzymał. - Z tobą jest inaczej.

- Dlaczego?

- Bo ty jesteś inna.

Wiedziała o tym doskonale, ale do tej pory mu to nie przeszkadzało.

- Inna? W jakim sensie? Poruszył się, opadł na łóżko. - W każdym możli-
wym.

Znowu usłyszała w głowie stare szkolne przezwiska: Czarownica, Strach
na Wróble, Wielka Stopa.

Wysunęła dłoń z jego uścisku i zacisnęła pięści na kolanach.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś. - Odwrócił ją twarzą ku sobie.

W jego oczach płonęło gorące przekonanie, choć patrzył obok niej. - Nie chodzi
o twoją twarz czy ciało, które widzę, choć nie oczami. Tu w ogóle nie chodzi o
ciebie, tylko o mnie. Nie mogę ci niczego dać.

Inne dziewczyny nic ode mnie nie chciały. Jak myślisz, dlaczego z nimi byłem?

- Ja też niczego nie chcę. Roześmiał się.

- Sama nie wiesz, czego chcesz.

- A ty tak?

- O, tak. Doskonale to wiem. Domu. Rodziny. Mężczyzny, któremu będziesz gotować. Śmiechu w świetle księżyca i rozkoszy o świcie. Chcesz wszystkiego, Martho. I na to zasługujesz. Ale ja ci tego nie dam.

- Dlaczego? Bo nie widzisz?

- Bo nie wiem, dokąd zmierzam! Nie wiem, co zrobić z resztą życia. Nie umiem zadbać o siebie, a co dopiero o innych!

- O mnie nie musisz. Na wypadek gdyby to umknęło twojej uwagi, kobiety są wyzwolone od trzydziestu lat. Zasługa Betty Friedman, Glorii Steinem i tak dalej.

- Jasne, wiem z doświadczenia, jak to jest mieszkać z kobietą wyzwoloną! Moja matka przez to umarła.

- Ja nie umrę.

- Nie będę dla nikogo ciężarem. - Zaciskał usta w wąską surową linię.

Chciała zareagować, gdy za drzwiami rozpełtało się piekło.

- Nie wiem! Była tu jeszcze kilka minut temu!

- Czy nikt nie może jej upilnować?

- Chciała herbaty.

- Nawet nie włączyła palnika! Danny pokręcił głową.

- Martha idzie, a za nią kroczy chaos. - Wstał, podszedł od drzwi i je otworzył.

- Jest tutaj! - zawołał.

Kroki. Drzwi otworzyły się na oścież. Miller, Newson i dwaj inni łypali na nią groźnie. Dumnie zadarła głowę.

- Mogę w czymś pomóc, agencie Miller?

- Ma pani siedzieć swoim pokoju! - Spojrzał na Newsona. - Zabierz ją.

Posłała Danny'emu błagalne spojrzenie, który tego oczywiście nie widział.

Newson złapał ją za łokieć, szarpnął.

- Boli.

- Niech się pani cieszy, że nie oberwie mocniej - sapnął.

- Chwileczkę. - Danny podniósł rękę. - W porządku. Niech zostanie tutaj.

Miller pokręcił głową.

- To nie...

- Musicie wiedzieć, gdzie jest, tak? Będzie tutaj. Ze mną.

- Niby jakim cudem zdołasz ją upilnować, skoro nawet nie będziesz wiedział, że wyszła?

Danny zacisnął usta, odpowiedział chłodno:

- Będę wiedział. Zresztą nie wyjdzie, możesz mi wierzyć. Miller wodził po nich wzrokiem i nagle zrozumiał.

- To operacja federalna, a nie szkolna potańcówka. Danny się uśmiechnął.

- Nie będziemy tańczyć, słowo harcerza.

- Ona jest świadkiem w sprawie. Ty policjantem.

- Już niedługo.

- Nie możesz...

- Nie będę.

Miller spojrzał na nią.

- Da mi pani słowo, że stąd nie wyjdzie?

- Ma pan moje słowo. - I dodała pod nosem: - Jakby to było potrzebne.

Miller zachnął się z niesmakiem.

- Newson, ani kroku od drzwi. Jeśli zobaczę, że przysypiasz, urwę ci jaja.

- Tak jest. - Łypnął na nią wrogo. - Będę taką przyzwoitką, że popamiętają.

Martha zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Patrzyła na Danny'ego. Chwilę temu chciał się jej pozbyć, a teraz...

- Dlaczego to zrobiłeś? Westchnął, pokręcił głową.

- Nie wiem. Jeśli chodzi o ciebie, nie wiem, co robię i dlaczego. - Wskazał łóżko. - Wskakuj.

- Pod warunkiem że ty też. Zachnął się.

- Nie odpuszczasz.

Uderzyło ją to. Ależ owszem, odpuszcza. Zrezygnowała z tak wielu rzeczy - z młodości, z szansy na własne życie. Ale nie z niego. Podeszedł do fotela w kącie, swobodnie, pewnie.

- Będzie lepiej, jeśli prześpię się tutaj. - Usiadł.

- Dobrze. - Podeszła do fotela, opadła na podłogę u jego stóp i położyła mu głowę na kolanach.

Nie o to mu chodziło, o czym doskonale wiedziała. Ale nie protestował, tylko wplótł palce w jej włosy, odgarniał je z uszu.

- Jesteś uparta, Martho.

- W tym cały mój urok.

Danny się uśmiechnął i przeczesał palcami jej jedwabiste włosy. Wyobrażał sobie długie ciemne pasma; w jego wizji [sniły grantowo, ciemne i wieczne jak mrok, który go otaczał.

Rozdział 19

Plan schwywania Kokira był złożony. Wysłano nurków, żeby usunęli materiały wybuchowe, które mógł już zainstalować, i dwie ekipy poszukiwawcze - jedna tropiła go na lądzie, druga na wodzie.

Jedyny haczyk? Danny nie brał w tym udziału.

Dyskusja była krótka i zwięzła. Brakowało im ludzi, żeby ktoś go pilnował, a sam nie dałby sobie rady. Zawadzałby tylko.

Miller wygłosił ostateczną decyzję chłodnym, rzeczowym tonem. Parnell dodał miękko:

- Przykro mi, Danny.

Kokir będzie miał pełne ręce roboty i mało prawdopodobne, żeby usiłował zabić Marthę czy Danny'ego, więc zabrali wszystkich, poza Burdockiem, złym, że omija go akcja.

Danny znał plan na wylot i nerwowo włóczył się po domu, jak duch, zżerany poczuciem bezradności. Wiedział, kiedy nurkowie zejną pod wodę, kiedy wystartują helikoptery, kiedy do akcji wejdzie SWAT. Miał to wszystko w głowie, ale nie umiał przełożyć tego na rzeczywistość. Ciągle nie sprawił sobie gadającego zegarka, a nie chciał co chwila pytać Burdocka o godzinę. Agent dał sobie spokój. Już nie pilnował Marthy jak jastrzęb i swobodnie przemierzała się po całym domu. Danny wyczuwał jej zapach, kwiatowy ślad, który wydawał się nie na miejscu. Nie tu, nie w tych okolicznościach. Miał ochotę na nią nawrzeszczyć i kazać jej się wynosić. I jednocześnie chciał się do niej przytulić. Wyplakać na jej ramieniu, opłakiwać utracone życie i przyszłość.

To wszystko było mieszaniną niewiadomych. Musiał zdać się na innych. Zagubiony, mógł jedynie czekać.

Bez tłumy agentów dom wypełniała męcząca cisza. Tylko on i jego myśli. I Martha.

Niewiele mówiła. I dobrze. Siedziała tylko, krążyła nerwowo i wzdychała.

Co jakiś czas pytała:

- Dziesiąta. Co teraz robią? Albo:
- Kwadrans po północy. Co się dzieje?- Odpowiadał za każdym razem:
- Nurkowie się szykują. A potem:
- Czekają Jak my.

Czekanie było nie do zniesienia. Zesztywniał z napięcia. Podskoczył nerwowo, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

- To oni? - zapytała i usłyszał w jej głosie własne nadzieje i lęki.
- Miller nie dzwoniłby do drzwi - stwierdził Danny.
- Do sypialni - polecił Burdock. - Oboje. Usłyszał odgłos odbezpieczanej

broni.

- Już! - warknął Burdock. Martha położyła mu rękę na ramieniu.
- Nigdzie nie idę. - Serce waliło mu jak młotem, ale mówił spokojnie,

pewnie.

Dzwonek rozległ się ponownie.

- Na miłość boską chociaż ją stąd zabierz - syknął Burdock przez zęby.
- W porządku - odezwała się Martha. - Sama się zabiorę. - Jej zapach odda-

łał się wraz z jej krokami.

- Kto tam? - zapytał Burdock przez drzwi.
- Andrew Robard. Poznałem detektywa Sinofsky'ego podczas mitingu z gubernatorem w Domu Weterana.
- Jakiś asystent czy coś takiego - mruknął Danny. - Siedział koło mnie.

Drzwi się otworzyły.

- Nie mogę pana wpuścić - oznajmił Burdock.
- Dzwoniliśmy przecież. - Robard się zdenerwował, w jego głosie pojawił się pisk. - Nie otrzymał pan rozkazów?

- Nie.

- Cholerna biurokracja. Wysłał mnie gubernator. Chce, żeby ktoś tu był. Zależy mu, żeby wszystko się udało i detektyw Sinofsky wyszedł z tego cało.

Danny zacisnął zęby. Kolejna niańka.

- Nic mi nie jest. proszę mu to przekazać.

- Bardzo proszę - jęknął Robard. - Nie wiem, gdzie nawaliła komunikacja. Chciałem być na miejscu akcji, ale mi się nie udało. Pomyślałem, że poczekam tutaj. - Roześmiał się lekko. - Stracę pracę, jeśli nie będzie mnie z wami, kiedy wszystko się skończy.

Cisza. Danny wiedział, że Burdock się zastanawia.

- Sinofsky, jesteś pewien, że tam był? Danny wzruszył ramionami.

- Brzmi podobnie.

- Dobra, ale muszę mieć pana cały czas na oku.

- Nie ma sprawy, agencie...

- Burdock. Tony Burdock.

- Dziękuję, agencie Burdock. Doceniam, że pan to robi. Gubernator także, proszę mi wierzyć.

Cichy syk. Pyknięcie. Danny znał ten odgłos. Pistolet z tłumikiem. Rzucił się na ziemię.

- Co do cholery... Kolejny trzask.

Macał podłogę. Gładkie, chodne - parkiet. I nagle miękkie, szorstkie - dywan. Dotknął czegoś ramieniem. Fotela? Kanapy? Schował się za meblem.

- Burdock? Cisza.

- Robard? Cisza.

Jezu Chryste. Jest tu ktoś jeszcze?

Szelest ubrań. Krok. Nadstawił ucha. Z lewej. Rzucił się w prawo.

- Uciekaj, ile chcesz. 1 tak się nie ukryjesz. - Cichy, zabójczy szept. Robard. Jakies trzy metry od niego.

Jego umysł pracował tak szybko, że nie miał nawet czasu zastanowić się nad absurdem tej sytuacji. Jego jedyna nadzieja to wyrównać szanse. Obmacał mebel, za którym się ukrył. Kanapa. Wyobraził sobie pokój. Przesunął się w prawo, zacerpnął tchu i rzucił się na stolik. Lampa spadła z głośnym hukiem.

Padł strzał. Danny rzucił się w przeciwną stronę i po omacku czołgał do kuchni. Słyszał za sobą kolejne strzały.

Dom był stary, bezpieczniki mieściły się w schowku gospodarczym. Rozpaczliwie szukał właściwych drzwi. Otworzył je. Sunął dłońmi po ścianie. Pa

miętał, że skrzynka była po lewej stronie, ale gdzie dokładnie? Tracił bezcenne sekundy, wściekły na siebie i bezużyteczne oczy. Pchnął dźwignię z całej siły. Odwrócił się, ale za wolno. Coś go zapiekło w ramię, przeszył go ból. Rzucił się na ziemię, przetoczył i kolejna kula świsnęła mu nad głową.

Martha ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, gdy usłyszała huk. Drgnęła. Co to było? Szkło? Może Danny albo Burdock coś upuścili. Nikt jej nie powiedział, kto przyszedł, ale też w ogóle niewiele jej mówili, odkąd przyjechała.

Instynkt kazał jej się ukryć, upór podpowiadał, że warto zobaczyć, co się dzieje. Zastanawiała się jeszcze, gdy zgasły światła. Zaskoczona, otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz.

Tu także było ciemno. Cały dom spowijał mrok. Już otwierała usta, żeby zawołać Danny'ego albo agenta Burdocka, ale dziwny odgłos sprawił, że zastygła w bezruchu.

Pamiętała go z farmy. Strzały.

Krew zastygła jej w żyłach. Kokir? Jak to możliwe?

Serce waliło jej jak oszalałe, w pamięci zabrzmiały słowa ojca: „Uciekaj jak najdalej”.

Powoli osunęła się na ziemię i przywarła do ściany. Pełzła cichutko, aż zobaczyła cienie we frontowej części domu.

Dwaj mężczyźni stali po przeciwnej stronie salonu - niewyraźni, rozmazani w ciemności. Podeszła bliżej, zmrużyła oczy. Wydawało jej się, że widzi Danny'ego. Trzymał się za lewe ramię. Był tam ktoś jeszcze.

Ktoś z bronią

Zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła oddychać. Napastnik był drobny i niepodobny do Kokira. Niższy niż Danny. Kto to? Pytania wirowały jej w głowie, gdy zbliżała się do Danny'ego. Intruz celował, wymierzał pistolet w jego głowę.

- Danny! - krzyknęła bez namysłu. Obaj się odwrócili. Padł strzał, błyskawica rozjaśniła mrok, coś pchnęło ją do tyłu. Uderzenie, palący ból w barku. Siedziała ogłupiała, oszołomiona postrzałem.

- Martho! - usłyszała panikę w głosie Danny'ego. Krzyk jakby się od niej oddalał. - Martho. - Mrugała coraz szybciej, chcąc zachować przytomność. Czowała krew na koszuli. Mężczyzna z bronią był coraz bliżej.

Danny gramolił się w stronę, z której usłyszał krzyk. Martha nie odpowiadała. Wpadł w panikę. Bał się tak bardzo, że przez chwilę nie mógł się ruszać.

I nagle przypomniał sobie słowa Jake'a: „Pamiętasz szafę?” Zapomniał o strachu. Spokojnie. Słuchaj. Oczy są bezużyteczne, ale człowiek ma też inne zmysły.

Z ciemności nadpłynął głos:

- Kim... Kim jesteś? - Cichy, urywany, ale jej, Marthy. Ulżyło mu. Żyje.

- Szelem sztabu gubernatora Henleya - odparł grzecznie Robard. Danny usiłował go zlokalizować. Z przodu, po lewej.

- Czego chcesz?

Dobra dziewczynka. Niech mówi.

- Wygrać wybory, ma się rozumieć. - Szelest ubrań. Kroki przed nim. Korytarz. Strach o Marthę walczył z nadzieją. Jeśli Martha skupi na sobie uwagę Robarda, Danny ma szansę podkraść się bliżej.

- Nie... Nie rozumiem.

- Marcus Hanson, szef kampanii wyborczej, i jemu podobni durnie sądzą że, wybory wygrywa się statystyką ale to nieprawda. Liczą się bohaterowie. Ludzie tego chcą i ja im to dam. Thomas Henley, człowiek, który powstrzymał atak terrorystyczny. Wszyscy będą przerażeni, a gubernator ich ocali. I wygra. Nowy Giuliani.

- Gubernator wiedział o zamachu na Indian Point? - Zaniósł się kaszlem, ale w niskim, zmęczonym głosie usłyszał nutę niedowierzania.

- Skądże. Ja to zorganizowałem. I zadbałem, żeby wszyscy zamieszani zostali ujęci. Poza mną ma się rozumieć. A teraz zostało już tylko dwóch świadków.

- Nigdy przedtem pana nie widziałam. - Usłyszał jakiś ruch. Czyżby się cofała? W głąb korytarza? Dlaczego nie stoi? Wolał o tym nie myśleć. Ważne, że rozgrywała to genialnie. Robard będzie w wąskim holu, a on, Danny, odetnie mu jedyną drogę ucieczki.

Jeśli dotrze na czas. I jeśli się nie myli.

Skradał się, powoli, ostrożnie. Uważał, gdzie stąpa i omijał znane przeszkody. Dławił go strach - przed ciemnością, przed pomyłką. Ociekał potem, drżały mu ręce.

- No cóż, nieprzewidziane przeszkody - mówił Robard. - Bardzo mi przykro. Naprawdę żałuję, że musiało do tego dojść.

I wtedy zrozumiał, o co chodzi przeciwnikowi. Robard go drażni, prowokuje, żeby się ujawnił. Jeśli zagrozi Marcie, będzie musiał zaryzykować. I zdradzi swoje położenie.

Szelest ubrań, ruch. Robard coś robi...

Jęk Marthy.

- Nie, o Boże, nie!

Nie miał wyboru. Zaatakował, skulony. Uderzył w coś. Jęk. Padające ciało. Metaliczny brzęk, gdy coś upadło na podłogę. Broń? Martha krzyczała, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Walczył. Robard był drobny i gruby - za dużo kurczaków na wyborczych obiadkach. Nie przywykł do walki. Danny bez problemu powalił go na plecy i z całej siły kopnął kolanem w krocze. Skowyt bólu.

Robard usiłował go zrzucić, ale Danny usiadł na nim okrakiem. Znalazł szyję mężczyzny, zacisnął dłonie. Robard miotał się, machał rękami, uderzał w ramiona Danny'ego. Ten tylko silnie zacisnął dłonie.

Palce napastnika wpiły się w jego ramię, znalazły ranę. Wbiły się w nią. Teraz to on zaskowyczał z bólu. Rozluźnił uchwyt. Robard się wyzwolił.

Ruch. Wstaje? Przez ułamek sekundy nasłuchiwał w bezruchu.

Kopnięcie w żebra. No, to już wie. Rzucił się w tamtą stronę, ale objął tylko powietrze. Kroki. Biegną. Stają. Biegną. Co on robi, do cholery?

I wtedy sobie przypomniał. Upadająca broń. Robard szuka pistoletu. Jeśli go znajdzie, oboje, Martha i on, już nie żyją.

- Mam! Mam pistolet! - To Martha. Po jego lewej. - Ani... Ani kroku - rzuciła słabym głosem. Szukał jej po omacku. Siedziała oparta o ścianę. Dłonią znalazł jej talię, ramię, rękę z pistoletem.

- Martho! Wszystko w porządku?

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Nie wiem.

- Wytrzymasz?

- Spróbuję.

- Strzelaj, jeśli ruszy choćby palcem.

Danny poszedł do kuchni, szukał czegoś, czym mogliby związać Robarda. Miał tu gdzieś kiedyś linę, ale gdzie? Miał też dwie pary kajdanków, ale nie mógł ich znaleźć. Otwierał szuflady, nerwowo badał ich zawartość, ale znajdował jedynie ścierki, gumki, nożyczki. Wracał z nimi, gdy padł strzał.

Kolejna fala paniki. Rzucił się biegiem, ale niewidomi nie biegają więc zaraz zwolnił. Omijał meble, kierował się dłońmi. Powoli. Tak cholernie powoli,

- Martho. Martho!

Cisza. Myślał, że mu serce pęknie. Spokojnie. Musi być spokojny. Musi słuchać.

Kucnął. Dotknął mebla. Fotel. Z prawej czy z lewej?

Usłyszał cichy odgłos kroków. Czy Robard ma broń? Narastało w nim przerażenie, ale odepchnął je od siebie. Nie ma czasu na zastanawianie się, co oznaczał tamten strzał.

Czekał, aż kroki się zbliżą. Aż poczuje zapach potu napastnika.

- No chodź, wyłaź. - Piskliwy, drażniący głos Robarda.

Sam chodź, draniu. Te słowa cisnęły mu się na usta, ale wiedział, że zdradzą jego położenie. Kto by pomyślał, że ciemność okaże się jego sprzymierzeńcem?

Kroki po lewej. Powoli, cicho Danny przesunął się w prawo, żeby dzielił ich fotel. Zamarł w bezruchu. Wyciszył się, nasłuchiwał.

Z ciemności dobiegł syk - przerażony Robard oddychał głośno. Bliżej i dalej, bliżej i dalej.

Chwilę trwało, zanim Danny zdał sobie sprawę, co to oznacza. Robard się obraca, przeszukuje pokój wzrokiem.

Miał minimalne szanse, ale musiał zaryzykować. Jednym szybkim ruchem pchnął fotel. Trafił!

Rzucił się w tamtą stronę, wyczuł Robarda na podłodze, namacał dłoń z bronią i wykręcił mu nadgarstek, aż pistolet wypadł. Danny odepchnął broń, ale przy okazji wypuścił napastnika. Ten rzucił się w poszukiwaniu pistoletu. Danny złapał go za kostki, pociągnął na ziemię. Walczyli. Robard był górą. Tym razem to on zaciskał dłonie na gardle Danny'ego. Danny dusił się, tracił przytomność...

Macał nerwowo dokoła siebie.

Tylna kieszeń! Znaleźć tylną kieszeń.

Zacisnął palce na nożyczkach. Wyjął je. Resztkami sił wbił je w plecy Robarda.

Rozdział 20

Szpital okazał się koszmarem zapachów i dźwięków: środek dezynfekujący i stara kawa, klekot wózków na linoleum, skrzypienie gumowych podszew i głośne krzyki: „Prześwietlenie klatki!”, „Intubacja!”, „Badania i na salę!”

Cały czas miał je w uszach, gdy lekarz dezynfekował i bandażował mu ranę.

- Wiadomo coś o kobiecie, którą przywieziono razem ze mną? — Przełknął. Mówił dziwnym, zduszonym głosem.

- Postrzelona?

- Tak.

- Na razie nic nie wiadomo. Operują.

Jego żołądek fiknął salto. Jakby w odpowiedzi ktoś w końcu korytarza głośno zwymiotował.

- Wygląda na to, że się panu udało, detektywie. - Lekarz poklepał go po zdrowym ramieniu, nieświadom ironii. - Muszę lecieć. Jeśli się czegoś dowiem, dam znać, co z pana przyjaciółką. - Zgrzyt kółek zasłonki.

Gdzieś rozplakało się dziecko - przeraźliwa syrena, która przewiercała mu mózg.

- Może gdzieś usiądziemy i jeszcze raz wszystko mi opowiesz? - zaproponował Mike. Parnell go wysłał, żeby dokonał oględzin domu i zwłok, Robarda i Burdocka. Zjawił się pół godziny temu, spięty i nerwowy. - Zaraz zobaczę, czy uda mi się coś znaleźć - powiedział i zasłonka ponownie się rozsunęła.

Wrócił po kilku minutach. Zabrał Danny'ego z dala od szlochów i jęków, szelestu ubrań, gorzkiego zapachu środków dezynfekujących. Szli korytarzem. Chorą ręką dotykał ściany, drugą wyciągnął przed siebie, żeby uniknąć zderzenia z wózkami, noszami, ludźmi.

- W prawo - polecił Mike. Wyczuł pustkę, czyli otarte drzwi. Wszedł. - Poczekalnia na wydziale chirurgii. Nikogo nie ma. Siadaj. - Mike ciągnął go za zdrowe ramię.

- Chwileczkę. Jak już mnie prowadzisz, zrób to porządnie. Ty idziesz, ja się trzymam. - Ustawił Mike'a koło siebie. - Podaj mi ramię. - Mike usłuchał i Danny chwycił go tak, jak go uczyła Martha, tuż powyżej łokcia. - Teraz zaprowadź mnie do krzesła.

Pokonali bez trudu kilka kroków.

- Fajne - stwierdził Mike. - Jak spacer po parku. Dlaczego wcześniej mi tego nie pokazałeś?

Nie pamiętał. Wszelkie potyczki dumy i upokorzenia wydawały się teraz idiotyczne.

- Fotel, Mike.

- Ach, tak. Po prawej. Pusty.

Danny namacał rząd plastikowych siedzeń. Usiadł.

- Od początku. Wszystko, co się wydarzyło - zarządził Mike. Danny powtórzył opowieść po raz trzeci.

- Sam wiem, jak to brzmi, ale Robard twierdził, że zorganizował sfingowany atak terrorystyczny na Indian Point, żeby gubernator wygrał wybory - zakończył.

- I nie przypominasz sobie, że go widziałeś przed... No wiesz, przed tą sprawą ze wzrokiem?

Zanim odpowiedział, rozdzwonił się telefon Mike'a. Rozłączył się po krótkiej rozmowie.

- Mają Kokira. - W jego głosie pojawiła się szorstka satysfakcja. Fala ulgi. Teraz to już nieważne.

- Żywego?

- Tak, porucznik mówi, że zaraz tu będzie.

Zaczęło się czekanie. Po kolei wchodzili koledzy z wydziału. Bayliss pierwszy zmierzył się ze szpitalnym labiryntem w poszukiwaniu Danny'ego.

- Co z tobą, Sin?

Nie powie mu przecież, że umiera ze zmartwienia. Bezpieczniej schować się za swobodną gadką.

- Nie śpimy jeszcze, sierżancie? - zapytał.

- Upewniam się, że moi chłopcy są cali i zdrowi. - Szczerłość tych słów stopiła lodowaty strach.

Po chwili weszli kolejni, Dave Marcal i Joe Klimet.

- Cześć, Sin-przywitał się Marcal.

- Świetnie wyglądasz - dorzucił Joe.

Przysiedli gdzieś i umilkli. Nie musieli rozmawiać. Wystarczyło, że tu byli.

A jednak ciągle pozostawała kwestia zdrady. Czy wsypał jeden z nich? I to nie raz, lecz dwa?

Z drugiej strony, za drugim razem nie trzeba było sypać. Przecież właśnie o to chodziło - o upublicznienie jego powrotu.

W takim razie dlaczego on sobie tu siedzi, a Martha walczy o życie? Poczł, że drżą mu ręce, zacisnął pięści, żeby je uspokoić. To koszmar na jawie.

Nie wiedział, jak długo tak siedział, pocąc się w milczeniu. I wtedy przyszedł Hank Bonner. Bayliss wyszedł, gdy zjawili się Dave i Joe, teraz oni wstali. Wiedział, co robią. Zmiana szpitalna. Grupa wyczekująca. Jedno z dziesięciu przykazań służb mundurowych - nie zostawiaj rannego oficera samego w szpitalu.

Ale Hank nie przyszedł pocieszać.

- Znaleźli samochód - zaczął. - Policja na Florydzie zatrzymała wczoraj Beę. Wygląda na to, że ktoś szantażował Anitę. Groził, że zabije jej córkę, jeśli nie powie, gdzie jesteś.

Chwila ciszy. Nie mógł w to uwierzyć.

- Anita sypała?

- Na to wygląda.

Milczenie. Bo co tu można powiedzieć?

- Bea mówi, że była załamana po napadzie na farmę. Ty nie wiadomo gdzie, Tim ranny...

- A czego się spodziewała? - Zachnął się.

- Nie wiem, Sin. W takiej sytuacji... Może sobie wmawiała, że wszystko będzie dobrze. Ale nie było. Mówiła Bei, że dłużej tego nie wytrzyma i dlatego wysłała siostrę z małą. I pewnie dlatego zaliczyła kulkę.

Danny'ego ogarnęła wściekłość, nie wiedział na kogo - na Anitę czy jej zabójcę.

- Kokir się przyznał?

- Jeszcze nie. Porucznik nad tym pracuje.

Przetarł twarz dłonią. Ramię bolało go jak diabli, ale wszystko - rana i przeciek, cała sprawa, wszystkie tajemnice - traciło znaczenie w porównaniu z najważniejszym. Kiedy będzie wiadomo, co z Martha?

- Mike, dowiedz się, czy już coś wiadomo...

- Chryste! Co ty tu robisz? - Charlie Crowe wpadł do pokoju jak burza na kółkach. - Mało ci jeszcze?

Mike się poruszył.

- Spokojnie, panie Crowe. Detektyw Sinofsky uratował życie pańskiej córce.

- Nie wciskaj mi tych bzdur. To przez niego tam leży. - Ochryply głos się załamał. - Obiecałeś. Obiecałeś, że nic jej się nie stanie.

Danny czuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy. Coś go ścisnęło w gardle.

- Wiem. Ja... - Obliznął usta. Nie mógł oddychać, jakby płuca odmawiały mu posłuszeństwa. - Przykro mi...

- Przykro ci? Wiesz, że mnie zostawiła? - W głosie Charliego była najprawdziwsza rozpacz. - Bez samochodu, bez możliwości powrotu do domu. Zostawiła mnie, bo jechała do ciebie!

- Wiem - powiedział cicho. Obawiał się, że inaczej nie zapanuje nad głosem. - To nie był mój pomysł.

Hank wpadł mu w słowo.

- Może kawy, panie Crowe?

Charlie nie zwrócił uwagi na detektywa. Zbliżał się do Danny'ego. Był tak blisko, że Sin czuł jego ciepło, jego gniew.

- Myślisz, że na to zasłużyłeś? Na nią?

Te słowa były jak policzek. Danny się wzdrygnął.

- Nie.

- No właśnie.

- Spokojnie, Crowe - wtrącił się Mike.

- Zamknij się, do cholery! Nie z tobą rozmawiam. Danny pojednawczo podniósł rękę.

- W porządku, Mike. Niech powie, co mu leży na sercu.

- Trzymaj się od niej z daleka - warknął Charlie. Przepaść w sercu Danny'ego się pogłębiła.

- Taki mam zamiar.

- Co tu jeszcze robisz?

- Muszę wiedzieć, czy z tego wyjdzie.

- Nic nie musisz. Nie masz tu nic do roboty.

- Zatrzymaliśmy podejrzanego - wtrącił się Hank. - Detektyw Sinofsky zabił mężczyznę, który postrzelił pańską córkę.

- Świetnie. W takim razie nie ma powodu, żeby oni i inni gliniarze kręcili się koło mojej Marthy. Wynocha stąd, wszyscy!

Danny siedział sztywno, jakby się obawiał, że przy najmniejszym ruchu rozpadnie się na kawałki. Ale Charlie chciał od niego dokładnie tego, co sam zapowiedział Marcie.

Tylko że w gdzieś w głębi duszy rodziło się w nim przekonanie, że odejście to nie to, co powinien dla niej zrobić. Robi to dla siebie, postępuje samolubnie. Ucieka, porzucają Przeszył go dreszcz.

Ale już postanowił.

- Pod jednym warunkiem, Charlie. Mike nie wytrzymał.

- Sin, nie pozwól, żeby ten facet cię...

- Żadnych warunków.

- Chcę wiedzieć, czy... - Urwał, słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

- Czy z tego wyjdzie. Czy będzie zdrowa. Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, zadzwoni Mike. Ale nie wyjdę, dopóki mi tego nie obiecasz.

Długa, męcząca cisza. Czyjś zegarek tykał głośno. Ktoś poruszył się na krześle.

- Dobra - warknął Charlie. - Ale dzwoniś do mnie, jasne? Jeśli z tego wyjdzie, nie zbliżasz się do niej. Słyszysz? Bo słuch masz w porządku, co?

- W jak najlepszym.

Mike zawiózł go na posterunek i wprowadził do budynku, do znanego pomieszczenia. Na razie świeciło pustkami, telefony milczały, nikt nie rozmawiał z podejrzanymi, nie spisywał zeznań. Ranna zmiana jeszcze się nie zaczęła.

Mike podprowadził go do jego biurka. Danny namacał fotel.

- Zobaczę, gdzie jest porucznik.

Danny wdychał znajomy zapach. Kurz, atrament, pasta do podłogi. Pot i stary tłuszcz z kanapek. Chłonał go jak tonik, jak bezcenną miksturę sukcesów i porażek, braterstwa i bliskości. Już za nim tęsknił.

Coś go ścisnęło w gardle, ale odgłos kroków przerwał łzawe rozmyślenia.

- Danny - odezwał się Parnell. - Jak się trzymasz?

Miał już dosyć tego pytania. Kogo to obchodzi? Martha jest ważniejsza.

- Dobrze.

- A ona? Mike mówi, że ją operowali, kiedy wyjeżdżaliście. Skinał głową.

- Tak.

Cisza. Miał dziwne wrażenie, że Parnell mu się przygląda. Po raz pierwszy tego zaznał, gdy był dzieckiem - Parnell świdrujący go tym wszechwiedzącym wzrokiem i czekający, aż wyrzucisz z siebie to, co tak bardzo chcesz przed nim ukryć.

Ale na ślepca to nie działa. Danny się odwrócił.

- Co z Kokirem?

Coś zaszurało po podłodze. Krzesło? Parnell usiadł z cichym **sięknięciem**.

- No cóż, nie jest zbyt rozmowny. Ale wysłałem ludzi do Dutchman, do barmana, Murraya Potts. Rozpoznał Robarda na zdjęciu. Z jego zeznań wynika, że Kokir i Robard spotykali się właśnie tam. Między innymi tego wieczoru, kiedy oberwał w głowę. Potts był... no cóż, niezbyt chętny do współpracy, ale w końcu przyznał, że to Kokir zaczął tamtą bójkę. To on cię uderzył.

Wróciła tamta noc, już nie jak poprzednio, w technikolorze, ale powoli, klatka po klatce. Skoro Robard odwiedzał Kokira w Dutchman, schodził do baru w drodze do drzwi. I weszli prosto w policyjną zasadzkę. Rozróżba z policjantem to ostatnie, na co mieli ochotę, więc kiedy Danny się odwrócił, Kokir wszczął bójkę i wyszli niezauważeni.

- Dlatego mnie szukali. Bali się, że ich rozpoznam.

- Na to wygląda.

- Jezu. Niby jak? Nawet gdybym odzyskał wzrok...

- Chyba nie chcieli do końca życia co chwila oglądać się za siebie. Łatwiej było cię sprzątnąć. W pokoju Kokira znaleźliśmy plany magazynu McClanahana, więc wszystko wskazuje na to, że to on załatwił T-Bone'a.

Dannym wstrząsnął dreszcz, niepozobawiony ironii. Wszystko dlatego, że mógł coś zobaczyć, kiedy jeszcze widział. Gdyby teraz odzyskał wzrok, czy zdołałby ich zidentyfikować? Ale nie widzi. I nikogo nie rozpoznaje. Jeśli Martha umrze... zginie na darmo. Bez powodu.

Łzy dławily go w gardle. Bez powodu, nie licząc jego beznadziejnych ślepych oczu.

Poczuł rękę na ramieniu.

- To nie twoja wina, Danny. - W głosie Parnella pojawił się łagodny, ojcowski ton.

Skinął głową, odchrząknął.

- Pewnie. Wiem. Tak wyszło. Czyste fakty.

Pameli nie odpowiedział. Pewnie w to nie wierzył. Jak Danny.

- Chciałbym cię prosić o coś jeszcze - powiedział po chwili. Danny usiłował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu krzywy grymas.

- Mój karnecik jest czysty.

- Chodzi o informatora. Może rozpoznasz głos. Parnell się poruszył, coś brzęknęło.

- Mike, włącz taśmę. - Telefon. Sięgał po telefon. - Zobaczymy, czy Danny rozpoznaje głos.

Danny wstał i po raz drugi tego dnia uczył kogoś, jak ma go prowadzić. Mike nie skomentował. Parnell załapał szybko i po chwili znaleźli się w pokoju przesłuchań.

- Już? - zapytał Mike, kiedy usiedli.

- Dawaj.

Trzask wciskanego guzika i Danny usłyszał nagranie.

- Puszczę jeszcze raz. - Mike już cofał taśmę.

- Nie musisz. To Robard. Poznałbym ten głos wszędzie.

Potwierdził to, co już podejrzewali. Robard oszukał partnera. Zamach na Indian Point od początku był pułapką. Chorym trikiem, mającym przysporzyć głosów w przegranej kampanii.

- Skąd wziął pieniądze na takiego fachowca jak Kokir? - zastanawiał się Mike. - Skąd w ogóle o nim wiedział?

- Już sprawdzają fundusze wyborcze - wyjaśnił Parnell. - Pewnie stamtąd. A jeśli chodzi o kontakt z Kokirem, gubernator odpowiada za bezpieczeństwo

stanu i przez jego biuro Robard miał dostęp do najróżniejszych baz danych. Stał już łatwo.

- Myślisz, że Henley o wszystkim wiedział? - zapytał Mike. Danny wzruszył ramionami.

- Robard twierdził, że nie. Że to wszystko jego robota.

- Ktoś w to uwierzy?

- Pewnie nie - stwierdził Parnell.

Mike zadzwonił do szpitala z samochodu, w drodze do domu. Martha przeżyła operację. Ciężar na sercu Danny'ego zelżał odrobinę.

- Nic jej nie będzie, zobaczysz - zapewnił Mike. Danny milczał, za bardzo się bał, żeby mieć nadzieję.

- Słuchaj, u ciebie ciągle jest bałagan. Zawiozę cię do Beth.

- Nie - powiedział szybko. Za szybko. Nie był jeszcze gotów na spotkanie z Beth. - Dzisiaj prześpię się u ciebie na kanapie. A jutro, jeśli Parnell pozwoli, ściągnę ekipę sprząającą Ale muszę coś zabrać. Z domu.

- Co?

Danny głęboko zaczerpnął tchu.

- Laskę - odparł.

Rozdział 21

Zakwitły bzy. Martha otworzyła okno w sypialni i zapach wpadł do środka wraz ze słońcem. Opadła z powrotem na posłanie, rozejrzała się po pokoju, rozkoszowała się jego surowością. To wszystko było takie nowe. Własny dom, własne meble, własne sprzęty. Nawet teraz, po dwóch miesiącach od przeprowadzki, nie mogła się przyzwycząić.

I nie była to jedyna rzecz, do której nie mogła się przyzwycząić. Kolejna? Fakt, że żyje. Dalej? To, że już nie leży w szpitalu. Uczyła się z tego cieszyć. Wierzyć, że to prawda, a nie sen, marzenie, które się nigdy nie spełni.

Uśmiechnęła się, wdychając zapach wiosny. Przeciągnęła się leniwie. Ciało usłuchało. Nie licząc blizn i chwil bólu przy złej pogodzie, nic jej nie przypominało tamtych wydarzeń.

Zerknęła na zegarek na szafce przy łóżku. Wpół do dziesiątej. Ale się dzisiaj leni. I dobrze. Jest szczęśliwa. Dlaczego? Odetchnęła głęboko. Słońce, bzy, wiosna. Czyż to nie są wystarczające powody?

Odrzuciła kołdrę i wstała. Obiecała, że sprawi sobie dzisiaj jakąś przyjemność. Może lunch w ogrodzie niedaleko Lilly Ridge? Wycieczka do Cloisters? Zakupy w Rhinebeck? Rejs po Hudson?

Zatrzymała się w pół drogi do łazienki. Zasada była jedna - musi zrobić coś, czego jeszcze nie doświadczyła. A po rzece już pływała. Było wtedy ciemno i zimno, i bardzo niebezpiecznie. Z drzeniem serca powitała wspomnienia. Danny w świetle księżyca, ciemne rzęsy, z których zwisały krople deszczu. Ślepe oczy - bystre i porywające.

Odetchnęła. Czy kiedyś zapomni?

Zabawne, jak wspomnienia atakują znienacka. A przecież zapamiętała niewiele z najbardziej traumatycznych chwil w życiu. Pamiętała, jak Danny powiedział, żeby strzelała, jeśli Robard się poruszy, a potem mglisty dreszcz, jakby miała zaraz zemdleć. Czy się poruszył? Pewnie tak. Parnell przypuszczał, że walczyła z nim o broń, i wtedy strzelił. Nie wiedziała. Następne, co pamiętała, to jak się ocknęła na szpitalnym łóżku, pod respiratorem. Charlie chrapał obok.

Minęło tyle miesięcy, tyle nocy wypełnionych sennymi koszmarami, tyle obaw, że już nigdy sama nie odetchnie, tyle bólu. Danny nie przyszedł ani razu. Nie przysłał nawet kartki, kwiatów, czekoladek. Ból fizyczny mieszał się z innym cierpieniem, ale kiedy usiłowała dyskretnie wypytać Charliego, praktycznie się na nią rzucił.

- Żyje. I jest w dużo lepszej formie niż ty. Nigdy więcej nie wymieniam przy mnie jego imienia.

Nie miała siły walczyć, nie wtedy w każdym razie. Mijały tygodnie, odzykiwała siły, a Danny nadal się nie odzywał. Ukryła ból na dnie duszy i nie pytała. Gdyby chciał się z nią spotkać, wie, gdzie jej szukać.

Wypisali ją ze szpitala tuż przed Świętem Dziękczynienia. A po Nowym Roku wróciła do pracy. Ale nie mogła się tam odnaleźć, wszystko ją drażniło. Mały kantorek wydawał się duszny i zakurzony, nie była w stanie przekroczyć progu szpitala. Denerwowali ją kursanci w szkole dla niewidomych i prywatni pacjenci. Kłóciła się z Charliem o wszystko - o nie-umytą szklanę, buty nie na miejscu. Jakby zrzucała starą skórę.

Kiedy zaczynała się dusić, zaczęła jeździć, zwiedzała okolicę. Którejś soboty mijala mały domek, przed którym tkwiła tabliczka „Na sprzedaż”. Był naprawdę mały, jakieś sześćdziesiąt metrów, jak się później dowiedziała. Ale miał mały ganeczek i wieżyczkę, a pod oknem sypialni rósł bez.

Zatrzymała się i patrzyła. Serce waliło jej głośno, w uszach miała głos Danny'ego: „Tak sobie mieszkacie... Stara panna i jej ojciec”.

Tak, właśnie tak. Do tej pory. Miała już tego dosyć. I to bardzo.

Nigdy w życiu nie zrobiła niczego spontanicznie, ale teraz jeszcze tego samego dnia złożyła ofertę kupna. Przed końcem tygodnia domek był jej.

Obawiała się, że czeka ją awantura z Charliem, ale nie dość, że służył wsparciem, to był bardzo zadowolony.

- Najwyższy czas, do cholery! - huknął. - Tylko zapraszaj mnie na kolację. Mogę nawet nie palić.

Uśmiechnęła się. Nagle miała łzy w oczach.

- Dziękuję - powiedziała.

Charlie odchrząknął, poklepał jej dłoń.

- Nie, mała Martho. To ja dziękuję.

Nadal nie dawał jej spokoju i swatał ją z Arniem Gouldem. I ku swemu zdumieniu zgodziła się z nim umówić. Był miły i nieśmiały. Wiedziała, że mogłaby trafić gorzej. Ale kiedy na niego patrzyła, jej serce nie biło szybciej, żołądek nie ścisnął się nagle. Jak mogłaby być szczęśliwa z kimś, kto nie budzi takich emocji?

Miesiąc po przeprowadzce siedziała w kafeterii z podopiecznymi i drugą rehabilitantką. Rozmawiali o planach na weekend. Ktoś zapytał, co robi.

- Jadę na Hawaje. - Zamrugła. Skąd się to wzięło? Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że wybiera się na Marsa.

Podopieczni jęknęli zazdrośnie.

- Na jak długo? Na weekend? - zapytała koleżanka. Martha odłożyła widelec.

- Nie, na dwa tygodnie. - Przelknęła. - A właściwie na miesiąc. - Co się z nią dzieje?

- Świetnie. Nie wiedziałam, że się wybierasz na urlop.

- Bo się nie wybieram - powiedziała powoli.

- Nie? - Koleżanka wydawała się równie zagubiona jak ona. I wtedy do niej dotarło.

- Nie. Ja... odchodzę z pracy.

- Co?

Sapnęła głośno i nagle się roześmiała. Powiedziała to, uwolniła dzina z butelki.

- Odchodzę z pracy.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. - Zachichotała. - Naprawdę nie wiem. Po prostu... Po prostu odchodzę. - Zabrała tacę, odniosła do okienka i wyszła.

Takie głupie, takie niepraktyczne, tak bardzo nie w jej stylu.

Minął miesiąc, ale nie dotarła na Hawaje. Za bardzo pochłonęły ją zakupy, wycieczki i ogród. Przede wszystkim ogród.

Godzinami babrała się w ziemi i chłoneła słońce tak samo jak rudbekie, które zasadziła. Kochała ich złote płatki i ciemne oczy. Były jak ona, wysokie i wiotkie, może mało eleganckie, ale wyraziste.

W lecie zasadzi bratki, geranium płożące różem i jeszcze lwie paszcze. A za rok - irysy i tulipany.

Nadal ją to bawiło. Wstawiała, kiedy chciała. Niczym się nie przejmowała, sprawiała przyjemność tylko sobie.

Niedługo będzie musiała pomyśleć o pracy. Nigdy dużo nie wydawała, ale i tak oszczędności nie wystarczą na zawsze.

Na razie jednak nie chciała o tym myśleć. Pragnęła tylko rozkoszować się słońcem, wyznaczyć rabatkę pod różę, a później pojechać tam, gdzie jeszcze nigdy nie była.

Otworzyła szafę, ciągle na nowo zaskoczona, że nie wisi w niej monotonna kolekcja luźnych spodni i tunik w brązach, szarościach i granatach. Nie żeby nagle stała się boginią seksu, ale odważyła się na wyprawę do butik, oddała się w ręce ekspedientki i wyszła z ciuchami, za którymi nie mogła się ukryć. W jej szafie pojawiły się nawet zwiewne sukienki i spódnice. Pewnie, nadal jest chuda jak patyk i ma wielkie stopy. Ale ma też krągłości, które nie tak dawno ktoś polubił.

Czas, żeby zrobiła to i ona.

Włożyła obcisłe dżinsy, wciągnęła białą koszulkę bez rękawów, wsunęła stopy w ulubione japonki, tak zużyte, że idealnie dopasowały się do jej stóp. W kuchni o żółtych ścianach, zalanych słońcem, westchnęła radośnie. Może i jest starą panną, ale żyje na własny rachunek. Po swojemu.

Nastawiła wodę na herbatę, włożyła kromkę chleba do opiekacza i wyjęła masło jabłkowe, które w zeszłym tygodniu kupiła w Apple House, sadzie rodzi-ny Hanka Bonnera. Zabrała śniadanie na patio. Zanim wyszła, porwała kapelusz i pomachała nim do Freda Wistera, sąsiada - starszego pana, który pielął swój trawnik.

Malutki stolik i krzesła z kutego żelaza kupiła na wyprzedazy garażowej. Stały w cieniście zakątku. Usiadła, wbiła zęby w grzanekę i przyglądała się tarasowi, planując, gdzie posadzi pnące różę.

- Ciągle używasz tego zapachu.

Odwróciła się gwałtownie. Upuściła grzanekę, zrzuciła filiżankę. Otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

Danny opierał się o laskę i wpatrywał w przestrzeń.

- Kot odgryzł ci język? O nie, zapomniałem. Nie lubisz kotów. Nadal milczała. Czekał. Gapiała się.

- Jesteś tu? Sąsiad mówił, że tak, ale nie chciałbym okazać się kolejnym ślepcem, który gada w pustkę.

Otrząsnęła się.

- Jestem.

- Mogę wejść?

- Tak... tak, oczywiście. Uważaj, stopień...

On jednak już go wyczuł laską i sprawnie pokonał. Miała w głowie tysiące pytań. Gdzie był? Dlaczego zniknął? Co się z nim działo? Ale jedno nie dawało jej spokoju i zadała je najpierw:

- Co tu robisz?

Szedł w jej stronę, sprawnie badał laską podłogę. Uderzył nią w krzesło, podszedł bliżej, wyczuł je, usiadł. Wszystko to jednym, płynnym ruchem.

- Chciałem się z tobą zobaczyć.

- Ze mną? - zapiszczała. Coś jej się stało w gardło. Nagle zmieniło się w Saharę. Język był jak papier ścierny.

Danny miał poważną minę.

- Chyba że jest tu ktoś jeszcze. Oddychaj, dziewczyno, po prostu oddychaj.

- Nie... tylko ja.

Skinął głową. Odprężył się.

- To dobrze.

Co powiedzieć? Co zrobić?

- Może... - Odetchnęła głęboko. - Napijesz się herbaty? Uśmiechnął się lekko.

- Pod warunkiem że dołączysz do niej pół butelki whisky. Whisky? Czyżby zaczął pić? Nie wyglądał na pijaka, wyglądał

kwitnąco. Aż za kwitnąco jej zdaniem. Miał na sobie jasny garnitur i czarny podkoszulek. Nigdy dotąd nie widziała go w garniturze. Leżał na nim świetnie. Danny miał szerokie ramiona i wąskie biodra. Odwróciła wzrok. Zabrakło jej tchu. To nadal mężczyzna jej marzeń.

- Trochę za wcześnie na procenty, nie uważasz? Wzruszył ramionami.

- Czasami trzeba.

- Trzeba? - Najeżyła się. Nikomu nie trzeba whisky o dziesiątej rano. - Niaby dlaczego?

- Dla kurażu.

To ją zaskoczyło. Wbiła wzrok w dłonie, jakby tam szukała natchnienia, co powiedzieć.

- Tak bardzo cię przerażam? Nic dziwnego, że długo się nie odzywałeś.
- Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz.

Uniosła głowę, przewierciła go wzrokiem, czego oczywiście nie zauważył.

- Nie, nie wiem. Nie rozumiem. Byłam w szpitalu. Mało nie umarłam. A ty...

- Codziennie o ciebie pytałem.
- Kogo? Dlaczego nikt mi nie powiedział? Poruszył się niespokojnie.
- Nie mogę powiedzieć. Ale pytałem. Codziennie.
- Dlaczego mnie nie odwiedziłeś w szpitalu? Odchrząknął, zasłaniając usta

dłonią.

- Ja... nie mogłem.
- Dlaczego? Zawahał się.
- Z wielu powodów. Nie było mnie tu, po pierwsze. Zaskoczył ją
- Nie było cię tu? A gdzie byłeś?
- W Wirginii. Mają tam szkołę dla niewidomych. Uczyłem się przez trzy

miesiące. - Spojrzał w jej stronę. - Smażę teraz fantastyczne omlety.

Uniosła głowę. Nie była w nastroju do żartów.

- Więc wróciłeś... zaraz, cztery miesiące temu? Dlaczego przyszedłeś akurat dzisiaj?

- Przyniosłem ci prezent na nowe mieszkanie. Rozejrzała się. Nie miał pudełka ani torebki. Grał na zwłokę.

- Dlaczego tu przyszedłeś?
- Powiedziałem ci...
- Mogłeś wysłać go pocztą.
- Nie ten prezent. - Wyjął z kieszeni skrawek papieru i położył na stole.
- Co to jest?
- Twój prezent.

Podniosła go. Adres w Kalifornii, numer telefonu.

- Nie rozumiem. Czyj to adres?
- Twojej matki.

Oddechnęła głośno i upuściła arkusik, jakby parzył.

- Jestem dobry w komputerach. Mogę właściwie wszystko. Zabezpieczenia, hakerzy, oszustwa, zmiany tożsamości... Ja... - Zawahał się, ale słuchała go jednym uchem. Ciągle myślała o tym, co powiedział. „Twojej matki”. - Rozważam, czy nie założyć własnej firmy detektywistycznej. Przepiękne sprawy sieciowe. Może Mike albo Jake... - Urwał, jakby zdał sobie sprawę, że go nie słucha. - Jesteś tu?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz niczego robić z tym adresem. "Chyba że zechcesz - stwierdził cicho, miękko. - Ale ona chciałaby się z tobą spotkać.

Powróciły lata urazy.

- Wiedziała, gdzie mieszkamy. Skoro chciała się spotkać, dlaczego tego nie spróbowała?

Danny obrysował palcami zdobienia na stole.

- Różnie w życiu bywa. Czasami ludzie potrzebują czasu, żeby dorosnąć. Pogodzić się z tym, co zrobili.

- Mówisz o niej czy o sobie? Uśmiechnął się, ale był w tym smutek.

- O obojgu. - Podniósł głowę. Patrzył mniej więcej w jej stronę. - Była zawstydzona. Płakała, kiedy jej o tobie mówiłem. Dzwoniłem wiele razy, zanim się zgodziła, żebym ci przekazał jej dane.

- Mam nadzieję, że nie liczy na rodzinne pojednanie.

- Szczerze mówiąc, nie liczy nawet, że zadzwonisz. Ale pomyślałem, że może pewnego dnia zechcesz to zrobić. I teraz masz taką możliwość.

Wstał.

- Chwileczkę. Dokąd? Wskazał ręką za siebie.

- Wóz patrolowy przyjedzie po mnie za... - Musnął palcem zegarek. - Za dziesięć minut. - Prowadzę tajnych informatorów na wydziale i dwa razy w tygodniu wykładam kryminalistykę.

- I już? Zjawiasz się nagle po ośmiu miesiącach, dajesz mi adres matki i uciekasz?

Podrapał się kciukiem w kącik ust.

- Ja...

- Czego chcesz, Danny? Po co naprawdę przyszedłeś?

- No... to jasne. Twoja matka. Chciałem...

- Nie. Przyszedłeś fu. Osobiście. Po ośmiu miesiącach. Dlaczego?

- Mówiłem ci.

- Dlaczego, Danny?

Roześmiał się niepewnie.

- Gdzie ta whisky?

- O, nie. Jesteś zdany na siebie.

- Jezu! Prawie zapomniałem, jaka jesteś uparta. Czekala z bijącym sercem.

- Tęskniłem, w porządku? Chciałem się przekonać, czy może, przypadkiem, ty też.

W tych słowach była nadzieja i rozpacz. Ale tęsknić mógł za przyjacielem, a nie tym, kim chciała dla niego być.

- Gdyby tak było, nie potrzebowałbyś ośmiu miesięcy, żeby się zorientować.

- No dobra. Jezu! - mruknął. - Dobra. Nie zorientowałem się po ośmiu miesiącach. Ale na Boga, Martho, przeze mnie mało nie zginęłaś. Co miałem robić, czepiać się twojej spódnicy i modlić się, żebyś się mną zaopiekowała?

- Nie miałabym nic przeciwko kilku modlitwom.

- Myślisz, że się nie modliłem? Myślisz, że świadomość, że przeze mnie jesteś w szpitalu, nie była jak nóż w sercu? - Wydawał się nieszczęśliwy. I dobrze.

- Nie przez ciebie, tylko przez Robarda. Ale ciebie nie było przy mnie później.

Zacisnął usta.

- Nie będę o tym rozmawiał. Wiem, co zrobiłem, a czego nie.

- A teraz, kiedy jestem zdrowa, możesz odetchnąć spokojnie?

- Nie do końca.

- Więc po co tu przyszedłeś?

- Już ci powiedziałem. - Starał się pohamować zniecierpliwienie. - Słyszałem, że się przeprowadziłaś. Chciałem dać ci prezent. Coś, co sprawi, że twoje życie będzie... Pełniejsze.

- Moje życie jest wystarczająco pełne. I nie chcę prezentów. Nigdy niczego od ciebie nie chciałam.

- To nieprawda. Taką przynajmniej mam nadzieję. Zamrugala szybko.

- Tak?

Na ulicy zatrąbił klakson. Danny skorzystał z okazji.

- Słuchaj, muszę lecieć.

- O, nie. Nie uciekniesz znowu. Rozgniewala go.

- Nie uciekłem.

- Ja tak to odebrałam.

- Do cholery, nie rozumiesz? Odszedłem, żebyś mogła wyzdrowieć, nie przejmując się mną. Odszedłem, żebym i ja doszedł do siebie. Żebym mógł się nauczyć o siebie zadbać. Odszedłem, bo obiecałem twojemu ojcu... - Urwał w połowie, sposepniał.

- Co?

Klakson zatrząbił ponownie.

- Jezu. Nic takiego. Zapomnij o tym. To był kiepski pomysł. - Odwrócił się i poszedł do furtki.

Obserwowała go, myśląc intensywnie. Co on takiego powiedział? Że pytał o nią codziennie. Kogo? Słyszał, że się przeprowadziła. Od kogo? Tylko jedna osoba przychodziła jej na myśl.

Pobiegła za nim, zatarasowała mu drogę.

- O nie! Nie tak! Zawarliście z Charliem umowę, tak? Niech zgadnę? Znikniesz z mojego życia, a Charlie cię nie zabije.

Wydał usta. Zamyślił się i niechętnie skinął głową.

- Mniej więcej.

Dzwoniło jej w uszach, jakby oberwała w głowę. Jednocześnie miała ochotę zacisnąć ręce na grubym karku Charliego i go udusić. Ze wszystkich głupich pomysłów jej ojca...

I nagle to już nie było takie straszne, tylko nieudolne. Dziecinne. Roześmiała się.

Danny ściągnął brwi.

- Myślisz, że to zabawne? Charlie mnie zabije, to pewne.

- Wiesz? Kiedy byłam małą, nie zwracał na mnie uwagi. A teraz jestem jego misją życiową i nadal wszystko chrzani. Biedak. To jak? W końcu pozwolił ci się ze mną zobaczyć?

Pochylił głowę.

- Mniej więcej.

Nagle wydało jej się to słodkie.

- Rozmawialiście o mnie?

- Nie nazwałbym tego rozmową. Raczej awanturą.

- Awanturą?

- Karczemną.

- W jaki sposób go przekonałeś?

- Powiedziałem, gdzie może sobie wsadzić... - Chrząknął. - Rozumiesz.

- Jak to przyjął?

- Twój ojciec nie jest oazą spokoju.

- Ale się zgodził?
- Nie dałem mu wyboru.
- Dlaczego?
- Dlaczego? - zdziwił się.
- Tak, Danny. - Jej cierpliwość także się kończyła. - Dlaczego mu się sprzeciwiłeś?
- Ja... Czy to nie oczywiste?
- Dla mnie nie.
- Teraz mogę ścielić ci łóżko, prać twoje ciuchy, robić zakupy, gotować. Mam pracę i, przy odrobinie szczęścia, przyszłość.
- Mówiła spokojnie:
 - To wspaniale, ale nie potrzebuję faceta, który będzie za mnie wszystko robił. Mogę sama zadbać o siebie.
 - Rzecz w tym, że nie musisz robić tego za mnie.
 - Rzecz w tym, że robiłabym to chętnie. Rozłożył ręce.
 - Jezu, kobieto, nawet oświadczyć ci się nie można. Znieruchomiła. Cała krew odpłynęła jej z twarzy.
 - Co ty powiedziałaś? Szybko uniósł ręce.
 - Posłuchaj, nie to chciałem powiedzieć. W każdym razie nie dzisiaj. Pomyślałem, że moglibyśmy... no wiesz... zacząć powoli. Więc jeśli masz spanikować, cofam to.
 - Nie panikuję! - Tylko że w jej głosie pojawiły się piskliwe nuty, a serce waliło tak szybko, że lada moment połamie jej żebra. - No dobra, troszeczkę. - Oddychała głęboko, usiłowała się uspokoić.
 - Ale nie jesteś... Całkowicie temu przeciwna? — Na jego twarzy malowało się wyczekiwanie. Nagle zachciało jej się śmiać.
 - Nie... całkowicie.
- I wtedy on się roześmiał. Drań. Uderzyła go.
- Myślisz, że to zabawne? Jak myślisz, ile razy ktoś mi się oświadczał?
- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.
- Założyła ramiona na piersi. Przyglądała mu się uważnie.
- Właściwie dlaczego chcesz się ze mną ożenić? Uśmiechnął się leniwie.
- Lubię, kiedy mną rządzisz.
- Kiepski powód.

- No dobra. Nie mogłem o tobie zapomnieć, chociaż bardzo się starałem?
Wzruszyła ramionami.

- Może być.

- Dalej. Czułem, że straciłem część siebie, że bez ciebie nic mnie nie bawi i nie ma sensu?

- Lepiej.

- Dalej... - Urwał, nie wiedziała, czy to dramatyczna pauza, czy chwila, żeby zebrać się na odwagę. Może szukał odpowiednich słów. Stała, spięta, nieruchoma, nie oddychając. Danny zwilżył usta, odetchnął głęboko i dokończył: - Bo cię kocham.

- Aha! - Westchnęła. - Złapała największą falę w życiu, oby nigdy nie opadła. - Bingo.

W ich stronę szedł funkcjonariusz w mundurze. Był potężny i okrągły, jak pluszowy miś. Danny się odwrócił, słysząc kroki.

- Idziemy, detektywie?

- Idziemy.

Martha położyła Danny'emu rękę na ramieniu. Jego mięśnie napięły się pod jej dłonią.

- Nigdzie nie idzie.

Policjant wodził wzrokiem od niej do Danny'ego i z powrotem.

- Proszę pani, słucham tylko poleceń... Danny uśmiechnął się lekko.

- Newman, zapamiętaj, że jeśli w pobliżu jest Martha Crowe, słuchasz jej, czy tego chcesz, czy nie. Dziękuję, że tu ze mną przyjechałeś.

Newman dobrodusznie wzruszył ramionami.

- Większa frajda niż drogówka. Ma pani ładny ogródek.

- Dziękuję bardzo.

Newman odszedł. Ona i Danny stali sami. Czuli się trochę nieswojo.

- Kocham cię - powiedział miękko.

- Ja ciebie też.

- Tak, coś wspominałaś.

Wyciągnął ręce i nagle znalazła się w jego ramionach. Westchnął z lubością.

- Właśnie tego mi brakowało. Długiego ciała Stracha na Wróble w moich ramionach.

Znieruchomiała. Od czasów szkoły średniej nie słyszała tego przezwiska.

- Przypomniałaś sobie.

Muskał ustami jej skroń, nasadę włosów.

- Próbowałem, od ośmiu miesięcy. Strach na Wróble. Wielka Stopa. - Jego głos stwardniał. - Tak, przypomniałem sobie.

Nagle zrobiło jej się zimno, szczęście gdzieś przysło. Danny objął ją mocno.

- Wszystko w porządku? Nie chciałem cię zdenerwować. To dla mnie wiele znaczyło. To, że pamiętam twoją twarz, choćby sprzed lat. To był mały cud.

Jego słowa docierały powoli. Oczywiście, że to dla niego wiele znaczy. Przecież nie mógł jej teraz zobaczyć.

- Hej - szeptał. - Gdzie jesteś? Położyła mu dłoń na policzku.

- Tutaj.

Zadrzała. Czy nie to się liczy, że siedzą tu razem? Wiedział, jak wygląda, i to nie miało znaczenia. Był tutaj. Spojrzała w turkusowe oczy, ciągle bystre, ciągle piękne. Założyłaby się o każdą sumę, że oddałby je za byle jakie, bure, byle widziały.

Tylko głupiec może twierdzić, że piękno nie ma znaczenia.

Ale tytko głupiec buduje na nim życie.

Danny wyczuł jej dreszcz, sztywne plecy, strach.

- Spokojnie - szepnął. - Nie denerwuj się. Nie żenię się z twoją twarzą. - Przyciągnął ją do siebie, szeptał jej do ucha: - Powiedz mi tylko, czy nadal karcisz jak nauczycielka?

Wyprostowała się błyskawicznie.

- Nie karcę jak nauczycielka - oznajmiła belferskim tonem. Uśmiechnęła się.

- Bardzo mnie to cieszy. - Odnalazł ustami jej szyję, rozkoszował się zapachem.

- Nadal używasz tego czegoś pachnącego.

- Przyzwyczaiłam się.

Jego dłonie powędrowały niżej, na jej talię.

- Czy nadal masz dołeczki w...

- Tak! - Z piskiem odepchnęła jego dłonie. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie sprawdzałam.

Ujął jej twarz w dłonie i poczuł, jak się uśmiecha. Uspokoila się jak ptak, który wrócił do gniazda. Jak utrudzony wędrowiec, który wraca do domu. Pocałował ją długo, powoli, głęboko.

- W takim razie, moja Martho, co mnie obchodzi twoja twarz? Objęła go mocno. I nagle ją też przestało obchodzić, jak wygląda.